



WYDAWALNIA WARSZAWSKIE WYDAWALNIA



VESTA
NIE ZNA
LITOSCI

MIKOŁAJ KOZAKIEWICZ

**VESTA
NIE ZNA
LITOŚCI**

POWIEŚĆ KRYMINALNA

**WYDAWNICTWO
„ŚLĄSK”**

ROZDZIAŁ I

1.

W hallu Komendy Miasta kapitan Roman Zawieja zatrzymał się z miną człowieka niezdecydowanego. Elektryczny zegar wskazywał godzinę osiemnastą. Gdyby się bardzo pospieszył, zdążyłby jeszcze pojechać do domu, przebrać się w cywilne ubranie i trafić akurat na rozpoczęcie przedstawienia. Już od trzech dni nosił w portfelu bilet. Co grają? Już nie pamiętał. Zresztą, czy to nie wszystko jedno? Najważniejsze, żeby się oderwać od codziennych kłopotów, chociaż raz stać się obserwatorem życia innych ludzi, bez obowiązku uczestniczenia w nim, zamienić się na dwie godziny wyłącznie w biernego widza.

– Uszanowanie panu inspektorowi...

Aha, to ostatni świadek, którego przesłuchiwanie skończył przed kwadransem. – Do widzenia!

Wyszedł przed gmach, przed którym stała granatowa Warszawa. Szofer oczywiście spał.

– No, wstawaj, Jurek! Jedziemy!...

– Tak mi się jakoś oczy skleiły, panie naczelniku –

tłumaczył się młody szofer, z miną cwaniaka z Powiśla.
– Ale, bo też pan naczelnik, jak pragnę podrosnąć, nigdy w porę urzędowania nie skończy, siedzi i siedzi w tej komendzie, że i budzik by zaspał...

– Bo ja nie urzęduję, ale pracuję, mój drogi – powiedział Zawieja, zajmując miejsce po prawej stronie kierownicy.

– Mowa trawa, zielona murawa – panie naczelniku... – powiedział Jurek i nacisnął starter, ale natychmiast zreflektował się, że wypadło to zbyt poufale. – O rany, panie naczelniku, tak mi się samo wypsnęło! To takie przysłowie, pan rozumie.

– Rozumiem, rozumiem – a język masz jak niewyparzona miotła – uśmiechnął się Zawieja, bo w ciągu roku zdążył polubić tego cwane go chłopca, który nigdy nie musiał po słowo chodzić do sąsiadów, a kierował samochodem jak Yehudi Menuhin smykem swych skrzypiec. Właśnie dzięki kunsztowi szoferskiemu i słabości, jaką czuł do niego kapitan Zawieja, uchodziło Jurkowi Piskorzowi w milicji wiele rzeczy, które każdego innego przyprawiłyby o grube przykrości. Kiedyś, gdy mu szef kadr zaproponował wstąpienie do służby operacyjnej, Jurek bez chwili zastanowienia odrzucił propozycję. „Dziękuję, panie szefie, za zaszczyt, ale nie skorzystam... – Ale dlaczego, przecież to awans? – zdziwił się nieprzyjemnie zwierzchnik. – Bo ja chcę umrzeć na s p o c z n i j !”

I rzeczywiście Jurek Piskorz całe swe życie pędził „na spocznij”. Choć jako szofer milicyjnego wozu musiał czasami chodzić w mundurze, ale potrafił go nosić w ten sposób, że zawsze wyglądał jak stuprocentowy cywil. Kapitan Zawieja walczył przez pewien czas z nie zapiętymi guzikami, z kolorowymi krawatami wyzierającymi filuternie spod rozpiętego kołnierza munduru, z czapką nasuniętą na tył głowy jak kapelusz, ale z równym skutkiem można by było próbować zawrócić bieg Wisły łyżeczką od herbaty. Machnął więc wreszcie ręką i zaakceptował Jurka takim, jakim był...

– Pan naczelnik coś dzisiaj taki jakiś z ni w e l o w a n y y ... – zauważył Jurek szczerząc nadpsute zęby.

– Bo co? – ocknął się kapitan.

– Motor już pracuje ze dwie minuty, a ja dotąd nie wiem, dokąd mam jechać...

– Aha, jedź do mnie na Mokotów, do mieszkania. Tam poczekasz i odwieziesz mnie do teatru w Pałacu Kultury. I to już będzie koniec na dzisiaj...

Jurek ruszył i już po kilkunastu sekundach wjechali na jasno oświetlony prostokąt placu Dzierżyńskiego.

Jurek pewnie prowadził wóz w gęstym strumieniu samochodów, który o tej porze dnia przetaczał się przez skrzyżowanie trasy W-Z z Nową Marszałkowską. Mówił coś do kapitana, ale ten nie zwracał na niego uwagi, gdyż ponownie rozpatrywał w pamięci zeznania poszczególnych świadków w sprawie, która dopiero wczoraj

trafiła do jego rąk. Sprawa otrzymała jeszcze w Komendzie Dzielnicowej kryptonim „Vesta” i trafiła do niego jako sprawa w zasadzie zakończona. Ba, jeśli przyjąć wersję samobójstwa, to rzeczywiście wszystko jest jak łąza. Jednak rzecz w tym, jak słusznie zauważył prokurator, że samobójstwo to...

– „Samobójstwo doskonałe”...

Tylko te dwa słowa z paplaniny Jurka Piskorza dotarły do świadomości kapitana, ale wystarczyły, aby go poruszyć! Chwyił szofera za rękaw:

– Coś ty powiedział?

– O rany, panie naczelniku, jak będzie pan mnie tak łapał za rękę, to zamortyzujemy się na jakiej latarni! Ja mam wrażliwe serce...

– Mówiłeś coś o jakimś samobójstwie? – nalegał kapitan.

– No, mówiłem o tej sztuce, na którą pan kapitan idzie. Nazywa się „Samobójstwo doskonałe”. Kryminał na dwanaście fajerek. Mówił mi Pełka z operacyjnego – a on się na tym zna, bo po pierwsze – fachowiec, a po drugie jego Maria Bogda jest za bileterkę w tym teatrze...

Kapitan zastanawiał się tylko chwilę.

– Stop! – powiedział krótko. Warszawa pisnęła wszystkimi hamulcami i stanęła tak nagle, że jadący z tyłu prywatny Fiacik tylko cudem uniknął zderzenia

– Zmieniłem zamiar. Nie pójdę do teatru. Masz tu bilet i możesz machnąć się sam, jeśli masz ochotę na oglądanie kryminalów na scenie. Ja mam ich dość w życiu...

– Z panem naczelnikiem to zawsze są trzy światy... Ale w sprawie teatru nie będę depnować... Równo z górki maszeruję do teatru jak tylko odstawię pana tam, gdzie trzeba... Rozkaz, choćby najcięższy, musi być wykonany – westchnął obłudnie.

Ruszył z miejsca tak szybko, że przechodnie patrzący na mknący wóz z błękitną latarnią „MO” myśleli w duchu: „Znowu gdzieś coś się stało...!”

Kapitan zerknął z ukosa na szofera: – Jakoś teraz nie masz wątpliwości dokąd mnie odwieźć?

– Wiadomo dokąd – do profesora! Globusik pracuje, panie naczelniku!

Kapitan zapalił papierosa i dopóki samochód nie zatrzymał się przed szarą kamienicą na Solcu, nie odzywał się ani słowem.

Na dźwięk dzwonka rozległo się wściekle ujadanie psa, a po chwili drzwi się otworzyły i kapitana przywitał starszy mężczyzna, przytrzymujący za obrozę wspaniałego alzackiego owczarka.

– Nie! Co za miła niespodzianka! – przywitał go serdecznie – sam Sherlock Holmes we własnej, nie fałszowanej osobie! Tor, przywitaj się z kapitanem! – Pies

zaczął się łąsić i lizać przybysza po rękę.

– Nie przeszkadzam ci? – spytał kapitan zdejmując letni płaszcz i wieszając go na stojaku w przedpokoju.

– Przestań się bawić w grzeczności i włącz do pokoju... Ja zaraz nastawię wodę na kawę...

Gospodarz człapiąc wydeptanymi nocnymi pantoflami znikł za drzwiami w kuchni. Po chwili jednak wsadził bujną, siwą czuprynę przez drzwi do pokoju:

– Jeśli masz ochotę wypić coś mocniejszego, to znajdziesz butelkę w biblioteczce. Kieliszki są tam, gdzie zawsze...

Kapitan nie miał ochoty na trunkę, więc też wyciągnąwszy się w fotelu miękko sprężynującym na stalowych rurach obrzucił spojrzeniem dobrze znany pokój. Tor ułożył się z westchnieniem na podłodze i ulokował swą piękną i kształtną mordę na pantoflu gościa.

Pod wszystkimi ścianami stały regały z książkami. Wielkie dębowe biurko na stalowych rurach pokryte było stertami papierów zapisanych ręcznym i maszynowym pismem. Na krzesłach, na szafie i na parapecie okna piętrzyły się stosy czasopism i tygodników. Kilka obrazów na ścianie i zielony tapczan przykryty wielkim płatem dermatoidu (pies!) dopełniał umeblowania pokoju. Wszystko to znał bardzo dobrze. Od dziesięciu lat przyjaźnił się z profesorem Werharem i od dziesięciu

lat nic nie przybywało, ani nie ubywało w tym mieszkaniu, którego każdy kąt świadczył o samotności profesora i niedużej wadze, jaką przywiązywał do spraw tego świata.

Na szafie ujrzał małą skórzaną walizkę oklejoną licznymi nalepkami zagranicznych hoteli. Uśmiechnął się na jej widok, gdyż przypomniała mu początek przyjaźni z profesorem Wer harem.

Przecież to kradzież tej właśnie walizki z przedziału wagonu sypialnego Warszawa – Paryż sprowadziła profesora do Komendy Miasta i tam po raz pierwszy zetknęła z kapitanem Zawieją. Uśmiechnął się ponownie przypominając zdumienie i niemal zabobonny lęk profesora, gdy wysłuchawszy jego zażalenia otworzył żelazną szafę i wskazując na zdeponowaną w niej walizkę, zapytał, czy to właśnie o nią chodzi.

– Panie, pan jest cudotwórcą! – zawołał wówczas profesor.

– Nie, nie jestem cudotwórcą, tylko pan profesor jest szczęściarzem. Właśnie z tą walizką został dziś w nocy ujęty od dawna poszukiwany złodziej kolejowy... Pańska walizka wyraźnie nie przyniosła mu szczęścia.

Przyniosła za to im obu. Po kilku kawach wypitych wspólnie dla uczczenia odnalezionej walizki, poszły następne już bez wyraźnego pretekstu. Wkrótce zaczęli się odwiedzać nawzajem w swoich mieszkaniach. Żona

Zawiei także polubiła samotnego pana z lekko siwiejącą bródką, który potrafił o najtrudniejszych i najbardziej zawikłanych sprawach ludzkich mówić tak mądrze i prosto, jak by z jego mieszkania na czwartym piętrze lepiej widać było ludzi i sprężyny kierujące nimi, niż gdy się tkwiło i działało bezpośrednio w ludzkim mrowisku.

– Oto i kawka.. Taka, jaką lubisz – z pianką... – powiedział profesor Werhar wnosząc na plastikowej tacy dwie filiżanki i dzbanuszek z kawą. Tor łypnął okiem na swego pana, ale tylko nieznacznym puknięciem ogona w podłogę skwitował jego wejście.

– No. Tor, wynoś się – strofował go Werhar – pozwól kapitanowi przysunąć się do stolika...

Pies niechętnie podniósł się, ale o pół metra dalej ponownie klapnął na podłogę.

– Tor w zastraszającym tempie starzeje się – pokręcił głową profesor – staje się coraz bardziej ociężały i leniwy...

– Ech, przekarmiasz go i jest po prostu ospały...

– Nie, nie. To swoją drogą, ale jednak te dziesięć lat znać już na nim. Pamiętasz, jaki był zabawny, gdy w 1948 przyniosłeś mi go na imieniny z waszej hodowli? Wypijesz do kawy kieliszek „Mandaryna”?

Zawieja przystał i obserwował profesora, gdy z pietyzmem nalewał pomarańczowy, wytrawny likier do małych kieliszków. Ubiegłe dziesięć lat i na nim zostawiły swe ślady. Profesor postarzał się. W bródce i na

skroniach przybyło dużo siwych nitek. Tylko wzrok miał wciąż taki sam, bystry, żywy, w każdej chwili gotów zapłonąć sarkastycznymi iskierkami. O ile lat jest starszy ode mnie? – pomyślał kapitan. Chyba z piętnaście...

Dziwna była ta przyjaźń psychologa i „policjanta”, jak nazywał siebie żartobliwie Zawieja. Dzieliło ich wszystko: wiek, wykształcenie, zawód. A mimo to trzymali się razem i gdy tylko zdarzyło się, że przez tydzień czy dwa nie udało im się spotkać – odczuwali brak i niedosyt.

– Powiedz mi – odezwał się kapitan kontynuując swoje myśli – co nas właściwie łączy? Dlaczego ty, profesor i naukowiec, znajdujesz upodobanie w towarzystwie zwykłego „policjanta” – „gliny”, jak nas nazywają w świecie przestępczym?

Werhar ruszył siwiejącymi brwiami i spojrzał pod światło w pomarańczowy kieliszek. Uśmiechnął się pod wąsem:

– Brawo! zaczynasz psychologizować. To jest pierwszy dowód, że nie jesteś zwykłą „gliną”. Zresztą nigdy nie grzeszyłeś przesadną skromnością, więc skąd ten termin: „zwykły policjant” w ustach utalentowanego oficera śledczego?

– Ale ty mi nie odpowiadasz na pytanie, profesorze! Uchylasz się od zeznań... – zwrócił uwagę kapitan pociągając łyk „Mandarin Ginger”.

Werhar uśmiechnął się ponownie, przy czym drobiazgiem zmarszczek dookoła oczu ukrytych za rogowymi okularami nadała jego twarzy wyraz dobrodusznego, choć nie pozbawionego lekkiej ironii.

– Podejrzanemu wolno odmawiać zeznań. Sam mnie tego uczyłeś... Ale mówiąc serio: sądzę, że nasza przyjaźń polega na wzajemnym zaspokajaniu braków. Ja, jak się domyślam, daję ci haust szerszego, humanistycznego oddechu, trochę życiowych i naukowych uogólnień. Ty zaś przynosisz do mojej samotni falę żywych, autentycznych spraw ludzkich, opisy powikłanych losów i tragedii, które muszą interesować każdego psychologa.

– Tak, tylko że ja widzę świat i ludzi od strony zbrodni i przestępstw. To chyba bardzo wypaczony obraz świata i człowieka...

– Zgoda. Ale karykatura jest także wypaczonym obrazem, a przecież zawiera wszystkie elementy portretu. Po drugie: kto wie, gdyby nie istniała gorączka, jako zjawisko chorobowe, czy zwrócono by uwagę na temperaturę ciała jako objaw normalny?

Kapitan bardzo lubił te chwile, w których profesor zaczynał mówić o swej umiłowanej dziedzinie pracy. Zazwyczaj nie przerywał profesorowi, ale tym razem zawrócił go raz jeszcze do pytania postawionego na wstępie rozmowy.

– I to już są wszystkie motywy, jakie skłoniły nas do zaprzyjaźnienia się?

– Oczywiście, nie. Są jeszcze motywy natury emocjonalnej. Musimy się sobie podobać, czuć do siebie żywą sympatię. Ale czy chcesz u diabła sprowokować mnie do oświadczeń? Co też ciebie naszło dzisiaj, że tak uporczywie nicujesz naszą przyjaźń? No, pij już tę kawę, bo wystygnie i będziesz pił lurę...

Profesor Werhar nie lubił mówić o swoich sprawach uczuciowych. Nigdy nie uskarżał się na samotność, choć to ona była zapewne jedną z podstawowych przyczyn, że tak przyłgnął do Zawiei i jego rodziny. Gdy rozmowa zahaczała o te lub podobne sprawy, stawał się szorstki, złośliwy i szybko zmieniał temat rozmowy. Zawieja nie zdziwił się, gdy i tym razem rozmowa skończyła się identycznie.

– Nad czym teraz pracujesz? – spytał Werhar dolewając sobie kawy z dzbanuszka. I zaraz dodał – Oczywiście, jeśli to nie jest tajemnicą...

– Nie, to nie jest tajemnica. A nawet chcę zasięgnąć twojej rady. Widzisz, mam u siebie sprawę, którą opatrzone kryptonimem „Vesta”. Sprawa jest w zasadzie skończona, przynajmniej teoretycznie, więc mogę o niej mówić, choć tym niemniej liczę na twoją dyskrecję.

– Interesujący kryptonim – uśmiechnął się Werhar. – „Vesta” to drugie imię rzymskiej bogini Hestii, patronki ogniska rodzinnego. Czyżby jakaś kradzież antyków?

Teraz z kolei zaśmiał się Zawieja:

– Zaręczam ci, że oficer z dzielnicy Praga, który ochrzcił sprawę tym antycznym kryptonimem, nie miał na myśli dostojnej bogini. Mam nawet poważne wątpliwości, czy w ogóle słyszał o jej istnieniu.

– No więc skąd się wzięła „Vesta”?

– To jest nazwa pistoletu produkcji hiszpańskiej. „Vesta”, kaliber 7,65, produkcja firmy „Hijos de A. Echeverría”.

Profesor zwinął wargi w rurkę i ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Aha, więc zabójstwo?

Kapitan rozłożył ręce i powstał z fotela. Tor podniósł głowę, obserwując sennie jego ruchy.

– Może z początku przedstawię ci konkluzję, do jakiej doszedł oficer, prowadzący pierwsze śledztwo. Przedtem jednak muszę ci opisać sam wypadek. A właściwie trzeba tu mówić o dwóch wypadkach śmiertelnych, spowodowanych przez ten sam pistolet „Vesta”, kaliber 7,65 mm. Otóż przed kilku dniami, ściślej w niedzielę, w mieszkaniu Augusta Rehma służąca otworzywszy rano drzwi do sypialni gospodarza znalazła zwłoki jego żony Wilhelminy. Oględziny wykazały, że przyczyną śmierci był postrzał z pistoletu, kaliber 7,65 oddany z bliska, w prawą skroń ofiary. W kilka godzin później sekcja kryminalna Komendy Dzielnicowej została zaalarmowana przez służbę hotelu „Excelsior”, że w piwnicy tego hotelu znaleziono zwłoki mężczyzny, który po zidentyfikowaniu okazał się Augustem

Rehmem. Przy zwłokach znaleziono pistolet „Vesta”, kaliber 7,65. Jak wykazała ekspertyza, obie rany śmiertelne zostały zadane z tej samej broni. Na broni znaleziono dobrze odbite i zachowane odciski palców Augusta Rehma.

Profesor Werhar, który z przymkniętymi oczyma słuchał krótkiej relacji kapitana, podniósł powieki:

– A więc ów Rehm popełnił samobójstwo, uprzednio zamordowawszy swoją żonę? Okropność!

– Taki wniosek nasuwa się w sposób oczywisty. Nic dziwnego, że młody oficer dochodzeniowy poprowadził śledztwo tylko w tym jednym kierunku. I oczywiście uzyskał całkowite potwierdzenie swojej hipotezy, którą miał podaną jak na talerzu. Tak też określono zbrodnię w komunikatach prasowych.

Profesor Werhar trwał przez chwilę w zadumie, podczas gdy kapitan przypalał sobie papierosa:

– Tak – odezwał się pierwszy gospodarz – okropna historia. Ale powiedz mi, jakie były motywy tego morderstwa? Czy Rehmowie żyli ze sobą niedobrze? Czy Rehm był znany ze swego gwałtownego usposobienia? Co to w ogóle byli za ludzie? Przecież tak z byle głupstwa nikt nie chwyta za rewolwer i nie morduje kogoś i siebie?

Kapitan strzepnął niecierpliwie palcami.

– O to chodzi, że motywy morderstwa są także, jak na talerzu. Przy mężu znaleziono kilka listów o treści bardzo uczuciowej, pisanych do jego żony przez jakiegoś

Teosia. Listy były bez kopert i nie miały miejsca nadania, ale treść listów nie pozostawia wątpliwości co do tego, że adresatką była żona Rehma.

– Tego Teosia jeszcze nie znacie?

– Nie.

– A co mówią sąsiedzi Rehmów?

– Że Rehm był szanowanym naczelnikiem wydziału w pewnej instytucji trudniącej się importem i dystrybucją precyzyjnych mechanizmów. Że małżeństwo żyło bardzo zgodnie i przykładowo, choć ostatnio doleciały sąsiadów odgłosy kilku ostrych sprzeczek między małżonkami. Na jaki temat, tego niestety nikt nie wie.

– Nawet służąca?

– Służąca przychodziła o godzinie ósmej, kiedy Rehm już był w biurze, i wychodziła po ugotowaniu obiadu o czwartej, kiedy go jeszcze nie było w domu. Pani Rehm, zdaniem służącej, była w ostatnim czasie wyraźnie zdenerwowana i nieraz płakała, gdy sądziła, że nikt jej nie widzi. Na dzień przed śmiercią nie wytrzymała nerwowo i rozpłakała się w obecności służącej. „Weronko, Weronko, jaka Weronka jest szczęśliwa, że jest sama na świecie. Życie jest tak straszne, gdy musi się drzeć o kogoś poza sobą” – miała powiedzieć do swej służącej.

Kapitan strzepnął nerwowo popiół na podłogę, ale Werhar udał, że tego nie zauważył. Patrzał prosto spoza swoich szkielek na stojącego przed nim oficera i obserwował

różne uczucia, jakie kolejno malowały się na jego młodej twarzy, ściągniętej obecnie wyrazem troski.

– No więc czego ty właściwie chcesz? – przemówił wreszcie profesor. – Sprawa jasna jak księżyc i prosta jak drut.

Zawieja zagwizdał bezdźwięcznie kilka taktów jakiejś melodii, rzucił ledwo zaczętego papierosa do popielniczki i westchnął:

– Widzisz, ona jest zbyt jasna i prosta w ogólnym zarysie, a zbyt pogmatwana i ciemna w szczegółach, abym mógł spokojnie zgodzić się z wynikami pierwszego śledztwa. Na to samo zwrócił uwagę prokurator, który odesłał akta sprawy do mnie. W ogóle nie mam zaufania do spraw zbyt jasnych, zwierających się od pierwszego wejrzenia w zamknięty krąg przyczyn i skutków, motywów i działań... W życiu takich spraw nie ma.

– Mylisz się – poruszył się żywiej w fotelu Werhar – w życiu właśnie wszystkie sprawy są takie, jak mówisz, zamknięte, pełne, całkowite. Nic się nie dzieje przypadkowo. Jeśli mimo to życie wydaje się nam chaosem przypadkowych działań i poczynań, to tylko dlatego, że widzimy najczęściej tylko widoczne dla wszystkich fragmenty zdarzeń oraz wycinki ich przyczyn i skutków, reszta tkwi głębiej i gdybyśmy do tej głębi sięgnęli, okazałoby się, że każdy najbardziej nawet przypadkowy czy bezsensowny fragment życia

sterczący nad powierzchnią ma kompletne uzasadnienie przyczynowe w niewidocznej z wierzchu głębinie. Każde twoje śledztwo, to takie nurkowanie w mroczną głębię prawdziwych motywów postępów ludzkich. Może się jednak zdarzyć, że sprawa szczególnie prosta leży cała wraz z motywami, jak się wyrażasz, na talerzu i nie budzi żadnych zastrzeżeń.

– Zgoda – powiedział Zawieja słuchający uważnie słów profesora – ale ja jeszcze nie skończyłem i dlatego twoje wnioski są przedwczesne. Jest szereg pytań, na które pierwsze śledztwo, zasugerowane „prostotą” sprawy nie dało odpowiedzi. Oto niektóre z nich: dlaczego Rehm po dokonaniu zabójstwa wybrał sobie tak niezwykle miejsce na samobójstwo jak piwnica hotelu „Excelsior”? Nie powiedziałem ci, że mieszkanie Rehmów znajduje się na ulicy Nowogrodzkiej, a hotel, jak wiesz, jest na Pradze? Dlaczego Rehm posłużył się rzadkim w Polsce pistoletem „Vesta”, choć posiada legalnie pistolet PW-47 przydzielony mu dla celów samoobrony w czasie licznych wyjazdów służbowych? Skąd Rehm zdobył ten pistolet i po co, skoro od wielu lat posiadał broń służbową?

Werhar pochylił się nad Torem i przez chwilę gładził jego krótką lśniąca sierść. Wreszcie wyprostował się i popatrzył na kapitana:

– Więc ostatecznie o co ci chodzi? Co podejrzewasz?

– Boję się formułować jakiegokolwiek podejrzenia. Po prostu, mimo że wszystko jest na wierzchu takie jasne i proste, zamierzam, jak mówisz, dać nurka w głębinę i poszukać innych dowodów i przyczyn. Prawdę mówiąc zacząłem już to robić dzisiaj przesłuchując pierwszych świadków. Ale wybacz, że o tym, czego się od nich dowiedziałem, nie będę już mówił. To już jest nowe śledztwo. Opowiem ci, jak sprawa będzie zakończona.

– Ależ oczywiście, znamy się przecież nie od dzisiaj. Powiedz mi jednak, czy w poprzednim śledztwie nie dostrzegłeś poza niedomówieniami dochodzenia jakichś faktów, które podsunęły ci myśl, że mamy tutaj do czynienia nie z samobójstwem i morderstwem, tylko z dwoma zabójstwami?

– Zwracam ci uwagę – ożywił się kapitan – że to ty sam sformułowałeś to podejrzenie, na podstawie faktów przeze mnie przedstawionych!

Werhar uśmiechnął się wyrozumiale:

– Mój kochany, przecież czułem od początku, dla czego ci ta sprawa nie daje spokoju i do czego prowadzisz. Ostatecznie przez te dziesięć lat nauczyłem się czegoś od ciebie.

– Może masz rację. Może rzeczywiście sugeruję siebie i innych, że w tej sprawie jest coś niewyjaśnionego, jakaś ciemna podszewka, pod jasnym i wyraźnie skrojonym nakryciem. Ale dopóki nie uzyskam pewności, że się mylę...

– Jaki ty jesteś jeszcze młody, Romanie – powiedział profesor z nutką melancholii w głosie. – Ale masz rację, życie jest tak długo coś warte, dopóki umiemy przejmować się jego sprawami, jak ty to robisz...

Przez chwilę milczeli. Werhar rozczesywał palcami siwiejącą bródkę, wreszcie podniósł swoje jasnoszare oczy na kapitana:

– No, a jeśli założymy, że to są dwa oddzielne zabójstwa, to z jakich motywów je dokonano? Oczywiście, kto zabił – będzie można ustalić dopiero na końcu śledztwa...

Zawieja bezradnie rozłożył ręce:

– Gdybym znał motyw zbrodni, wówczas mógłbym z dużym stopniem prawdopodobieństwa powiedzieć, kto jej dokonał. Zrozum, że ja jeszcze nie jestem pewny nawet tego, czy zbrodnia została rzeczywiście dokonana. Moje przeczucia i domysły tyle znaczą dla prokuratora, co sny ciotki Agaty. Pytałeś o fakty, które by podwazyły wyniki poprzedniego dochodzenia – niestety takich faktów nie mam. Przynajmniej na razie nie mam.

– Więc czym się teraz głównie zajmujesz w związku z tą sprawą?

– Weryfikuję wyniki i fakty pierwszego dochodzenia. Szukam odpowiedzi na pytania, których sobie nie postawił oficer z dzielnicy, a które, jak już mówiłem, same się narzucają. Ostatecznie nie dziwię mu się. Jeśli ktoś, tak jak on, ma jednocześnie kilkanaście spraw do

prowadzenia, nie może bawić się w subtelności, szczególnie przy sprawie, która na pierwszy rzut oka wydaje się przezroczyście jasna i jednoznaczna. Czego jak czego, ale przestępstw niestety u nas nie brakuje...

Profesor Werhar wylał resztkę kawy do filiżanek i pedał gościowi cukier. Widać było, że w trakcie tych czynności zastanawia się nad sprawą „Vesty”. Kapitan nie przeszkadzał mu, wiedząc z doświadczenia jak pomocne mu były już nieraz te pozornie marginesowe, aforystyczne wypowiedzi psychologa, który pobudzony konkretnymi faktami z życia, szukał zaraz dla nich pewnych sformułowań i uogólnień teoretycznych.

– Oczywiście musisz się liczyć, że twoje przecucia i domysły nie sprawdzą się i mamy tutaj po prostu zabójstwo z zazdrości i związane z nim samobójstwo sprawcy – zaczął z namysłem profesor opierając swą brodkę na splecionych przed twarzą dłoniach.

– Liczę się z tym, ale żeby uznać to za, prawdę, muszę dojść do niezbitnej pewności opartej na dowodach – odparł Zawieja z uporem w głosie.

– Zazdrość często pcha do zbrodni, ale wyjąwszy patologiczną zazdrość wypływającą z nerwowej choroby sprawcy, zabójca z zazdrości musi gwałtownie, do szaleństwa kochać osobę, którą karze w tak okrutny sposób. Jak długo Rehmowie byli małżeństwem?

– Ponad trzydzieści lat. Pobrali się jeszcze przed wojną.

– Hm, ciekawe. Małżeństwa trzydziestoletnie przypominają częściej łagodne, urodzajne wzgórza, niż kipiące lawą wulkany. Mnie by na przykład bardzo interesowało ustalenie dokładnego psychologicznego portretu obu małżonków. Zbrodnia jest zawsze nieoczekiwana jak wybuch bomby, i zawsze jak wybuch wstrząsa i szokuje ludzi. Tymczasem, tak jak w przypadku bomby musiał istnieć ktoś, kto ją skonstruował, nastawił zapalnik i podłożył, tale też w każdej zbrodni muszą istnieć odpowiednie przesłanki w okolicznościach życiowych i nade wszystko w psychice sprawcy, które w sumie uczyniły zbrodnię możliwą, ba, czasami wręcz nieuchronną. Jeśli przyczyną zabójstwa była zazdrość – muszą się znaleźć w życiu Rehmowej takie wypadki i fakty, które uzasadniałyby tę zazdrość u męża. Jest, co prawda, ten Teoś, jego listy – ale ty musisz poznać całą prawdę o intymnym życiu pani Rehmowej. Secundo – jeśli nawet znajdą się dowody jej wiarołomstwa, to trzeba jeszcze przekonać się, że pan Rehm był człowiekiem zdolnym do wymierzenia za nie kary śmierci. W życiu nie jest tak przecież, że każdy zdradzony mąż zabija swoją żonę, a potem siebie. Gdyby tak było, wówczas świat byłby jednym wielkim cmentarzem.

Kapitan nieznacznie uśmiechnął się. Znał zgryźliwy, nieufny stosunek przyjaciela do kobiet, ale nie powiedział ani słowa, aby nie przeszkadzać mu w snuciu

dalszych rozważań.

– Nie jestem wyznawcą tezy Lombrosa, że istnieją zbrodniarze z urodzenia, niejako przez samą naturę skazani na zbrodniczość. Sądzę jednak, że wyjąwszy skrajne przypadki większość mężczyzn nie jest zdolna do popełnienia morderstwa, nawet gdy ich spotkają krzywdy większe niż ta, że żona prześpi się z innym mężczyzną.

– Wydaje mi się, że nie doceniasz roli uczuć i siły zazdrości o kobietę...

– Może – zgodził się kwaśno profesor. – Mówimy jednak nie o zazdrości w ogóle, tylko o konkretnym przypadku ewentualnego zabójstwa żony przez Rehma. I w tym wypadku, sądzę, trzeba ustalić, czy Rehm należał do tych gwałtowników, którzy krwią pieczętują wdarcie się obcego koguta do ich kurnika. Jeśli okaże się, że Rehm był despotą, cholerykiem łatwo ulegającym napadom szalonego gniewu, że był mściwy lub skłonny do zmiennych nastrojów, jeśli, znajdziesz w jego życiu fakty świadczące o tych właśnie cechach, a jednocześnie stwierdzisz, że bardzo kochał swoją żonę, wówczas prawdopodobieństwo popełnienia przez niego tego podwójnego zabójstwa wzrośnie, choć i tak nie będziesz miał pewności, mój, kochany.

– Dla prokuratora ważne są tylko dowody oparte na faktach – mruknął Zawieja pocierając podbródek, na

którym wyczuwał krótką szczecinę szybko odrastającej brody.

– Bardzo słusznie, ale do faktów dojdiesz, tym łatwiej, im lepiej poznasz psychikę osób, do których fakty się odnoszą – ożywił się profesor, dosiadając ulubionego konika. – Masz najlepszy dowód na sprawie Rehma. Jest fakt – namacalny i niebagatelny – dwa trupy. Ale nie możesz zweryfikować tego faktu nie znając duchowego świata aktorów tego krwawego dramatu. Twój kolega z dzielnicy dlatego właśnie tak szybko zakończył śledztwo, że ograniczył się do samych faktów i związków między nimi istniejących. Ty powziąłeś wątpliwości właśnie dlatego, że przymierzałeś fakty do psychologicznych prawidłowości postępowania ludzi. Dlaczego ktoś po zabiciu żony na Nowogrodzkiej szuka sobie miejsca dla popełnienia samobójstwa na Pradze i to w tak uczęszczanym miejscu jak hotel? Dlaczego ktoś, kto ma pistolet legalnie przyznany, wyszukuje dla popełnienia samobójstwa rzadki pistolet „Vesta”, skoro od razu potem chce sam skończyć samobójstwem, więc niema potrzeby maskowania się i zacierania śladów? Człowiek, który działa w afekcie, posuwa się drogami najprostszymi i najprędzej wiodącymi do celu. Rehm niby działał w afekcie, a przecież działa krętymi ścieżkami. To jest właśnie ta ciemna podszewka jasnej sprawy, która ci nie daje spokoju. Mówiąc obrazowo: faktyczna powierzchnia nie zgadza się z psychologiczną podszewką, prawda?

Kapitan skinął głową. Słowa profesora jak zwykle pomagały mu formułować własne sądy, określać nurtujące go podejrzenia i przeczucia, Tak, to było właśnie to, o czym mówił pan z siwą bródką i z oczyma inteligentnie pobłyskującymi za rogowymi okularami.

2.

Żeby zdążyć na ósmą do Komendy Miasta, kapitan Zawieja musiał wstawać już o wpół do siódmej rano. W jego niedużym dwupokojowym mieszkaniu na Mokotowie dzień zaczynał się od natrętnego terkotu budzika. Był to dzień, o którym zawsze wiadomo kiedy się zaczyna, ale nigdy nie można było przewidzieć, kiedy się skończy.

Gdyby spytano kapitana, co jest jego największym marzeniem, odparłby zapewne bez wahania: – wyspać się, nareszcie wyspać się do woli. Jego żona widywała męża jedynie przez kilka godzin wieczornych. Ale nawet z tego krótkiego pobytu w domu kapitan jedną godzinę z żelazną konsekwencją poświęcał na lekturę. „Dochodzę do wniosku – powiedziała pani Zawiejowa w rok po ślubie – że oficerowie śledczy nie powinni się żenić. Po co wam są potrzebne żony, których prawie nigdy nie widzicie na oczy?”

Bolały kapitana te słowa nie pozbawione słuszności, ale cóż mógł odpowiedzieć? Pocieszał ją, że jeszcze

tylko tę czy tamtą ważną sprawę wykończy, po czym już będzie przychodził od razu po końcu urzędowania. Z początku wierzyła mu, łudziła się nadzieją, ale kiedy skończył „tamtą” sprawę, przychodziły trzy następne i wreszcie młoda kobieta zrozumiała, że musi się pogodzić z tym, że jej współżycie z mężem będzie zawsze podobne do życia na froncie. Całkowicie więc poświęciła się wychowaniu dwóch synów, cierpliwie czekając od niedzieli do niedzieli na jeden dzień w tygodniu, kiedy miała męża „na własność”. O ile nie wypadła mu w niedzielę służba lub nagły wyjazd na prowincję!

– O której wrócisz? – pytała nazajutrz po wizycie u Werhara, wpychając mu w bieg do kieszeni płaszczapaczuszkę z drugim śniadaniem.

– Trudno mi powiedzieć, Marychna... – odpowiedział z tym samym codziennie poczuciem winy. – W każdym razie postaram się jak najwcześniej...

– Tylko błagam cię, zadzwoń do mnie, gdybyś miał wrócić później niż o ósmej – prosiła, wiedząc co znaczy w jego języku „wrócić wcześniej”.

– Dobrze, dobrze – oczywiście zadzwonię – odpowiedział całując ją z roztargnieniem w policzek.

Pani Maria stała w przedpokoju przy uchylonych drzwiach, dopóki nie ucichł odgłos jego kroków na klatce schodowej. Potem, jak co dzień, przeszła do kuchni, skąd widać było przez okno czekający na kapietana samochód. Widziała, jak wybiegł z bramy, jak z

samochodu wyskoczył Jurek Piskorz, pozdrawiając zwierzchnika dziwacznym ni to salutowaniem, ni to ukłonem kapelusza. Mąż siadając do samochodu spojrzął jeszcze w górę i skinął jej ręką. Warszawa szybko ruszyła z miejsca. Pani Zawiej owa zrobiła małe znak krzyża za odjeżdżającym samochodem. Romek jest niewierzący, ona sama też nie bardzo jest w porządku z Panem Bogiem, ale taki mały, małe krzyżyk nigdy nie zaszkodzi. Kto wie, co go czeka w dniu dzisiejszym? Na młodej, niezbyt urodziwej, ale miłej twarzy pojawił się wyraz smutku i niepokoju. Inne żony wysyłają swych mężów do pracy, jak po chleb do piekarni, a ona żegna się z nim codziennie jak z żołnierzem wyruszającym do ataku. A przecież nie zamieniłaby swego Romana na żadnego innego na świecie!

– Mamusiu! – doleciał z sąsiedniego pokoju płaczliwy głos chłopca. – Janek się bije!

– Jak „się” bije, to ciebie nie boli... – doleciał sztucznie basowy głos starszego syna.

Westchnęła. Zaczął się i dla niej nowy, powszedni dzień...

* * *

– No, więc kapuje pan, panie naczelniku – ciągnął Jurek Piskorz swą opowieść, nurkując Warszawą między słończonymi na ulicy samochodami – ta babka chromiała

się z tem facetem, a jej stary był taki m l a z g a w y , że nic nie kapował...

– Czekaj, czekaj, jaka babka, z jakim facetem? – spytał kapitan, który słuchając jednym uchem szofera nie uchwycił treści wczorajszego przedstawienia.

– No ta, taka szprychowata, co mówiłem panu na początku – wyjaśnił dokładniej Jurek i wyminął jakąś szatańską krystianią wielki samochód ZOM-u, który zatarasował wąską ulicę Mokotowską.

– No i co było dalej?

– No i dalej ta babka umyśliła uziemić swojego staro. W tym celu przychodzi całkiem z małwersowana do faceta i mówi, że stary kojfnął, bo mu z „tetki” wykotłowała w globus w trakcie małego nieporozumienia małżeńskiego...

– Znaczy, że go zastrzełiła? – upewnił się kapitan.

– No, przecież mówię. Ten łachudra-ciapciak mówi, że to bardzo nieładnie i że ją milicja za to zamknie do pierdla. Wtedy ta szprycha, ta gildia posyła go na miejsce przeznaczenia...

– Dokąd go posyła?

– No, do swojego gniazodka rodzinnego, żeby obdukcją jej starego przezastrygował na stuprocentowego, samobójczego nieboszczyka...

– Aha, to znaczy miał upozorować samobójstwo? – zaczął słuchać z większą uwagą Zawieja.

– No więc zabił, czy nie zabił? – wykrzyknął z irytacją kapitan.

– Faktycznie to tak, jak by zabił, ale jak popatrzeć na to bliżej, to faktycznie nie zabił. On to zrobił w imię, że się tak fachowo wyrażę, wyższej użyteczności publicznej.

– Chyba „w stanie wyższej konieczności”? – Kapitan spojrział zdezorientowany na szofera.

– No, przecież mówię... Zabił, bo nie chciał, żeby stary, którego zdrowie, wbrew temu co mówiła szprychowata, było na „abażur”, nie nadział go ołowiem ze swego pistoletu. Bo ta szprycha naprowadziła na siebie swoich dwóch kogutów i urządziła sobie taki prywatny „Toto-lotek” – niech skoczą na siebie ze spluwami, zobaczymy, który jest bardziej szybkostrzelny. No i okazało się, że szybciej strzelał młody ciapciak. Nic dziwnego, chłop przy kości, miał może koło trzydziestki, a ten stary, choć pokazali tylko jego pantofle sterujące spod kozetki, musiał już mieć sklerozę i artretyzm. A wie pan, że te pantofle, to miał na skórgumie z MHD, jak widać to już i Francuzi ubierają się u naszych brakorobów. Na to im przyszło przez te wojnę afrykańską...

– I potem ten młody upozorował samobójstwo starego, żeby uniknąć odpowiedzialności? – upewnił się kapitan, puszczając mimo uszu historiozoficzne uogólnienie swego szofera.

– Faktycznie tak było. Jak by pan kapitan interesował się tą sprawą, to można by było popytać o szczegóły tego naczelnika w jajecznych rękawiczkach. Ja tam mogłem coś opuścić. Ten facet na pewno jeszcze z Warszawy nie wyjechał... – skończył swe opowiadanie Jurek Piskorz, z fasonem podjeżdżając pod portyk Pałacu Mostowskich, siedzibę Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej.

3.

– Jest coś nowego? – spytał Zawieja maszynistkę, która właśnie zakładała pierwszą w tym dniu kartką białego papieru do maszyny.

– Jest jakaś kobieta do pana – mówi, że pan ją wezwał na ósmą.

– Aha, dobrze. Niech czeka.

Wszedł do swego pokoju i kluczykiem zawieszonym na stalowym kółku otworzył dużą, żelazną szafę. Wyjął z niej tekturową teczkę z wykaligrafowanym grubym patykiem napisem „Vesta”. Położył teczkę na stole, po czym wyciągnął z szuflady notatnik służbowy i zajrzał doń pod dzisiejszą datę. Na ósmą godzinę wezwał Weronikę Kawkę – była służącą w domu Rehmów. Mógł ją przyjąć natychmiast, wiedział jednak z doświadczenia, że godzina czekania w przedpokoju oficera śledczego bardzo często wpływa skutecznie na świadka, który

denerwując się przez ten czas i zachodząc w głowę czego może chcieć od niego groźna „władza”, szybciej kruszeje i staje się skłonniejszy do zeznań. Ten chwyt jest najskuteczniejszy wobec kobiet, na mężczyzn, szczególnie podejrzanych lepiej działa jedna noc spędzona w areszcie milicyjnym.

Toteż Zawieja bez pośpiechu wyjął z kieszeni dwie paczki „Giewontów”, zapalniczkę i cygarniczkę. Ułożył je starannie na biurku, po czym raz jeszcze zagłębił się w lekturze protokołów z poprzedniego śledztwa.

Przerzucił również notatki z przesłuchania zwierzchników i kolegów Rehma z Biura Importu Urządzeń Precyzyjnych. Starał się obecnie wyławić z posiadanych materiałów to wszystko, co dawało mu pogląd na „psychologiczny wizerunek” denata, czy ewentualnej ofiary mordu. A więc August Rehm był poważnym, cenionym specjalistą: z pięćdziesięciu pięciu lat życia, dwadzieścia pięć poświęcił pracy w różnych instytucjach handlowych specjalizując się w handlu zagranicznym mikroskopami, zegarkami, aparatami fotograficznymi i specjalistycznym sprzętem precyzyjnym z dziedziny medycyny. „Był bardzo solidnym i odpowiedzialnym pracownikiem”. „Był ogromnie ambitny i dbał o swą opinię i dobre imię”. „Cieszył się ogólnym szacunkiem kolegów i przełożonych”. „Miał niechętnych sobie ludzi, gdyż nigdy nie ukrywał tego, co myśli i miał

odwagę występować przeciwko niesłusznym posunięciom i zarządzeniom”. „Jeśli coś uznał za słuszne i konieczne, potrafił dążyć do tego z uporem, nie zważając na trudności i czy się to wszystkim ludziom podobało czy nie”. „Nawet ludzie niechętni nie odmawiają mu zasadniczej cechy, jaką jest uczciwość i wierność zasadom”. „Cokolwiek można było powiedzieć o Rehmie, to jednego nie można mu odmówić: miał czyste ręce i nienawidził zła”. Przy tym ostatnim zdaniu, jakie sobie wynotował z wczorajszych protokołów, kapitan zaznaczył w nawiasie „z zeznań świadka, który był podwładnym Rehma i narzekał na jego despotyzm i surowość”.

Niewiele tego było. Na razie nie był to jeszcze portret duchowy Rehma, tylko szkic, w którym uwydatniały się dwie cechy: prawość i uczciwość połączone z odwagą cywilną. Kapitan odchylił się do tyłu wraz z krzesłem i bujał się lekko tylko na dwóch nogach.

– Cóż, z tego jeszcze nic nie wynika – rozmyślał śledząc obłoczek papierosowego dymu, unoszący się pod sufit – prawy i uczciwy człowiek może też w pewnych skrajnych okolicznościach popełnić zbrodnię. Pod tym względem jestem mniejszym optymistą niż Werhar. Szczególnie, że ktoś, kto tak fanatycznie jest przywiązany do prawdy i uczciwości, może boleśnie odczuć zdradę i kłamstwo osoby najbliższej. To by nawet mogło przemawiać za przyjętą wersją zabójstwa i samobójstwa. Ale nie ma przecież takich ludzi, których psychika

składałaby się tylko z dwóch cech. August Rehm na pewno był bardziej skomplikowany duchowo, niż w obrazie, jaki nakreślili jego koledzy z biura. Nic dziwnego – w miejscu pracy liczą się tylko niektóre cechy osobowości człowieka. Inne są albo nieważne dla współpracowników, albo po prostu nie mają możliwości przejawienia się w czasie pracy. Ostatecznie dla handlowców jest rzeczą bez znaczenia, na przykład, świat uczuć ich współkolegi, wyznawany przez niego światopogląd, czy wreszcie sposób reagowania na niepowodzenia, nie związane z pracą zawodową.

Tych innych danych powinni dostarczyć ludzie bliżej związani z Rehmem poza miejscem pracy, choćby ta służąca, która czeka w przedpokoju. Spojrzał na zegarek. Było pół do dziewiątej. Może jeszcze poczekać. Znowu zagłębił się w aktach. Tym razem zaczął studiować protokół oględzin i sekcji zwłok.

Przede wszystkim rzucił okiem na podpis lekarza medycyny sądowej. Kiwnął z zadowoleniem głową: doktor Kałużny był starym praktykiem i bardzo skrupulatnym ekspertem.

Kapitan zagłębił się w czytanie protokołu, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na załączone fotografie zwłok Augusta Rehma. Przyczyna śmierci nie pozostawiała wątpliwości: rana postrzałowa prawej skromy pocisk utknął w drugiej komorze mózgu. Kapitan zapalił nowego papierosa i raz jeszcze spojrzał na fotografię

zwłok. Rehm był człowiekiem o silnej budowie: duża głowa o wysokim czole spoczywała na masywnej szyi, na skroniach widać było pierwszą siwiznę. Właśnie na prawej skroni widniał nieduży otwór wlotu kuli. Kapitan przyjrzał się uważnie fotografii, ale nie dojrzał śladów osmalenia, lub czarnych punkcików drobin prochu, jakie wbijają się pod naskórek przy strzale z bardzo bliska lub z przystawienia. Zajrzał znowu do protokołu: „Żadnych oznak osmalenia, lub zakopcenia drobinami spalonego prochu w bezpośredniej okolicy rany wlotowej nie stwierdzono”.

Zawieja poruszył się niespokojnie na krześle. Wydało mu się, że chwyta pierwszy cień poszlaki, jednak gdy przewrócił kartkę protokołu i zaczął czytać stronicę następną, spotkało go rozczarowanie. „Ogłędziny wykazały jednak pojedyncze drobiny prochu spalonego, wbite pod skórę w większym promieniu rany wlotowej”.

Zniechęcony odsunął protokół i zabrał się do czytania drugiego dokumentu. Ten dotyczył oględzin zwłok i wyników sekcji zwłok Wilhelminy Rehmowej Obejrzał fotografię głowy zabitej. Przedstawiała kobietę jeszcze młodą, której twarz mimo stężenia pośmiertnego tchnęła wyrazem dobroci i mądrości. Zaczął ponownie studiować poszczególne punkty protokołu. I tutaj przyczyna śmierci była oczywista, uderzający był tragiczny zbieg okoliczności, że i w przypadku żony kula tkwiła

w drugiej komorze mózgu. Kapitan porównał ze sobą oba teksty opisujące rany śmiertelne u Rehma i jego żony. Były niemal identyczne. Nawet kąty nachylenia obu kanałów kuli do poziomu były niemal dokładnie takie same. Zaraz, coś zaczęło świtać w głowie kapita-
na. Nie była to jeszcze żadna poszlaka, nawet jeszcze nie podejrzenie, tylko wyczucie, że coś w tym jest, czego jeszcze nie umie nazwać, nie umie sam przed sobą sprecyzować, ale co może się okazać bardzo ważne dla śledztwa.

– Panie kapitanie, ta niewiasta denerwuje się – wsadziła głowę przez uchylone drzwi maszynistka. Ale Zawieja machnął niecierpliwie ręką:

– Niech czeka! Teraz nie mam czasu...

Maszynistka zrobiła brwiami ruch, który mówił:

„Pan tu decyduje” – i zamierzała zamknąć drzwi za sobą, kiedy Zawieja niespodziewanie zatrzymał ją:

– Pani Ireno!

– Tak, słucham... – Ale kapitan milczał. Twarz jego wyrażała jakiś wielki wysiłek i zupełnie nie zwracał uwagi na sekretarkę. Może jej się tylko przywidziało, że ją zawołał?

– Czy pan mnie jeszcze potrzebuje, panie kapitanie? – przypomniała mu o swojej obecności.

– Tak... Jedną chwileczkę...

Podszedł ponownie do biurka i zajrzał do protokołów lekarskich.

– Chciałem panią zapytać, ile ma pani wzrostu? –

zwrócił się z nieoczekiwanym pytaniem do sekretarki.

– No wie pan – obruszyła się – ja mam tyle pracy, a pana żarty się trzymają!

– Nie, nie, ja wcale nie żartuję. To sprawa bardzo poważna. Ile ma pani wzrostu naprawdę? – Patrzył na nią tak, jak by od jej wzrostu zależało całe jego szczęście.

– Metr siedemdziesiąt dwa... – odpowiedziała wrzuszając ramionami.

– To świetnie. Niech się pani nie zdziwi, że chcę z panią zrobić pewien eksperyment.

Patrzyła zdziwiona jak wyjął z futerału pistolet, jedynym naciśnięciem guzika wyrzucił z niego magazynek, sprawdził starannie czy w lufie nie ma naboju i opuścił kurek do położenia zabezpieczającego.

– Niech się pani nie boi, muszę zrobić pewną próbę – uśmiechnął się przepaszająco, widząc jej zdumienie na widok broni.

– Ja się nie boję, tylko nic nie rozumiem...

– Chwileczkę, proszę stanąć tu przy oknie. Tak, dobrze... Czy pani pozwoli, że skieruję pistolet w stronę pani głowy? Jest nie nabyty – gwarantuję.

– Czy to konieczne? To bardzo nieprzyjemne.

Uśmiechnął się przepaszająco.

– Wiem, że to przykre. Nie mam prawa wymagać tego od pani, dlatego proszę o to. To potrwa pięć minut. Widzi pani, ten sam wzrost co pani, miała pewna

kobieta, którą zabito. Domniemany zabójca był prawie tego wzrostu co ja. Chcę sprawdzić, czy przy normalnym trzymaniu broni przez mężczyznę mojego wzrostu strzał oddany w skroń kobiety tego wzrostu co pani, będzie miał ten sam kąt nachylenia, który stwierdzono na zwłokach zamordowanej. Rozumie pani?

– Nie bardzo. Ale to pomoże panu odkryć zabójcę?

– Być może.

– Niech pan próbuje. Ja zamknę oczy, to chyba panu nie przeszkadza?

– Dziękuję pani. Oczywiście, może pani zamknąć oczy.

Zaczął dokonywać pomiarów. Kiedy wreszcie udało mu się tak ustawić pistolet w odległości mniej więcej pół metra od skroni maszynistki, że linia przedłużająca lufę, przebijając wyimaginowany wlot na skroni tworzyła z poziomem kąt przybliżony do tego, jaki widniał na fotogramach medycyny sądowej, uzyskał efekt tak zaskakujący, że przez dłuższą chwilę stał nieruchomo z pistoletem w ręku, a przez myśl zaczęły mu przelatywać gorączkowe strzępki rozumowań i wstępnych wniosków.

– Czy już? – spytała z westchnieniem maszynistka.

Ocknął się.

– Moja kochana, niech się pani nie gniewa, ale jeszcze chwileczkę...

Jeszcze raz powtórzył wszystkie manipulacje zerkając

na fotografię głowy zabitej, na której przerywaną linią był zaznaczony kanał kuli w jamie czaszki. Tak jest, omyłki nie było. Dokładne pomiary, które jeszcze dziś zleci biuro ekspertyzy, mogą wykazać różnice w milimetrach, ale podstawowy fakt nie ulegał wątpliwości.

– Czy już? – słabym głosem spytała ponownie maszynistka, której już się w głowie kręciło od tego stania z zaciśniętymi powiekami.

– Już! – odparł radośnie Zawieja – już! Dziękuję. Dziękuję bardzo!

Maszynistka poprawiła fryzurę, z godnością skinęła głową i wyszła myśląc o tym, do czego to człowiek nie bywa zmuszany, kiedy pracuje w takiej instytucji jak milicja. Ale ten Zawieja to naprawdę bardzo miły człowiek i jaki przystojny!

Po wyjściu maszynistki kapitan rzucił pistolet na stół i usiadł w krześle ściskając skronie obu rękami, na których oparł pochyloną głowę.

– Spokojnie, spokojnie – przemawiał w duchu do siebie – tylko nie gorączkować się!

Do czego właściwie doszedł? Prosty eksperyment wykazał, że człowiek tak wysoki jak August Rehm, strzelając do kobiety wzrostu swej żony, aby ułokować kulę z odległości pół metra pod tym kątem w drugiej komorze mózgu, musiałby strzelać z arcyniepewnej i nienaturalnej pozycji. Musiałby trzymać rękę z pistoletem na wysokości dolnej krawędzi żeber, a więc w

pozycji uniemożliwiającej wszelkie celowanie.

Czy to był dowód? Musiał przyznać, że nie. Przecież żona mogła w chwili oddania strzału stać na jakimś podwyższeniu, choćby na stopniu schodów, czy na taboreciku. Wreszcie sam Rehm mógł strzelać z jakiejś wyjątkowej pozycji, na przykład klęcząc, lub leżąc obok żony. Jednak był to pierwszy punki zaczepienia dla jego podejrzeń. Zawieja zdawał sobie sprawę, że taki dowód nie ostałby się nawet i pół godziny w ogniu krytyki obrońcy, ale dla niego ważne było to, że znalazł pierwszą poszlakę, która przemawiała za jego koncepcją wydarzeń. Gdyby jeszcze udało mu się udowodnić, że Rehmsowa w chwili zabójstwa stała oraz że strzał został oddany także przez stojącego, wówczas mógłby nawet snuć pewne domysły na temat wzrostu zabójcy...

– Ach, gdyby, gdyby! – skarcił się w duchu za przedwczesne rojenia i wrócił do protokołu.

Dobiegała już godzina dziewiąta, kiedy w protokole uderzyła go jeszcze jedna uwaga lekarza medycyny sądowej: „Zwłoki wykazywały całkowite stężenie pośmiertne, stężenie wszystkich części ciała do kończyn dolnych włącznie jest dokładnie rozwinięte”. To o Rehmsie. Odszukał odpowiednie miejsce w protokole dotyczącym zwłok Wilhelminy: „Stężenie pośmiertne występuje w mięśniach głowy, szyi i kończyn górnych”.

Pod wrażeniem tych zdań nagle wyprostował się. To była sensacja! Sensacja największego kalibru! Ale jak to możliwe, żeby tak doświadczony lekarz jak doktor Kałużny nie zwrócił uwagi na uderzającą rozbieżność obu protokołów? Szybko przerzucił protokół sekcji zwłok Wilhelminy Rehmowej i spojrział na podpis: dr Wincenty Czernik. Wszystko stało się jasne. Zwłoki zostały znalezione w różnych miejscach i na terenie różnych Komend Dzielnicowych, do tego w różnym czasie – oględziny zwłok, a potem sekcje były robione w każdym przypadku przez innego lekarza i oddzielnie.

Podniósł słuchawkę telefonu:

– Proszę mnie połączyć z Zakładem Medycyny Sądowej... Z doktorem Kałużnym proszę. Kto mówi? – Roman Zawieja, oficer śledczy Komendy Miasta. Dobrze. Czekam.

Po pięciu minutach miał już zamówioną wizytę u lekarza o godzinie piątej po południu w Zakładzie Medycyny Sądowej. Pierwsze dwie godziny „wolne” od pracy diabli wzięli, pomyślał mimochodem i przypomniawszy sobie świadka czekającego w przedpokoju poprosił telefonicznie sekretarkę o wprowadzenie Weroniki Kawki.

4.

Weronika Kawka nie była młodą kobietą. Nie była; to także istota zbyt piękna. Twarz miała zeszepeconą

śladami ospy. Miała grube rysy i wydatne, wywinięte wargi. Zawieja poprosił ją, żeby usiadła naprzeciw niego. Usiadła nie odrywając wzroku od płyty biurka. Kapitan skierował wzrok w kierunku, w którym miała utkwione oczy i zmełł w ustach przekleństwo – zapomniany pistolet groźnie czerniał na stole. Schował go do szuflady.

– To z tego zabito moją panią? – spytała przenosząc wzrok na kapitana.

– Nie, nie z tego, ale z podobnego.

– Pan miał taki sam w domu – powiedziała i pokiwiała żałośnie głową. – Dlatego myślałam, że to ten sam.

– Wasza pani została zabita z innego pistoletu. A czy pani często widziała pistolet pana Rehma? – spytał rezygnując ze sprawdzenia personaliów, które miał już w protokołach z poprzednich przesłuchań.

– Często nie często, ale parę razy widziałam. Pan Rehm po każdej podróży czyścił go i smarował oliwą. Czy to ktoś mógł wtedy przypuścić, że pan Rehm...

Podniosła rękę do twarzy i otarła powieki, na których kapitan nie zauważył śladu łez.

– Pani długo pracowała u Rehmów?

– Niedługo. Na Boże Narodzenie będzie trzy lata.

– No i jak się pani tam pracowało? Państwo byli dobrzy?

Znów ten gest ocierania nie istniejących łez i potem słowa, w których nie brzmiała żadna emocja:

– Pani była bardzo dobra. Sprawiedliwa, uczynliwa i nie wydziwiająca.

– A pan? – prędko wskoczył pytaniem w tok jej odpowiedzi.

– Pan – zawahała się – też był dobry. Dla mnie był dobry – może dlatego, że go rzadko widziałam. Jak on wracał z pracy, to mnie nie było, a jak ja przychodziłam, to jego już nie było. Bo wie pan, ja tam byłam tylko na przychodzącą. Nie, nie mogę powiedzieć złego słowa na pana Rehma, toteż wierzyć nie chciałam, jak zaczęli mówić, że to on...

Przerwała i teraz głos jej naprawdę załamał się, może na wspomnienie tego strasznego odkrycia, jakiego dokonała w sypialni swojej pani tamtego ranka. Zawieja nie spuszczał z niej wzroku – najważniejsze nie uрониć teraz ani jednego półtonu w jej głosie, ani jednego drgnięcia mięśni na jej twarzy.

– No, a czy pan Rehm był także dobry dla swojej żony?

– Po mojemu – był dobry. Ale teraz, jak to wszystko się stało, już sama nie wiem, co myśleć. Mieli eleganckie mieszkanie, pan Rehm miał dużo pieniędzy, taksówką jeździł – czegoż mu jeszcze brakowało?

– Dlaczego pani sądzi, że miał dużo pieniędzy?

– No, przecież jak kto służy, to widzi, czy gospodarze każdą złotówkę oglądają nim wydadzą, czy też mają więcej rozmachu – popatrzyła na kapitana swymi nijkimi oczyma, jak by dziwiła się, że tak prostej sprawy nie rozumie.

– Czy Rehmowie często przyjmowali gości?

– Nie, gości to u nas dużo nie bywało.

– No, ale na imieniny pana, albo pani ktoś przychodził?

Weronika Kawka pokręciła przecząco głową, przy czym na jej zmęczonej, jak by wyżętej z wszelkich uczuć twarzy, pojawił się wyraz niesmaku.

– Moi państwo nie obchodzili imienin, tylko urodziny. Widzi pan, oni byli niekatolickiej wiary... Ale dobrzy byli ludzie – zastrzegła się pospiesznie, a z głosu jej wynikało, że byli dobrzy, „choć” nie katolicy.

– Ale jeśli Rehm nie był katolikiem, to ostatecznie jaką religię wyznawał?

Specjalnie rozwijał ten nie ważny dla siebie temat, wiedząc, że jest szczególnie bliski jego rozmówczynie. Nie zawiódł się. Ożywiła się i zaczęła mówić nagle dużo i szybko.

– Bo widzi pan, to było tak! Jak tylko nastalam do państwa Rehmów, od razu zmiarkowałam, że coś tutaj nie w porządku. Ani obrazka, ani krzyżyka, jak w jakiejś bóżnicy... Przyniosłam swój obrazek i zawwiesiłam w

kuchni: niechaj przynajmniej tam, gdzie ja pracuję, będzie po chrześcijańsku. No nie?

Zawieja milcząco kiwnął głową, zachęcona trajkotała dalej:

– Zawiesiłam i przez kilka dni ani pan, ani pani tego nie zauważyli. Aż któregoś niedzieli pan Rehm przychodzi po gorącą wodę do golenia – on w niedzielę lubiał spać bardzo długo – i widzi: wisi obrazek. – Kto to zawiesił? – pyta. A ja! – mówię i patrzę prosto w oczy. A on tak się jakoś zasumował, głową pokręcił, wreszcie zaśmiał się i powiada: Widzę, że Weronka wprowadza tutaj swoje porządki. Co do kuchni – zgoda, ale proszę Weronikę, żeby mi w pokoju i w sypialni ścian już dalej nie ubierała. No to powiedziałam, że dla mnie wystarczy, że kuchnia jest ubrana, ale na mój rozum, to jeśli dom jest katolicki, to trzeba, żeby i w mieszkaniu było po katolicku. Tak mu wygarnęłam, proszę pana inspektora.

– No, a on co na to? – zapytał Zawieja wciąż jeszcze nie tracąc nadziei, że coś wyłapie z tej paplaniny.

– A on na to mówi: nie jestem katolikiem i wychodzi z kuchni. Jezus, Maria, jak to powiedział, to myślałam, że mnie ktoś ukropem oblał. Nic, myślę, tylko do Żydów trafiłam. A tak mnie w Mińsku przestrzegali! Od razu po obiedzie poszłam do pani i mówię, tak a tak, dla mnie „to sprawa ważna, niech powie co to znaczy, że

pan Rehm powiedział o sobie, że nie jest katolikiem. Pani poczerwieniała i mówi: nie jesteśmy katolikami, ale protestantami, zresztą to dzisiaj już nieważne, powiada, bo te sprawy dla niej, ani dla męża nie grają już roli. Jak dla kogo – odpowiedziałam – dla mnie to ważne. I dlatego, jak pan widzi, zostałam, bo protestant, to też chrześcijanin chociaż i gorszy.

Trzy kwadranse Weronika Kawka zalewała kapitana potokiem mętnych słów, z których większość nie miała dla niego żadnej wartości, ale przecież od czasu do czasu w tym potopie nieistotnych szczegółów i swoistych filozoficznych rozważań błysnął jakiś okruch ważnej informacji, cień nowej poszlaki. Wówczas ręka kapitana, z której nie wypuszczał ani na chwilę ołówka, pisała na kartce papieru jedno zdanie, czasami kilka słów tylko: „stali goście: naczelnik, łysy gruby, w okularach; jakiś pan „elegantki”, siwy, który jeździ własnym samochodem, siostra Wilhelminy, niezamężna, mieszka w Łodzi i czymś handluje”.

Na innej kartce zanotował: „przesłuchać taśmę magnetofonu”. Zrobił ją wówczas, kiedy Weronika opowiadała o takim „gramofonie, na którym można tak zrobić, że człowiek nawet słyszy sam siebie”, którym podobno często lubiła się bawić pani Rehmowa.

Z opowiadania Weroniki stopniowo wyłaniał się obraz powszedniego życia Rehmów. Było ono uregulowane

i systematyczne jak dobry zegarek. Pan Rehm codziennie punktualnie o pół do ósmej wychodził do pracy, wracał późno o piątej lub szóstej po południu. Co robił w tym czasie, tego oczywiście Weronika Kawka nie wiedziała. Dokładnie za to odmalowała tryb życia Rehmowej, które wpływało na zajęciach gospodarczych, dokonywaniu zakupów, przyjmowaniu wizyt krawcowej i kilku przyjaciółek oraz podkreślonych przez służącą „zabaw”! z magnetofonem. Raz w miesiącu Rehmowie chodzili do teatru, raz w tygodniu oglądali film przez telewizor.

Pan Rehm był taki dokładny – opowiadała Weronika – że jeśli w tygodniu wypadły dwa ciekawe filmy w telewizji, to kazał żonie wybierać jeden, który będą wspólnie oglądali. „Nie po to kupiłem telewizor, żeby kradł mi każdą wolną chwilę” – cytowała męża pani Rehmowa, skarżąc się przed służącą na surowego męża.

– Widocznie pan Rehm miał bardzo dużo pracy – poddał Zawieja.

– O, miał, miał – westchnęła Weronika – nieboszczka pani to nie raz, nie dwa wyrzekała, że jak wróci do domu, to też pracuje do późna w nocy i ona poza garnkami i jego koszulami świata nie widzi...

– A co on tak robił po nocach?

– Tego ja nie wiem – ruszyła ramionami siostra św. Zyty – tylko bardzo często musiałam rano, z nieboszczką, pakować do żelaznej szafy, która stoi w gabinecie

pana, takie wielgachne papierzyska, pełne cyfr i napisów. A niedopałków po takiej nocy, to mówię panu – ze trzy tuziny leżały w popielniczce. Bo jedno trzeba powiedzieć – na podłogę pan Rehm nigdy popiołu nie strząsał – taki już był staranny od przyrodzenia...

Na papierze Zawiei przybyła nowa notatka: „dokumenty w żelaznej szafie”. Płynęły minuty, kwadranse. Stopniowo ogarniało go zmęczenie. Konieczność pilnego śledzenia słów Weroniki, zmuszone wyłapywanie z nich rzeczy mogących mieć jakąś wartość dla śledztwa, przecinanie potoku jej wymowy w miejscach, w których wyraźnie oddalała się od tematu, naprowadzanie na sprawy interesujące kapitana, jednak w ten sposób, aby jej nie speszzyć i nie skłonić do zamilknięcia – to wszystko było bardzo wyczerpujące. A przecież to był dopiero pierwszy świadek, spośród trzech, których wezwał na dzisiaj! Weronika Kawka zeznawała już półtorej godziny. – Dopiero półtorej godziny – westchnął – a tu jeszcze dwóch świadków przed nim, w perspektywie konsultacja z doktorem Kałużnym, a on już w tej chwili czuje się zmęczony, jak po młocce. Postanowił skończyć przesłuchanie.

– Pani przypomina sobie te słowa, które pani Rehmowa powiedziała do pani na krótko przed śmiercią?

Weronika zamrugowała prędko bezbarwnymi rzęsami:

– Że niby o czym? – spytała niezbyt przytomnie. Kapitan domyślił się, że musiał swoim pytaniem prze-rwać jakąś jej opowieść, której po prostu nie dosłyszał, zajęty przed chwilą własnymi myślami.

– Przepraszam – a o czym to pani mówiła przed chwilą?

– No, opowiadałam o tym malarzu, który chciał nas okraść w zeszłym tygodniu.

Raz jeszcze okazało się, że nie wolno niczego przeo-czyć w zeznaniach świadka. Wystarczyło kilkanaście sekund jego zmęczenia i odwrócenia uwagi od tego co mówił świadek, a już przeoczył fakt, który mógł być bardzo istotny. Poprosił o powtórzenie tej historii. Oka-zało się, że na kilka dni przed tragedią w domu Reh-mów przybył do nich jakiś człowiek, który prosił o wsparcie, gdyż rzekomo wyszedł z więzienia i nie ma za co wracać do domu, do Wrocławia.

– Czy pani pamięta jak wyglądał? – szybko wcisnął się z pytaniem kapitan, szykując ołówek do notowania.

– Zaś bym nie miała pamiętać? – odparła z prze-chwałką w głosie Weronika. – Był taki suchy, czernia-wy, niewysokiego wzrostu, ubrany w starą marynarkę zielonego koloru, na nogach miał tenisówki. Lat miał może trzydzieści, może trzydzieści pięć.

– A jakichś oznak szczególnych pani nie zauważy-ła?

Patrzyła na niego nie rozumiejącymi oczyma:

– No, może miał jakąś brodawkę na twarzy, albo znamię, albo wąsiki, czy coś podobnego?

Pokręciła w zadumie głową. Nie, nic takiego nie zauważyła. – Tylko, wie pan, miał ręce czarne, zniszczone – aż było mi dziwne, że w więzieniu siedział, nic nie robił, a takie ma ręce, jak by w kuźni pracował.

– No dobrze, i co było dalej? – zapytał Zawieja zanotowawszy rysopis mężczyzny.

Okazało się, że nieznajomy przyszedł około dziesiątej rano. Pani Rehmowa bardzo się przejęła jego losem i kazała Weronce nakarmić go w kuchni resztkami wczorajszego obiadu. Kiedy tak jadł i rozglądał się po kuchni, zauważył głośno w obecności pani Rehmowej, że mógłby jej kuchnię odmalować, wtedy nie musiałby zebrać, tylko zarobiłby w ten sposób na bilet do Wrocławia. Pani Rehmowa ucieszyła się, bo kuchnia rzeczywiście wymagała odświeżenia, a o majstrów dziś niełatwo. Nawet sama zaproponowała, żeby przy okazji odświeżyć olejno okna w pokoju i gabinecie pana.

– No i po śniadaniu – kończyła Weronika swą opowieść, której szczegółowość i drobiazgowość nie złościła już kapitana – ten facet zaczął moją miarką krawiecką mierzyć wszystkie ściany w kuchni, potem okna u pana, bo mówił, że musi wiedzieć ile metrów

kwadratowych będzie do malowania, bo musi do tego dopasować ilość farby, którą trzeba kupić.

– Czy przy mierzeniu był stale ktoś przy nim?

– Pani musiała przymierzyć nową suknię (taka biała w czerwone kwiaty, marszczona na karku), którą przyniosła krawcowa, a ja doglądałam go na wrywki, bo to przecież pora była przedobiednia i musiałam przygotować wszystko do gotowania...

– Czy nie zauważyła pani niczego podejrzanego w jego zachowaniu?

– Nie, nic nie zauważyłam. Tylko raz, jak zajrzałam do gabinetu, to gmerał coś przy szafie żelaznej pana. Jak mnie zobaczył, to powiedział, że warto byłoby i tę szafę olejno machnąć, bo to jeden kłopot, a farba już poodpryskiwała. To ja mu na to powiedziałam, że to nie jego rzecz, tylko pani i wróciłam do kuchni.

– Dobrze. I co działo się dalej?

– Nic się nie działo. – Wymierzył, wymierzył i mówi do pani, że musi mieć pięćdziesiąt złotych na farbę i klej. To pani mu dała te pieniądze i on poszedł.

– I już więcej nie wrócił – domyślił się kapitan.

– Nie, wrócił po godzinie. Przyniósł blaszaną puszkę czegoś i mówi, żeby pani dała mu jeszcze sto złotych, to on kupi emalii na okna w gabinecie. I dopiero jak te pieniądze dostał, to już nie wrócił więcej. Ta puszka to jeszcze stoi pewnie dotąd w łazience.

Zawieja w zamyśleniu szczypał palcami swoją dolną

wargę. Cała historia wygląda na zwykłe wyludzenie pieniędzy. Sprawy częste w Warszawie. Gdyby w kilka dni potem nie znaleziono w tym domu trupa, nawet nie warto by było tym się zajmować. Nagle coś mu się przypomniało:

– A dlaczego pani na początku powiedziała, że ten malarz usiłował okraść państwa Rehmów? Przecież z tego, co pani dotąd opowiadała, nic takiego nie wynika...

Weronika zrobiła chytrą minę.

– Ja od razu powiedziałam, że to złodziej. Ale pani mi nie wierzyła. Dopiero jak jej pokazałam, że przy tym mierzeniu pootwierał wszystkie okna z haczyków i zasuwek, to mi uwierzyła. A mieszkanie mieliśmy parterowe, wleźć można bardzo łatwo.

– Czy pani opowiadała o tych sprawach oficerowi, który poprzednio prowadził śledztwo? – spytał kapitan, który przypomniał sobie, że w protokołach nie było śladu o tej przygodzie z nieznanym malarzem.

– Nie, nie opowiadałam – ruszyła ramionami Weronika.

– Dlaczego?

– Bo mnie o to nie pytał. W ogóle ten oficer tak się spieszył. Mówił ze mną może kwadrans i wciąż powtarzał patrząc na zegarek: „To już wszystko, co pani wie o tej sprawie?”. Aż pomyślałam, że może mu się gdzie spieszy i powiedziałam, że to już wszystko... Pan

inspektor to co innego – porozmawiał jak z człowiekiem i na zegarek ani razu nie spojrzął...

– Pani teraz mieszka w Mińsku, prawda? – upewnił się odkładając ołówek.

– Ano wróciłam do rodziny, bo i co miałam robić, o pracę teraz nie łatwo. Prawda, o byle jaką to nie trudno, ale ja chcę, żeby to i dom był porządny i ludzie uczciwi, wierzący, a teraz nie wielu uczciwych ludzi na świecie. Wszystko przez to, że ludzie Boga się nie boją.

– No dobrze, być może, że jeszcze się zobaczymy. Wezwę panią, jeśli mi pani będzie potrzebna – przerwał jej Zawieja czując jak obręcz dookoła czoła zaciska mu się coraz silniej. Zwiastowało to zbliżenie się bólu głowy. – Na razie dziękuję pani i do widzenia.

– A podpisywać nic nie trzeba będzie? – zdziwiła się Weronika, oblatana z protokołami przesłuchiwań w okresie pierwszego śledztwa.

– Tym razem nic – uśmiechnął się na widok jej gorliwości kapitan – może następnym razem, jak się znów zobaczymy... – i nieznacznie przekreślił kontakt magnetofonu wbudowanego w biurko.

5.

– Oczywiście, że pamiętam sekcję zwłok Augusta Rehma – odpowiedział doktor Kałużny na pierwsze pytanie kapitana. Był to mężczyzna niskiego wzrostu,

o twarzy poranej siateczką drobnych zmarszczek, ale żywy jeszcze i ruchliwy, choć na pewno niedaleko mu już było do sześćdziesiątki.

Rozmowa toczyła się w gabinecie doktora, zastawionym szafami, w których widniały preparaty ludzkich organów umieszczone w szklanych słojach ze spirytem. W płaskich gablotach widniały różne narzędzia i przedmioty, które kiedykolwiek posłużyły jako narzędzia mordu.

– A czy pan doktor zna wyniki oględzin i sekcji zwłok jego żony Wilhelminy? – spytał z kolei Zawieja.

– Nie, nie znam. Widzi pan, zasadniczo obie sekcje powinny być robione przez jednego lekarza, bo dotyczą tej samej sprawy. Ale zwłoki Rehma znaleziono na Pradze i śledztwo, zgodnie z zasadą terytorialności podjęła Komenda Dzielnicy Praga. Zwłoki Rehmowej odkryto o kilkanaście godzin wcześniej w Śródmieściu i dlatego początkowo śledztwo w tej sprawie prowadziła Komenda Dzielnicy Śródmieście. Upłynął pewien czas zanim ustalono związek między obu sprawami i przekazano całość sprawy Praskiej Komendzie, na której terenie znaleziono zwłoki sprawcy. Tymczasem obie sekcje niezależnie od siebie zostały już wykonane. Jedna przede mnie, druga, zdaje się przez doktora Czernika...

Spojrzał na kapitana czarnymi, świdrującymi oczkami spoza grubych szkieł okularów:

– Czy coś wyszło na jaw nowego?

Zawieja zachwiał niezdecydowanie głową:

– Jeszcze nic nie wyszło, ale może wyjdzie, jeśli pan doktor mi pomoże. – Sięgnął do teczki i wyjął z niej protokoły sekcji zwłok. – Zanim coś panu odczytam, chciałbym zasięgnąć pańskiej rady.

– Proszę bardzo. – Doktor Kałużny siadł wygodniej, co w jego wykonaniu wyglądało tak, że podwinął pod siebie jedną nogę, siadając na niej jak na poduszce. Cień uśmiechu mignął po zmęczonej twarzy Zawiei. Wszyscy znali tę piętę Achillesową doktora, który ubolewał, że był niski, i zawsze wykorzystywał każdą okazję, aby podwyższyć siebie bodaj o kilka centymetrów. Gdy stał, tę rolę spełniały wysokie, niemal damskie obcasy, gdy siedział – podwinęta pod siebie noga. Ostatecznie można zdziwić mając do czynienia przez czterdzieści lat tylko z trupami!

– Chciałbym zapytać pana o to, w jakim czasie po śmierci występuje stężenie pośmiertne?

Doktor Kałużny rzucił krótkie, ostre spojrzenie na kapitana.

– To powinien wiedzieć pan sam ze studium kryminalistyki! – powiedział nieufnie.

– W ogólnym zarysie, oczywiście wiem – chodzi mi jednak o to, aby usłyszeć to od człowieka, który może mówić na podstawie licznych obserwacji, a nie tylko wiadomości książkowych...

Doktor Kałużny odął wargi, chwilę pomyślał i zaczął

głosem wytrawnego wykładowcy: stężenie pośmiertne u człowieka dorosłego pojawia się od półtorej do trzech godzin po śmierci. Zaczyna się od górnych partii ciała, dokładniej od mięśni zuchwy i posuwa się stopniowo ku dołowi. Po sześciu do ośmiu godzinach jest ono już całkowicie rozwinięte. W praktyce bywają jednak znaczne odchylenia od tych norm. Dużo zależy od warunków, w jakich znajdowały się zwłoki po śmierci, od stopnia ich umięśnienia itp.

Spojrzał wyczekująco na kapitana, jak by chciał zapytać: Tyle wystarczy?

Zawieja wyszukał tymczasem w protokołach oględzin zwłok dokonanych przez oficerów dochodzeniowych wszystkie zakreślone miejsca i głośno odczytał:

„Zwłoki wykazywały całkowite stężenie pośmiertne, które obejmowało całe ciało, do kończyn dolnych włącznie”. „Stężenie pośmiertne występuje w mięśniach głowy, szyi i kończyn górnych”.

– Co można wnioskować z tych obu notatek, panie doktorze?

Doktor Kałużny ważył coś przez chwilę, wreszcie powiedział powoli:

– Jeśli żąda pan ode mnie orzeczenia na piśmie, wówczas oczywiście stwierdzę, że z tych dwóch zdań niczego pewnego wywnioskować nie można.

– A gdyby miał pan tylko udzielić ustnej, prywatnej porady, jak mnie w tej chwili? – odpowiedział pytaniem

Zawieja i dosłownie przylgnął wzrokiem do wąskich, zaciśniętych warg lekarza.

– Wówczas powiedziałbym tak: istnieje duże prawdopodobieństwo, że człowiek, którego dotyczy pierwsze zdanie, zmarł o kilka godzin wcześniej, niż ten o którym mówi zdanie drugie.

– Tylko prawdopodobieństwo, nic więcej? – spytał zawiedzionym głosem Zawieja.

– Tylko odparł sucho lekarz. – Gdyby istniała pewność, nic by nie stało na przeszkodzie, żeby o tym napisać w oficjalnym orzeczeniu. Widzi pan, jeśli na przykład zwłoki Nr 1 spoczywały w zimnym pomieszczeniu, a zwłoki Nr 2 w ciepłym, wówczas może się tak stać, że mamy tu już do czynienia nie ze stężeniem wstępującym, lecz ustępującym i wtedy stężenie ustępuje szybciej w zwłokach znajdujących się w ciepłym pomieszczeniu, niż w zimnym.

– Ale przecież w tym wypadku to nie było stężenie ustępujące – upierał się kapitan.

– To wiemy na pewno tylko w odniesieniu do zwłok kobiety, które wykazywały postępujące stężenie od chwili znalezienia ich do chwili sekcji, niczego zaś nie wiemy, jeśli chodzi o zwłoki mężczyzny, które już w chwili znalezienia były całkowicie stężałe.

Kapitan zaczął pojmować do czego prowadzi mały, ruchliwy staruszek o twarzy pomarszczonej, jak suszona gruszka. Podniósł na niego oczy z rosnącym oczekiwaniem.

– Czyli pan przypuszcza... – zaczął, ale doktor Kałużny przerwał mu ostrym ruchem ręki:

– Ja niczego nie przypuszczam! Od tego jesteście wy, oficerowie śledczy! Ja tylko ustalam fakty i różne warianty związków między nimi występujące ze ściśle medycznego punktu widzenia.

– W każdym bądź razie z medycznego punktu widzenia nie można wykluczyć tego, że mężczyzna zmarł nie tylko o kilka, ale nawet może o kilkanaście godzin wcześniej? – snuł gorączkowo swe myśli kapitan.

Doktor Kałużny wziął do ręki oba protokoły i odszukał w nich odpowiednie punkty:

– Widzi pan, na przykład tutaj napisałem: „oznak rozkładu, plam dyfuzyjnych itp. nie stwierdzono”. Trzeba jednak pamiętać, że zwłoki mężczyzny spoczywały w zimnej i przewiewnej piwnicy, co wpływa hamująco na rozwój procesów gnilnych. Oczywiście, gdybym wówczas sam przeprowadził obie sekcje, można by było więcej ustalić poszlak na okoliczność pana interesującą. Ale widzi pan, obowiązuje nas słuszna w zasadzie reguła terytorialności i stąd sprawy potoczyły się odrębnymi koleinami.

– Jest to dodatkowy dowód na to – powiedział Zawieja podnosząc się – że najsluszniejsze zasady w pewnych szczególnych przypadkach okazują się szkodliwe.

Doktor Kałużny także powstał, nie chcąc, alby kapitan zbyt górował nad jego przycupniętą osobką:

– Cóż pan chce? Taki już jest los wszystkich ogólnych zasad. Ale bez nich życie byłoby plątaniną nieuporządkowanych i chaotycznych poczynań poszczególnych jednostek. Co prawda – dodał po chwili – gdyby oficer prowadzący dochodzenie na Pradze przestudował wcześniej wnikliwie oba protokoły, wówczas doszedłby do wniosków, które panu nasunęły się dopiero po tygodniu...

Kapitan pominął milczeniem tę uwagę doktora. Zgadzał się z jego zdaniem, ale uważał, że przed postrońnymi należy chronić autorytet swoich kolegów z milicji, nawet jeśli ich postępowanie nie było wolne od błędów. Zresztą, czy naprawdę było rzeczą pewną, że jego poprzednik omylił się? Co w gruncie rzeczy dała mu wizyta u doktora? Jeszcze jedną poszlakę do wiązki poprzednich. Ale dowodu wciąż nie miał żadnego. Może jutro w mieszkaniu Rehmów uda mu się znaleźć jakieś dowody?

ROZDZIAŁ II

1.

Dom przy ulicy Nowogrodzkiej był typową „przedwojenną” czynszową kamienicą. Przez mroczny tunel bramy wchodziło się do głębokiej studni podwórza, na

środku którego widniała kwadratowa parodia klombu, gdzie psy z całej kamienicy załatwiały swe naturalne potrzeby. Podwórce pachniało stęchlizną, jak stara beczka po kapuście. Na stojaku do trzepania dywanów wietrzyły się jakieś bety odarte z białych poszewek i powłoczek. Tuż przy wejściu do „kuchennej” klatki schodowej widniał śmietnik, na którym wymalowany olejno napis zakazywał pod surowymi karami zsypanywania śmieci przed śmietnikiem. Wbrew temu zakazowi piramida nieczystości i odpadków piętrzyła się tuż przy drzwiach wejściowych rozsiewając woń tak zjadliwie dławiącą, że Jurek Piskorz chwycił się za nos:

– Rany boskie, mało nosa nie urwie!...

– Ciekawe, jak się czuje pan dzielnicowy, kiedy wypadnie mu wstąpić do tej kamienicy.

– On się w ogóle nie czuje, bo tu nigdy nie zachodzi. Siedzi cały dzień na jakiejś melinie i troszczy się tylko o to, żeby licznik bił i na pierwszego pensję można było *z a a b s o r b o w a ć*... „Czy się stoi, czy się leży, dwa patyki się należy” – zakończył wierszykiem i zamilkł, gdyż właśnie stanęli przed odrapanymi drzwiami, na których widniała mosiężna tabliczka: A. Rehm.

– To tutaj? – spytał Jurek mimo woli zniżając głos.

– Tutaj – odpowiedział Zawieja i zaczął uważnie oglądać pieczęcie na plombach zawieszonych na

drzwiach. Były nienaruszone. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, który przed chwilą otrzymał od prokuratora i zaczął dobierać właściwy. Nie szło mu jakoś. Jurek Piskorz poruszył się niecierpliwie:

– Panie naczelniku, może ja spróbuję? Niech pan tylko przytrzyma ten a d a p t e r . . .

Podał kapitanowi trzymaną przez siebie walizeczkę, w której mieściła się kompletnie wyposażona kasetka śledcza, zajrzał raz w dziurkę od klucza, poprzebierał palcami w kluczach, wybrał jeden i dokonawszy nieomylnie wyboru otworzył drzwi.

– Ma się ten talent – westchnął melancholijnie – marnuje się człowiek w milicji, jak pragnę zdrowia..

Kapitan polecił szoferowi założyć rękawiczki i weszli obaj do mieszkania. Od razu znaleźli się w kuchni. Jak w wielu starych domach warszawskich, po rozparcelowaniu wielkich mieszkań między kilku lokatorów, kuchenne drzwi stały się jedynym wejściem do mieszkania.

Kuchnia była staroświecka, duża i wysoka. Spojrzawszy na zapocone brudnawe ściany kapitan zgodził się z Weroniką Kawką, że wymagała pilnie odnowienia. To mu przywiodło na myśl osobę nieznanego malarza. Zanim jednak udał się do łazienki, do której wchodziło się z korytarza łączącego kuchnię z pokojem mieszkalnym, rozejrzał się uważnie po kuchni. Tak, jak mówiła służąca, nad nieczynną płytą kafłową(gotowanie

odbywało się bowiem na piecyku gazowym) zauważył mały obrazek przedstawiający wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Uważnie obejrzał kuchnię i spostrzegł, że wszystkie kafle, części metalowe pieca nosiły ślady miałkiego, srebrzystego proszku. Ślady proszku znać było również na klamkach, na parapetach i na zamknięciach okien. Kiwnął z uznaniem głową – jego poprzednik dokładnie zdaktyloskopował wszystko, co było do zdaktyloskopowania.

– O rany, panie naczelniku – wiercił się niespokojnie Jurek – długo jeszcze w tej kuchni? Jak popatrzę na te „Wecki” z mięsem, to aż mnie coś zaczyna w żołądku ssać... A tutaj w tej szafie, o rany, panie naczelniku – niech mnie pokręci, jeśli to nie węgierska kielbasa „belami”.

– Salami, a nie „bel-ami” – sprostował spokojnie Zawieja, bacznie rozglądając się po kuchni.

– Salami, czy „belami” – jeden pies – westchnął Jurek – opchnąłbym całą ćwiartkę, tylko że to na pewno dla pana naczelnika niejadalny dowód rzeczowy, a nie regularna kielbasa...

Plótl, co mu ślina na język przyniosła, ale nie ruszał się z miejsca, był bowiem dobrze wyszkolony przez Zawieję, jak należy się zachowywać na miejscu przestępstwa. Tymczasem Zawieja zestawiał to co ujrzał w kuchni z planem sytuacyjnym, jaki zrobił jego poprzednik prowadzący śledztwo. Musiał przyznać, że szkic

zrobiony w rzucie krzyżowym był dokładny. Z kolei przeszli do łazienki – była czysta i schludna. Na sznurze rozciągniętym nad wanną wisiała jeszcze jakaś sukienka. Woda kapiała z szelestem z zapotniałego zbiornika. Kapitan uważnie obejrzał wannę, muszlę umywalni. Nie spodziewał się dokonać żadnego odkrycia, przybył tu bowiem wiele dni po wypadku, jednak nawykowo zapoznawał się z całym mieszkaniem, choć naprawdę interesowała go tylko szafa Augusta Rehma. Zajrzał za wannę i dostrzegł blaszaną puszkę z etykietą „Farba klejowa”. Aha, więc Weronika Kawka pamiętała dobrze, gdzie postawiła blaszankę. Ostrożnie wziął przez rękawiczki puszkę i wniósł do kuchni w pobliże okna. Nawet bez lupy widać na niej było wyraźnie odciski palców. Część z nich należała na pewno do służącej, ale musiały być tutaj także ślady nieznanego malarza – amatora. Puszka nie nosiła śladów srebrzystego proszku.

– Jurek, kaseta! – powiedział przez ramię do szofera.

– Sie robi, panie naczelniku!

Piskorz wyjął z walizeczki buteleczkę ze srebrzystym proszkiem, ustny rozpylacz podobny do tego, jakich się używa do wód kolońskich i kilkanaście różnej wielkości kawałków folii daktyloskopijnej.

– Przytrzymaj – powiedział Zawieja, po czym zanurzwszy rozpylacz w proszku zaczął systematycznie

opylać całą powierzchnię puszki. Na gładkiej blasze proszek nie trzymał się i natychmiast opadał, tam jednak, gdzie zostały odbite ślady linii papilarnych, tworzył srebrzyste wzory odcisków palców.

Kapitan ostrożnie zdjął z kawałeczków folii celofanową warstwę chroniącą i starannie przyciskał wilgotną, kleistą, lustrzanie lśniącą powierzchnię do widocznych odcisków. Po odcisnięciu na folię przeniosły się srebrzyste, idealnie dokładne odciski linii papilarnych. Teraz ponownie przykrywał folię celofanową warstwą ochronną i zdjęcie śladu było gotowe. Wszystkie zdjęte odciski powędrowały do koperty, na której wypisał: „Odciski palców zdjęte z puszki „Farba klejowa”.

– Ślady, po prostu paluszki lizać, wyraźne, że tylko w mordę dać – entuzjazmował się Jurek Piskorz.

– Właśnie, właśnie – odpowiedział Zawieja, zwracając mu narzędzia – jak skończymy oględziny mieszkania, od razu odwieziesz je do ekspertyzy. Kiedy zdobędziemy materiał porównawczy, trzeba będzie sprawdzić w kartotece daktyloskopijnej, czy ich właściciele nie są już notowani w naszych aktach.

2.

Kapitan przekreślił kontakt i sypialnię załało łagodne światło przefiltrowane przez matowe szkło dużej amplicy.

Był to pokój duży, ale mroczny, o jednym oknie wciśniętym w kąt utworzony przez dwie zbiegające się frontowe ściany. Jurek Piskorz rozejrzał się po pokoju i gwizdnął z uznaniem:

– Ci to na pewno żyli bez kwaterunku. Sama sypialnia ma taki kilometr aż jak całe mieszkanie w osiedlu zorowskim. A jeśli już nawet przydzielą komu takie mieszkanie, to za komorne zdzierają od razu jak z ołtarza, tak że szczęśliwy lokator tylko piszczy, jak by mu pieprzu w sedes nasypali...

– Mógłbyś powściągnąć trochę swój język – powiedział Zawieja zajęty porównywaniem tego co widział z planem sytuacyjnym trzymanym w ręku – bądź co bądź w tym pokoju zabito przed tygodniem kobietę...

Jurek coś mruknął, ale posłusznie zamilkł. Zacięte usta i nadęty wyraz twarzy miały oznaczać, że poczuł się dotknięty i więcej nie odezwie się do kapitana ani słowem. Nie wytrzymał jednak dłużej niż kilkadziesiąt sekund w tym zbożnym zamiarze. Kiedy kapitan zbliżył się do łóżka i uważnie oglądał podłogę, na której znać było ciemnobrunatne plamy krwi, Jurek zapytał:

- A młoda była?
 - Kto?
 - No ta, dana ofiara.
 - Po czterdziestce – powiedział kapitan.
- Jurek sceptycznie skrzywił wargi.

– To prawdę mówiąc i tak już niewiele miała przed sobą.

– Coś ty oszalał?! Czterdzieści lat – to dla ciebie już stara kobieta? – oburzył się kapitan, zaglądając pod łóżko starannie zasłane dużą, niepomietą kapą.

– Jak dla mnie, to już bardzo stara.

– Jurek, włóż z drugiej strony pod łóżko i poświeć latarką! – krzyknął Zawieja.

Szofer pokręcił głową z miną wyrażającą podziw dla własnej cierpliwości i poświęcenia, podciągnął ostrożnie spodnie, aby kantu nie uszkodzić i przyklęknął na jedno kolano jak w kościele.

– Prędko! – syknął niecierpliwie Zawieja.

– Świeć!... Nie, nie tam. Tutaj, bliżej ściany... Aha, jest!

Jurek wytrzeszczył oczy, ale niczego nie dojrzał, oprócz białego naczynia na pierwszym planie i kłębków zbitego na wojłok kurzu, co nie najlepiej świadczyło o staranności służącej.

– Jurek, zostaw latarkę i podaj kopertę z pincetą – zażądał ponownie kapitan. Piskorz z ulgą wyczołgał się spod łóżka, podał kapitanowi żądane narzędzia, po czym zaczął starannie otrząpywać się z kurzu i włosów, których sporo przyłgnęło do granatowych, mundurowych spodni. Za chwilę wyłonił się spod łóżka i kapitan Zawieja. Podeszedł do lampy i spojrzął na mały przedmiot leżący na szarej, sztywnej kopercie. Szofer zapuścił mu żurawia przez ramię:

– O rany, guzik! Zwykły guzik! – począł prychać. – Tak się pan naczelnik ucieszył, że myślałem, że to przynajmniej brauling, z którego wykotłowali w globus tej nieodżałowanej interesantce w starszym wieku. A może pan naczelnik zamiaru je z milicji do galanteryjnej branży się przenieść i dlatego tak się guzikami przejmuje?

Zawieja nie zwracał uwagi na jego bezczelne mamrotanie, tylko uważnie oglądał guzik przez silne szkło powiększające. Interesował go nie tyle guzik, co mały strzępek materiału, który przy nim wisiał.

Zawieja kiwnął na Jurka:

– Przyjrzyj się uważnie temu materiałowi i guzikowi. Trzeba sprawdzić po pierwsze: czy jest tutaj ubranie w tym kolorze, należące do kogoś z mieszkańców. A jeśli jest, to czy ma wszystkie guziki. Zapamiętasz kolor i deseń materiału?

– Czemu nie? Taki garnitur ma jeden mój wujek z Ochoty. Zielona jodełka w drobny rzucik. Teraz już takich nie robią, to musi być garnitur jeszcze z paczek unrowskich, wtedy cała Warszawa mundurowała się w taką jodełkę. Może zresztą ten guzik właśnie od tamtych czasów leżał sobie spokojnie pod łóżkiem – dokończył ciszej. Ale Zawieja dosłyszał jego złośliwą uwagę:

– Możesz być spokojny. Guzik nie jest zakurzony. Musiał tam trafić dopiero przed kilkunastu dniami.

Po zakończeniu oględzin sypialni, które poza guzikiem nie dały żadnych nowych materiałów, kapitan przeszedł do pokoju, który jeszcze przed tygodniem służył Augustowi Rehmowi za gabinet pracy. Pokój był umeblowany dobrymi, starymi meblami. Wszystko tu było ciężkie, masywne, solidne. Centralne miejsce zajmowało duże dębowe biurko, na którego szklanej tafli pedantycznie poukładano pryzmy papierów i teczek aktowych. Na ścianie wisiał tylko jeden duży portret w czarnych ramach przedstawiający młodego mężczyznę, z ręką opartą na dużej książce. Mógł to być portret Rehma w młodości.

Przejrzał dokładnie papiery leżące na biurku. Była to korespondencja, sprawozdania i projekty umów handlowych dotyczące spraw Biura Importowego, w którym Rehm pracował. Wymieniane w dokumentach zegarki i mikroskopy, aparaty rentgenowskie, czujniki elektryczne, aparaty fotograficzne – sumy zamówień idące w dziesiątki tysięcy dolarów i setki tysięcy rubli – dawały lepszy pogląd na pracę Rehma, jej zasięg i rozmach, niż wielosłowne zeznania jego współpracowników. Ostrem energicznym pismem zrobione uwagi na marginesach niektórych pism były formułowane jak rozkazy: „Zaproponować 10% stopę dyskontową”, „Oferta niekorzystna, poszukać innego kontrahenta”, „Akceptuję pod warunkiem, że cena loco Warszawa”, „Przekonsultować z rzeczoznawcami Varimexu”. Rehm

musiał znać kilka języków, bowiem uwagi i decyzje robił bezpośrednio na oryginałach rosyjskich, angielskich, niemieckich i francuskich listów i katalogów.

– No, przynajmniej temu człowiekowi nie brakowało kwalifikacji do stanowiska, które zajmował – pomyślał z uznaniem kapitan.

Nagle gdzieś w najbliższym sąsiedztwie rozległ się płacz dziecka. Zawieja drgnął, wydało mu się bowiem, że płacz rozległ się tuż za jego plecami. Obejrzał się. Na tylnej ścianie wisiał pasiasty kilim. Gdy go uniósł, przekonał się, że kilim przykrywa drzwi. W tej samej chwili usłyszał odgłos uderzenia i zdenerwowany męski głos powiedział: – A po co się drażnisz z kotem? Nie męcz zwierząt, to nieładnie... Dziecko jeszcze głośniej zaniosło się płaczem, a głos kobiety powiedział: – No, nie płacz, nie płacz już, bo tatuś się będzie gniewał. Zawieja opuścił kilim i głosy nieco przycichły. Te drzwi musiały prowadzić do pokojów, o których Weronika Kawka opowiadała, że dawniej należały do mieszkania Rehaków, lecz po wojnie zostały im zabrane. To tam właśnie mieszkają ci, jakże im, aha, Nadolscy, przypomniał sobie nazwisko z protokołów pierwszego śledztwa – którzy zeznali o głośniej sprzeczce małżeństwa, powtarzającej się kilkakrotnie, w której mowa była o „zabijaniu”, „sztyletach” itp. Do tego właśnie zeznania dużą wagę przywiązał pierwszy oficer dochodzeniowy, który

uznał tę sprzeczkę obok listów „Teosia” za drugi podstawowy motyw zabójstwa i samobójstwa.

– Prawdę mówiąc – zastanowił się przez chwilę Zawieja – słyszalność nawet przy zawieszonym kilimie jest doskonała i trudno przypuścić, aby Nadolscy mogli się omylić...

Poczuł jak odżywiają w nim wątpliwości: – czy obstając przy swojej wersji wypadków, zdając się bardziej na intuicję, niż na mętne poszlaki, nie brnie czasem w uliczkę, która nie prowadzi nigdzie, narazi ich wszystkich na stratę czasu, a jego na kompromitację?

– Panie naczelniku!

Podniósł głowę znad papierów. W progu stał Jurek Piskorz i z ciekawością rozglądał się po gabinecie kręcąc z uznaniem głową.

– No, jak tam? Znalazłeś ten garnitur? – ożywił się Zawieja.

– Znalazłem ze sześć garniturów, aż się sam dziwiłem, jak pragnę zdrowia, po co temu facetowi trzeba było tyle konfekcji. Ale takiego zielonego w jodelkę nie znalazłem. I między ciuchami szanownej nieboszczki też nic takiego nie sporutowałem. Kompletna konsternacja, czyli mówiąc po polsku k l o p s ...

– To dobrze, to bardzo dobrze! – nie wiadomo dlaczego ucieszył się kapitan.

Jurek spojrzał na niego podejrzliwie.

– Panie naczelniku, jeśli panu zależało na tym, żeby danej garderoby nie znaleźć, to trzeba było w ogóle nie szukać. Ja, jak ten głupi przez pół godziny frygam naf-talinę musztrując szafy szanownych nieboszczyków, a tutaj się dowiaduję, że pan naczelnik od początku skonstantował, że ciuchu w zieloną jodełkę nie ma...

– Przedtem przypuszczałem tylko, a teraz wiem, dzięki tobie na pewno, a to jest różnica – pospieszyl uspokoić go Zawieja. Dopiero teraz wypisał na kopercie, do której schował guzik: „Guzik z resztką materiału ubraniowego znaleziony pod łóżkiem W. Rehmowej”.

Wręczył Jurkowi obie koperty, tę z guzikiem i tę z odbitkami linii papilarnych zdjętych z puszki i powiedział:

– A teraz wal na jednej nodze do ekspertów i doręcz im obie koperty. Zlecenia do kartoteki i ekspertyzy są w kopertach. Tylko pamiętaj, przyciśnij ich, żeby nie odłożyli tego do szuflady, bo ja muszę mieć wyniki już jutro w południe....

– Zrobi się, panie naczelniku, do przyciskania jestem najlepszy, to mi mówiła niejedna na Ochocie.

Trzasnął obcasami, wykonał taneczny piruet, który miał imitować „w tył zwrot” i ruszył ku drzwiom.

– Rozpuszczam tego gałgana, muszę go wziąć krócej! – mruknął do siebie Zawieja, ale w głębi duszy wiedział, że czuje do swego szofera zbyt wielką słabość,

aby to groźne postanowienie miało kiedykolwiek rzucić cień na beztronski żywot Jurka Piskorza.

Odszukał w pęku kluczyków otrzymanych z prokuratury najbardziej skomplikowany i włożył go do szpary w drzwiach pancерnej szafy. Szczęśliwie trafił na klucz właściwy. Odkryło się przed nim wnętrze wymalowane na siwy kolor, podzielone na klatki przez kilka żelaznych półek, na których leżały systematycznie poukładane teczki i pliki luźnych kartek papieru. Rehm był pedantycznie dokładny nie tylko na pokaz, w biurze, a także i w domu wszystko było na swoim miejscu. Każda teczka miała napis wykonany znanym mu już ostrym, „gotyckim” pismem, na paczkach listów starannie zaznaczone daty i nazwiska autorów.

– Będzie roboty z czytaniem tego wszystkiego na cały dzień – pomyślał i westchnął przypomniawszy sobie, że obiecał żonie, że dziś wieczorem wspólnie udadzą się do kina. Trzeba będzie zadzwonić... – pomyślał z rosnącym poczuciem winy. Poszukał oczyma telefonu. Stał na małym stoliku obok biurka. Kiedy przechodził obok szafy z książkami, zawadził boleśnie biodrem o jakąś skrzynkę stojącą na drugim stoliku. Zaklął i zobaczył ładną skórzaną walizkę połączoną kablem z elektrycznym kontaktem. Magnetofon! Przypomniał sobie opowiadanie Weroniki Kawki. Otworzył wieko walizki i ujrzał dwie szpule z nawiniętą czerwoną taśmą. Zapominając chwilowo o telefonie do żony

uruchomił magnetofon i już po chwili w pokoju rozległ się kobiecy głos. Był to przyjemny, niski alt:

– Co ich upiło, to mnie ośmieliło, co ich zgasiło, mnie dodało ognia! Cóż to jest? Cicho!... On jest tam! Drzwi są otwarte! Pijane pacholki szydzą chrapaniem ze swego obowiązku. Taką im dałam polewkę, że o nich śmierć i natura toczą spór, czy mają żyć, czy też umrzeć...”

Kapitan trwał bez ruchu zdumiony, zaszokowany wręcz niezwykłą treścią tego przemówienia. Nie miał jednak czasu na uporządkowanie swych wrażeń, bo oto z głośnika rozległ się głos mężczyzny: „Kto tu? Cóż to?” Kobieta głosem pełnym raczej niecierpliwości niż grozy zawołała: „Biada nam! Obawiam się, że się zbudzili. I wszystko na nic. Nie czyn więc nas zgubi, tylko zamiar. Cicho... wszak sztylety przygotowałam, nie mógł ich nie znaleźć...”

Między obojgiem ludzi toczyła się rozmowa, z której wynikało, że knują jakieś morderstwo. Wreszcie wywiązała się między nimi sprzeczka. „Kaleko na duchu – wołała kobieta – daj mi sztylety! Śpiący i umarli są jak obrazy; tylko oczy dzieci malowanego lękają się diabła. Jeżeli z niego cieknie krew, wymaluję nią twarze pacholków, gdyż oni się muszą wydać winnymi.”

Zawieja zatrzymał magnetofon. W zamyśleniu szczyptał swoją dolną wargę: cóż to za przedziwną rozmowę

toczyła pani Rehmowa ze swoim mężem? Atmosfera krwi i gwałtu przebijała z każdego zdania. I ten język niezwykle, nie dzisiejszy, jakim nikt zazwyczaj nie rozmawia ze swoją żoną. Nagle jakiś pomysł zaświtał mu w głowie. Przewinął taśmę na wsteczny bieg i szybko przekręcił szpulę przesłuchaną przed chwilą. Potem przysunął magnetofon do stolika z telefonem i nakręcił jakiś numer. Po chwili wyczekiwania usłyszał w słuchawce głos Werhara i stłumione szczekanie psa.

– To ty, profesorze? – upewnił się na wszelki wypadek.

– Witaj, gwiazdo naszej kryminalistyki – przywitał go serdecznie profesor – co tam słyszać u ciebie?

– Właśnie chcę, żebyś to sam usłyszał, profesorze – uśmiechnął się Zawieja. – Proszę cię, nie denerwuj się, ale wysłuchaj czegoś, co ci przegram z magnetofonu i jeśli wyda ci się to znajome... Zresztą powiesz mi, co o tym myślisz, kiedy wysłuchasz... Tylko nie pomyśl czasem, że już kompletnie zwariowałem. To jest mi potrzebne do pracy.

– Mój, kochany – powiedział Werhar – mnie z twojej strony nic już nie potrafi zdziwić. Tylko poczekaj chwilkę, aż usunę Tora z pokoju, żeby mi szczekaniem nie przeszkadzał słuchać.

Kiedy Werhar dał znać, że jest gotów do słuchania, kapitan włączył magnetofon przybliżając swoją

słuchawkę, której nie odejmował od ucha, do głośnika magnetofonu. Widocznie cofając taśmę odkręcił więcej niż uprzednio sam przesłuchał, bo rozległ się inny dialog: „...I roztrzaskałabym czaszkę, gdybym była tak poprzysięgła, jak tyś to uczynił” – mówiła gniewnie Wilhelmina Rehmowa.

„A jeśli byśmy chybili?” – spytał Rehm.

„Chybili? Wyśrubuj męstwo swe do ostatniego gwintu, a wówczas nie chybimy! Gdy Dunkan zaśnie, do czego uciążliwa podróż dnia dzisiejszego gruntownie go wezwie, służbę, jego tak uraczę winem, że pamięć zmieni się im w parę...”

Taśma rozwijała się z szelestem, a w pokoju rozbrzmiewały słowa złowrogiego spisku, którego na drugim końcu linii telefonicznej słuchał profesor Werhar. Po kilku minutach tej „niecodziennej audycji” profesor powiedział, że już wystarczy.

– No, i co to jest twoim zdaniem? – spytał z zainteresowaniem Zawieja.

– A jak ty myślisz? – ociągał się z odpowiedzią profesor.

– Woląłem nie sugerować cię moim przypuszczeniem – zawahał się Zawieja – ale wydaje mi się, że to jest tekst jakiejś sztuki teatralnej.

– Tylko nie „jakiejś” sztuki, mój kochany, ale scena z pierwszego aktu „Makbeta” Szekspira, największego dramatu literatury europejskiej. Ale nie powiem, żeby tekst był recytowany zbyt dobrze. To chyba jacyś

amatorzy recytowali te piękne wiersze? Jeśli ich spotkasz, powiedz, szczególnie mężczyźnie, żeby dał spokój tym pięknym wierszom, które są godne, aby je wypowiadały jedynie wargi największych aktorów.

– Ich już nikt nigdy nie spotka, mój drogi – powiedział poważnie Zawieja – słyszałeś dosłownie głosy z tamtego świata.

W słuchawce zaległo milczenie, wreszcie profesor krótko zapytał:

– Vesta?

– Vesta – odparł kapitan. Podziękował Werharowi za konsultację i już chciał odłożyć słuchawkę, kiedy nagle przypomniał sobie o żonie.

– Słuchaj no, może masz ochotę wybrać się dzisiaj wieczorem z moją małżonką do kina? Obiecałem jej, ale znów nie będę mógł dotrzymać słowa...

– Jak zwykle – zaśmiał się Werhar – a co do kina, to chętnie się z panią Marią wybiorę. Zaraz się z nią porozumiem telefonicznie...

Zawieja odetchnął z ulgą, odłożył słuchawkę na widelki telefonu i odwrócił się. W tejże sekundzie ręka jego skoczyła w zanadrze cywilnej marynarki, gdzie na specjalnych szelkach umieszczony miał pistolet. W drzwiach gabinetu stał jakiś mężczyzna. Zawieja szybko się opanował:

– Co pan tu robi?!

Podszedł szybko do nieznanego nie wyjmując ręki z zanadrza.

– Ja tutaj... tego... – zaczął coś bełkotać nieznajomy, patrząc ze strachem na kapitana.

– Kim pan jest? I co pan tu robi? – natarł ostrzej kapitan.

– Jestem Nadolski... Marian Nadolski... mieszkam w sąsiedztwie... usłyszałem głosy i wstąpiłem zobaczyć, co się tu dzieje...

– Aha, sąsiad – przypomniał sobie nazwisko Zawieja. Wyjął rękę z zanadrza. – Czy zawsze się pan tak interesuje odgłosami w mieszkaniu swoich sąsiadów? – spytał rozładowując w tym zgryźliwym pytaniu napięcie kilku poprzednich sekund.

– Nie zawsze, ale sam pan rozumie. Ci ludzie pomarli, a jak w takim mieszkaniu, gdzie jeszcze pachnie nieboszczykiem, człowiek usłyszy ich głosy, to można się przestraszyć... A pan na pewno z milicji? – zapytał kiwając domyślnie głową.

– Z milicji – odparł sucho Zawieja. – To pan przez te drzwi?... – wskazał głową na kilim wiszący za biurkiem.

– Ano właśnie przez drzwi usłyszałem – kiwnął skwapliwie głową. – Jak znów usłyszeliśmy z żoną tę kłótnię państwa Rehmów, to aż zimne ciarki nas przeszyły.

Zawieja znieruchomiał i bacznie spojrział na Nadolskiego:

- Jak pan powiedział? Proszę powtórzyć!
- Ano mówię, że słowo w słowo taka sama kłótnia była przed śmiercią pani Rehmowej, też o zabijanie kogoś chodziło i o jakieś sztylety...

Zawieja podszedł blisko do Nadolskiego, nad którym górował o całą głowę i chwycił go za guzik marynarki:

– Czy pan jest pewien, że to była ta sama rozmowa?

– Absolutnie pewien – potwierdził Nadolski – żona moja też to może zaświadczyć. Dlatego właśnie tak bardzo przerażaliśmy się, kiedy „to” znów rozległo się za ścianą. Nie wiedzieliśmy, że to magnetofon...

– I tę właśnie kłótnię miał pan na myśli składając zeznania przed oficerem śledczym z Komendy Praga – indagował Zawieja, czując, że ogarnia go rosnące podniecenie.

– Oczywiście – odparł Nadolski tonem człowieka, który jest pewien tego, co mówi.

– Innych kłótni między Rehmami nie było?

– Nie. Przynajmniej myśmy ich nie słyszeli – odparł ostrożnie Nadolski. – Czy mogę już iść i uspokoić żonę, panie inspektorze?

– Może pan iść. Aha, jeszcze jeden drobiazg, może pan mi pokaże swój dowód osobisty...

Zamknąwszy drzwi za Nadolskim, które roztrzepany Jurek musiał zostawić otwarte, kapitan wrócił do gabinetu Rehma i usiadłszy w fotelu z wysokimi poręczami

zanurzył twarz w dłoniach. Jeden z podstawowych filarów pierwszego dochodzenia, rzekome sprzeczki i kłótnie małżonków – przestał istnieć. Po co Rehmowie nagrywali fragmenty Makbeta na taśmę magnetofonową, to się łatwo wyjaśni po przesłuchaniu ich przyjaciół i krewnych. Faktem jest, że nie było żadnych ostrych nieporozumień między małżonkami na krótko przed śmiercią, a przynajmniej nie było żadnych dowodów, że takie sprzeczki i nieporozumienia miały miejsce. Gdyby jeszcze wyświetlić osobę i rolę tajemniczego „Teosia” – pomyślał kapitan – wtedy drugi filar samobójczej wersji zostałby bezapelacyjnie podważony i... I co będzie wtedy? Odslonił twarz: wtedy dopiero będzie stał przed zadaniem rozwikłania całej zagadki na nowo. Spojrzał na żelazną szafę odsłaniającą swoje wnętrze pocięte na klatki żelaznych półek. Może tam się kryje pierwsza nitka, która zaprowadzi go do celu?

Była już godzina czwarta po południu, kiedy kapitan zabrał się do lektury pierwszej teczek dokumentów.

3.

O godzinie siedemnastej na stadionie „Legii” rozpoczął się mecz piłki nożnej między pierwszoligowymi drużynami Gdańska i Warszawy. Dziesięć tysięcy widzów osłaniając głowy gazetami, jedząc pestki i lody

entuzjazmuje się przebiegiem spotkania, raz po raz wybuchając huczną wrzawą entuzjazmu lub zawodu.

Ich krzyki, gwizdy i oklaski przedostają się poprzez mury szarego budynku stojącego nieopodal stadionu. Słysząc je wyraźnie w dużym pokoju zastawionym półkami i segregatorami, gdzie za balustradą dla interesantów stoi Jurek Piskorz.

– No, to jak będzie, jak pragnę urosnąć? Będą wyniki na jutro, czy nie?

Ekspert daktyloskopijny, starszy, łysawy pan o wydatnym brzuszku podnosi na niego łagodne oczy:

– Czego wy chcecie ode mnie? Przywieźliście materiał, zrobimy zdjęcia i umieścimy w kartotece śladów nierozpoznanych, waszemu kapitanowi pokażemy jutro powiększone zdjęcie śladów – jasne?

– No, ale kiedy zindyfikujecie tego pasażera? Mój kapitan na to czeka... – irytuje się Jurek.

Ekspert wznosi oczy ku niebu.

– Najgorzej, jak się szoferzy biorą do kryminalistyki. Skąd wam wytrzasnę identyfikację, jak nie mam materiału porównawczego?

Teraz z kolei Jurek nie rozumie o co chodzi:

– A poszukać w tym majdanie nie można? – wskazuje głową na długie szafy pełne teczek. Ekspert jest bardzo łagodny, ale widać po jego oczach, że za chwilę wybuchnie:

– Człowieku! My tutaj mamy sto tysięcy kart

daktyloskopijnych i wy chcecie, żebym odszukał wśród nich potrzebne waszemu naczelnikowi, jak by to była chusteczka do nosa w bieliźniarce! Idźcie już, bo prawdę nie ręczę za siebie... Jednak nie łatwo jest przstraszyć Jurka Piskorza.

– Panie szefie – mówi pojednawczym głosem – to kiedy pan prawdę mówiący potrafi powiedzieć czyje to są ślady? Bo ja z tymi waszymi korowodami zaraz k o t a dostanę...

Ekspert wzdycha ciężko, ale widząc, że w żaden inny sposób nie pozbędzie się natręta, wyjaśnia słodkim głosem:

– Żeby ustalić tożsamość sprawcy śladu, muszę znać nazwisko podejrzanego o to osobnika, jego personalia, rozumiecie? Wtedy odszukam bez trudu jego kartę daktyloskopijną, oczywiście, jeśli był już u nas notowany i powiem wszystko, co o nim wiemy, jak też określe czy ślady znalezione w miejscu przestępstwa rzeczywiście należą do niego, czy nie. Zrozumiałe?

Jurek kiwa pogardliwie głową, krzywi wargi, wreszcie cedzi:

– Znakiem tego, wy nam powiecie, kim jest ten facet, jak my wam powiemy, kto to jest? O rany, to wielka sztuka! Tylko jak my z kapitanem sami się tego dowiemy, to po jaką cholere mamy się potem z wami kramarzyć? A ja myślałem, że wy możecie być Gwiazdą Popularną naszego dochodzenia...

Ekspert robi się czerwony na twarzy i chwyta ciężką szawkę gestem tak wymownym, że Jurek Piskorz zmyka z pokoju, jak by go wymiotło.

* * *

Przed kinem Astra mimo wczesnej pory zapaliły się już neony. Film „Szampańska dziewczyna” cieszy się wielkim powodzeniem, toteż, choć do rozpoczęcia seansu o osiemnastej brak tylko kwadransa, przed kasą stoi długi, pozawijany w malownicze zakrętasy ogonek. Koniki mają dobre żniwo wpychając po potrójnej cenie bilety bardziej niecierpliwym i... bardziej zamożnym kinomanom.

Spieszący na film muszą przejść obok niedużej kamienicy w secesyjnym stylu, przed wejściem do której stoi milicjant. W piwnicach tego domu, za oknami szczelnie przysłoniętymi stalowymi żaluzjami także pali się światło elektryczne. W jednej z piwnic dwóch dorosłych ludzi oddaje się makabrycznej „zabawie”. Oto ustawiają w różnych położeniach dwa manekiny i po dokonaniu pomiarów przestrzeliwiają im... głowy wybite jakąś masą. Po każdym strzale mierzą głębokość kanału wyżłobionego przez kulę i jego kąt nachylenia.

– Dwadzieścia trzy stopnie – odczytuje jeden mężczyzna dane ze skali aparatu pomiarowego.

– Prawidłowo – mruczy drugi i zaznacza na szkicu

położenie pistoletu, z jakiego musiał być oddany strzał przy określonym „wzroście” manekina „oddającego” strzał i przy danej pięćdziesięciocentymetrowej odległości od skroni „ofiary”.

Trzeba wykonać wiele prób, oddać wiele strzałów, aby mieć pewność, że ostateczny wynik ekspertyzy nie pozostawia żadnych wątpliwości. Czarno oksydowana lufa pistoletu „Vesta” rozgrzewa się tak bardzo, że zaczyna parzyć palce.

– Teraz zadanie numer dwa. „Określić przybliżony wzrost sprawcy, nakładając normalne trzymanie broni przy oddaniu strzału” – mówi niższy z ekspertów. Jeden manekin zostaje wyregulowany na wysokość dokładnie odpowiadającą wzrostowi Wilhelminy Rehmowej, drugiemu manekinowi ustawia się rękę do swobodnej postawy strzeleckiej i obniża go się tak długo, aż lufa pistoletu mierząca w skroń „ofiary” nie utworzy kąta dokładnie takiego, jaki podano w protokole sekcyjnym.

– Uwaga, zaczynamy serię – ostrzega ekspert swego pomocnika, który pospiesznie cofa się za plecy szefa. Widzi teraz „głowę” manekina na tle kulochwyty i wyciera chustką spocone czoło z mimowolnym zagryzieniem warg czekając na suchy trzask strzału. Ekspert mierzy starannie. Jego palec powoli i płynnie zaciska się na języku spustowym „Vesty”...

* * *

Godzina dwudziesta druga...

Od sufitu na długich sznurach wiszą butelki po winie i po wódkach. Butelki mają odcięte dna, toteż tworzą swoiste abażury, przez które na głowy siedzących za wysokim barowym stołem padają plamy zielonkawego światła, okrągłe jak aureole świętych. W tej małej knajpce przy Nowym Świecie je się na ogół niewiele, za to obficie się pije. W powietrzu snują się marmurkowe smugi dymu tytoniowego, pachną korniszony, śledzie w oliwie i smażone pieczarki. Tęga kelnerka sprawnie nalewa kieliszki wódką, szybko zmienia mikroskopijne talerzyki pod zupełnie symboliczne zakąski.

– Płacić, pani starsza! – woła ktoś głosem, w którym brzmi wyraźne zniecierpliwienie.

– Chwileczkę, nie rozerwę się! – odpowiada kelnerka i kończy nalewanie wiśniaku smętnie kiwającemu się na wysokim stołku blondynowi. Blondyn w kracianej kurtce siedzi na wysokim stołku już dwie godziny.

– To czwarty kieliszek – mówi kelnerka, nie wiadomo, czy po to, żeby poinformować samotnego klienta, czy też, żeby sobie samej wbić w pamięć ilość wypitych przez niego kieliszków do przyszłego rachunku. Blondyn kiwa potakująco głową i z rezygnacją pociąga z kieliszka. Ma minę tak żalosalną i strapioną, że łatwo się domyślić, iż przyszedł tutaj utopić jakiś trapiący go

smutek i że nikt, ani nic poza nim samym go nie obchodzi.

– Gdzie jest ten pan, który chciał płacić? – w głosie kelnerki zadrżał niepokój, bowiem dostrzegła, że jedno miejsce przy stole barowym jest puste. Siedział tam jeszcze przed chwilą jegomość w jedwabnym płaszczu, z płaskim zegarkiem na grubej złotej bransolecie, widniejącej spod białego mankietu koszuli. Niepokój kelnerki był uzasadniony: rachunek klienta przekraczał trzysta złotych.

– Był ptaszek i nie ma ptaszka, ep! – zażartował idiotycznie jeden z sąsiadów, usiłujący dotychczas bezskutecznie nosem zgłębić dno swego kieliszka. Blondyn osowiałym spojrzeniem śledził tę scenę ze swego miejsca. W ogóle nikt z zapijanzonego towarzystwa nie okazywał współczucia kelnerce, niektórych jej nieszczęście zdawało się bawić.

– Gdzie jest ten pan, który... – zaczyna ponownie swoje beznadziejne pytanie, kiedy nagle ktoś się zaczyna przepychać do barowego stołu:

– Czego pani histeryzuje? – mówi szorstko głos nawykły do rozkazywania – przecież zostawiłem pieniądze pod talerzem...

„Mętny” blondyn widzi jak nieznajomy podnosi talerz, spod którego kelnerka bełkocąc coś z radosnego zaskoczenia wyjmuje pięciusetzłotowy banknot.

– Ależ to jest pięćset złotych! – mówi zmieszana kelnerka, ocierając oczy grzbietem dłoni.

– No, to co z tego? – pogardliwie odpowiada klient, rusza ramionami i wychodzi z lokalu przeprowadzony nieruchomym wzrokiem kelnerki i pełnymi podziwu spojrzeniami pijących. Samotny blondyn zostawia swój kapelusz na stole, na znak, że miejsce jest zajęte, i powoli wychodzi przed restaurację. W mokrym asfalcie odbijają się rozmazane i drżące warkocze neonu kawiarni „Nowy Świat”. Przed bar zajeżdża kremowy samochód, zatrzymuje się przed człowiekiem w jedwabnym płaszczu, który jeszcze chwilę stoi na krawężniku, jak by się zastanawiał czy ma przejść na drugą stronę ulicy. Światła pozycyjne nowoczesnej maszyny rzucają czerwone kleksy na lśniący wilgocią asfalt, tak że wydaje się, iż z opływowych błotników o drapieżnie wzniesionych końcach kapie krew. Drzwi samochodu otwierają się, ale właśnie wtedy, kiedy mężczyzna w jedwabnym płaszczu ma zamiar wsiąść do auta, wyrasta przed nim niska postać człowieka w tenisowych pantoflach, w marynarce, której nastawiony kołnierz zasłania twarz. Krótkiej wymiany zdań blondyn, niestety, nie słyszy. Z brzmienia słów wnioskuje jednak, że człowiek w tenisówkach o coś prosi, podczas gdy mężczyzna w jedwabnym płaszczu jest bardzo z tej prośby niezadowolony. Wreszcie dzieje się coś, czego nie można było przewidzieć: obdartus w tenisówkach wsiada wraz z posiadaczem złotego zegarka do samochodu i maszyna

bezgłośnie oddala się w stronę Krakowskiego Przedmieścia.

Blondyn zaczerpnął już, jak widać, świeżego powietrza, bo wraca do baru i zasiadłszy na swoim stołku spaloną zapalką zapisuje numer samochodu na papierowej serwetce, którą potem nieznacznie chowa do kieszeni. Warto sprawdzić kogo to stać na kilkusetzłotowe napiwki, a być może okaże się, że warto bliżej zająć się złotodajnym zawodem tego pana. Przez chwilę jeszcze myśli o małym człowieczku w tenisowych pantoflach. To też coś zastanawiającego, ale po chwili macha w duchu ręką: nie może się wszystkim zajmować, ostatecznie jego zadanie polega tylko na obserwowaniu tych, którzy w różnych lokalach wydają dużo pieniędzy bez żadnej zrozumiałej okazji.

– Proszę panią, jeszcze jedną małą wódkę!

* * *

Przed wysokim domem na ulicy Puławskiej dwa samochody zatrzymały się niemal jednocześnie. Kapitan Zawieja, który przyjechał drugim wozem, zastanowił się przez chwilę, kto mógł przyjechać do jego kamienicy taksówką o tak późnej porze, po jedenastej wieczorem.

– Dobranoc, panie naczelniku – pożegnał go Jurek Piskorz.

– Trzymaj się! Do jutra! – odpowiedział machinalnie kapitan i ze zdziwieniem poznał w wysiadających z taksówki swoją żonę i profesora Werhara.

– A oto i nasz syn marnotrawny – przywitał go wesoło profesor, który w towarzystwie młodej kobiety wyprostował się i odmłodził.

– Wybacz, Marychna, ale miałem bardzo pilną pracę, której nie mogłem odłożyć na jutro – szepnęła Zawiejowa całując żonę w policzek.

– Czy ja ci robię wyrzuty, Romeczku? – spytała cicho. Kapitan poczuł jednak wyrzuty sumienia.

– No to ja już będę się żegnał – zakrzętał się Werhar. – Zadanie bojowe wykonałem, z żoną w kinie byłem, bezpiecznie do domu odstawiłem, wracam na Solec tą samą taksówką...

– A może wstąpisz do nas na chwilę? – zaproponował uprzejmie kapitan.

– O tej porze? Bój się Boga, kapitanie, ty zupełnie już straciłeś rachubę czasu! Przecież jest już po jedenastej!

Nieoczekiwanie pani Zawiejowa poparła męża: – Naprawdę, panie profesorze, bez ceregieli, bardzo prosimy. Zrobię kawy, pogadamy z godzinkę. Potem Romek odprowadzi pana do postoju taksówek...

Profesor wzdragał się jeszcze kilka chwil, wreszcie zapłacił taksówkarzowi i udał się z małżeństwem do ich mieszkania. Maria Zawiejowa cieszyła się, że profesor

dał się namówić, przynajmniej Romek nie wsadzi zaraz nosa w książkę, aby po obowiązkowej lekturze zasnąć snem kamiennym. Takich forteli trzeba się chwycić, jak się ma męża „policjanta” – mimo woli użyła w myślach żartobliwego miana, jakim Zawieja sam siebie nazywał.

– Film był dobry? – spytał kapitan.

– Owszem, nawet coś z twojej branży – powiedziała pani Maria mieląc kawę.

– Jakiś kryminalny? – skrzywił się Zawieja.

– Tak, historia wykrycia sprawcy skomplikowanego zabójstwa – wyjaśnił Werhar, rozczesując palcami swoją siwą bródkę. – Trzeba przyznać, że film jest zrobiony z nerwem. Jak to potrafią Francuzi. Ale dlaczego się krzywisz? Ciebie przede wszystkim powinny interesować takie filmy.

– Roman nie znosi książek ani filmów sensacyjnych – dorzuciła ze swego miejsca pani Zawiejowa – mówi, że ma dość kryminałów w życiu.

– Ciekawe – zdziwił się profesor – ja choć siedzę po uszy w psychologii, bardzo lubię filmy i utwory psychologiczne. Sztuka ma to do siebie, że nieraz intuicja i talent autora pokazuje pewne prawidłowości psychologiczne plastyczniej i wyraźniej niż najbardziej uczony traktat naukowy. Czyżby było inaczej z utworami sensacyjnymi?

Kapitan pokręcił przecząco głową: – Marychna upraszcza przyczyny, dla których nie lubię oglądać ani

czytać utworów sensacyjnych. To nie tyle przesyt problematyką kryminalną, ile raczej niedosyt, z jakim wychodzę z takiego spektaklu.

– Nawet jeśli film jest piękny, jako dzieło sztuki?

– Cóż z tego, kiedy z reguły jest nieprawdziwy jako obraz naszej pracy.

– Piękno ma tę przewagę nad prawdą, że nie potrzebuje komentacza.

Zawieja ruszył ramionami: – Nie znam się na tym. Ja zajmuję się prawdą i muszę ją nie tylko, jak powiadasz – „skomentować”, ale i udowodnić.

Werhar podniósł oczy na kapitana.

– A propos, jak tam twoja „Vesta”?

Kapitan nie od razu odpowiedział, gdyż pani Zawiejowa zaczęła podawać kawę. Kiedy już przed każdym stanęła szklanka i spodeczek na kruche ciastka, podjęli rozmowę, w której żona nie brała udziału, słuchając jedynie głosu męża i obserwując go nieznacznie, jak drogiego, ale rzadkiego gościa w domu.

– Pytałeś o „Vestę”? Ha, cóż. Przesiedziałem czternaście godzin w mieszkaniu tego rzekomego samobójcy. Przeczytałem setki listów, przekartkowałem wszystkie książki, notesy, kalendarze i bruliony. Gdyby to się działo na filmie, na pewno dokonałbym tam jakiegoś niezwyklego odkrycia, które by „rzuciło światło”, „naprowadziło na właściwy trop” i tak dalej, jak to się zwykle pisze przy takiej okazji.

W ostatnim zdaniu pod warstwą ironii dało się wy-
czuć zmęczenie i gorycz.

– I co, siedziałeś na próżno? – westchnęła pani Ma-
ria, której przypomniało się rozczarowanie, jakie prze-
żyła, gdy profesor powiadomił ją telefonicznie, że mąż
nie pójdzie z nią do kina.

– Na próżno? Tego nie można powiedzieć. Znalaz-
łem kilka nowych ścieżek, kilka nowych faktów do
sprawy, o których już wiedziałem uprzednio.

– Na przykład ta scena z „Makbeta” – podsunął
Werhar.

– Tak, ta scena jest ważna. Choćby tylko po to, że-
by przekonać się, iż rzekoma sprzeczka małżeńska była
utrwaloną na taśmie sceną ze sztuki teatralnej, warto
było poświęcić cały dzień. Ale wciąż jeszcze nie wiem
nic pewnego o Teofilu, a dopóki tego nie wiem, wiele
rzeczy wisi na włosku. No, już może nie na włosku, ale
na nitce – poprawił się z uśmiechem.

– A może ten „Teoś” po prostu nie istniał? – pod-
sunął profesor. Kapitan podniósł brwi:

– I tę ewentualność już brałem pod uwagę, ale to
nie zmienia istoty faktu, muszę u d o w o d n i ć zarów-
no to, że istniał, jak i to, że nie istniał. A na razie nie
wiem, z której strony ugryźć ten problem. Bohater wa-
szego filmu na pewno nie miał takich wątpliwości? –
zaśmiał się ironicznie.

– Pasjonująca praca – poruszył się niespokojnie Werhar i zdjąwszy nadstawkę zaczął pić kawę drobnymi łykami. – To nie praca, a po prostu rozwiązywanie szarad.

– Raczej nie szarad – sprostował spokojnie Zawieja – ale równań o dziesiątkach niewiadomych. Choćby dzisiaj – w wyniku tej długiej wizyty w mieszkaniu Rehmów, która o mały włos nie popsuła wieczoru mojej żonie, wyłoniły się nowe niewiadome w moim równaniu: w jaki sposób Rehm zarabiając trzy tysiące miesięcznie uskładał na PKO trzysta czterdzieści dwa tysiące złotych? Gdzie się podział pistolet służbowy Rehma, którego nigdzie w mieszkaniu nie można znaleźć? Dlaczego w mieszkaniu przechowywał stemple urzędowe swojej instytucji, i czy to były pieczęcie oryginalne, czy też podrobione wtórniki? Niestety, to tylko niektóre pytania, jakie zrodziły się dzisiejszego dnia, a ile jeszcze powstaną ich jutro?

– Dobre, poprawne sformułowanie problemu, postawienie właściwego pytania, we właściwej formie, to już duży krok na drodze wiedzy. Byli nawet tacy filozofowie, którzy mniemali, że jedynym zadaniem filozofii jest stawianie pytań, a nie szukanie na nie odpowiedzi.

Zawieja machnął ręką: – Niestety, nie jestem filozofem, tylko „policjantem” i nie mogę pójść za radą tych

uczonych mężów. Na wszystkie te pytania muszę mieć dokładną odpowiedź, jeśli tajemnica śmierci Rehmów ma zostać wyjaśniona, a jej sprawca ma znaleźć się pod kluczem. – Zaśmiali się obaj, ale śmiech profesora zagłuszył głos Zawiei.

– Pan się śmieje, jak młody chłopiec, panie profesorze – powiedziała z sympatią Zawiejowa.

– A bo, proszę pani, młodość nie jest okresem życia, tylko stanem ducha – szarmancko skłonił swą bujną czuprynę Werhar i zwrócił się do kapitana. – No, to będziesz miał pełne ręce roboty, aby znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania.

– Tyle pracy na jednego człowieka – pokręciła z zafasowaniem głową pani Zawiejowa.

– Nie, no wy jesteście naprawdę niepoprawni! – zaśmiał się kapitan, prostując grzbiet, który go bolał od wielogodzinnego ślęczenia nad papierami Rehma. – Wy wciąż jeszcze myślicie, że ja sam będę rozwiązywał tę całą abrakadabrę?! Nie jestem bohaterem z waszego filmu, tylko policjantem z krwi i kości, do licha. A prawdziwy policjant nigdy nie działa sam, ale z całym aparatem, rozumiecie, laicy?

Pani Zawiejowa pomyślała w duchu, że dla niej nic się nie zmieni, gdy dokona tej poprawki w swych poglądach. Ostatecznie ślub brała z Romanem, a nie z tym mitycznym „aparatem MO”, o którym mąż mówi z takim zapalem i dumą. I znów przez chwilę poczuła niechęć

do tego aparatu, który codziennie porywał w swe tryby jej Romana i posiadał go pełniej i całkowicie niż ona, jego prawna, ślubna małżonka. Ale nie powiedziała ani słowa. Doświadczenie nauczyło ją, że o tych sprawach z Romanem lepiej nie rozmawiać.

Profesor Werhar zaczął mieszać łyżeczką resztką kawy wystygłej na dnie szklanki. Zegar wybił północ.

ROZDZIAŁ III

1.

Następnego dnia Zawieja fatalnie zaspał. Budzik oczywiście dzwonił, jak zwykle, ale zmęczony i niewyspany kapitan po uciszeniu dzwonka zasnął ponownie i dopiero dobijający się do drzwi Jurek Piskorz postawił go na nogi. Jurek był w fatalnym nastroju. Przez całą drogę milczał, wyładowując nurtujący go gniew na pedale gazu, który wciskał niemal w podłogę kabiny, tak że granatowa Warszawa śmigła ulicami Warszawy jak międzyplanetarna rakieta. Zajęty swymi myślami kapitan zauważył karkołomność tej jazdy dopiero wtedy, kiedy na rogu Wspólnej i Marszałkowskiej o mały włos nie zderzyli się z cysterną polewającą asfalt wodą.

– Co cię ugryzło? – spytał dostrzegłszy zaszępioną twarz, zwykle tak radosnego i optymistycznego szofera.

– Jedziesz, jak by ci było śpieszno na Powązki!

– Jak ma być tak jak jest, to już lepsze Powązki!

– Co się stało? Jakieś nieszczęście? – zaniepokoił się Zawieja zaglądając Jurkowi w oczy złe i zacięte.

– Samochód nam zabierają, ot co się stało! – wyrzucił z siebie to, co mu od godziny leżało na wątrobie.

– Tę Warszawę, rozumie pan naczelnik, wychuchałem jak własne dziecko. Bo panu naczelnikowi Komisiakowi tak się podoba! Ja myślę, taki wóz, to się każdemu spodoba! Przecież to nie samochód a ciastko z kremem, prawdziwe delikatesy. Ale kto go takim zrobił, ja się pytam, kto, jak nie ja tymi paluchami?

Rozczapierzył obie ręce puszczając lekkomyślnie kierownicę, aż kapitan odruchowo chwycił za ster.

– Dlaczego nie pójdziesz do porucznika Komisiaka i nie poprosisz, aby zostawił ci twoją ukochaną maszynę?

– Tak, ja mogę pójść, ale do ciotki Pakulskiej na Chmielną, a nie do naczelnika Komisiaka. Już mi jakąś arkę Noego, po dziesięciu remanentach wyznaczył, na której będziemy z panem naczelnikiem wyglądać jak „fonkjonariusze” Centrali Skupu Żłomu i Makulatury.

– A co ma Komisiak do samochodów? – zdziwił

się po chwili Zawieja – przecież on kieruje Sekcją Operacyjną, a nie transportem?

– Ja tam nie wiem, czym on kieruje, wiem tylko jedno, że choćby mnie pod eskortą prowadzili, to innym wozem jeździć nie będę.

Zanim Zawieja udał się do swojego pokoju, wstąpił najpierw do Sekcji Operacyjnej. Porucznik Kazimierz Komisiak, chudy mężczyzna w okularach, o twarzy wyraźnie napiętnowanej cierpieniami żołądka lub wątroby, przywitał go kwaśno. Przy sąsiednim biurku pracował młody, nieznany Zawiei podoficer.

– Słuchaj no – zaczął bez żadnych wstępów Zawieja – podobno chcesz mi zabrać samochód?

– O Boże – jęknął Komisiak – i ty też w sprawie tego samochodu?!

– Jak to, ja też? Chyba ja przede wszystkim – przecież to mój samochód?

– Jeśli ja tego piegowatego obwiesia nie poszatkuję na kapustę, to może uważać się za wybrańca losu! – wybuchnął porucznik Komisiak. – Ledwo przyszedłem, już dzwonił oficer dyżurny – pytając, co ja wyrabiam, po co krzywdzę chłopaka, który z własnej ochoty zjechał po niego do domu, który dba o swój sprzęt, jak o siebie samego. Ledwo skończyłem z nim rozmowę, a już po paru minutach dzwoni komendant garażu, że taki stosunek do kierowcy demobilizuje innych kierowców i

zniechęca do solidnej troski o przydzielone samochody. Ale szlag mnie trafił dopiero wtedy, kiedy zadzwonił sam komendant miasta zapytując telefonicznie, czy rzeczywiście muszę temu uczynnemu kierowcy, który pomógł jego szoferowi usunąć defekt motoru, robić taką przykrość? – A co ja chciałem zrobić? Chciałem tobie i temu hochsztaplerowi przydzielić nową Warszawę, z przydziału, bo my musimy mieć wóz już dotarty. A niech go, wszyscy diabli! Tobie dobrze się śmiać, a ja od godziny nie zajmuję się niczym innym jak tylko odpowiadam na interwencje inspirowane przez tego piegowatego opryszka, jak by to był centralny problem całej warszawskiej milicji...

Zawieja wciąż śmiejąc się klepnął kolegę po ramieniu:

– Widzisz, nigdy nie trzeba uszczęśliwiać ludzi wbrew ich woli.

– A niech go licho weźmie, niech już jeździ na tym starym gracie!

Zawieja chciał już wyjść, kiedy coś sobie przypomniał i powrócił do biurka szefa Sekcji Operacyjnej.

– Słuchaj, Kazek, ty na pewno znasz wszystkich wybitniejszych bandziorów w naszej stolicy. Powiedz mi, czy ten rysopis nikogo ci nie przypomina?

Odczytał z notesu rysopis nieznanego malarza podany mu przez Weronikę Kawkę. Porucznik Komisiak

śluchał rysopisu ze zgorzkniałą miną i przymkniętymi oczami.

– A co on zrobił?

– Wyłudził pieniądze od pewnej kobiety, obiecując jej malować mieszkanie.

Komisiak pogardliwie wyduł wargi:

– Phi, takich „bandziorów” w Warszawie mamy kilka tysięcy, a kto by ich tam znał wszystkich.

– Poza tym jest podejrzany o udział w morderstwie – dorzucił lekko zacinając się Zawieja.

– O, to co innego. Takich mamy już mniej, jeśli tylko to nie jest jakiś f r e s z e r, taki przedszkolak przestępczy. Więc jak mówiłeś: niski, czerniawy na twarzy, lat trzydzieści, trzydzieści pięć? Dobra, spróbuję przygotować ci listę starych recydywistów, których portrety pasują do tego rysopisu – mruknął Komisiak, wyjął z szuflady mały flakonik, z którego wytrząsnął na dłoń białą pastylkę. Połknął, popijając wodą. A miał minę przy tym, jak by połykał stonogę.

– Tak mnie dzisiaj zgaga męczy – powiedział usprawiedliwiając się do Zawiei – chyba jednak bez operacji się nie obejdzie.

– Towarzyszu poruczniku – wtrącił nieśmiało młody podoficer, który dotąd nie zabierał głosu w rozmowie – może ja zająłbym się tą listą dla towarzysza kapitana?

Przez twarz Komisiaka przemknęła chmura: – Milicja, to nie uniwersytet, sierżancie Niedzielski, tutaj robi się wszystko na rozkaz, a nie według widzimisię.

Twarz Niedzielskiego poczerwieniała i Zawieja pochwycił jego spojrzenie pełne buntu i hamowanego rozdrażnienia. Przeniósł wzrok na Komisiaka, nie rozumiejąc tego, co się tutaj właściwie rozgrywa, a porucznik pogrzebawszy na biurku wydobył jakąś kartkę:

– Macie tutaj numer samochodu H-24-200. Ustalcie jego właściciela i miejsce zagarażowania. To zadanie akurat na miarę waszej wiedzy i milicyjnego doświadczenia.

Znowu w głosie porucznika zabrzmiał ton zgryźliwy i lekceważący. Kapitan zaobserwował jak Niedzielski bez słowa wziął kartkę, wykonał przepisowy ukłon, na który Komisiak wcale nie odpowiedział, i wyszedł z pokoju.

– Jakiś nowy?

– Tak, po Studium Kryminalistyki w Łodzi – odpowiedział niechętnie szef Sekcji Operacyjnej – miesiąc po szkole, a już mu się zdaje, że wszystkie rozumy pozjadał.

– Na pierwszy rzut oka robi bardzo dobre wrażenie – zauważył Zawieja, któremu spodobał się inteligentny wyraz twarzy młodego podoficera.

– Co chcesz? Chłopak po wyższych studiach, magister prawa. Ot, jaki narybek przychodzi do nas teraz. To ci, którzy za kilka lat będą nas wypierać na emeryturę, choć człowiek trzynaście lat przesiedział w tej kochanej milicji, trzynaście, najcięższych lat. Zdrowie tutaj straciłem – skrzywił się pod wpływem nowego ataku zgagi. – A teraz, bracie, hodujesz własnego grabarza. Czy to moja wina, że jak inni matury robili, to ja z pepeszą za bandami się uganiałem? – wybuchnął nie wiadomo o co i przeciwko komu.

Zawiei zrobiło się nieprzyjemnie, toteż żeby odwrócić uwagę Komisiaka od osoby sierżanta magistra, spytał, jakiego to samochodu poszukują i dlaczego.

– A to z akcji przeprowadzanej w nocnych lokalach. Dzisiaj w nocy kapral Rembik zaobserwował w barze „Pod Kuchnikiem” jednego faceta, który dał dwieście złotych napiwku. Co ciekawsze facet ten odjechał własnym samochodem w towarzystwie „Czarnej Rączki”, dobrze nam znanego bandziora i drapichrusta. Warto dmuchnąć temu „dudkowi” pod ogon, żeby zobaczyć co z niego za ptaszek...

Ale tego wyjaśnienia kapitan Zawieja wysłuchał już tylko przez grzeczność, gdyż myśli jego wróciły do „Vesty” i do spraw czekających na niego we własnym pokoju służbowym.

2.

Na najmocniejszego człowieka przychodzą takie chwile, że cały świat robi mu się obmierzły, a wszystko, nad czym dotąd pracował, wydaje się pozbawione sensu. Kapitan Zawieja nie był wyjątkiem, toteż od czasu do czasu ulegał takiemu zniechęceniu, pod wpływem którego ręce mu opadały i czuł się wtedy jak skorupa wydmuchanego jajka. Tym razem bezpośrednim bodźcem powstania takiego nastroju był bukiet tulipanów, jaki jego sekretarka postawiła mu w komendzie na biurku. Kwiaty, jak przezroczyście kielichy z barwnego wosku, raziły na tym biurku, które zazwyczaj rozkwitało jedynie czerwonymi i niebieskimi pieczęciami na urzędowych aktach. I natychmiast wtrąciły kapitana w stan melancholijny.

Jak dobrze byłoby z Marią i chłopakami wyskoczyć za miasto, napić oczy przywykłe do szarzyzny murów zielenią i błękitem – pomyślał smętnie, obracając w rękę kopertę ze stemplem Zakładu Kryminalistyki. Ktoś zapukał. Westchnął. Trzeba było odłożyć marzenia i pozwolić wejść do pokoju rzeczywistości. „Rzeczywistość” w tym wypadku reprezentowana była przez młodego sierżanta, którego przedwczoraj zobaczył u Komisiaka.

– Sierżant podchorąży Niedzielski melduje się z polecenia porucznika Komisiaka – trzasnął obcasami, aż kapitan mimo woli uśmiechnął się, gdyż starzy milicjanci

rzadko przestrzegali takiej wojskowej dyscypliny. – Widać, że f r e s ze r, jeszcze nie zdemoralizowany przez starych „wyżerusów” – pomyślał i uprzejmie poprosił Niedzielskiego, aby usiadł.

– Mamy ze sobą pracować, kolego – powiedział z przyjemnością obserwując inteligentną twarz młodego podoficera. – Porucznik Komisiak przydzielił mi was do pomocy operacyjnej w sprawie, którą obecnie się zajmuję. Cieszyście się?

– Bardzo! – wybuchnął radośnie Niedzielski. – To będzie moja pierwsza sprawa! Nie, no oczywiście, to jest sprawa towarzysza kapitana, ale moje pierwsze samodzielne zadania. A ja już się bałem, że porucznik Komisiak nigdy mnie nie wypuści ze swojej kancelarii, do „prawdziwej roboty”...

Zawieja chrząknął, ale oczywiście nie powiedział nowicjuszowi, że dopiero po długich naleganiach Komisiak zgodził się na przydzielenie mu młodego sierżanta. No cóż, ludzie są tylko ludźmi i w milicji także.

– Od czego zaczniemy? – niecierpliwie zapytał Niedzielski, który jak widać chciałby już zaraz, natychmiast zacząć „działać”.

– Przede wszystkim zapoznajcie się ze sprawą, a potem pomówimy o pierwszych zadaniach dla was.

Podczas gdy Niedzielski studiował teczkę z aktami sprawy „Vesta”, kapitan zajął się przeglądaniem poczty. Fatalny nastrój zelżał, może oddziaływała nań radość i

zapał promieniujące od początkującego kryminalistyka, który przeżywał swe pierwsze dochodzenie?

Zakład Kryminalistyki donosił, że wykonana ekspertyza potwierdziła przypuszczenia kapitana o niezwyklej pozycji, w jakiej musiałby oddawać strzały człowiek wzrostu Rehma. Jednocześnie eksperci określili przybliżony wzrost hipotetycznego zabójcy na 160–169 cm, który mógł oddać strzały pod danym kątem trzymając pistolet normalnie. Od razu pomyślał o malarzu. W drugiej kopercie znalazł wyciągi z Centralnej Rejestracji Ludności, dotyczące interesujących go osób z otoczenia Rehma. Przestudiował ich personalia, zawody, adresy i poczynił z niektórych notatki w swym służbowym notatniku. Telefonogramem z Łodzi nadesłano potrzebne wiadomości o siostrze pani Rehmowej. Maszyna milicyjna jak automat, do którego wrzucono monetę, pracowała przez kilka dni i oto teraz wyrzucała meldunki i szczegółowe informacje, bez których dochodzenie nie mogłoby posuwać się naprzód.

– A to co za paka, cała pokryta pieczęciami „Tajne”? Aha, to Kartoteka Spraw Niewykrytych nadesłała akta wszystkich zabójstw popełnionych przy pomocy pistoletu „Vesta”. No, ale te materiały trzeba będzie odłożyć na popołudnie. Za dużo czytania.

Przez drzwi zajrzała sekretarka:

– Panie kapitanie – chorąży Barski do pana...

– Niech wejdzie – odparł szybko kapitan i odsunął stos korespondencji na skraj biurka. Sierżant-magister oderwał się na chwilę od akt i popatrzył z ciekawością na wchodzącego. Bądźmy szczerzy – interesowała go nie tyle osoba chorążego, ile jego... gwiazdka, której zresztą jako funkcjonariusz niemundurowy wcale nie nosił. Niedzielski krytycznie obejrzał chorążego, szybko zaklasyfikował go jako „obrzępałę do kwadratu”: „i taki ma już gwiazdkę, a ja”...

Oczywiście, magister Niedzielski nie miał żadnych podstaw do wydawania tak ostrego sądu o chorążym. A że Barski w niczym nie przypominał Gerarda Philippe'a? O to trudno mieć do niego pretensję. Był rudy jak marchewka, o nieco małpiej postawie, z twarzą nijaką, ale te braki w wyglądzie nadrabiał dobrym „nosem” śledczym. I dlatego, gdy Zawieja dobierał sobie tajnego wywiadowcę do sprawy „Vesty”, jego wybór padł na Barskiego.

– No i co tam w hotelu? – spytał Zawieja bez żadnych wstępów. Barski usiadł ciężko na krześle i zaczął się wachlować płóciennym kapeluszem.

– No, więc ustaliłem, że Rehm tam nigdy nie bywał. W każdym razie kelnerzy go nie pamiętają. Pokazywałem fotografie, niektórzy go widzieli już po śmierci, kiedy znaleziono zwłoki, ale twierdzą wszyscy, że na pewno nie należał do bywalców hotelu ani restauracji Excelsior.

– A w książce gości hotelowych? – spytał Zawieja uważnie słuchając relacji podwładnego.

– Sprawdziłem cały rok wstecz. Nie meldowany.

– Czy wynotowałeś wszystkich gości, jacy mieszkali w hotelu w dniach poprzedzających zabójstwo i w dniu zabójstwa?

– Tak jest. Tu jest lista.

Zawieja wziął do ręki kilka arkuszy podaniowych zapisanych personaliami kilkudziesięciu osób, przejrzał je tylko pobieżnie, gdyż wymagały głębszej analizy.

– Dlaczego popodkreślałeś niektóre nazwiska czerwonym ołówkiem? – spytał przebiegając wzrokiem długie kolumny nazwisk i adresów.

– To ci goście, którzy w dniu zabójstwa, albo od razu następnego dnia opuścili hotel. Tam, gdzie się dało, ustaliłem także dokąd wyjechali. To są te nazwy miast w nawiasach.

Kapitan tylko chrząknął, ale Niedzielskiemu, który ukradkiem przysłuchiwał się rozmowie, wydało się, że w tym chrząknięciu zabrzmiało coś w rodzaju pochwały czy uznania. Tak je musiał zrozumieć j chorąży Barski, gdyż wyprostował się nieco, a Niedzielski pomyślał w duchu, że może jednak ten chorąży nie jest takim „obrzępałą do kwadratu”, jak myślał początkowo, choć prawdopodobnie nie ma magisterskiego tytułu.

– No, a co z personelem? – spytał z kolei kapitan odkładając listę gości hotelu Excelsior. Barski odkaszlnął i przecesał swą płomienną czuprynę piegowatymi palcami.

– Sprawdziłem, towarzyszu kapitanie. Personel na ogół stały, niektórzy pracują po dziesięć lat, inni mniej, tylko kilku zaczęło pracę przed paru miesiącami. Był tylko jeden pracownik przyjęty do Excelsioru na dwa tygodnie przed zabójstwem.

Zawieja, który dotąd bawił się od niechcenia ołówkiem, znieruchomiał i podniósł wzrok na rudowłosego wywiadowcę.

– Był?

– Ano, był, bo go już nie ma.

– Zwolnił się?

– Nie. Po prostu następnego dnia po zabójstwie, to znaczy w sobotę, nie przyszedł do pracy i odtąd już go w Excelsiorze nie widziano. Był palaczem w kotłowni, hotel potrzebuje ciągle gorącej wody, więc palą nawet latem – dodał tonem wyjaśnienia. – Nędznie płacą, więc wciąż mają kłopoty z palaczami. Szef kadr hotelu nie zdziwił się, że facet rzucił pracę po dwóch tygodniach, ale po raz pierwszy mu się zdarzyło, żeby ktoś nawet nie przyszedł po pieniądze zarobione przez dwa tygodnie.

Niedzielski cały zamienił się w słuch, już od kilku minut udawał tylko, że czyta akta „Vesty”. Zawieja

zapalił „Giewonta”, po czym przepaszającym gestem podsunął paczkę Barskiemu.

– Ciekawe – mruknął podając ogień chorążemu. Barski wypuścił kłęb dymu: – Tak ciekawe, że od razu z hotelu, zebrawszy jak najwięcej danych o tym palaczu, pojechałem sprawdzić, co porabia w domu. Nazywał się Walenty Kozik i mieszkał na ulicy Nowosolnej 8 m. 26. To znaczy tak „stało” w aktach personalnych hotelu Excelsior.

Niedzielski nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ci dwaj rozumieją się w pół słowa, że myśli ich biegną w tej chwili jakimś wspólnym torem, z którego on dostrzega tylko fragmenty ubrane w formę słów.

– Barski – powiedział kapitan pochylając się ku chorążemu przez biurko – jeśli mi teraz powiesz, że pojechałeś tam na próżno – możesz u mnie liczyć na jednego głębszego pod befsztyk tatarski...

– Tylko kiedy i gdzie urządzimy ten ochłaj, towarzyszu kapitanie? – udał poważne zatroskanie czerwonołoso. – I żeby befsztyk był z sardynką, bo innego nie lubię...

Zawieja zatarł ręce: – Niech cię kule biją, bracie, ty masz nosa do tego interesu jak ogar!

Barski skromnie pokręcił głową, Zawieja tymczasem myślał głośno, w błyskawicznych skrótach oceniając konsekwencje odkrycia chorążego Barskiego: – Ten pseudo-Kozik był palaczem, a zabójstwa dokonano w

piwnicy, tuż obok kotłowni. Mógł wchodzić i wychodzić nie zwracając niczyjej uwagi. Tak, to by pasowało... Mógł pozamykać wszystkie drzwi prowadzące na zewnątrz.

– Nie tylko to – wtrącił chorąży Barski – w kotłowni jest dmuchawa do kotła, i wyciąg elektryczny wyziewów z kuchni restauracyjnej. Jak puszczą oba urządzenia, to o krok nie słysząc, co człowiek krzyczy do człowieka. Sprawdzałem.

– No, tak, a wieczorem do tego rżnie orkiestra jazzowa w sali dancingowej – uzupełnił Zawieja. – Te „klocki” zaczynają się już w coś układać. Rysopis tego „Kozika”? – ochłonął pierwszy kapitan.

– Wiek 35–40 lat, niski, drobny, brunet, twarz pociągła, cera smągła, oczy piwne, ubrany był w zielone ubranie w jodełkę, na nogach zniszczone tenisówki. Ze znaków szczególnych...

– ...zniszczone ręce, o fiołkowo czarnym odcieniu skóry – wpadł mu w pół zdania kapitan Zawieja.

Chorąży Barski spojrział na kapitana lekko zdetonowany:

– To towarzysz kapitan już wie o kogo chodzi?

Ale kapitan nie odpowiedział, podszedł do Niedzielskiego i uderzając go poufale po ramieniu rozkazał: – No, panie magistrze, dość lektury! Niech pan skoczy do naczelnika Komisiaka i wydobędzie od niego listę podejrzanych.

3.

Cudów nie ma – zwykły mawiać kapitan Zawieja – a jeśli się zdarzają, to zawsze ktoś na nie musi bardzo ciężko pracować. Maksyma ta sprawdziła się i tym razem. Cały następny dzień upłynął na ustalaniu tożsamości nieznanego palacza z hotelu Excelsior. Dane zdobyte przez chorążego Barskiego zestawiono z listą przestępców o podobnym rysopisie przygotowaną przez naczelnika Komisiaka, wreszcie zweryfikowano danymi z zeznań Weroniki Kawki i wynikami oględzin mieszkania Rehma. Napisane – to wszystko wygląda bardzo prosto. W praktyce oznaczało to wiele godzin pracy wielu ludzi zarówno w wydziale operacyjnym, gdzie listę zestawiano według własnych rejestrów starej recydywy, potem w Kartotece Osób Karanych, gdzie wyszukiwano karty „dossiers” wszystkich umieszczonych na liście, wreszcie w Biurze Ekspertyz, gdzie porównywano odciski palców zdjęte przez kapitana z puszki na farbę, z odciskami palców wszystkich przestępców, którzy zostali wynotowani przez Komisiaka.

Kapitan zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli mu nie dopisze przysłowiowy łut szczęścia, wszystkie te zabiegi okażą się daremne. Wystarczy jeśli Komisiak pominął w swoim rejestrze tego właśnie przestępcę, który występował pod nazwiskiem Walentego Kozika, albo

też jeśli zbrodni dokonał jakiś „amator” jeszcze nie notowany w kartotekach milicyjnych. Dlatego czekając na wyniki ekspertyz opracowywał plan działań operacyjnych, które trzeba będzie podjąć, jeśli próba z odciskami palców zawiedzie. Byłyby to bardzo marudne i pracochłonne poszukiwania przestępcy w milionowym mieście, toteż kapitan układał ten plan z ciężkim sercem.

Kiedy wreszcie późnym wieczorem nadeszła opieczętowana koperta z Biura Ekspertyz, Zawieja wziął ją do ręki z emocją, jaką przeżywają tylko gracze na loterii. Niedzielski widział jak kapitan rozerwał szarą kopertę, wyjął z niej drugą również zalakowaną. Wreszcie wydobyl ćwiartkę papieru z orzeczeniem eksperta. Krótki błysk, jaki zapalił się w oczach kapitana po przeczytaniu kartki, wymowniej od słów poinformował sierżanta-magistra o sukcesie.

– No, kolego, macie swoje pierwsze zadanie – powiedział Zawieja wręczając Niedzielskiemu kartkę.

* * *

Już trzy godziny sierżant magister Niedzielski jeździł samochodem odwiedzając meliny i mieszkania, które jak wynikało z karty daktyloskopijnej, były najczęstszym miejscem pobytu poszukiwanego osobnika. Legitymacja Wydziału Kryminalnego otwierała mu

wszystkie drzwi melin i spelunek, lecz nigdzie nie trafił na ślad poszukiwanej osoby. Właściciele melin traktowali wizyty cywilnie ubranego przedstawiciela milicji jako zwykłą okresową kontrolę, którą uważali za niewygodą w naturalny sposób związaną z ich mętnym interesem. Za to młody adept kryminalistyki nie raz i nie dwa czerwienił się jak sztubak, gdy wypadało mu zlustrować pokój, w którym zastawał w łóżku jaskrawo wymalowaną „damę” z zarośniętym mężczyzną o szczękach neandertalczyka. Co prawda ani „dama”, ani jej klient nie wydawali się zmieszani niespodziewaną wizytą, natomiast dwudziestoletni absolwent prawa czuł się arcygłupio w tej sytuacji.

– Pan inspektor widzi, że u mnie wszystko w najlepszym porządeczku – mówił właściciel spelunki, któremu za samą twarz można było dać na ślepo pięć lat kryminału – lokal porządnny, publiczność spokojna. Słowem mucha nie siada...

– A w tych litrówkach, co jest? Chyba soki owocowe? – spytał czyniąc aluzję do wywieszki przed meliną: „Sprzedaż Warzyw i Owoców”. Rzeczywiście kilka zwiędniętych pęczków pietruszki, poczerńnięte główki kapusty i rząd butelek z przecierem pomidorowym symbolizowały ten niewinny charakter zakładu na oknie wystawowym, „SzeF” z zakłopotaniem pogładził się po szczęcie:

– Ach, to o te butelki pan inspektor pyta? To wódka.

Jestem trocha trankowy i lubią sobie czasami podchro-
molić w dobrej kompanii. Może pan inspektor pozwoli
kieliszeczek? Na taki upał nie ma nic lepszego jak wód-
ka z lodu!

Już wycierał lepki kieliszek szarym fartuchem, ale
Niedzielski kiwnął tylko głową na pożegnanie i wyszedł
ze spelunki z ulgą wciągając do płuc powietrze ulicy.

– No i co? – spytał cywilnie ubrany szofer oczeku-
jący na niego w samochodzie.

– No i nic. Jedziemy dalej – podał adres następnej
meliny, a w sercu jak mały robaczek zachrobotała oba-
wa, że nie potrafi odszukać opryszka i „pierwsze samo-
dzielne zadanie”, powierzone mu przez kapitana Zawie-
ją, skończy się klęską.

– Jedźmy szybciej! – rzucił kierowcy, choć strzałka
szybkościomierza dawno przekroczyła dozwoloną w
mieście granicą szybkości.

Dopiero w małym i brudnym barze na Pradze zoba-
czył człowieka, którego twarz była identyczna ze zdję-
ciem na karcie daktyloskopijnej. Siedział przy stoliku w
towarzystwie niebrzydkiej dziewczyny o przedwcześnie
postarzałej twarzy. Niedzielski dostrzegłszy go wycofał
się nieznacznie z knajpy i wezwał szofera. Teraz obaj
weszli do baru, poprosili o dwa piwa i z kufkami w rękę
podeszli do stolika nieznanego.

– Można się przysiąc? – spytał Niedzielski ochrypniętym z przejęcia głosem.

– Siadaj pan – mruknął mężczyzna obrzuciwszy ich krótkim spojrzeniem.

– Wszystkie stoliki pozajmowane, a nogi bolą od chodzenia – tłumaczył się szofer.

– Po co ta mowa do chińskiego narodu – ruszył ramionami towarzysz blondynki – jest wolne miejsce, to pan siadasz i kropka!

Pili swoje piwo w milczeniu, nieporuszeni na twarzach, choć Niedzielskiemu serce kołatało pod szarym garniturem tak mocno, że bał się czy stukanie jego nie doleci do uszu kobiety, która w zamyśleniu pisała coś na blacie stolika palcem umoczonym w rozlanym piwie.

– Słuchaj, Jurek – zwrócił się nagle do niego szofer – może zrobimy jednego?

– Czemu nie – podchwycił ochoczo tę inicjatywę Niedzielski. – A może i państwo wypiją z nami po kieliszku? Na nasz rachunek, oczywiście...

– No to lu... zamów pan ćwiartkę! – ożywił się mężczyzna, który jak widać nie miał zamiaru drożyć się ani certować. Szofer poszedł do baru, szybko się uwinął i wrócił z ćwiartką czystej i kilkoma kanapkami na talerzu. Nieznajomy odsunął pogardliwie zakąskę.

– Mnie wystarczy tego chleba, który jest w kieliszku – zażartował i mruknął porozumiewawczo. – No to

cyk, panowie, żeby się nasze dzieci tramwajów nie czepiały!

Niedzielski o mało nie zakrztusił się ciepłą, nieapetyczną wódką, ale musiał grać „parnia równiachę” i też nie skorzystał z zakąski. Mówili coś o pogodzie, o upałach, o łapaniu ryb w Wiśle. Mówił zresztą tylko mężczyzna, młoda kobieta nie zabierała głosu i sierżant zadawał sobie w duchu pytanie, kim ona jest – żoną, siostrą, czy po prostu przygodną znajomą tego bandyty? Kim by nie była, trzeba było działać. Trzeba w jakimś momencie przerwać tę ucztę i aresztować ptaszka, ale tak, żeby w knajpie nie zorientowano się, co zaszło. Bał się, czy czasem ta kobieta nie podniesie alarmu, ale na razie nie mógł nic obmyślić, żeby temu zapobiec. Pomógł mu bardzo prosty przypadek. W pewnym momencie kobieta wstała i oświadczywszy: „Wrócę za chwilę” udała się w stronę kotary zasłaniającej drzwi do toalety. Niedzielski trącił kolaniem szofera pytając jednocześnie:

– Zapłaciłeś rachunek?

– Zapłaciłem.

– No to musimy już kończyć przyjemność – powiedział Niedzielski znów czując chrypkę w głosie.

– Panowie już idą? A może tak jeszcze ćwiartuchnę? – z żalem w głosie zapytał nieznajomy.

– Musimy – powiedział Niedzielski i powstawszy stanął po jednej stronie nieznajomego. Domyślny szofer natychmiast ubezpieczył jego drugą stronę.

– No to cześć – powiedział Niedzielski i wysunął rękę ku nieznanemu, a gdy tylko poczuł jego dłoń w swojej, chwycił ją mocnym uściskiem, jednocześnie szofer unieruchomił drugą rękę opryszka.

– Wstawaj, draniu! – powiedział dygocącym z emocji głosem Niedzielski – jesteśmy z milicji...

Zaskoczony mężczyzna posłusznie powstał i nie próbując nawet stawiać oporu szedł między swymi konwojentami. Dla niewtajemniczonych wyglądało to tak, jak by dwóch przyjaciół odprowadzało swego lekko zawianego kolegę do domu. Dopiero kiedy już byli przy samochodzie, dopędziła ich towarzysząca bandyty. Nie robiła wrażenia przerażonej, była raczej lekko zdziwiona.

– Panowie, za co go aresztujecie? – zapytała.

– Za niewinność – odburknął szofer wsadzając pasażera do samochodu.

– Panie inspektorze – zwróciła się wówczas do Niedzielskiego, w którym nie wiadomo w jaki sposób wyczuła kierownika tej akcji – chciałabym coś powiedzieć mężowi...

– A więc żona – przemknęło przez myśl sierżantowi. – Niech pani mówi, tylko szybko...

– Oleczku, ty chyba nieprędko wrócisz do domu, więc zostaw mi coś, żeby mieć na życie... Może twoją teczkę? Zawsze warta ze dwieście złotych...

– Dobrze, kochanie – zgodził się chętnie małżonek spod ciemnej gwiazdy – weź tę teczkę i sprzedaj ją

sobie. Ale ja tam długo nie będę, wrócę szybko, to tylko jakieś nieporozumienie.

Rękoma skutymi w kajdanki podał jej starą, wytartą teczkę, ale Niedzielski przechwycił ją w powietrzu:

– Chwileczkę – powiedział ostro – pozwoliłem powiedzieć kilka słów, ale nie pozwoliłem nic dawać!

Otworzył teczkę i zanurzywszy w niej rękę wyczuł kilka małych, metalowych przedmiotów. Kiedy je wyjął, okazało się, że to pięć nowiutkich, lśniących niklem, płaskich zegarków, przy których wisiały na jedwabnych, kolorowych sznureczkach złote „plomby” reklamowe z napisem „Longines”.

– To chyba więcej warte niż dwieście złotych – ironicznie rzucił kierowca samochodu, który aż gwizdnął na widok zawartości teczki.

– Wcale nie wiedziałam, że jest tam coś takiego – spokojnie odparła kobieta – on się nigdy przede mną nie chwali tym, co zarobi...

– „Zarobi” – roześmiał się Niedzielski. – To chyba trzynasta pensja za przekroczenie planu, co? Macie niezłe zarobki, panie Czarna Rączka. No, to jedziemy już!

– Cóż, panie komisarzu, każdy stara się jak może – powiedział nie zmieszany Czarna Rączka i nawet nie odwrócił głowy, kiedy Warszawa ruszyła z miejsca, pozostawiając na chodniku samotną postać kobiety, która go nazywała swoim mężem. Brzęcząc kajdankami

wygładził klapy zielonego garnituru w jodelkę i zauważył mimochodem:

– A pan komisarz, to chyba niedawno pracuje w milicji?

– Dlaczego? – zapytał Niedzielski, który w tej chwili niemal czuł sympatię do swego pierwszego aresztanta.

– Bo nigdy pana, komisarza nie widziałem. I nie zrewidował pan mnie po aresztowaniu. A co by było, gdybym miał broń przy sobie?

– Macie mówić tylko jak was pytają – burknął sierżant magister Niedzielski ze złością, czując, że czerwieni się jak burak. Na dobitkę w lusterku zobaczył wyszczerzone zęby kierowcy, który dosłyszał uwagę Czarnej Rączki i nie mógł nie przyznać mu racji. Ten ironiczny uśmiech wydał się Niedzielskiemu bardzo podobny do grymasu porucznika Komisiaka, który z przekąsem wymawiał jego tytuł magistra. Teraz dopiero zrewidował Czarną Rączkę, ale broni żadnej nie znalazł.

* * *

– Czy szwagier pani był człowiekiem zamożnym?

Zawieja zadając to pytanie patrzy uważnie na twarz siedzącej za jego biurkiem kobiety. Wyskubane brwi, podrysowane ołówkiem, róż przeświecający przez tłustą

warstwę kremu i pudru nie jest w stanie ukryć jej wieku. Równe rzędy nylonowych zębów doskonale imitują naturalne, ale są zbyt nienagannie białe, żeby można mieć wątpliwość co do tego, że nie są dziełem natury. Joanna Szmyt, siostra Wilhelminy Rehm wezwana specjalnie z Łodzi jest spokojna i opanowana. Zbyt opanowana – myśli kapitan – jak na człowieka, którego dotknęło tak wielkie nieszczęście.

– Jak na nasze stosunki – był dobrze usytuowany, trudno to jednak nazwać zamożnością w tradycyjnym znaczeniu tego słowa.

– Czy pani jest coś wiadomo o oszczędnościach szwagra?

– Pan wybaczy, ale na ogół nie zaglądam swoim krewnym do książeczek PKO! Żyli oszczędnie, toteż mogli coś niecoś uskładać! August był ekspertem importowym w wielu instytucjach, zajmował wysokie stanowisko, otrzymywał często premie...

– Czy pożycie małżeńskie siostry pani z Augustem Rehmem było zgodne?

– Nigdy nie słyszałam skarg z ust Wilhelminy na swego męża. Robili wrażenie stadła szczęśliwego i zgodnego. Nie można jednak na pewno twierdzić, że nie było między nimi nieporozumień...

– Dlaczego? – wskoczył w tok jej odpowiedzi.

– ...gdyż w naszej sferze na ogół nie praktykuje się publicznego dokonywania porachunków małżeńskich,

lub wtajemniczania osób postronnych w konflikty dwojga osób.

Wszystkie jej odpowiedzi były takie same: gładkie, logiczne i ogólnikowe. Nie powiedziała ani jednego słowa, które mogłoby rzucić jakiegokolwiek światło na sprawę. Zawieja wyczuwał w niej napiętą czujność starannie ukrytą za powierzchownością inteligentnej, wytwornej damy.

– Ona coś wie, czego nie chce powiedzieć – gryzł się w duchu kapitan, ale nie umiał znaleźć dojścia do tego czegoś, co trzymała w sobie pod szczelnym zamknięciem.

– Czy pani korzystała z materialnej pomocy Augusta Rehma, lub siostry?

– Zasadniczo nie. Dawniej kilka razy zaciągałam u nich pożyczki, gdy otwierałam w Łodzi magazyn mód, który dotąd prowadzę. Wszystkie długi wobec Rehmów zostały już dawno uregulowane.

– Gzy to były wielkie sumy?

– Niezbyt wielkie. Po kilkanaście tysięcy złotych. Zwykle usługi rodzinne.

– Pani wybaczy następne pytanie: czy te pożyczki były bezprocentowe?

Po raz pierwszy w jej oczach o uczernionych rzęsach błysnęła iskra, ale natychmiast ją stłumiła: – Powiedziałam panu, że były to transakcje rodzinne, a nie handlowe i to pytanie obraża pamięć zmarłych.

– Przepraszam panią – skłonił głowę gestem winy.

Zaległa chwila milczenia, wypełniona zapachem jej perfum i cichym brzękiem perłowych klipsów, które nosiła w uszach. Zawieja zdecydował się postawić pytanie, na którym zależało mu najbardziej.

– Zanim odpowie pani na następne pytanie, muszę pani raz jeszcze przypomnieć, że świadek jest obowiązany mówić prawdę i tylko prawdę.

– Wiem o tym. Wiem o tym również, że zeznając w sprawie najbliższych krewnych, mogę zgodnie z prawem uchylić się od zeznania – powiedziała spokojnie i spojrziała wyczekująco w twarz Zawiei.

– Czy pani jest wiadomo coś o osobie noszącej imię Teofila? Jakie stosunki łączyły go z małżeństwem Rehmów? Gdzie się obecnie znajduje i co robi?

W jej wyglądzie pozornie nie zaszła żadna zmiana, jednak kapitan odczuł, że pytanie ją zaskoczyło. Zawieja nie potrafiłby określić, co było sygnałem wielkiego wrażenia, jakie jego pytanie wywarło na siostrze Wilhelminy Rehmowej, ale że wrażenie takie było faktem, co do tego nie miał cienia wątpliwości. Może mocniej niż przedtem zadrżały wisiorki klipsów, a może mocniej ścisnęła ręką ramię popielatej parasolki, może tylko o milimetr zacisnęły się jej wąskie, dyskretnie podmalowane wargi. Upłynęła długa chwila zanim się odezwała. Wprawne ucho kapitana zauważyło także zmianę w jej głosie, gdy rzekła:

– Na to pytanie odmawiam odpowiedzi.

Kapitan poruszył się niespokojnie za biurkiem:

– Niech pani nie decyduje zbyt pochopnie. Zamordowano pani siostrę, zginął pani szwagier. Wszystkie poszlaki wskazują na to, że sprawcą był właśnie Teofil.

– To nonsens! – wyrwał się jej okrzyk, którego jak zauważył, natychmiast pożałowała.

– Dlaczego to jest nonsens? – pochylił się przez biurko i nie zdejmował oczu z jej twarzy.

Milczała.

– Więc jak to? Nie chce nam pani dopomóc w odkryciu sprawcy śmierci pani siostry i pani szwagra? – nacierał bezlitośnie. – Przecież pani chyba nie wierzy w to, że August Rehm rzeczywiście zabił swoją żonę, a potem sam popełnił samobójstwo?

Milczała.

– Jeśli Teofil jest niewinny, w takim razie zabójcą jest ktoś drugi. Czy pani nie rozumiej że dopóki nie wykluczymy udziału Teofila, śledztwo nie posunie się naprzód i zabójca pani siostry będzie chodził bezkarnie?

Milczała, tylko jej plecy zaczął przebiegać drobny dreszcz.

– Czyżby pani nie kochała swojej siostry? Czyżby nie zależało pani na wykryciu mordercy dwóch najbliższych osób? Czyżby nie chciała pani pomóc oczyścić z podejrzeń Teofila, którego znajdziemy tak czy inaczej, czy nam pani pomoże, czy nie?

Przerwał, gdyż wargi jej drgnęły, podniosła oczy,

które wydały mu się aż czarne od nienawiści i rzuciła mu w twarz:

– Pan jest niehumaniczny! Pan nie ma prawa!

Maska niewzruszonej poprawności i pewności siebie rozplynęła się w łzach, które żłobiły sobie drogę w grubej warstwie kosmetyków pokrywających jej zwiotczałą skórę. Kapitan patrzył zimno na jej łzy. Choć tym razem, zdaje się, nie były to łzy udane. Wiedział, że jeśli nie wykorzysta tego momentu, to siostra Wilhelminy Rehmowej ochłonie z wrażenia, jakie wywarł swoimi brutalnymi pytaniami i może znów zamknąć się jak ostryga, tym razem na zawsze.

– Ja mam nie tylko prawo, ale i obowiązek pytać panią o wszystko. Muszę poznać prawdę o śmierci Rehmów!

– Po co? – odpowiedziała przez łzy, które spadały teraz na popielaty jedwab parasolki pozostawiając ciemne plamy. – Im już nikt życia nie przywróci, a na pozostałych mogą spaść nowe nieszczęścia.

– Na pozostałych członków rodziny?

Nie odpowiedziała, tylko osuszała bezskutecznie łzy perfumowaną chusteczką.

– O ile się orientuję, to jest pani jedyną bliższą krewną zmarłych. Czy sądzi pani, że jakieś niebezpieczeństwo grozi także pani?

Ruszyła lekceważąco starannie ondulowaną głową.

– O mnie mniejsza!

Zawieja wyczuwał, że zbliża się granica, której nie powinien przekraczać, jeśli nie chce zmarnować efektu całego poprzedniego przesłuchania, a jednak zaryzykował jeszcze jedno pytanie:

– Czy pani ma na myśli Teofila?

Pytanie było już niepotrzebne. Bo oto kobieta siedząca z drugiej strony biurka znów zeszytniała i odgrodziła się od niego barierą wytwornego chłodu i dystansu.

– Więcej nie powiem ani słowa. I tak za dużo powiedziałam. A to dlatego, że mnie pan doprowadził do takiego stanu.

Przedłużać przesłuchania nie miało już sensu. Zawieja wstał z krzesła:

– Proszę mi wierzyć, naprawdę jestem zmartwiony, że musiałem panią zdenerwować. Nigdy bym nie posunął badania tak daleko, gdyby nie powaga sprawy, którą muszę rozwikłać. Sądzę, że po spokojnym namyśle rozgrzeszy mnie pani i zrozumie...

Kiedy drzwi za świadkiem się zamknęły, kapitan podszedł do okna i szeroko je otworzył, jak by chciał wywietrzyć pokój z zapachu perfum Joanny Szmytowej.

Kogo się boi właścicielka domu mód z Łodzi? Co wie o Teofilu, którego listy znaleziono przy zwłokach Rehma? Czy poza nią i Czarną Rączką jest ktoś jeszcze zamieszany w sprawę Rehmów?

– Tą damą trzeba stanowczo zająć się bliżej –

mruknął do siebie i zadzwonił do chorążego Barskiego. Niestety wywiadowcy nie było w pokoju i Zawieja zniechęcony odłożył słuchawkę. W tej chwili spostrzegł na biurku kopertę nie rozpieczętowanego listu. Wziął ją do ręki. Nie nosiła żadnych stempli – więc list musiał być prywatny. Nie było również nazwiska nadawcy na odwrocie koperty. „Sekcja Kryminalna Komendy Miasta MO” – adres był wypisany na maszynie. Zaczął uważnie oglądać kopertę.

Na stemplu pocztowym ujrzał napis: Warszawa 37. Datownik wskazywał datę wczorajszą. Koperta była z dobrego bezdrzewnego papieru. Ostrożnie otworzył kopertę. Nie rozrywając miejsc zaklejonych, przecinał nożem górną krawędź koperty. Postępował tak zawsze z listami, w których wietrzył anonim. Nie omylił się – ćwiartka papieru zapisana maszynowym pismem nie nosiła żadnego podpisu. Na kartce przeczytał:

„August Rehm był przestępcem wojennym. Pracował dla Gestapo. Po wojnie nie przestał swego szpiegowskiego procederu. Sprawdźcie jego konto PKO. Żona odkryła podwójne życie Augusta Rehma. Chciała go pozucić z człowiekiem, ktorego kochała. Rehm zabił jom i siebie bojąc się kompromitacji i zdemaskowania. Nie mogę podać swego nazwiska, gdyż boję się zemsty mocodawców Rehma”.

Zawieja zwinął wargi w rurkę i bezgłośnie wygwizdywał pierwsze takty arii Toreadora. Czuł się w tej chwili lekki jak balon, przeżywając radosne podniecenie, jakie wzbudził w nim ten króciutki anonimowy list. Odsunął niecierpliwie wazonik z tulipanami i położywszy przed sobą kartkę czystego papieru zaczął na nim kreślić jakieś geometryczne figury, nie przestając przy tym gwizdać.

„A więc już się dowiedzieli o wznowieniu śledztwa i coś ich musiało zaniepokoić. Podsuwają mi dodatkowy „druzgocący” motyw zabójstwa i samobójstwa. Wniosek jasny: moja hipoteza dwóch zabójstw jest słuszna, muszę być na dobrej drodze, skoro przeciwnik usiłuje wepchnąć mnie na fałszywy trop. Wiem też, że istnieje ktoś wyjątkowo dobrze poinformowany o tym co robię, ktoś, kto interesuje się postępami mojego śledztwa. To nie może być jeden człowiek, lecz kilku ludzi, może nawet cała grupa przestępcza”.

Wziął znowu kartkę maszynopisu do ręki:

„Ten list pisał człowiek inteligentny, choć umyślnie naszpikował go błędami ortograficznymi. Takich słów jak „proceder”, „konto PKO”, „podwójne życie”, „kompromitacja”, „mocodawca” nie użyłby żaden pospolity przestępca. Po prostu dlatego, że ich nie zna. Nic nie można powiedzieć o płci nadawcy, który starannie ominął wszystkie formy gramatyczne mogące tę płęć ujawnić...”

Jeszcze raz obejrzał starannie znaczek i stempel

pocztowy „Warszawa 37”. Wyciągnął z szuflady rejestr urzędów pocztowych, przekonał się, że Warszawa 37, to numer pocztowy przy ulicy Mazowieckiej, tuż przy Nowym Świecie. Dzielnica inteligencka, nie lumpenproletariacka – pomyślał – choć miejsce nadania listu niczego nie dowodzi, często autor anonimu nadaje specjalnie list na poczcie odległej od swego miejsca zamieszkania. Tak, nic już więcej z tego listu nie wycisnie. Przynajmniej na razie. Wciągnął go do rejestru dowodów rzeczowych i zaczął wypisywać formularze do ekspertyz: pierwszy do Zakładu Medycyny Sądowej z prośbą o zbadanie grupowej przynależności śliny, którą sklejono kopertę i zwilżono przy nadawaniu znaczek.. Mogło to przydać się do ewentualnego wykluczenia podejrzanego o napisanie anonimu, gdyby się okazało, że jego ślina należy do innej grupy, niż ta, której użyto do zaklejenia koperty. Oczywiście ekspertyza mogła nie dać żadnych wyników, jeśli kopertę i znaczek klejono przy pomocy wody, lub klejem. Jednak dziewięć dziesiątych ludzi w takiej okoliczności posługuje się śliną.

Drugi formularz zlecał Zakładowi Ekspertyz Pisma dokonanie analizy pisma maszynowego, odchyłeń poszczególnych czcionek, wad konstrukcyjnych maszyny itp. To przyda się, kiedy uzyska materiał porównawczy z maszyn, co do których powstanie podejrzenie, że to przy ich pomocy został ten list napisany. Trzeci wreszcie

formularz, zlecał dokonanie ekspertyzy daktyloskopijnej koperty i przede wszystkim samego listu, choć to już robił raczej dla wierności zasadom, gdyż papier był szorstki i oczywiście przeszedł w międzyczasie przez parę dziesiątków rąk. Jeszcze chwilę pomyślał, czy niczego nie przeoczył i zadzwonił na sekretarkę prosząc ją o wezwanie Jurka Piskorza.

4.

– No więc, jak Czarna Rączka, pęknięcie czy nie? – Zawieja bawił się leżącymi na stole zegarkami Longines i tylko kącikiem oka obserwował małego mężczyznę ubranego w zieloną jodelkę i w tenisówki, który z kajdankami na rękach siedział w pozie pełnej urażonej godności.

– Z czego ja mam „pękać”, panie komisarzu? Z tej marnej stówy, którą wypożyczyłem sobie od tej paniusi, która jak słyszę przeniosła się w tak zwanem międzyczasie do lepszego jutra?

– Nie myślcie, że ja wam uwierzę, żeście tam chodzili tylko po tę setkę – taki w o r y c h a jak wy na byle lipę nie pójdzie.

Czarna Rączka pochylił głowę dziękując za komplement i nawet przycisnął obie ręce w bransoletach do swej zielonej marynarki. Zdawał się też być bardzo zmieszany, gdy odpowiedział:

– Faktycznie, poniekąd pan komisarz ma rację, że

szanujący się fachman na byle lipę lecieć nie powinien. Ale pan sam wie, jak to bywa. Byłem potrzebowski, groszem nie śmierdziałem, a po ostatnim wyroku postanowiłem sobie raz na zawsze skończyć z grubszą robotą. Na bezrybiu i rak ryba, panie komisarzu. Takie czasy, kwalifikacje się marnują, człowiek się chcąc nie chcąc stacza...

– No dobrze, dobrze – przerwał te utyskiwania Zawieja, wiedząc, że starzy recydywiści potrafią godzinami kluczyć w zeznaniach, jak zając przed nagonką. – A jak wytłumaczycie to, że znalazłem wasz guzik od marynarki w sypialni tej nieboszczki.

Czarna Rączka uniósł brwi do góry. – Cóż, widać słabą nitką był przyszyty. Teraz to nawet nitki porządnej człowiek nie dostanie, wszędzie brakoróbstwo. Sam czytałem w „Życiu Warszawy”...

Jednak nie było mu dane podzielić się z kapitanem tym, co wyczytał w gazecie, bowiem Zawieja przerwał mu bez ceremonii: – Ale ja chcę wiedzieć, jak on się tam dostał? Co wyście robili w sypialni pani Rehmowej?

Mały człowieczek o zepsutych zębach przybrał minę wyrażającą zgorszenie i moralne oburzenie:

– Czyżby pan komisarz mnie podejrzewał, że się podwalałem do nieboszczki i odwiedzałem ją, że się tak wyrażę, w celach niemoralnych? O, nie, panie komisarzu, ja mam żonę i dzieci, i nigdy bym sobie na to nie pozwolił... Ja, w sypialni obcej kobiety?!

Kapitan zgrzytnął zębami – łajdak wyraźnie drwił sobie z niego.

– Jak posiedzicie sobie parę miesięcy do rozprawy, to oduczycie się kpin.

Czarna Rączka zacmokał z ubolewaniem: – Do kogo ta mowa, panie komisarzu? Tak pan do mnie zagaja, jak bym był niedonoszony, siedmiomiesięczny. My już tu gadamy ze trzy godziny, a pan mnie nie mógł przedstawić ani jednego zarzutu. Czterdzieści osiem godzin mnie potrzymacie i wypuścicie. Bo teraz jest prawo-rządność!

Podniósł uroczyście palec do góry, przy czym jego kajdanki zabrzęczały jak dzwonek w kościele.

– Wystaram się dla was o sankcję od prokuratora – groził bez przekonania Zawieja.

– Ośmielam się przypuszczać, że nie ma takiego prokuratora w Polsce Ludowej, który by dał panu sankcję bez żadnej winy – uśmiechał się wyrozumiale Czarna Rączka, jak by chciał powiedzieć swym bezczelnym uśmiezkciem kapitanowi: I kogo pan idziesz tu straszyć prokuratorem? Mnie? Co całe prawo karne na własnej skórze przestudiowałem?

– A te zegarki? – pokazał ręką na srebrzyste przedmioty leżące na biurku.

– Zegarki? – uprzejmie powiedział Czarna Rączka. – Już miałem przyjemność panu powiedzieć, że nie należą do mnie. Musiałem zamienić teczkę w pociąg elektrycznym Otwock – Warszawa i bardzo mi przykro,

że przez omyłkę naraziłem kogoś na stratę. Mam nadzieję, że pan kapitan odszuka właściciela, nieprawdaż?

– Moglibyście wymyślić jakiś nowszy kawał, nie wiecznie ta zamiana teczek w pociągu.

– Po co wymyślać? – ruszył ramionami Czarna Rączka. – Niech pan spróbuje udowodnić, że tak nie było. A ja mówię, że właśnie tak było – dorzucił pospiesznie, widząc, że kapitan notuje jego odpowiedź.

Kapitan popatrzył dłuższą chwilę na Czarną Rączkę, który siedział z miną grzeczną, uczynną, całą postawą dającą do zrozumienia, że z całego serca pragnie pomóc oficerowi w jego trudnej pracy, a swój pobyt w tym pokoju uważa za tragiczne nieporozumienie.

– Dlaczego porzuciliście pracę w Excelsiorze akurat w poniedziałek, w dzień po zabójstwie Rehma?

– Gdybym wiedział, że on ma być tam zabity i będę miał z tego taki kram, to porzuciłbym ją już w piątek. Taka ciężka praca za osiemset złotych miesięcznie, to nie na moje siły, panie komisarzu.

– Ale nawet po należące się wam czterysta złotych nie zgłosiliście się do kasy. Dlaczego mówicie, że byliście p o t r z e b o w s k i ? Czterysta złotych to też grosz.

Czarna Rączka skrzywił się pogardliwie: – Tyle z takiego grosza pożytku, panie komisarzu, co z psa gnoju. A miałem iść, żeby mnie znów ten personalnik zaczął męczyć, a namawiać, żebym z pracy nie rezygnował,

że to niby bez wypowiedzenia nie wolno tak odchodzić i temuż podobnież?

– No, no, wy mnie nie bujajcie. Taki niewinny to wy nie jesteście. Dlaczego podaliście fałszywe nazwisko i fałszywy adres w hotelu? Może też po to, żeby wam personalnik wizyty nie złożył?

Czarna Rączka uśmiechnął się z zażenowaniem: – Panie komisarzu, powiem jak na spowiedzi. Sam pan wie, że nie zawsze żyłem w zgodzie z kodeksem karnym. Coś nie coś się jeszcze wlecze za człowiekiem jak smród. Coś nie coś się przeskrobało, coś nie coś się odcierpiało, ale zawsze jakieś tam remanenty zostają. Och, nic wielkiego, ale na wszelki wypadek wolę swoich wizytówek gdzie bądź nie zostawiać...

Kapitan mimo woli uśmiechnął się, lecz w tej chwili zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę, wysłuchał czegoś, po czym nie zmieniając wyrazu twarzy zwrócił się ponownie do zatrzymanego, który z niewinną miną dłużył w podeszwie swego gumowego pantofla.

– Posłuchajcie, co wam powiem, Czarna Rączka. Mamy wszystkie dane na to, że Rehm nie popełnił samobójstwa i że Rehmowa nie została zabita przez męża.

– Bardzo mi przyjemnie, panie komisarzu, ale co ja mam do tego? – zdziwił się Czarna Rączka, zgrywając się jak trzeciorzędny aktor.

– Mamy dowody, że wyście maczali w tym ręce

– groźnie wytknął palec w stronę wątlej piersi opryszka.

Czarna Rączka znów zacmokał, co było widocznie jego ulubionym sposobem wyrażania swego niezadowolenia: – Aj, aj, aj, panie komisarzu! Jak tak można? Takie zarzuty mnie stawiać i to wtedy, kiedy nareszcie postanowiłem wkroczyć na tę, jak się nazywa, drogę cnoty? A za przeproszeniem, jakie dowody ma pan komisarz na moją okoliczność?

Zawieja nie odpowiedział, bo dowodów żadnych nie było. Ale wydało mu się, że gdy sformułował swoje podejrzenie dotyczące przyczyn śmierci Rehmów, na twarzy Czarnej Rączki zaszła jakaś minimalna, ale przecież wyczuwalna zmiana. I choć brzmienie głosu było w dalszym ciągu pewne siebie i kpiące, kapitanowi wydawało się, że bandyta jest poruszony tym, co usłyszał. Lata praktyki, lata przesłuchań różnych ludzi, którzy mieli coś do ukrycia, wyrobiły w nim tę nadwrażliwość na nieuchwytnie zmiany zachodzące w mimice i zachowaniu podejrzanego. Między sobą oficerowie kryminalni nazywają to „wyczuciem” lub „intuicją”, choć na pewno chodzi tu o konkretne, a nieświadomie rejestrowane spostrzeżenia, które w sumie składają się na wyraźny dla nich sygnał ostrzegawczy.

Zawieja był teraz pewien, że Czarna Rączka wie dużo o przyczynach i sposobie śmierci Augusta Rehma i Wilhelminy, wiedział jednak, że zanim nie zdobędzie

niezbitych dowodów, tak doświadczony przestępca, jak ten, nie da się pociągnąć za język. Zresztą nie po to potrzebne było całe przesłuchanie kapitanowi. Ani chwili przedtem nie żywił złudzenia, że Czarna Rączka pęknie przed jego gołosłownymi zarzutami. Był on w tej chwili jedyną konkretną nitką, którą trzymał w garści, jedynym przewodem, poprzez który mógł wywołać alarm i panikę w bandzie przestępczej. Zaalarmowana banda zacznie działać, zacierać ślady, a wtedy łatwiej będzie trafić na jej ślad, niż teraz, gdy się zataiła i siedzi spokojnie. Od kwadransa trzech agentów operacyjnych przysłuchuje się przesłuchaniu i studiuje wygląd Czarnej Rączki przez zamaskowane wzierniki w ścianach gabinetu Zawiei. Skrzętnie notują w pamięci wszystkie cechy jego wyglądu, sporządzając w myślach to, co w kryminalistyce nazywa się „pamięciowym portretem” przestępcy.

Zawieja spogląda na zegarek, ma jeszcze kilka minut czasu, dopiero za sześć minut agenci opuszczą komendę i zajmą stanowiska na ulicy do „p o d j ę c i a” śledzonego osobnika. Kontynuuje przesłuchanie, starając się przekazać jak najwięcej alarmujących sygnałów do przestępczej centrali.

– Macie na pewno dużo znajomych w Warszawie?
– zaczyna okrężnie.

– Ma się trochę, człowiek nie mieszka przecież na pustyni – odpowiada filozoficznie Czarna Rączka.

– A Teofila znacie? – pyta Zawieja bystro patrząc w twarz Czarnej Rączki. Odpowiedź pada szybciej, niż się spodziewał:

– Znam.

– Co on robi?

– Teofil?

– No, Teofil!

– A który?

– Ten, którego znacie – odpowiada spokojnie, choć świadomość tego, że łotrzyk otwarcie szydzi z niego, podnosi go chwilami na krześle.

– A ten – mówi lekceważąco recydywista – jest grabarzem na Bródnie. Ma ze siedemdziesiątkę, ale jeszcze taki „oliwa”, że pod względem wódeczności młodego by zakasował.

– Przestańcie strugać wariata! – przerywa mu ostro Zawieja. – Wiecie, że nie o tego Teofila mi chodzi. Tylko o tego, który jest zamieszany w sprawę Rehmów. Młody chłopak, przystojniak – improwizuje na poczekaniu.

– Takiego Teofila ja nie znam – z ubolewaniem kręci głową Czarna Rączka, stwarzając pozory, że jest mu bardzo przykro, że nie może oficerowi wyświadczyć tej drobnej przysługi. – Ale jeśli pan komisarz życzy sobie, to ja mogę przepytać wśród kumpli i znajomych. – Po chwili reflektuje się i dorzuca: – Chociaż Warszawa, to nie Grójec i Teofilów młodych i przystojnych

może być ze dwadzieścia tysięcy, albo i o kilku więcej...

Sześć minut upłynęło. Zawieja bierze przygotowany zawnazs blankiet i składa na nim swój podpis.

– Jesteście wolni – mówi wręczając kartkę Czarnej Rączce – aż do odwołania nie wolno wam się jednak wydaleć poza granice Warszawy.

– A nie mówiłem? – mówi Czarna Rączka bez pośpiechu biorąc zwolnienie z aresztu. – Jest w Polsce praworzadność! A co do wydalenia się z Warszawy, to spokojna głowa, panie komisarzu. Ja rodak warszawski z dziada pradziada jestem i dalej niż do Świdra na majówkę nigdy nie wyjeżdżam z kochanej stolicy...

– No, idźcie już! – macha niecierpliwie ręką Zawieja.

– A bransoletki? – wyciąga obie ręce Czarna Rączka. – Przecież nie mogę z taką stalową biżuterią spacerować po mieście...

Zawieja otwiera zamki kajdanek. Czarna Rączka rozciera napięstki, na których zostały odciski żelaznych klamer i bez pośpiechu kieruje się w stronę drzwi. Odwraca się jeszcze na chwilę:

– Znakiem tego, pan komisarz odszuka właściciela tych zegarków? Bo jak Boga kocham, nie mógłbym spać spokojnie na myśl, że niewinnego człowieka niechcący ukrzywdziłem!

Kapitan patrzy na cynicznie szczerzącego zęby przestępcę i nieoczekiwanie mówi:

– Odszukam, na pewno odszukam. Wtedy, zdaje się, będę mógł wam powiedzieć kto i dlaczego zabił Rehmów. I to już z dowodami. Do widzenia, panie Czarna Rączka! D o w i d z e n i a !

Zawieja zapala papierosa i podchodzi do biurka, na którym leży sześć srebrzystych płaskich Longinesów. Podrzuca zegarek na rękę i nagle w jego mózgu kojarzą się dwa fakty bardzo od siebie odległe. Rachunki i korespondencja zagraniczna w sprawie importu zegarków z szafy pancерnej Augusta Rehma i tych sześć lśniących, precyzyjnych cacek leżących na jego biurku. Nie ma między tymi faktami żadnego łącznika, żadnej więzi logicznej, ale w śledztwie nie ma rzeczy drobnych, nieważnych. Te dwa fakty jeszcze nie układają się w łańcuch logiczny, ale mogą ułożyć się, jeśli wątłą nić podejrzenia potrafi zastąpić solidnym łańcuchem dowodów powiązanych logicznie. Rzuca papierosa, który gwałtownie palony zaczyna go parzyć w palce.

Przez drzwi wsuwa głowę sekretarka:

– Panie kapitanie, jakiś pan z Biura Importu Urzędzeń Precyzyjnych do pana...

Zawieja niechętnie odwraca się, odrywając się od pasjonującego go tematu.

– Jak się nazywa?

– Nie chce powiedzieć, mówi, że powie to panu kapitanowi osobiście.

– Tak – mówi Zawieja, po czym pyta z roztargnieniem – z jakiej instytucji przychodzi, bo nie dosłyszałem?

– Z Biura Importu Urządzeń Precyzyjnych – odczytuje z karteczki sekretarka.

– Ależ dawać go natychmiast! – woła Zawieja ożywionym głosem i jednym zgarnięciem wrzuca wszystkie zegarki do szuflady biurka.

5.

Przed Pałacem Mostowskich, w którym mieści się Komenda Stołeczna MO, pojawia się mała figurka w zielonej marynarce, z urwanym guzikiem i w brudnych tenisówkach na nogach. Czarna Rączka stoi chwilę nieruchomo, jak by poraził mu oczy silny blask lipcowego słońca, wypełniający obszerny, przestronny plac Dzierżyńskiego. Spod spuszczonej powiek obserwuje bacznie tłum ludzi, kręcących się pod kinem „Muranów”, lustruje wzrokiem gromadę czekających na tramwaj na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Trasy W-Z. Nieznacznie sprawdza najbliższe otoczenie Komendy. Lustracja musiała wypaść pomyślnie, gdyż podciąga spodnie i rusza powoli, niespiesznie, w stronę przystanku tramwajowego. Skąd może wiedzieć, że młody człowiek w

szarym garniturze, studiujący tabliczkę ze spisem linii tramwajowych, obserwuje go w szybce wywieszki, która działa jak lusterko? Nie zauważa też jegomościa w baskijskim berecie, przechadzającego się po drugiej stronie ulicy z nowym numerem „Życia Warszawy” w ręku. Tym bardziej nie może budzić jego obaw młodzieniec w krótkich szortach, który stoi na tym samym przystanku o kilkanaście metrów z tyłu i rozmawia z zalotną brunetką w obcisłej, trykotowej bluzeczce. Ostatecznie są to tylko trzej osobnicy spośród kilkudziesięciu znajdujących się w tej chwili na skrzyżowaniu i niczym nie różniący się od innych.

Pozwólmy odjechać Czarnej Rączce tramwajem nr 30, przy czym możecie być pewni, że tym samym tramwajem, choć innym wagonem pojechali także pan w szarym garniturze i młoda para sportowców. Co się stało z panem w baskijskim berecie, który studiował „Życie Warszawy” na przeciwległej stronie ulicy? Gdy tylko ujrzał odjeżdżającą „trzydziestkę”, stracił całkowicie zainteresowanie dla nowin z kraju i ze świata i zatrzymawszy pierwszy pusty samochód jadący w tę samą stronę, udał się autem w dość znacznej odległości za oddalającym się tramwajem.

Ale zobaczmy co robi w tym czasie sympatyczny magister Niedzielski.

Oto i on. Zamiast zgrabnego munduru, ma na sobie niebieski, zatłuszczony fartuch, ręce jego są zabrudzone

smarem. Nie jest sam, wraz z podobnie ubranym mężczyzną, dźwigającym małą walizeczkę, wchodzi do wielkiego gmachu przy ulicy Kruczej. W portierni otrzymują przepustkę, na której starsza pani odciska stempelek „Biuro Importu Urządzeń Precyzyjnych” i wraca do swych drutów, na których robi sweterek dla wnuczki, która dopiero za trzy miesiące ma przyjść na świat. Podczas, gdy staruszka szybko przebierając drutami, myśli o tym, co też Pan Bóg da jej tym razem: wnuka czy wnuczkę, obaj mężczyźni jadą windą na drugie piętro, gdzie odszukują pokój z wywieszką „Hala maszyn”.

– Co, znowu kontrola techniczna? – dziwi się kierowniczką Hali, czytając przepustkę.

– Poprzednim razem narzekała pani, że zbyt rzadko przychodzimy, no to się poprawiamy – uśmiecha się majster ze spółdzielni konserwatorskiej – ale dzisiaj to szybko pójdzie. Jestem z pomocnikiem – wskazuje głową na Niedzielskiego, który grzecznie kłania się pani kierownicze. Majster zagląda do rejestru: – Mamy tutaj do sprawdzenia i oczyszczenia trzynaście maszyn – mówi jak by chciał poinformować Niedzielskiego.

– To znaczy, że chcecie skontrolować wszystkie maszyny, również i z poszczególnych wydziałów? – dziwi się kierowniczką. – No, no! To rzeczywiście postęp w waszej spółdzielni niezwykły... A panów to jeszcze nigdy u nas nie widziałam...

– Ano robi się, co się może, pani szanowna – uśmiecha się ponownie starszy majster – a my dopiero niedawno nastaliśmy do tej spółdzielni, przedtem robiliśmy na Żoliborzu...

Zaczyna od razu czyścić najbliższą maszynę. Kierowniczką odchodzi do swoich zajęć, toteż nie może wiedzieć, że pomocnik majstra właściwie zbija bąki. Podaje mu tylko pędzelki i szczoteczki, zaś sam gdy nikt nie patrzy, bawi się pisaniem na maszynie, odbijając po kilka razy każdy znak pisarski na kartce papieru, którą potem chowa do kieszeni, zanotowawszy uprzednio numer inwentarzowy maszyny i miejsce, w którym się znajduje. Nie może to budzić niczyich podejrzeń, gdyż maszynę trzeba wypróbować po wyczyszczeniu. Kartki zaś wędrują do kieszeni sierżanta magistra Niedzielskiego w sposób bardzo dyskretny.

Po trzech godzinach w kieszeni Niedzielskiego znajduje się trzynaście kartek papieru z próbkami pisma. Obaj „majstrowie” potwierdzają delegacje i wychodzą z gmachu pochwaleni przez kierowniczkę hali maszyn za szybką i solidną robotę, i, Przed gmachem obaj spece od maszyn rozdzielają się. Zdjąwszy chałaty pakują je do walizeczki starszego majstra.

– To ja wracam teraz do Komendy – mówi starszy „majster” – mechanik samochodowy z warsztatów Komendy Stołecznej.

– A ja zasuвам do Zakładu Ekspertyz – odpowiada Niedzielski.

Jadąc tramwajem cały czas myśli o tym, czy spełni się przypuszczenie kapitana, że tajemniczy anonim pochodził z Biura Importu Urządzeń Precyzyjnych. Ostatecznie przesłanka, na jakiej opierał swe przypuszczenie, była bardzo wątpliwa. Otóż list został nadany na poczcie, znajdującej się w pobliżu Biura, w którym pracował Rehm. Magister Niedzielski kończył prawo i uczył się logiki, toteż rozumiał, że z tej zbieżności faktów jeszcze nic nie wynika, przynajmniej nic nie musi wynikać. Ale może. A jeśli coś, choćby tylko w minimalnym procencie może wiązać się z ich sprawą, musi być sprawdzone.

* * *

Przy Nowym Świecie Czarna Rączka wyskoczył, zanim tramwaj zatrzymał się na przystanku. Tuż po nim urwał się z „winnego grona” wiszącego na stopniu pan w popielatym garniturze. Para młodych sportowców wysiadła statecznie na przystanku. Dopiero w kilkanaście sekund później podązał za nimi pan w baskijskim berecie, który serdecznie podziękował szoferowi za przysługę. I znów po pięciu minutach niczego nie podejrzewający Czarna Rączka miał „na ogonie” trzech agentów rozstawionych jak poprzednio: dwóch po

stronie tropionego i jeden po przeciwległej stronie ulicy. Byłoby rzeczą bardzo pouczającą obserwować, jak zgrabnie zmieniali się w pracy, jak co kilkadziesiąt kroków człowiek idący bezpośrednio za Czarną Rączką zatrzymywał się przy jakiejś wystawie zafrapowany rzadkim towarem, wówczas idąca za nim para szybko go wymijała i podejmowała bezpośrednią obserwację Czarnej Rączki, on zaś sam przesuwał się do „odwodów”, dbając tylko o to, aby nie stracić z oczu tych, których musiał zluzować. Najmniej pracy miał pan w baskijskim berecie, który szedł po przeciwległej stronie ulicy, gdyż jego zadanie zaczęłoby się dopiero wtedy, gdyby obserwowanemu strzeliło do głowy przejść na drugą stronę ulicy. Na razie zaś Czarna Rączka był całkowicie zadowolony z lewej strony Nowego Światu i nie zamierzał przechodzić przez jezdnię. Co pewien czas zerkał za siebie, zatrzymywał się przy wystawach i obserwował przechodniów w lustrzanych szybach wystaw, ale w gęstym tłumie, który w popołudniowych godzinach zawsze wypełnia chodniki Nowego Światu, nie dostrzegł niczego podejrzanego.

W pewnym momencie skręcił nagie i wszedł do bramy, gdzie zaczął poprawiać sznurowadła swego przydeptanego, gumowego pantofla. Był zwrócony w stronę ulicy „odwrotną stroną medalu”; ale spod ramienia bacznie obserwował, co się dzieje na chodniku. Nikt się nie zatrzymał, nikt się nie rozglądał dokoła siebie,

toteż doszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku. Zmarudził w bramie jeszcze kilkanaście sekund, po czym wyszedł i pewnym krokiem wszedł do sklepu, na wystawie którego stał mahoniowy chronometr z napisem „dokładny czas” i lśniły liczne zegarki różnych marek. Na przeciwległym chodniku pan w baskijskim berecie zatrzymał się na przystanku autobusowym. Mężczyzna w szarym garniturze zaczął studiować książki wystawione w oknie międzynarodowej księgarni. Młoda para w sportowych ubraniach wszczęła jakiś spór, w wyniku którego panna wzięła swego towarzysza za rękę i wciągnęła do sklepu jubilerskiego, w którym znikł Czarna Rączka.

Dzwonek przy drzwiach wejściowych zadzwonił, lecz mimo to po ich wejściu nikt nie pojawił się w małym sklepie przegrodzonym oszkloną ladą, na której spoczywały zegarki i różne wyroby ze srebra. Panienska zaczęła przyglądać się różnokształtnym klipsom, pokazując palcem przez szybę te, które jej się najbardziej podobały. Młody człowiek potakiwał, ale jednocześnie wyteżał słuch, aby złowić cośkolwiek z tego, co się dzieje za aksamitną kotarą oddzielającą sklep od pracowni. Wreszcie zdziwieni przedłużającą się nieobecnością właściciela zaczęli kaszlać i pukać w szybę gabloty. Spoza kotary wysunęła się głowa starszego mężczyzny, który rzuciwszy: „Jedną chwileczkę” znikł ponownie

we wnętrzu pracowni. Młodzieniec w szortach zdążył jedynie zauważyć, że była to twarz dystygowana o siwiejących skroniach, starannie wygolona i wypielęgnowana. Przez moment wydało mu się, że słyszy skrzypnięcie jakichś drzwi za kotarą, ale po chwili właściciel firmy zjawił się za ladą i z uprzejmym uśmiechem zapytał czym może służyć.

– Moja narzeczona chciałaby wybrać jakieś klipsy – odpowiedział młodzieniec stwierdzając, że nie omylił się poprzednio uważając starszego pana za osobę bardzo dbałą o elegancję. Idealnie skrojone spodnie umiejętnie maskowały lekko zaokrąglony brzusek, błękitna koszula z krótkimi rękawami dobrze harmonizowała z siwizną skroni i opaloną cerą twarzy. Ręce, którymi podawał jego towarzysze różne klipsy, miał wypielęgnowane, paznokcie starannie opiłowane w „migdał” były wypolerowane irchą na wysoki połysk. Roztaczał wokół siebie lekki zapach lawendy i dobrych perfumowanych papierosów – Camele, albo Chesterfieldy – pomyślał z zazdrością – wciągając nosem ten przyjemny zapach.

Panna grzebała kapryśnie w klipsach – jedne wydawały jej się zbyt skromne, inne zbyt wymyślne Ugrzeczniony właściciel sklepu cierpliwie znosił jej kaprysy. Wreszcie zdecydowała się na majolikowe klipsy w kształcie czarno-złotych kuleczek. Młody mężczyzna wziął klipsy do ręki, odczytał nieznacznie cenę i

kwaśno skrzywił się, co na wargach wytwornego pana wywołało nikły uśmieszek pobłażliwości.

– No, trudno – westchnął młodzieniec – proszę to zapakować.

– Służę uprzejmie – wyciągnął rękę siwiejący dzen-telmen zza lady. I wtedy trącony niebacznie przez narzeczoną młodzieniec upuścił klipsy na podłogę, które potoczyły się po podłodze w stronę wiśniowej kotary.

– Jakiś ty niezgrabny! – krzyknęła panienka, choć to ona właśnie była winowajczynią całego wypadku.

– Niech się pan nie fatyguje, to drobiazgi! – zawołał właściciel sklepu do młodzieńca, który zarumieniony ze wstydu rzucił się w pogoń za toczącymi się kuleczkami. Jednak młodzieniec za wszelką cenę sam postanowił naprawić swój błąd i w pogoni za klipsami dotarł aż za kotarę zasłaniającą pracownię od sklepu.

– O, jedną już mam! – zawołał szybko zaglądając za kotarę i podnosząc małą kuleczkę z podłogi. – Jest i druga – powiedział nie zważając na właściciela, który usiłował go powstrzymać od dalszego zagłębiania się do odgródzonej części pokoju. Natychmiast też wyszedł z powrotem niosąc w ręku oba klipsy i podał je z wyrazem winy właścicielowi, który zabrał się do pakowania drobiazgów do zgrabnego pudełeczka wysłanego akşamitem. Na wieczku złocił się wyciśnięty napis „Miro-sław Zgorzelski i S-wie, Pracownia Zegarmistrzowsko

-Jubilerska. Rok założenia 1900”.

Kiedy wyszli ze sklepu żegnani uprzejmym, ale pełnym godności ukłonem pana Zgorzelskiego, natychmiast udali się w stronę pana w szarym garniturze, który nie stracił jeszcze zainteresowania do zagranicznych książek. Młoda para stanęła przy nim i wtedy sportowiec w szortach pokazując narzeczonej jakąś książkę rzucił półgłosem:

– Krewa, bracie. W sklepie go nie ma, wyszedł tym samym wyjściem.

– Znaczy się – „obciął ogon”? – zmartwił się pan w szarym garniturze.

– Ano obciął. Zluzuj Bratkowskiego, bo będzie sterczał na tym przystanku do usmarkanej śmierci. I wracamy do Komendy na kazanie Komisiaka. Już on nam wstawi świeczkę, ja sobie wyobrażam, Jezus, Maria!

„Narzeczone” spojrzała na zegarek:

– A ja pojadę obiad gotować, bo strasznie późno,

– Jedź, jedź, jak wrócę do domu będę głodny jak wilk – odpowiedział sportowiec. – Aha, jeszcze jedno, daj mi te klipsy, bo mi inaczej nie zwrócą forsy w rachubie, przecież rachunku nie mamy.

– Szkoda – westchnęła żona – takie ładne. A może je kupimy, Wacuś, dla siebie?

– Coś ty, Zośka! Sto złotych kosztują, a do pierwszego jeszcze dziewięć dni – odpowiedział pracownik

operacyjny MO, który za tysiąc pięćset złotych musiał utrzymać siebie, żonę i teściową. Przykro mu było jednak odbierać zonie ładne cacuszko, toteż rzucił pocieszająco:

– Może po pierwszym, jeśli dostanę jakąś premię, kupię ci takie same...

Nie wierzyła mu, bo i on sam w to nie wierzył, ale pocałowała go za dobre chęci w policzek na pożegnanie.

Swoją drogą to świństwo – myślał wracając do Komendy – jak do roboty, to można wziąć żonę, bo nie starcza operacyjnych w spółnicach, a jak o głupie klipsy chodzi, to trzeba je oddać do rachuby, bo by się im w rachunkach nie zgadzało...

ROZDZIAŁ IV

1.

– To ja już wychodzę, panie kapitanie.

Sekretarka ubrana w jedwabny płaszcz, w zgrabnym kapelusiku na głowie powiedziała te słowa wciągając rękawiczki, które były w kolorze torebki. Zawieja ode-rwał oczy od mapy Polski rozłożonej na stole i uśmiechnął się:

– Ho, ho, jaka pani Irena dzisiaj elegancka! Pewno jakieś małe spotkanie, co?

Mruknęła coś niewyraźnie i widząc jak natychmiast znów powrócił do swojej mapy westchnęła cichutko: – Taki mężczyzna, a ślepy jak nowonarodzone szczenię! Czy on nie rozumie, co znaczą te kwiaty, które stawia mu codziennie na biurku i że to dla niego ten płaszcz, i kapelusik, i torebka... Niedobrze jest, jak się nie ma kogo kochać, ale jeszcze gorzej, kiedy źle się ulokuje swoje serce!

I żeby się „zemścić” na kapitanie, wstąpiła do Komisiaka i zaprosiła go na kawę. Ten miał zawsze czas i ochotę, nawet o nieśmiertelnej zgodzie zapominał na jej widok. Ale cóż, to był tylko Komisiak...

Zawieja nieświadomy cierpienia, jakie przed chwilą zadał, powrócił do kontemplowania mapy. Czerwonymi kółkami zaznaczył na niej miejsca, w których kiedykolwiek, zostały popełnione przestępstwa przy pomocy pistoletu „Vesta”. Dwa w Warszawie, jedno w Katowicach, jedno w B, koło Krakowa i jedno w Cieszynie. Daty, jakie wypisał obok czerwonych kółek, wahały się od roku 1955 do bieżącego. Gdyby przyjąć, że wszystkie zabójstwa zostały popełnione przez tych samych sprawców – myślał Zawieja – wówczas należałoby przyjąć, że działają już ponad trzy lata. Ale co właściwie upoważnia do przyjęcia tego śmiałego założenia? Jedynie rzadko spotykany typ pistoletu mógł być nikłą

poszlaką, bo zarówno sposób dokonania zbrodni jak i ich ofiary były bardzo rozmaite: w Katowicach został zastrzelony w roku 1955 pracownik aparatu bezpieczeństwa. W pobliżu podkrakowskiego klasztoru zginęła od kuli prostytutka, dobrze znana milicji krakowskiej. W lasach cieszyńskich w pobliżu granicy znaleziono z kulą w skroni leśniczego, no i wreszcie w Warszawie zginął urzędnik instytucji handlowej i jego żona. Śmiertelne postrzały były też różnie umiejscowione, zarówno w głowach, jak i w klatce piersiowej ofiar. Czasami rana była tylko jedna, czasami kilka. Raz sprawca strzelał z bliska, niemal z przystawienia broni do ciała, to znów z odległości kilku, a nawet kilkunastu kroków. Tak więc próba koordynacji tych odległych w czasie i przestrzeni wydarzeń według „modus operandi”¹ skończyła się całkowitym fiaskiem.

¹ „Modus operandi” – (łac.) sposób działania – prawnokryminalistyczna metoda ustalania związku między różnymi przestępstwami na podstawie wspólnych i powtarzających się elementów w sposobie dokonania zbrodni.

Najwięcej do myślenia dała kapitanowi sprawa zabójstwa prostytutki krakowskiej. Była to bowiem jedyna sprawa wykryta, a jej sprawca w wyniku energicznego pościgu już w osiem godzin po zabójstwie został schwytany z bronią w rękę. Był nim młody, ale już dobrze zaawansowany bandyta krakowski Florek. Cóż z tego, kiedy pierwszej nocy, jaką spędzał w Krakowskiej Komendzie Milicji, popełnił samobójstwo, zażywając w

kawie końską dawkę cyjanku potasu. Kapitan aż zaklął stwierdziwszy, że prowadzący dochodzenie chorąży Rak nie przesłuchał zabójcy natychmiast po aresztowaniu, odkładając prawdopodobnie ten żmudny obowiązek na dzień następny. W ten sposób Florek uniósł ze sobą tajemnicę motywów zabójstwa do grobu. Wertował poźółkle akta sprawy Florka i myślał ze złością, że znów pękła wążła nić, ledwo ją pochwycił w rękę. – A tego Raka – pomyślał z irytacją – zdegradowałbym do stopnia szeregowego. Nie miał oczywiście racji, gdyż, gdyby nawet Florek został przesłuchany, to trudno było przypuszczać, aby „pęknął” już w pierwszym przesłuchaniu, szczególnie, że już był gotów na wszystko aż do popełnienia samobójstwa włącznie.

Jeszcze raz przeczytał raport o samobójczej śmierci Florka: „Zażył większą dawkę cyjanku potasu, rozpuszczając go uprzednio w kawie, którą zgodnie z regulaminem otrzymał wieczorem na kolację. Wezwany natychmiast lekarz stwierdził zgon”. – No dobrze, panie Rak – zżymał się Zawieja – a skąd Florek wziął ten cyjanek, gdzie go przechowywał? Czyżby nie poddał go pan nawet rewizji osobistej przed zamknięciem do aresztu? Wyszukał w zszywce akt dotyczący rewizji osobistej: „Przy aresztowanym znaleziono: portmonetkę skórzaną, brązową z zawartością 364 zł, i 10 dolarów w jednym banknocie, pistolet „Vesta” nr 125673, zapasowy magazynek z amunicją kal. 7,65, rękawiczki

skórzane brązowe nr 8, dowód osobisty serii WCA nr 201695 na nazwisko Florek Zygmunt...”

– No więc przynajmniej go zrewidował, bałwan! – odetchnął z ulgą.

Kapitan przerzucił oczyma dalszy wykaz drobiazgów znalezionych przy mordercy i wreszcie trafił na ostatnie zdanie: „Ponadto w kieszonce marynarki znaleziono trzy nowe zegarki marki Delbana, szwajcarskie na kamieniach”. Nie, to niemożliwe! Ależ tak, czarny rząd literek maszynowych głosił wyraźnie: „trzy nowe zegarki Delbana...” Kiedy tym razem spojrzął na mapę, cztery czerwone kółka nie wydały mu się już przypadkowo rozsianymi plamami, lecz ogniwami jednego łańcucha. Ach, gdyby ten Rak nie był takim skończonym bałwanem! W mózgu kapitana utworzył się inny, ale ściśle odpowiadający temu na mapie łańcuch faktów: korespondencja Rehma, zegarki znalezione przy Czarnej Rączce, sklep jubilerski na Nowym Świecie, w którym Czarna Rączka „obciął za sobą ogon” tropiących go agentów i ten anonim, który, jak podejrzewał, pochodził z Biura Importu Urządzeń Precyzyjnych. To wszystko trzeba jeszcze przemyśleć, sprawdzić, dziesięć razy prześwietlić, ale łańcuch układał się wyraźnie, choć wiele ogniw tonęło jeszcze we mgle i te musiał na razie łątać wyobraźnią i intuicją.

– Ale jeśli to wszystko jest prawdą – zastanowił się nagle – wówczas właściwa robota jest dopiero przede

mną, zaś sprawa Rehmów staje się tylko początkiem wielkiej afery...

Ta myśl podniosła go z krzesła. Zaczął przechadzać się po pokoju niespokojny i ożywiony jak rasowy pies myśliwski, który przeczuwa wielkie łowy.

Do drzwi ktoś zapukał.

– Wejść! – zawołał Zawieja zatrzymując się za biurkiem, na którym leżała duża mapa Polski. Wszedł sierżant magister Niedzielski i już z jego wyrazu twarzy kapitan wyczytał, że przynosi niedobre wieści.

– No, co się stało? – spytał ogarniając postać młodego podoficera życzliwym spojrzeniem.

– Kłapa, obywatelu kapitanie – westchnął Niedzielski – ekspertyza wykluczyła, żeby anonim został napisany na którejkolwiek z maszyn Biura Importu.

Spojrzał na kapitana z taką miną, jak by sam był odpowiedzialny za niepomyślny wynik ekspertyzy.

Zawieja pokręcił głową i wykonał zrezygnowany ruch ramionami:

– No tak, diabli wzięli jeden łańcuch – powiedział myśląc o swoich poprzednich rozważaniach. Niedzielski inteligentnie domyślał się o jaki „łańcuch” chodzi kapitanowi i powiedział pocieszająco:

– Może nie jest tak źle, najwyżej pękło jedno ogniwo.

Zawieja z uznaniem poklepał go po ramieniu:

– Macie rację, jedno ogniwo. Ale widzicie, kolego,

żaden łańcuch jako całość nie jest mocniejszy, niż najsłabsze z jego ogniw.

* * *

– W sprawie Florka jest dla mnie dużo psychologicznych niejasności – mówił wieczorem tego samego dnia w swoim mieszkaniu profesor Werhar parząc nieśmiertelną kawę w kamiennej maszynie.

– Żeby tylko psychologicznych, to by jeszcze było pół biedy – ruszył ramionami Zawieja głaszcząc Tora po sierści – cała sprawa składa się, jak dotąd, z samych niejasności.

– Nie lekceważ psychologii, mój kochany – zaprotestował Werhar – bo nieraz wyjaśnienie jakiegoś momentu psychologicznego rzuca światło także na technikę, motywy i sprawcę zbrodni.

– Och, nie musisz mnie agitować za psychologią – uśmiechnął się kapitan dobrze znający swego przyjaciela i jego psychologiczną pasję – najlepszy dowód, że ci opowiedziałem o samobójstwie Florka...

– Właśnie, właśnie, chodzi mi o to samobójstwo. Powiedziałbym, że sprawa tego samobójstwa powinna być dla ciebie chwilowo ważniejsza nawet niż te znalezione przy nim zegarki.

– Dlaczego?

– Widzisz – profesor stopniowo zapalał się, co można było poznać po nerwowym rozczesywaniu bródki palcami – zegarki tylko utwierdzają cię w pewnym toku myślenia, tymczasem samobójstwo, jeśli dobrze pójdzie, może cię popchnąć naprzód.

Zawieja sceptycznie ruszył ramionami:

– To było tak dawno, a po drugie Florek nie żyje...

– Otóż to, że nie żyje! – triumfalnie wytknął palec do góry Werhar. – D l a c z e g o Florek nie żyje?

– Zażył porcję cyjanku potasu, wystarczającą do uśmiercenia słonia, przecież ci już mówiłem.

– Mnie nie chodzi o przyczynę fizyczną, lecz o psychologiczne przesłanki tego samobójstwa. Muszę ci wyznać, że w swoim czasie napisałem całą rozprawę na temat samobójstwa, jako zjawiska społecznego, stąd problem ten nie jest mi obcy.

Werhar podszedł do biblioteki i wyszukał w niej niebiesko oprawny zeszyt „Revue psychologique”.

– Widzisz tutaj masz mój artykuł pod tytułem „Psychologie pathologique du suicide”¹. Może ci się na coś przyda?

¹ „Patologiczna psychologia samobójstwa”.

Zawieja rozłożył bezradnie ręce:

– Mój kochany, zapominasz, że poza niemieckim nie znam obcych języków...

– To niedobrze – powiedział karcąco Werhar – tyle ile znasz języków, ilu masz przyjaciół i ile znasz

zawodów i sztuk – tylekroć jesteś człowiekiem. Tak mawiał Emerson i miał rację. No cóż, wypadnie mi zrobić mały wykład na temat samobójstwa...

Werhar zaczął przeglądać pożółkłe kartki francuskiego kwartalnika naukowego i patrząc w tekst własnego artykułu tłumaczył na gorąco te fragmenty, które, jak mu się wydawało, mogą się przydać kapitanowi do właściwego spojrzenia na sprawę Florka.

– Samobójstwo, mój kochany, jest tak stare, jak sama ludzkość. U starożytnych Chińczyków, jak zapewnia Brierre de Boismont, było ono otoczone wielkim szacunkiem. Znana jest na przykład tragedia pięciuset filozofów ze szkoły Konfucjusza, którzy nie chcąc przeżyć utraty ksiąg uczonych, spalonych z rozkazu cesarza, rzucili się do morza. Znana jest popularność „harakiri” wśród Japończyków, którzy w ten sposób mszczą obrazy i wyrządzone krzywdy na honorze. Należy derwisze hinduscy popełniają samobójstwa, aby przyspieszyć wędrówkę dusz. Znamy z historii opis takiego „gymnosofisty” hinduskiego, który spalił się w celu samobójczym w obecności Aleksandra Macedońskiego. Masz więc tu przykład samobójstwa płynącego z przekonań religijnych. Innym motywem samobójstw bywają wielkie klęski narodowe, bankructwa życiowe czy osławione samobójstwa z miłości.

Kapitan, który słuchał uważnie improwizowanego wykładu Werhara, zapytał czy profesor nie zajmował

się w swej rozprawie samobójstwami w więzieniu.

– Ależ oczywiście, zaraz odszukam odpowiednie miejsce w artykule. Musisz wiedzieć, że statystyczne badania nad samobójstwami wykazują, że istnieje ścisły związek między ilością samobójstw, a np. porą roku (najczęstsze są w maju, czerwcu i lipcu), a nawet porą dnia (najczęstsze między godziną 12 – 14 w południe). Jeśli chodzi o poszczególne zawody, to na pierwszym miejscu stoją lekarze, na drugim sędziowie, potem dyrektorzy banków, duchowni, dziennikarze, politycy. Takie dane z terenu Stanów Zjednoczonych podaje uczony Knopf. Jak widzisz zawodowi bandyci w tym wykazie, potwierdzonym zresztą badaniami niemieckimi i rosyjskimi, w ogóle nie figurują. A otóż i rozdział o samobójstwach w więzieniach. Badania naukowe przeprowadzone w wielu krajach wykazują, że w więzieniach samobójstwa popełniają przede wszystkim osobniki chore psychicznie i psychopatyczne. Z ludzi normalnych najczęściej popełniają samobójstwa przestępcy polityczni. O, tu jest zdanie, które ciebie szczególnie zainteresuje: „Zawodowi przestępcy pozbawiają się życia w więzieniach bardzo rzadko, zupełnie wyjątkowo”. Samobójstwa w aresztach, szczególnie natychmiast po aresztowaniu, dotyczą także wyłącznie przestępców politycznych. Zawodowy przestępca może je popełnić tylko w stanie silnego zamroczenia alkoholowego, lub w szalonym gniewie. Przecież Florek nie

był zamroczony alkoholem, ani patologicznie podniecony w chwili aresztowania?

– W aktach sprawy nie ma o tym mowy. Krył się i uciekał bardzo przytomnie, po aresztowaniu zachowywał się spokojnie.

– Widzisz, a moim zdaniem pospolity przestępca może zdobyć się na samobójstwo jedynie w stanie niepoczytalności. Czym jest samobójstwo? Ucieczką od życia, kapitulacją przed konsekwencjami pewnych czynów, lub sytuacji życiowych, które samobójcy w chwili zamachu wydają się nie do zniesienia.

Zaczął nalewać kawę do filiżanek:

– Pytam się ciebie, kapitanie, przed czym uciekał Florek? Czego się obawiał tak bardzo, że aż targnął się na własne życie?

– Mógł się bać kary za morderstwo – powiedział Zawieja głosem, w którym jednak nie było zbyt wiele pewności.

– Sam w to nie wierzysz – skrzywił się Werhar – zawodowy przestępca, który boi się kary za morderstwo? Jeśli nawet przyjąć, że groziła mu kara śmierci (co wcale nie jest pewne, ani oczywiste), to jakież zysk miał z tego, że sam zadał sobie tę śmierć na kilka miesięcy wcześniej? A przecież w większości spraw tego typu, o czym zabójca doskonale wiedział, karze się długoterminowym więzieniem, czyli Florek wymierzył

sobie karę wyższą od tej, która czekała go z rąk sędziów.

– Może chciał się ustrzec przed zdradzeniem jakichś tajemnic w śledztwie? – podsunął Zawieja masując w zamyśleniu swój podbródek.

– O, tutaj już jesteśmy bliżej rzeczywistości. Znane są liczne wypadki z czasów wojny, że więzień, aby nie wydać członków organizacji, aby nie zdradzić jej sekretów, popełniał samobójstwo. Ile trzeba jednak hartu i ideowości, żeby podjąć taką tragiczną decyzję! Przecież nie można posądzać pospolitego bandyty o takie poczucie obowiązku wobec swej bandy. Ostatecznie jego usługi były na pewno opłacane pieniędzmi i nie wierzę, żeby dowolna suma pieniędzy mogła kogoś skłonić do lojalności, która by przekraczała nawet granicę życia. Gdyby przyjąć odmienne zdanie, wówczas należałoby stwierdzić, że pospolity zbrodniarz Florek odznaczał się niepospolicie silnymi zasadami życiowymi, ba, wręcz dojrzałym systemem przekonań moralnych, żywym poczuciem obowiązku moralnego itd. A to przecież jest nonsens, nieprawdaż?

Kapitan już od kilku minut zrozumiał do czego prowadzi wywód profesora, jednak perspektywy, jakie otwierały się po przyjęciu jego punktu widzenia, były tak dalekosiężne i... ponure, że kapitan zwlekał ze sformułowaniem jedyne narzucającego się wniosku.

Werhar kontynuował swój wykład wciąż zabawiając się rozczesywaniem i wicherzeniem bródki.

– To był właśnie pierwszy fałsz psychologiczny, który wyczułem od razu, jak tylko skończyłeś opowiadanie o śmierci Florka. Jest tutaj jeszcze jeden fakt sprzeczny z psychologią. Otóż Florek zażył cyjanek w areszcie. Wynikałoby z tego, że nosił go stale przy sobie, przygotowany właśnie na taką okoliczność. Znowu coś, co nie zdziwiłoby mnie np. u jakiegoś rewolucjonisty, a nawet u przestępcy politycznego, który działa z pobudek ideowych (to nie szkodzi, że z błędnych, ale przecież ideowych). Ale u przestępcy popełniającego zbrodnię z niskiej chęci zysku? Nie, mój drogi, równie dobrze mógłbyś przypuścić, że mój Tor nosi truciznę w obroży z myślą o tym, żeby ją zażyć, gdy jego pan go opuści... Powiedziałbym, że ta okoliczność jest jeszcze bardziej wymowna, niż sam fakt nieprawdopodobieństwa jego samobójstwa w ogóle.

W tym miejscu Zawieja nie zrozumiał dość jasno myśli profesora i poprosił o bliższe wyjaśnienie.

– Ależ to jest oczywiste. Mógłbyś podważać moją pierwszą teorię, twierdząc na przykład, że Florek mógł być niepoczytalny w chwili zamachu samobójczego, mimo że nie znajdujemy na to dowodów w aktach sprawy. I to byłby trudny do obalenia argument, ale tylko wtedy, gdyby bandyta powiesił się na pasku od spodni, lub na sznurowadłach, podciął sobie żyły

szkłem rozbitej szyby itd., gdyby działając w zamroczeniu użył do samobójstwa pierwszego lepszego przedmiotu, jaki podwinął mu się pod rękę. Ale u Boga Ojca, cyjanku potasu nie rozkłada się przecież po kątach. Cyjanek potasu wskazuje na premedytację, na przemyślenie i przygotowanie zawczasu trucizny – a to przy typie umysłowości i moralności Florka jest absolutnie nie prawdopodobne.

– Jesteś genialny, profesorze! – wykrzyknął Zawieja i aż powstał z fotela nie mogąc usiedzieć spokojnie.

– Nie jestem genialny, tylko mówię o rzeczach, na których się znam – zaprotestował Werhar. – Dla mnie jesteś równie genialny, kiedy mówisz o swojej specjalności. Ale ja jeszcze nie skończyłem.

Kapitan zatrzymał się i z oczekiwaniem wpatrzył się w profesora. Werhar wyjął z kieszeni kamizelki proszek od bólu głowy i podał go kapitanowi.

– Zażyj!

– Po co? Przecież mnie głowa nie boli!...

– Nie szkodzi, zażyj...

Kapitan pokręcił głową, ale znając dziwactwa przyjaciela, wziął proszek do ręki, do drugiej wziął filiżankę z kawą i podniósł proszek do ust.

Werhar powstrzymał go chwytając za rękę:

– Widzisz, to jest trzeci i ostatni fałsz psychologiczny w śmierci Florka. Truciznę się łyka w stanie skoncentrowanym i popija wodą, a nie rozpuszcza się

jej w kawie i dopiero potem pije w stanie rozcieńczonym, szczególnie w zamknięciu, kiedy lada moment ktoś może zajrzeć przez judasza, albo mogą kogoś nowego doprowadzić do aresztu. Nawet ze względów smakowych – a te wbrew pozorom nawet w obliczu śmierci nie przestają grać roli – łatwiej jest przełknąć od razu mały proszek i szybko go popić niż ciągnąć ze szklanki ćwierć litra zatrutej cieczy, mając świadomość tego, że jest zatruta.

– Więc ty sądzisz... – nie dokończył zdania Zawieja, ale uczynił to za niego Werhar:

– Sądzę to samo, co ty sądzisz w tej chwili.

– Logiczne to jest – zastanawiał się ze ściągniętymi brwiami kapitan. – Przy pomocy cyjanku usunięto świadka, który mógł sypać po wpadce. Dlatego zrobiono to w tak błyskawicznie krótkim czasie po jego aresztowaniu. Dobrze, ale kto to mógł zrobić, kto mógł dosypać cyjanku w milicyjnym areszcie?

– To już jest dziedzina, na której ty powinienesz się znać i w której spodziewam się od ciebie usłyszeć coś „genialnego” – z leciutką ironią w głosie powiedział Werhar.

W przedpokoju zadzwonił telefon:

– Przepraszam cię na chwilę – powiedział Werhar i poczłapał do hallu. Za nim powlókł się leniwie Tor. Kapitan zagłębił palce w gęstej czuprynie i właśnie usiłował uporządkować wnioski, jakie nasuwały się z

analizy, dokonanej przez Werhara, kiedy usłyszał głos profesora wzywający go do przedpokoju:

– Roman, to do ciebie! Z Komendy!

Kiedy Zawieja wrócił z przedpokoju, Werhar zaniepokoił się dziwnym wyrazem jego twarzy.

– Co się stało?

– Muszę natychmiast wyjeżdżać! Zadzwoni do mojej żony, że dziś na noc nie wrócę, bardzo cię proszę.

I już nakładał płaszcz, szukał oczyma teczki wotkniętej gdzieś między sterty książek zawałających krzesła i stół profesora.

– Ale słuchaj, jeśli możesz mi powiedzieć... Co się stało? Wyglądasz tak dziwnie – zaniepokoił się Werhar, pomagając szukać zawieruszonej teczki.

– Twoja hipoteza znalazła błyskawiczne potwierdzenie. Na dwudziestym trzecim kilometrze szosy otwockiej znaleziono włóki Czarnej Rączki.

– Kogo? – zdziwił się profesor. Kapitan machnął przepraszająco ręką:

– Ach, prawda, ty nic o nim jeszcze nie wiesz! Wiesz, to był taki mój Florek. Jedyne świadek, który dużo wiedział o tej sprawie i którego ja znałem.

Kapitan mocno zdenerwowany zbiegał schodami w dół: jeszcze jedno ogniwo, które wydawało mu się, że mocno trzyma w rękę, trzasło i nie mógł się opędzić myśli, że zrobił kapitalne głupstwo nie zatrzymując mimo wszystko, nawet wbrew prokuratorowi, Czarnej Rączki w areszcie.

2.

– Halo, Miedzeszyn? Halo, Miedzeszyn? Tu Komenda Stołeczna MO. Wystawcie natychmiast posterunki na rogatekach. Zatrzymajcie wszystkie wozy jadące w kierunku Warszawy, spisujcie personalia pasażerów i numery samochodów...

– Halo, Pilawa? Halo, Pilawa? Proszę nie przeszkadzać! Rozmowa służbowa! Wystawcie natychmiast posterunki na rogatekach...

Podczas gdy oficer dyżurny zdierał sobie gardło stawiając na nogi posterunki na drogach wiodących w różnych kierunkach z Otwocka, kapitan Zawieja szybko studiował mapę okolic Otwocka i notował na kartce następne dyspozycje, które miały być wykonane zanim sam wyjedzie na miejsce zabójstwa. Przy tej robocie zastał go sierżant magister Niedzielski; który jeszcze ze śladami snu na różowej, młodzieńczej twarzy przyjechał do Komendy bezlitośnie wyciągnięty z łóżka przez Jurka Piskorza.

– Obywatelu kapitanie!... – zaczął służbowo meldować się, ale Zawieja przerwał mu gestem ręki:

– Jesteście już? To dobrze! Zastrzelono Czarną Rączkę. Zaraz tam jedziemy. Dowiedzcie się, czy ambulans jest już gotów do wyjazdu za nami...

Nie upłynął kwadrans, a już obaj siedzieli w samochodzie, który prowadzony mistrzowską ręką Jurka Piskorza mknął opustoszałymi ulicami warszawskich

przedmieść. Raz tylko o mało nie najechali na jakąś mocno wymalowaną i chwiejącą się na nogach damę, która maszerowała środkiem ulicy, ale Jurek z reflekssem, którego mógłby mu pozazdrościć sam Drogosz, zahamował tak ostro, że siedzący przy nim sierżant Niedzielski wyrznął głową o szybę. Za moment mknęli dalej, zostawiając za sobą pomstującą na „blacharzy”¹ córę nocy.

¹ „Blacharz” – w żargonie złodziejskim nazwa milicjanta (od „blacha” – legitymacja służbowa).

– To tutaj – powiedział Zawieja, który od dwudziestego kilometra nie odrywał się od okna uważnie wpatrując się w klin światła wyrąbany w nocnych ciemnościach przez silne reflektory Warszawy. Jurek przyhamował zatrzymując wóz tam, gdzie na szosie stało kilka osób.

Milicjant stojący na straży przy zwłokach złożył krótki raport o odkryciu zwłok.

– A to są dwaj traktorzyści, którzy pierwsi odkryli zwłoki i zaalarmowali posterunek – zakończył wskazując na dwóch cywilów stojących o kilka kroków i spokojnie palących papierosy.

– Pozwólcie, panowie, bliżej – przywołał ich kapitan. – Jak to było?

Wyższy i chyba starszy z traktorzystów podszedł tak blisko, że kapitan poczuł bijący od niego zapach dieslowskiego paliwa:

– Ano jechaliśmy z Otwocka do Warszawy i jakieś trzy kilometry stąd minął nas samochód. Elegancki, zagraniczny. I dlatego właśnie wpadł nam w oko.

– Jakiej marki? – wtrącił pytanie Zawieja. Jednak traktorzyści nie umieli dać na to pytanie odpowiedzi, podali jedynie, że wóz był nowoczesny i był jasnobrązowego koloru.

– Numeru nie pamiętacie panowie?

Nie, oczywiście nie pamiętali, kto by tam numery zapamiętywał. Ale niższy traktorzysta przypomniał, że wóz miał bardzo dziwny numer. – Jeszcze mówiłem kumploszczakowi, że od cholery musi mieć forsy ten facet, którego stać na taki samochód...

– A kierowcy, ani pasażerów nie dojrzelście?

– Panie! Taka ćma, że chyba kot by dojrzał! Zresztą jechał prędko, może siedemdziesiątką, a nasz Ursus, sam pan wie, to k a r a b a n...

– No i co było dalej? – zagadnął kapitan, a sierżant Niedzielski zdziwił się, że kapitanowi tak nie śpieszno do obejrzenia samych zwłok, które szarzały w ciemności podłużnym, ponurym kształtem w rowie przydrożnym.

– No i dalej to dojechaliśmy tutaj i zobaczyliśmy trupa w rowie. A co dalej było, to już pan posterunkowy mówił...

Zawieja zastanowił się chwilę, po czym zapytał:

– Nie rozumiem dlaczego panowie zaczęli swoją opowieść od tamtego samochodu? Przecież zwłoki

możliście odkryć nawet nie widząc uprzednio eleganc-
kiej maszyny...

Sierżant Niedzielski poruszył się niespokojnie, bo to samo pytanie korciło go od minuty, tylko nie śmiał przerywać rozpytywania świadków przez kapitana. Starszy traktorzysta ruszył ramionami:

– My byśmy go wcale nie odkryli, żeby nie ten samochód. Taka ciemna noc, człowiek wyślepia oczy na szosę, a nie myszkuje po rowach. Tylko właśnie, że kiedy wyjechaliśmy z tego zakrętu, zobaczyliśmy czerwone światła samochodu stojącego w tym miejscu. I wtedy Felek mówi: Ty, patrzaj. Znowuż ten szykowny wóz...

– I tylko to powiedziałem, a tu samochód ruszył i pojechał jak szatan w stronę Warszawy...

– Jeśli było tak ciemno, to po czym poznaliście, że to był ten sam wóz? – zapytał Zawieja szacując wzrokiem odległość od zakrętu na dobre sto metrów – przecież wasze reflektory na pewno go nie sięgały...

– Żeby to nie był taki nowoczesny samochód, to byśmy go nie poznali, ale ten miał cholernie wielkie światła pozycyjne, jak talerze... Wie pan, Amerykanie lubią rozmach...

– I jeszcze w środku, między pozycyjnymi światłami, miał taką oświetloną czerwoną strzałkę z plastiku – wtrącił drugi traktorzysta.

– I to, że ten samochód stał właśnie tutaj, zwróciło waszą uwagę?

– Ano właśnie. Felek powiedział, że faceci się na pewno za potrzebą zatrzymali, a to i mnie przypomniało, że czas zrobić zakurkę...

Od strony Warszawy wyblęły nagle światła dwóch reflektorów i po chwili z piskiem opon zatrzymała się karetka kryminalistycznego ambulansu. Wskoczył z niej lekarz, fotograf, przewodnik psa służbowego i jeszcze jeden podoficer milicji. Niedzielski zrozumiał teraz, dlaczego kapitan nie przystępował natychmiast do oględzin zwłok i miejsca wypadku, lecz zaczął od przesłuchania dwóch traktorzystów. W ciemnościach nie można było dokonać szczegółowych oględzin miejsca zbrodni i penetracji najbliższe go terenu.

Ludzie z ambulansu po krótkim przywitaniu natychmiast zaczęli czynić przygotowania. – Każdy według swojej specjalności. Fotograf rozstawiał statyw i reflektory, przewodnik psa zaczął szukać śladów, sierżant Niedzielski korzystając z tego, że krótką w tej porze roku noc zaczęła już blednąć, przystąpił do sporządzenia szkicu sytuacyjnego, lekarz oglądał zwłoki, przybyły z ambulansem podoficer przetrząsał uważnie teren. Zawieja krążył jedynie od jednego do drugiego, informując się o wynikach pracy, zaglądając przez ramię, ale nie przeszkadzając działać specjalistom, z których każdy wiedział co i jak ma zrobić, a których gotowe owoce pracy miały dopiero służyć kapitanowi do dalszego śledztwa.

– Przyczyna śmierci? – spytał zatrzymując się przy lekarzu oglądającym zwłoki Czarnej Rączki.

– Postrzał w głowę z naruszeniem mózgu – powiedział lekarz nie przerywając oględzin.

– Strzał z bliska? – spytał jeszcze Zawieja.

– Raczej tak, ale to ustalę dokładnie dopiero po sekcji zwłok – mruknął lekarz takim tonem, że Zawieja uznał za słuszne nie przeszkadzać dłużej i oddalić się w stronę przewodnika psa. Za nim jak wierny cień człapał Jurek Piskorz rozdzierający co chwilę szczęki uporczywym ziewaniem.

– Pies coś chwytą? – spytał przewodnika, który trzymając pięknego owczarka na smyczy penetrował z nim najbliższe otoczenie powtarzając co chwila: „Wąchaj, szukaj ślad!”. Przewodnik ruszył niechętnie ramionami:

– Tu by sam duch święty nic nie poradził, towarzyszu kapitanie. Ziemia dokoła zdeptana, jak na przystanku tramwajowym. To tak urządzili teren ci traktorzyści i tutejsza milicja...

Jurek Piskorz nie wytrzymał, żeby nie wsadzić swoich trzech groszy:

– Z wami to zawsze są trzy światy... Po cholereę pasie się takie bydle za kazonne pieniądze, kiedy jeszcze ani razu nie widziałem, żeby taki kundel co pomógł? Dla dekoracji chyba, bo pożytku z tych psów tyle, co gnoju...

Przewodnik psa szarpnął się w stronę Jurka, ale

obecność oficera powstrzymała go od ostrzejszej repliki.

– Spróbujcie krążyć kręgami o większym promieniu od miejsca wypadku – poradził Zawieja, ciągnąc Jurka za rękaw, żeby nie denerwował przewodnika, bo to natychmiast udziela się i psu i odrywa go od tropu...

– Obywatelu kapitanie! – usłyszał wołanie od strony rowu, w którym leżały zwłoki. W szarości światła zobaczył Niedzielskiego, jak przywołuje go ręką.

– Co jest? – spytał podchodząc do Niedzielskiego.

– Łuska – zawołał sierżant magister dumny, że to jemu właśnie udało się odnaleźć ten bardzo ważny dowód. Kapitan obejrzał uważnie łuskę. Była to łuska kal. 7.62 z datą produkcji 1948. Zaledwie kapitan zdążył polecić Niedzielskiemu zabezpieczenie dowodu, kiedy z kolei przywołał go przewodnik psa:

– Obywatelu kapitanie, jest trop!

Pies z pyskiem przyciśniętym do ziemi sunął pewnie na wyprężonej linie.

– Coś jest! Idziemy? – spytał przewodnik.

– Na pewno gdzieś w krzakach poczuł skórę od kiełbasy – nie omieszkał wyrazić swego zdania Jurek, ale kapitan kazał przewodnikowi iść za śladem. Oczywiście, według wszelkiego prawdopodobieństwa zabójca oddalił się samochodem, jeśli jednak pies coś wyczuł, trzeba sprawdzić ślad do końca. W miękkiej,

pulchnej ziemi ślady odcisnęły się wyraźnie, szli obok, żeby nie zacierać śladów, z których być może trzeba będzie zrobić odlewy gipsowe. Ślad kierował się w stronę pobliskiego zagajnika, który rzadką szczotką drzew czarno rysował się na stopniowo barwiącym się na łososiowo niebie. Przeszli tak ze trzysta metrów. Pod grubym rozłożystym drzewem ten ktoś widocznie zatrzymał się, gdyż śladów było wiele. Całe miejsce było zdeptane, co na rosistej trawie było widoczne najlepiej, kiedy się spojrzało na nią z ukosa. Pies zaczął krążyć po małym placyku pod drzewem, zataczając coraz mniejsze kółka, wreszcie cicho zaskowytał i zaczął kopać pod grubym, wykręconym korzeniem, którego część wystawała ponad ziemię. Po kilku grzebięciach łapami do tyłu wyleciał regularny, kwadratowy plaster darniny, wycięty widocznie nożem lub łopatą.

– Szukaj, Tumry, szukaj! – zachęcał psa przewodnik.

– Ja już widzę, jak ten Tumry wygrzebie starą kość – zjadliwie dogadywał Piskorz. I niemal natychmiast potem wykrzyknął:

– O, flek w ucho rąbany ! – co w jego języku oznaczało największe uznanie i zdziwienie. Tym, co tak zaskoczyło Jurka, był duży pakiet zawinięty w gazety i mocno obwiązany sznurkiem, który za kolejnym grzebięciem wyleciał spod nóg Tumrego.

– Oddaj, Tumry, oddaj! – rozkazał przewodnik psu, który natychmiast porwał zdobycz w zęby. Pies posłuszenie rozluźnił uchwyt szczęk i podoficer wręczył pakiet kapitanowi. Jurek Piskorz nieoczekiwanie zaczął okazywać zainteresowanie tym, co się dzieje na szczycie drzewa. Kapitan nie zajął się rozpakowywaniem paczki, tylko rozkazał:

– Starajcie się odnaleźć dalszy trop, bo ślad był jednokierunkowy, trzeba sprawdzić dokąd ten facet poszedł z tego miejsca...

Znów ruszyli po tropie, który kluczył trochę po zagajniku, potem skręcił na lewo i znów poprzez ściernisko skierował się na drogę, ale tym razem w odległości dwustu metrów od miejsca znalezienia zwłok Czarnej Rączki. Kiedy z mokrymi od rosy butami wyszli wreszcie na czarny asfalt szosy, pies zakręcił się niespokojnie, zaskomlał i stanął bezradnie.

– Dalej nie pójdzie – powiedział przewodnik – tutaj ślad się kończy...

– Ale dlaczego? – zaoponował Zawieja. – Przecież przez noc mało kto jeździł, lub chodził tą drogą, więc powinien podjąć ślad nawet po szosie.

Nieoczekiwanie odezwał się Jurek Piskorz, który od kilku chwil uważnie przyglądał się nawierzchni szosy:

– Ogólna konsternacja, czyli mówiąc po polsku „klops”, panie naczelniku... Facet odjechał stąd samochodem. O, widzi pan, tu są ślady hamowania, tu kilka

kropel oliwy „kapło” z karteru podczas postoju, a tędy odjechał do Warszawy.

Już pobieżna analiza śladów potwierdziła wersję Jurka Piskorza. Kapitan głośno zastanowił się, czy to jest ten sam samochód, o którym mówili traktorzyści, ale Jurek z przekonaniem zaprzeczał:

– Całkiem inny krój opony i rozstaw osi, sporutowałem dobrze odciski opon tamtej maszyny i wiem na pewno, że to był większy samochód od tego tutaj...

– Może masz rację, ale to jeszcze trzeba sprawdzić dokładnie. Syp, Jurek, szybko na miejsce wypadku i wezwij tutaj speców z ambulansu...

Kapitan dopiero teraz zaczął rozwijać pakiet owinięty w kilka gazet. Zauważył, że były to wczorajsze gazety krakowskie. W gazetach spoczywał nieduży przedmiot owinięty w przetłuszczone szmaty. Kiedy je odwinął, ukazał się czarny kształt wojskowego pistoletu TT. W magazynku nie było ani jednego naboju. Kiedy zajrzał do lufy, stwierdził, że była lśniąca jak lustro, bez żadnych śladów zakopceń i osmaień. To było najbardziej zastanawiające: jeśli trzymał w ręku narzędzie mordu na Czarnej Rączce, to kiedy morderca zdążył wyczyścić broń? Przecież traktorzyści przybyli na miejsce zbrodni najpóźniej w kwadrans Po luksusowym samochodzie? Spojrzał na numer pistoletu wytłoczony na rękojeści: C 1387 i tknięty jakąś myślą sięgnął do swego notesu. Taki sam numer widniał w jego notesie.

Był to numer zaginionego pistoletu Augusta Rehma!

Było to odkrycie tak oszałamiające, że bezwiednie upuścił gazety, które porwane wiatrem frunęły po czarnym asfalcie. Przewodnik psa rzucił się za nimi w pogon i za chwilę odniósł kapitanowi. Składając gazety Zawieja zauważył na jednej z nich jakieś znaki atramentowe. Był to szereg identycznych zawijasów lub podpisów, jakie robi normalnie człowiek usiłujący „rozpisać” zatkane wieczne pióro. Jednak nie te kreski w tej chwili przykuły uwagę kapitana, tylko strup zeschniętego kleju, na którym widniała reszta opaski, pod jaką przesyła się pocztę prenumeratom. Do tego kleju przywarła resztką opaski z adresem odbiorcy, na której fioletowymi czcionkami dawał się odczytać fragment adresu: ul. Die...

Rozległ się dźwięk klaksonu i w odległości kilkudziesięciu kroków zatrzymał się ambulans, z którego w biegu wyskoczył fotograf i ekspert kryminalistyczny. Po chwili nadjechał także Jurek Piskorz, zatrzymał jednak Warszawę za ambulansem i nie opuścił wozu, wciąż jeszcze nie mogąc darować naczelnikowi, że go użył przed chwilą jako swego posłańca.

3.

Dlaczego zabito Czarną Rączkę, tego kapitan się domyślał: alarm, jaki opryszek wzbudził w szajce donosząc

o zegarkowych podejrzeniach Zawiei, mógł skłonić szefów do przecięcia tej jedynej nitki, jaką przeciwnik trzymał w ręku. Kapitan nie wykluczał i tej możliwości, że Czarna Rączka wykorzystał okazję, aby spróbować szantażu wobec swych mocodawców i domagał się specjalnej zapłaty za swe milczenie. Zresztą nie to było teraz najważniejsze. Motywy zabicia recydywisty wyjaśnią się w zespole innych faktów, wciąż czekających na rozwiązanie. Najważniejsze było teraz dojście gdzie, kiedy i kto dokonał tego morderstwa? Sekcja zwłok przeprowadzona przez małego doktora Kałużnego stwierdziła, że śmierć Czarnej Rączki nastąpiła co najmniej dziesięć godzin przed odnalezieniem zwłok w rowie przydrożnym koło Otwocka.

– Dziesięć godzin – zastanawiał się w gabinecie kapitan Zawieja – to czas dostateczny na to, aby nie tylko wyczyścić pistolet, użyty jako narzędzie mordy, lecz także, aby przetransportować zwłoki z miejsca zabójstwa o kilkaset kilometrów – na przykład z... Krakowa pod Otwock.

Dlaczego właśnie z Krakowa? Oprócz gazet Zawieja miał jeszcze jedną poszlakę: sekcja operacyjna powiadomiła go, że wczoraj wieczorem jubiler Zgorzelski rozmawiał telefonicznie z kimś w Krakowie. Rozmowa była krótka: „Postarajcie się być około północy w Otwocku”. Niestety rozmówca krakowski mówił z rozmównicy Głównego Urzędu Poczтового. Dlaczego

jednak zadano sobie tyle trudu i podjęto ryzykowny transport zwłok samochodem osobowym?

Początkowo niepokoiła go łuska znaleziona na miejscu domniemanego zabójstwa. Jeśli Czarną Rączkę zabito w Krakowie, to skąd łuska znalazła się w rowie pod Otwockiem? Czy porzucono ją celowo dla stworzenia pozorów, że zabójstwo zostało dokonane akurat w tym miejscu? To by było logiczne, ale w takim razie po co ukrywano w pobliżu również i pistolet, w dodatku tak wyczyszczony, że swoją czystością zaprzeczał tej wersji wydarzeń? Coś tutaj wyraźnie nie grało. Dopiero rusznikarska ekspertyza pistoletu Rehma i znalezionej łuski zapełniła tę lukę, okazało się bowiem, że rysy na łusce, jak też ślad uderzenia grota iglicznego w żaden sposób nie zgadzają się z charakterystyką komory naboju i grota iglicznego pistoletu Rehma. Zawiei spadł jeden kamień z serca. Łuska mogła przypadkowo znaleźć się w rowie, mogła wreszcie zostać podrzucona przez sprawców celem skierowania podejrzeń na inny egzemplarz broni, ale fatalna mosiężna rurka przestała już być tym nielogicznym momentem w całości odtworzonej przez kapitana sytuacji.

Śmierć Czarnej Rączki przerwała ważną nić, jaką kapitan posiadał w ręku, dostarczyła mu jednak nowego śladu. Kapitan nie zapomniał ani na chwilę o napisie na resztkach ocalonej banderoli pocztowej z „Gazety Krakowskiej”, w którą był owinięty pistolet TT.

Ul. Die... – to było wszystko, czego mógł się dowiedzieć o tajemniczym abonencie wojewódzkiej gazety. Był to jednak ślad bardzo ważny. Przecież dzięki niemu z tysięcy osiedli i miast, z setek tysięcy ulic, jakie istnieją w kraju, przy których mógł mieszkać zabójca, uzyskał niemal dokładny adres osoby, która jeśli nawet nie była sama zabójcą, musiała jednak znać zabójcę, lub przynajmniej raz się z nim skontaktować. Kwadrans studiów nad planem Krakowa wystarczył, aby się przekonać, że w podwawelskim grodzie jest tylko jedna i to ważna ulica, która się zaczyna od sylaby widocznej na opasce: jest nią ulica Dietla. Jest to długa ulica, ciągnąca się wzdłuż plantów z okazałymi kamienicami, położona w samym centrum miasta. Mogło się oczywiście okazać, że przy ulicy Dietla mieszka kilka tysięcy prenumeratorów „Gazety Krakowskiej”, ale jest to przecież zawsze znacznie mniej niż 28 milionów wszystkich obywateli, spośród których musiałby wyłapywać jednego, który dopuścił się morderstwa.

Oto dlaczego następnego dnia, późnym wieczorem sierżant magister Niedzielski ubrany w cywilny garnitur, z delegacją służbową w kieszeni wyjechał pospieszonym pociągiem do Krakowa. Zadania, jakie otrzymał od kapitana Zawiei, brzmiały: wynotować w miejskim oddziale „Ruchu” nazwiska i adresy wszystkich osób prenumerujących „Gazetę Krakowską” przy ulicy Dietla. Odszukać tajemniczego prenumeratora i znaleźć

ślad samochodu z czerwoną strzałą. Prócz delegacji służbowej sierżant Niedzielski miał w kieszeni jeszcze jedną kopertę, a w niej fotograficzną odbitkę dziwacznych zawijasów, ni to hieroglifów ni to podpisów, jakie na egzemplarzu gazety zrobił ktoś „rozpisując” zatkane wieczne pióro. Pospiesznie przeprowadzona analiza chemiczna atramentu dała jedną tylko wskazówkę, której wartości nie można było jeszcze na razie ocenić. Otóż eksperci wskazali, że ze względu na obecność w atramencie pewnych nie używanych w kraju, drogich składników przeciwdziałających krzepnięciu, należy przyjąć, że pióro napelnione było zagranicznym atramentem, prawdopodobnie atramentem Watermana. Zbyt mała ilość materiału dowodowego uniemożliwiła przeprowadzenie pełnej analizy jakościowej atramentu z podpisów na gazecie. Zawieja wiedział, że w komisach dużo jest importowanych atramentów, toteż nie przywiązywał do tej informacji większej wagi. Niedzielski zauważył mimochodem, że takich drogich importowanych atramentów używają niemal wyłącznie posiadacze cennych piór zagranicznych, zresztą z konieczności, gdyż cała konstrukcja takiego pióra jest dostosowana do niekrzepnących, lekko spływających atramentów. Ale kapitan przyjął tę dedukcję uśmiechem pobłażania:

– Mój kochany, robotnicy ani studenci nie jeżdżą również luksusowymi samochodami najnowszych zachodnich modeli. Po co szukać aż tak wymyślnych dowodów.

Zadanie magistra Niedzielskiego, choć trudne, nie było jednak beznadziejne. Oprócz wykazu abonentów „Ruchu” istnieją przecież jeszcze rejestry samochodów, a jeśli nawet kremowy wóz z czerwoną plastikową strzałą na tylnej ścianie nie jest zarejestrowany w Krakowie, to i tak powinien wryć się w pamięć mieszkańców ulicy Dietla, którzy nie stanowiąc wyjątku wśród rzeszy Polaków, żywo interesują się na pewno nowymi markami samochodów i jak wszyscy marzą o posiadaniu własnego.

Tak więc, opatrzoney szczegółowymi wskazówkami kapitana sierżant magister Niedzielski pojechał do Krakowa marząc w przedziale drugiej klasy, że z powrotem będzie już wracał w towarzystwie „związanego” zabójcy Czarnej Rączki.

Tymczasem kapitan Zawieja przez cały następny dzień miał pełne ręce roboty z wynikami analiz dostarczonych przez poszczególnych specjalistów z ambulan-su kryminalistycznego, którzy dokonali oględzin miejsca znalezienia zwłok Czarnej Rączki. W grubej tekturowej teczce z napisem „Vesta” przybył nowy plik protokołów, zdjęć i orzeczeń ekspertów, które wszystkie musiały być przez kapitana gruntownie przemyślane i włączone w łańcuch faktów znanych mu uprzednio. Jak by tego nie było dosyć, około południa nadeszły raporty z akcji pościgowej zarządzanej tamtej nocy na terenie

całego województwa. Były to setki meldunków podających numery i marki samochodów, które w godzinach pościgu przekraczały roгатki stolicy i pobliskich miast połączonych szosami z Otwockiem. Kapitan dosłownie utonął w tych raportach, szukając wyłącznie najnowszych typów samochodów.

Plon obławy był obfity. Złapano kilkunastu spekulantów, zakwestionowano kilka partii towarów, na które nie było rachunków, zatrzymano wreszcie dwóch jego mości, poszukiwanych od dawna za inne przestępstwo – ale to był tylko uboczny produkt zarządzanej obławy. Dla siebie, dla sprawy „Vesty” Zawieja niczego nie znalazł w tych raportach. Ściślej mówiąc niczego co by od razu, na pierwszy rzut oka, łączyło się z jego sprawą. To niepowodzenie nie nadwałilo jego energii i woli walki. Świadczy o tym choćby krótka wizyta, jaką złożył jeszcze tego samego dnia porucznikowi Komisiakowi, naczelnikowi wydziału operacyjnego.

– Jak się czujesz, stary koniu? – pozdrowił bezceremonialnie Komisiaka, wiedząc, że stary milicjant najłatwiej da się „zagaic” od strony swego zdrowia, które było przedmiotem jego nieustannej troski. Porucznik zaczął wyczerpujący wywód o swojej zgadze i chorobie wrzodowej żołądka, ale Zawieja wyczekał tylko tak długo, aż kolega połknął przynętę i z miną pełną współczucia powiedział:

– Potrzebny ci jest spokój, wypoczynek, mój stary!
– Tak odpocznę, ale pod darnią – machnął ręką Komisiak, który był wyraźnie w katastroficznym nastroju, ale rzucił koledze wdzięczne spojrzenie. – Ty oczywiście do mnie z jakąś sprawą?

– Niestety – uśmiechnął się przeproszająco Zawieja – i to ze sprawą, która ci nie ujmie, ale przysporzy roboty...

– Wiadomo, do mnie nikt z innymi sprawami nie przychodzi – skrzywił się boleśnie Komisiak, jak by mu ktoś włos z nosa wyrwał. – No, wal! Co tam masz w zanadrzu?

Zawieja podał porucznikowi wykaz samochodów, które z grubsza mogły podpaść pod wizerunek nakreślony przez obu traktorzystów. Były to wszystko samochody drogich, zagranicznych marek.

– I co ja mam z tym „brochem” zrobić? – zapytał Komisiak przerzucając wykaz, na którym było około trzydziestu numerów samochodów i marek.

– Nic nadzwyczajnego – rzucił niewinnym głosem Zawieja – chodzi o ustalenie miejsca pobytu tych maszyn, oraz sprawdzenie, która z nich jest koloru kremowego i ma wielkie pozycyjne światła wielkości spodeczków od konfitur, zaś na tylnej ścianie, czerwoną, plastikową strzałę.

Przerwał ten obrazowy opis, widząc, że Komisiak szybko notuje żądane dane, ale natychmiast dorzucił:

– Oczywiście interesuje mnie także nazwisko, adres i zawód właściciela, oraz miejsce stałego garażowania wozu...

Komisiak rozpiął nagle kołnierz munduru, jak by zrobiło mu się duszno.

– Nie denerwuj się, starszku – pochylił się z troską nad porucznikiem – jak wykazał Pawłow, nic tak nie pogarsza stanu choroby, jak nadmierne zdenerwowanie...

– Zwierzę! – zachrypiął Komisiak. – I to wszystko ma być oczywiście na jutro, co? – rzucił z sarkazmem, który powinien był spopielić bezwstydnego kapitana na miejscu.

– Na wczoraj, na wczoraj, starszku! – rejterował tyłem Zawieja, śmiejąc się z bezsilnej wściekłości szefa służby operacyjnej. Komisiak musiał sobie coś przypomnieć, bo nagle zatrzymał go ruchem ręki i z podejrzaną słodyczą w głosie zapytał, czy te dane potrzebne są kapitanowi dla sprawy „Vesty”.

– Oczywiście, tylko nią się teraz zajmuję,

– Ach tak – krzywo uśmiechnął się Komisiak – no to ja odłożę te całe poszukiwania pod bibułę.

Kapitana coś tknęło – zatrzymał się i gwałtownie poważniejąc zapytał:

– Słuchaj, bez kawałów! Ty coś wiesz!...

– Był tu przed godziną inspektor z Komendy Głównej i powiedział, że marnujesz czas na tę całą „Vestę,” i ze sprawę trzeba będzie umorzyć, bo jednak

okazało się, że pierwsza wersja jest słuszna. Znalazły się podobno jakieś dodatkowe fakty i dowody.

Kapitan poczuł, że blednie, na skórze zaś występuje mu gęsia skórka. Chwycił Komisiaka za rękę.

– Słuchaj, ty chyba kpisz?

– Puść, wariacie, zrobisz mi siniaka – szarpnął się Komisiak. – Naprawdę był tutaj inspektor Reszkiewicz z KG, tylko że ty byłeś wtedy w zakładzie medycyny sądowej...

– Reszkiewicz? – powtórzył Zawieja marszcząc czoło, jak by sobie usiłował przypomnieć to nazwisko.

– Czego się drzesz? – triumfował Komisiak. – No, Reszkiewicz, inspektor Komendy Głównej i wygląda na bardzo niezadowolonego z szumu, jaki robisz dookoła tej dawno wyjaśnionej sprawy. Jeszcze tak powiedział do mnie: „Jest tyle prawdziwych spraw czekających wyjaśnienia, że nie można pozwolić sobie na luksus wałkowania całymi tygodniami dawno wyjaśnionych”.

Brał teraz najwyraźniej odwet za wszystkie złośliwości kolegi, ale jego słowa nie docierały do kapitana, który zacięty i skupiony stał przed biurkiem rozcierając z wysiłkiem czoło.

– No, czegoś tak zbasiał, Romek? – zaniepokoił się nagle Komisiak, który mimo wiecznych kłótni i wzajemnie płątanych psikusów lubił kapitana. – Że ci sprawę umorzą? Wielka draka, babą z wozu...

– Ty nawet nie wiesz, jaka może być z tego draka – odpowiedział Zawieja patrząc ponuro na zarzucone papierami biurko – bo ja tej sprawy nie dam sobie odebrać. Ona się dopiero rozkręca, a ten bałwan chce ją umorzyć!

– Ty, ostrożniej! To mimo wszystko jest inspektor Komendy Głównej – przestrzegł go porucznik Komisiak, dla którego Komenda Główna była szczytem, nad którym było już tylko niebo.

Wreszcie Zawieja otrząsnął się z przygnębienia, zacisnął szczęki i szorstko powiedział do Komisiaka:

– A ty jednak szukaj tego samochodu! Choćby piorniki trzaskały, szukaj i musisz go znaleźć! Musisz, rozumiano!

– Tak jest! – odruchowo stuknął obcasami Komisiak i wyprężył się jak po otrzymaniu rozkazu, mimo że porucznik, jako samodzielny naczelnik wydziału zajmował wyższe stanowisko, niż kapitan Zawieja, który był tylko kierownikiem sekcji.

Wróciwszy do swojego pokoju kapitan nie zdążył jeszcze zebrać myśli i uporządkować wrażeń po rewelacji zakomunikowanej mu przez Komisiaka, kiedy drzwi się uchyliły i w szczelinie weszło piegowate słońce – rozdziawiona uśmiechem twarz Jurka Piskorza.

– Można, panie naczelniku?

– Akurat tylko ciebie jeszcze tutaj brakowało – westchnął Zawieja.

– Jak nie, to nie – obraził się Jurek – ja mogę sobie iść...

– No, cóż tam znowu? – spytał zmęczonym głosem Zawieja.

– Nudzę się, panie naczelniku! – westchnął ciężko Jurek Piskorz.

– Co? Ty tęsknisz za pracą? Nieprawdopodobne!

– Kto mówi o pracy? Mnie się tak chce pracować, jak wilkowi orać – ale siedzieć furt w samochodzie, jak jaki pies w budzie, to mi też nie k o n w o j u j e ...

– Nie konweniuję – poprawił odruchowo Zawieja, a Jurek aż podskoczył z radości:

– O, widzi pan naczelnik, wyskoczylibyśmy gdzieś, podjechali, porozmawiali o tym, co i jak się mówi! A nie tak kamieniem siedzieć w tym pudełku – wskazał pogardliwie ruchem głowy na białe ściany pokoju. – Samochód, jak koń, jak za długo stoi, to mu stawy zeszywnieją, a kierownica to też nie patelnia i jak się nią nie kręci, to rdzewieje – sadził się na dowcipy, żeby tylko skłonić kapitana do wyjazdu z Komendy.

Kapitan drgnął – ostatnie zdanie Jurka Piskorza nasygnęło mu pewien pomysł. Zapytał Jurka czy zna wielu szoferów.

– O jej, na pęczki, panie naczelniku! Choć ich teraz tyłu się namnożyło, że jak kijem rzucisz, to zawsze w jakiegoś szofera trafisz. A najgorsi to ci amatorzy, w literę „H” szarpani...

Kapitan nie chciał jednak słuchać kolejnej prelekcji na temat kategorii i jakości szoferów warszawskich, toteż przerwał gadule w pół słowa, pytając czy chciałby mu pomóc w pewnej operacyjnej pracy.

– Jeśli samochodem – zastrzegł się Jurek – to może być i r e p e r a c y j n a ...

– Samochodem, samochodem – uspokoił go Zawieja, po czym krótko powtórzył to wszystko, co przedtem powiedział Komisiakowi o interesującym go samochodzie z czerwoną plastikową strzałą na tylnej ścianie.

Jurkowi aż uszy poczerwieniały z przejęcia:

– Zrobi się, panie naczelniku!

– No, no, nie przechwalaj się – tego samochodu szuka już porucznik Komisiak z całym wydziałem operacyjnym...

– Phi, cały wydział! Tutaj szoferska „baśka” potrzebna, a nie wydział zająćców, który nie odróżnia Buicka od byka – zarozumiale powiedział Jurek.

– Tylko pojedź do domu i przebierz się w cywilne ubranie.

– Się wie, panie naczelniku, sprawa delikatna i tutaj trzeba występować *in corpore*...

– Dobrze, dobrze, idź występuj „*in corpore*”, „*incognito*”, jak chcesz, tylko żebym cię nie oglądał ani minuty dłużej – wypędził go gestem ręki z pokoju.

Podczas gdy kapitan ze zdenerwowaniem oczekiwał przybycia inspektora Reszkiewicza, przygotowując

wszystkie argumenty dla obrony sprawy „Vesty”, w jego przedpokoju siedział cierpliwie, czekając na przyjęcie, starszy pan o siwiejących skroniach. Interesant nazywał się Kowalski i był wyższym urzędnikiem w Biurze Importu Urządzeń Precyzyjnych. Już po raz drugi przyszedł do kapitana bez wezwania. Przed kilku dniami odwiedził go w równie niedogodnym momencie, kiedy to Zawieja po raz pierwszy skojarzył sprawę zegarków znalezionych przy Czarnej Rączce z zabójstwem Rehmów.

Kwadransy płynęły, zbliżał się termin ważnej konferencji w Ministerstwie Zdrowia, toteż naczelnik Kowalski przypomniał się sekretarce zajętej przepisywaniem korespondencji kapitana.

– Nie wiem, czy kapitan pana przyjmie – powiedziała z wahaniem – wrócił w bardzo złym nastroju i zdaje się czeka teraz na kogoś z Komendy Głównej.

– Proszę panią, to naprawdę bardzo ważna sprawa – nalegał naczelnik Kowalski – a ja za pół godziny muszę być na pewnej konferencji u ministra...

Dopiero słowo „minister” wywarło na sekretarce wrażenie, bo zdecydowała się wbrew zakazowi Zawiei wejść do gabinetu. Po chwili wyszła i poprosiła naczelnika Kowalskiego do kapitana. Zawieja przyjął go spojrzeniem zmęczonym i pełnym zniechęcenia:

- Proszę, niech pan siada, panie...
- Kowalski – przypomniał się naczelnik.
- Słusznie, panie Kowalski – nikle uśmiechnął

się przepraszać za swój brak pamięci – mam niestety bardzo niewiele czasu...

– Ja również – powiedział Kowalski z zażenowaniem mnąc rękawiczki w dłoniach. – Czy pan pamięta moją poprzednią wizytę, panie kapitanie?

– Oczywiście. Przyszedł pan wówczas dobrowolnie złożyć zeznania świadczące korzystnie o Augustie Rehmie jako o pracowniku pańskiej instytucji. Szczególnie podkreślił pan jego solidność i rzetelność – odpowiedział Zawieja.

– Tak, tak rzeczywiście było – niespokojnie poruszył się na krześle Kowalski i nerwowo pomacał się po podbródku, jak by chciał sprawdzić stan swego zarostu. – Dzisiaj, jak pan widzi, znowu przychodzę bez wezwania. Pana to na pewno dziwi, nieprawdaż?

– Bardzo cenimy sobie obywateli, którzy chcą nam pomóc w wykrywaniu przestępstw – powiedział kapitan i zaczął uważnie przyglądać się Kowalskiemu. Na jego wygolone policzki wybił rumieniec:

– To taka dwuznaczna sytuacja, panie kapitanie, ale ja naprawdę doszedłem do wniosku, że nie mogę milczeć o dokonanym odkryciu, szczególnie, że poprzednio złożyłem tak diametralnie różne zeznania. Wie pan, że od wczoraj nie mogę przyjść do siebie. Każdego mógłbym podejrzewać, ale Rehma?

Kapitan pochylił się przez biurko:

– Spokojnie, panie naczelniku, spokojnie i po kolei! O jakim odkryciu pan wspomina?

Naczelnik Kowalski był bardzo zdenerwowany, wi-
dać było, że walczą w nim dwie tendencje: niechęć wła-
ściwa inteligentowi do niedyskrecji i zeznań pachną-
cych donosicielstwem i silniejszy od nich obowiązek
moralny.

Zacinając się zaczął opowiadać:

– Dyrektor naczelny polecił mi przejąć wszystkie
akta i dokumenty po Augustie Rehmie. Pan rozumie –
Rehm kierował u nas wydziałem importowym i bezkró-
lewie w tym kluczowym wydziale nie mogło się prze-
dłużać...

Kapitan skinął ze zrozumieniem głową i nie przery-
wając mówiącemu słuchał dalej opowiadania.

– Zdjąłem więc przedwczoraj pieczęcie z jego
biurka i, szaf i w towarzystwie jego byłej sekretarki
zacząłem zapoznawać się ze stanem dokumentów i ko-
respondencji. Szczególną uwagę zwróciliśmy na kore-
spondencję, gdyż mogły tam być listy w sprawie róż-
nych ważnych transakcji handlowych wymagające
szybkiej odpowiedzi. Istotnie było wiele takich listów,
ale nie o nich pragnę tutaj mówić.

Znów się zawahał, jak by to, co miał powiedzieć, nie
chciało mu przejść przez gardło. Zawieja zdecydował
się dopomóc:

– Zapewne trafił pan na korespondencję prywatną
Rehma?

Kowalski rzucił mu spłoszone spojrzenie:

– Rzeczywiście tak było. Czyżby pan kapitan już o tym wiedział?

Zawieja pokręcił przecząco głową:

– Nie, tylko domyśliłem się. I co było w tej prywatnej korespondencji?

Naczelnik Kowalski głośno przełknął ślinę:

– To nawet trudno nazwać prywatną korespondencją, choć była rzeczywiście adresowana na nazwisko Rehma. Dotyczyła jednak spraw handlowych. Były to umowy z pewną firmą austriacką na dostawy większych partii zegarków, zawarte formalnie na blankietach Biura Importowego, opatrzone naszymi stemplami i pieczęciami...

– Ja na razie nie widzę w tym nic podejrzanego. O ile mi wiadomo Rehm zawierał w imieniu Biura dziesiątki takich umów – udał niedomyślnego kapitan.

– Tak, ale o tych umowach nic nie wiedzieliśmy, my w Biurze. Z tą firmą nie zawarliśmy po wojnie ani jednej oficjalnej umowy importowej – wyrzucił z siebie naczelnik Kowalski i otarł chusteczką spocone czoło. Kapitan gwizdnął cichutko i zabębnił palcami po biurku:

– O to chodzi! Czy jest pan pewien, że zegarków marki Longines nie sprowadzano po wojnie oficjalnie do kraju?

Kowalski odruchowo potwierdził, ale natychmiast

zreflektował się i spojrzął z przestraszeniem na kapitana:

– Kto panu powiedział, że chodziło tutaj o zegarki marki Longines? Ja przecież tego jeszcze nie powiedziałem?

Zawieja uśmiechnął się:

– Przecież my też coś robimy w tej sprawie i coś niecoś wiemy, panie naczelniku. Ustalmy jednak jeszcze kilka szczegółów technicznych: a więc Rehm pod przykrywką Biura Importu sprowadzał na własną rękę zegarki do kraju.

– To okropne, ale tak musiało być.

– Dobrze. Co uzyskiwał dzięki posługiwaniu się blankietami waszego Biura?

– Importowane przez nas towary są zwolnione od opłat celnych – zgnębionym głosem wyjaśnił naczelnik Kowalski. – Bo byłoby przecież nonsensem, gdyby państwo ścigało z siebie cło za importowane towary.

– Czy władze celne nie mogły wpaść na trop całej kombinacji, choćby tylko dlatego, że zegarki przychodziły na nazwisko Augusta Rehma, a nie na oficjalny adres Biura Urządzeń Precyzyjnych? – indagował dalej Zawieja. Naczelnik Kowalski ruszył bezradnie ramionami:

– Niestety, ten proceder mógł trwać całymi latami, nie budząc niczyich podejrzeń. Widzi pan, handel zagraniczny to rzecz delikatna. Szczególnie w dzisiejszym

świecie podzielonym na wrogie obozy polityczne i wojskowe. Zdarza się, że ze względów taktycznych, czy dyplomatycznych jakaś zachodnia firma nie może, lub nie chce zawrzeć oficjalnej umowy z komunistyczną państwową firmą importową, wówczas obie strony posługują się podstawionymi osobami „prywatnymi”, które po prostu firmują całą transakcję dokonywaną na zamówienie instytucji państwowych. Szczególnie często to ma miejsce wtedy, kiedy chodzi o reeksport, jak w danym wypadku.

– Reeksport? – uniósł brwi do góry Zawieja, oczekując bliższych wyjaśnień.

– Tak, reeksport. August Rehm dokonywał transakcji nie bezpośrednio w Szwajcarii, lecz za pośrednictwem firmy austriackiej, która najpierw wwoziła za dewizy zegarki do Austrii, dopiero stamtąd reeksportowała je do Polski, pobierając za to oczywiście prowizję.

– Aha, teraz już rozumiem. Ale jeszcze jedno: czy Rehm odbierał zegarki osobiście w komorze celnej?

– Tego nie wiem, ale chyba osobiście. Przesyłki były przecież adresowane na jego nazwisko. Na pewno też posługiwał się przy tym zaświadczeniami naszego Biura zwalniającymi go od opłaty celnej. Niestety, na jego stanowisku takie upoważnienia mógł sobie sam wystawić bez ograniczeń.

– Ile zegarków marki Longines zostało w ten sposób przemyconych do Polski na nazwisko Rehma?

– Pięćset – powiedział z trudem naczelnik Kowalski.

– To jest – jeśli się nie mylę – wartość około miliona złotych?

– Co najmniej.

Zawieja intensywnie zastanawiał się nad dalszymi pytaniami, które mogłyby wyjaśnić mu wszystkie okoliczności „interesu” Augusta Rehma.

– Wie pan, wciąż myślę o możliwości wykrycia takiego procederu. Czy może mi pan na przykład wyjaśnić, jak regulowano należność za zegarki. Przecież dokonanie transferu dewiz idących w dziesiątki tysięcy dolarów, nie mogło się odbywać z pominięciem Narodowego Banku Polskiego, a ściślej konta dewizowego waszego Biura. O ile zaś potrafię zrozumieć, że Rehm mógł maskować całą korespondencję w sprawie nielegalnego importu, to nie byłby w stanie ukryć operacji dewizowej, ani przed bankiem, ani przed dyrekcją Biura.

Kowalski machnął desperacko ręką:

– Oczywiście, że gdyby Rehm zapłacił za zegarki oficjalnie dewizami naszego Biura, to cała afera wydałaby się w ciągu jednego dnia. Rzecz w tym, że wszystkie umowy noszą adnotację, iż należność zostanie opłacona inkasem, czyli żywą gotówką w Wiedniu. Dewizy w ogóle nie przekraczały granic państwa. Przynajmniej drogą oficjalną – dodał pośpiesznie.

– Czyli, że za każdym razem był ktoś w Wiedniu, kto regulował całość należności żywą gotówką za zegarki wysłane do Polski na nazwisko Rehma – zastanawiał się głośno Zawieja – ponieważ zaś trudno uwierzyć w istnienie Św. Mikołaja, który by robił bezinteresownie takie milionowej wartości podarki, trzeba przyjąć, że otrzymywał swoistą rekompensatę za swoją uczynność w inny, choć nie mniej nielegalny sposób.

Kowalski uśmiechnął się bezradnie:

– Tego ja już nie mogę wiedzieć, panie kapitanie!

– Oczywiście, oczywiście – pospieszył go uspokoić Zawieja – ja tak po prostu głośno myślałem. W każdym bądź razie bardzo panu dziękuję za zeznania, które wydatnie pomogą w prowadzeniu śledztwa. Ale jutro będzie pan musiał jeszcze raz pofatygować się do mnie.

– Po co? – zaniepokoił się naczelnik Kowalski.

– Nic groźnego, trzeba będzie podpisać stenogram naszej rozmowy i chciałbym otrzymać od pana te listy, o których pan mówił. Po sporządzeniu fotokopii otrzyma je pan z powrotem. A propos – jak nazywa się firma pośrednicząca w Wiedniu w transakcjach Rehma?

– Johann Lippert et Co, Langgasse 24 – odpowiedział naczelnik Kowalski i zauważył, że były to jedyne słowa, które kapitan zanotował na papierze. Skąd on

wytrząśnie stenogram naszej rozmowy? – dziwił się naczelnik żegnając Zawieję.

Po wyjściu naczelnika Zawieja nie zajął się jednak taśmą, na której były nagrane zeznania Kowalskiego, tylko zaczął redagować dwa kablogramy. Jeden, który natychmiast poniosła do tłumaczenia zakochana w swoim szefie sekretarka, prosił Dyрекcję Policji Wiedeńskiej o informacje dotyczące firmy Johann Lippert et Co, Langgasse 24. Drugi, po uzyskaniu klauzuli Komendanta Miasta, został nadany telefonicznie do wszystkich komend miejskich i powiatowych MO z prośbą o ustalenie w sklepach komisowych i zegarmistrzowskich liczby znajdujących się w sprzedaży nowych zegarków firmy Longines, jak też ustalenia nazwisk i adresów osób, które dostarczyły zegarki do sprzedaży komisowej.

4.

Jurek Piskorz bardzo się przejął swoim „reperacyjnym” zadaniem. Poszukiwania rozpoczął od nawiązania kontaktu z kierowcami wozów milicyjnych. Kiedy jednak żaden z nich, jak tego się można było spodziewać, nie potrafił nic powiedzieć na temat kremowej maszyny z czerwoną plastikową strzałą na tylnej ścianie, przedsiębiorczy chłopak zaczął objeżdżać stacje obsługi samochodów. Ale liczni jak grzyby przyjaciele i znajomi

Jurka rozkładali ręce słysząc pytanie o tajemniczy samochód: „Słuchaj, koleś, kto by ich wszystkich spamiętał? Może i był jaki z czerwoną strzałą, ale kto by tam na takie głupstwa zwracał uwagę, jak szef pogania i trzeba normę wyrabiać?”. Jurek uganiał na samochodzie, zaklinał i błagał, aby przynajmniej w przyszłości zwracali uwagę na potrzebny mu samochód. „To jest chromolenie kotka, przy pomocy młotka” – ocenił wreszcie surowo własne metody śledcze i postanowił poszukać współpracowników. Nie taka łatwa ta „reparacyjna” robota, jak mu się wydawało!

Koło „Polonii” zatrzymały go czerwone światła. Z włączonym biegiem czekał na zmianę świateł, kiedy nagle ktoś zabębnił kułakiem po dachu wozu i Jurek usłyszał wołanie: „Jak pragnę złapać forsiastego flimona. – to przecież Jurek!”. I przez szybę zajrzała bajecznie kolorowa i bajecznie rozkudłana dziewczyna, która nosiła swój zawód wypisany jak na szyldzie na jaskrawo umalowanej twarzy. Jurek ucieszył się: Sam los mu pomaga!

– Mała, jak się czujesz, nie kaszlesz, nie plujesz? – powitał ją sakramentalnym powitaniem niebieskich ptaków i uczynnie otworzył drzwiczki samochodu.

– Podwieziesz, Jurek, naprawdę? – pisnęła z zachwytem dziewczyna i wnet zaczęła przywoływać dwie koleżanki stojące na rogu ulicy.

– Chodźcie, chodźcie, spotkałam przyjaciela z samochodem.

– Ty, Czarna – zaczął niby to groźnie Jurek – ja tylko ciebie zaprosiłem, a ty mi całą „Polonię” na łeb ściągasz! Moja Warszawa, to nie bajzel na kółkach!

Ale z głosu można było wnosić, że jest raczej zadowolony z biegu spraw, toteż i pozostałe dwie dziewczyny bez przeszkód wpakowały się na tylne siedzenie, piskiem i chichotami dając wyraz swej radości z nieoczekiwanej frajdy.

– To jest Mańka, a to Wiga – przedstawiła Czarna obie swoje koleżanki i po tej bardzo uproszczonej ceremonii przedstawienia zapytała rzeczowo: – No to dokąd jadziem?

Jurek zaproponował małą knajpę na Wale Miedzeszyńskim i propozycja ta została przyjęta z uznaniem. Po drodze Czarna zdołała półgłosem uświadomić Jurka, żeby grzeczniej traktował Wigę.

– A co ona jest dziewczica koreańska, czy jaka rozparcelowana hrabina?

– Dziewica nie dziewczica, ale mówię ci, że to z tych lepszych. Kategoria „S”, rozumiesz, tylko dla zagranicznych i to z grubą forszą. Ale ja ją lubię za to, że nie gardzi nami, zwykłymi rogówkami i gruzinkami, nosa nie zadziera, choć ma szkołę i po zagranicznemu gada.

– Dobra, dobra, będę dla niej jak aksamit – mruknął lekceważąco Jurek, ale ciekawie zerknął do lusterka,

w którym dojrzał twarz tej „lepszej”. Była rzeczywiście ubrana gustowniej i mniej wyzywająco wymalowana od pozostałych, ale Jurkowi mimo to nie podobała się: taka jakaś skąpa w sobie i deskowata – zawyrokował. Głośno zaś powiedział do Czarnej:

– Mała, wiesz – ona jest z Kielc. Na szmelc!

Kiedy w zacisznej knajpce nad Wisłą zjedli już po kotlecie schabowym i wypili po jednej wódce, Piskorz wytarłszy starannie nos w demonstracyjnie wyjętą z kieszeni chustkę wielkości żagła wstawił taką g a d k ę do trzech dziewic Koryntu:

– No, panienki, pojedlim, popilim, czas mówić o interesach...

– O interesach? – zdziwiła się Mańka, zwracając ku niemu twarz szeroką jak naleśnik.

– A co wy myślicie, że ja jestem b a ł a j ¹ z kasy chorych, że was za darmo karetką woził będę? Jeśli palę kazionną benzynę i futruję was schaboszczakami z czterdziestoprocentową g o ł d ą, to chyba nie dla pięknych oczu. Za to wszystko musicie mi zapłacić – nie forszą oczywiście, ale zapłacić musicie wszystkie.

– Jak to wszystkie? – otworzyła szeroko oczy Czarna. – Wszystkie trzy naraz?

– Pewnie, że wszystkie i to jeszcze dzisiaj – kategoriście stwierdził Jurek.

– A to świnią! – ze zgorzeniem powiedziała Wiga

¹ „Bałaj” – w języku sutenerów „lekarz”.

krzywiąc lekko ukarminowane wargi. – Żebyś wiedziała o co ci chodzi, to bym wcale tutaj nie przyjechała! Też mi coś – szofer!

– No, ty mała, tylko szoferami sobie dzioba nie wycieraj! – zagroził Jurek, po czym wyjaśnił, że ich domysły co do rodzaju żądanej zapłaty idą w całkiem niewłaściwym kierunku. Zapominają, że jest milicjantem, a nie... Muszą mu pomóc znaleźć pewien samochód... Opowiedział jakąś zręczną bajeczkę, dlaczego mu na tym samochodzie zależy. Powiedział wszystko, co było mu wiadome o wyglądzie poszukiwanego wozu, po dwa razy kazał dziewczętom powtórzyć, żeby się upewnić, że niczego nie uroniły z jego instrukcji, wreszcie zakończył w ten sposób:

– Macie do cholery i trochę kumpelek, na wszystkich ulicach i przed wszystkimi hotelami i lokalami, zmobilizujcie ten wydział „reperacyjny” w kieckach i „porutujcie” daną maszynę, jak by od niej wasze życie zależało. Która da „cyng”, gdzie ten wóz ze strzałką się znajduje, może być spokojna, że jej włos z ondulacji nie spadnie, jeśli nawet przydarzy się jej taki „niefart”, że w łapance do aresztu się dostanie. A ode mnie oprócz tego dostanie wielką wódkę z zagrychą w „Kaskadzie”...

Jurek wyznaczył tę niezbyt zgodną z przepisami „nagrode” na własną odpowiedzialność, znał jednak dobrze środowisko warszawskiego półświatka i wiedział, że największym postrachem jego obywatelk

były łapanki urządzone co pewien czas przez wydział obyczajowy MO. Wiedział również, że już nie jeden raz doraźnie zwerbowane do współpracy prostytutki potrafiły dokonać tego, nad czym na próżno biedzili się oficerowie operacyjni.

– Nagroda nie licha – mruknęła Mańka – można spróbować, no nie, Wiga?

Arystokratka ulicy w odpowiedzi ruszyła pogardliwie ramionami, ale pytanie, jakie za chwilę postawiła niedbałym tonem, świadczyło, że i ona nie jest obojętna wobec propozycji piegowatego „blacharza”.

– A jakby coś wyszło, to kogo mamy zawiadomić?

– A kogóż by? Mnie! – odparł Jurek, nadymając się pychą. – Będę cały wieczór i całą noc dyżurował w garażu. A oto numer telefonu...

Wszystkie trzy zapisały sobie numer. Czarna zrobiła to przy pomocy ołówka do brwi. W ten sposób oprócz funkcjonariuszy porucznika Komisiaka zaczął działać w Warszawie zmontowany ad hoc „wydział operacyjny” Jurka Piskorza, który, jak prawdziwy dowódca akcji, zasiadł przy telefonie, czekając na pierwsze meldunki swoich niezwykłych funkcjonariuszy śledczych.

5.

Kapitan Reszkiewicz przybył do Komendy dopiero po obiedzie. Zawieja, który obawiał się, że będzie to

tępa piła i waśniak, z ulgą stwierdził, że inspektor Komendy Głównej, przynajmniej na pierwszy rzut okiem niczym nie uzasadniał tych obaw. Był to łysawy blondyn o pełnej twarzy i zdradzających dobry apetyt różowych, łakomych wargach. Ubrany w dobrze skrojony garnitur z modną kamizelką, w brązowych butach na grubej słoninowej podeszwie bardziej wyglądał na możnego kupca z Marszałkowskiej niż na inspektora milicji. Kiedy poczęstował Zawieję „Playersami”, których świeżo napoczętą paczkę wyjął z kieszeni, kapitan pomyślał: ile też zarabiają inspektorzy Komendy Głównej, jeśli ich stać na taki szyk?

Reszkiewicz dostrzegł widocznie spojrzenie, jakie Zawieja rzucił na drogie papierosy, bo od niechcenia wyjaśnił:

– Palcie, kapitanie. Imperialistyczne. Dostałem cały karton w podarunku od jednego Amerykanina, któremu odnalazłem aparat fotograficzny skradziony w „Bristolu”... Kiep kto daje, ale jeszcze większy kiep, kto nie bierze jak dają – zacytował Zagłobę inspektor Komendy Głównej i wypuścił pod sufit kłęb pachnącego, opiumowanego dymu...

Zawieja pomyślał, że taką maksymę mógłby wygłosić każdy łapownik, ale milczał, bo ostatecznie nie miał żadnego powodu, aby drażnić eleganckiego oficera, który trzymał w dłoniach losy „Vesty”.

Po kilku ogólnikach na temat pogody i przeciążenia pracą inspektor Reszkiewicz przystąpił do rzeczy.

– Pieprzycie się z tą „Vesta”, jak kot z gorącą kaszą – powiedział bez ogródek – a tutaj czekają poważne i nie urojone sprawy. Ot na przykład zabójstwo starej Konwickiej na Pradze, pseudo „Doktorowa”, która fabrykowała balsam kapucyński. Albo nie wyjaśniona tajemnica śmierci pani S., co do której istnieją poszlaki, że została otruta przez swego męża lekarza. Zrozumcie, my nie możemy pozwolić na to, aby jeden z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych siedział tygodniami nad sprawą, która już dawno została wyjaśniona, podczas gdy tyle świeżych i ważnych spraw partaczą żółtodzioby...

– Kiedy sprawa „Vesty” zdradza szereg nowych i nieoczekiwanych powiązań – zaproponował Zawieja – można z niej wyjść na nowe i to bardzo poważne przestępstwa...

Inspektor Reszkiewicz skrzywił się, jak by go nagle zabolaly zęby:

– Oj, mówicie jak noworodek. Każda sprawa posiada wiele powiązań i z każdej sprawy można wyjść na dalsze, nowe przestępstwa. Ale czy my jesteśmy w stanie rozsupływać każdą sprawę do końca, jeśli gromadzą się zaległości spraw nowych i tylko co odkrytych? Podczas gdy wy rozmazujecie starą sprawę, w nowych zacierają się ślady, urywają się kontakty, które gdyby zostały podjęte natychmiast, doprowadziłyby do szybkiego ujęcia przestępcy. A jak potem wygląda nasz

wskaźnik wykrywalności przestępstw? – uderzył najcięższym argumentem. – A wicie przecież, że ci w gorze nie chcą nic wiedzieć o powiązaniach i wyjściach na nowe przestępstwa – ich interesuje procent wykrywalności przestępstw i według tego procentu oceniają naszą robotę, odpalają premie i kredyty na inwestycje...

– To jest najbardziej karygodna krótkowzroczność – zdenerwował się Zawieja. – Większa korzyść z jednej sprawy wyczyszczonej do końca, niż z pięciu załatwionych po łebkach...

Reszkiewicz dmuchnął dymem i pokiwał z politowaniem głową:

– Marzyciel. Chcecie zmienić świat? Byli już tacy i najwyżej łby sobie porozbijali trykając głową o mur, który chcieli przebić... Władze chcą procentów, więc trzeba robić procenty! Jesteście milicjantem a me filozofem!

Kapitan nie mógł zaprzeczyć, że z określonego punktu widzenia to, co mówi Reszkiewicz, jest logiczne. Rzecz w tym, że nie mógł i nie chciał przyjąć tego „określonego punktu widzenia”. Zaczął go namiętnie przekonywać, że sprawa „Vesty” wcale nie jest wyjaśniona, że już w tej chwili ma dostateczną ilość dowodów na to, iż wyniki pierwszego dochodzenia były błędne. Rehm nie popełnił samobójstwa i nie zabił swojej żony, zostali oboje zamordowani...

– Przez kogo? – spytał niedowierzająco Reszkiewicz,

bawiąc się eleganckim automatycznym ołówkiem.

– Osoby zabójcy jeszcze nie znam. Ale wiem, że zabili go ci, z którymi Rehm w jakiś sposób był zamieszany w aferę przemytniczą zegarków... Zresztą następną ofiarą, zabity przed kilkoma dniami Czarna Rączka świadczy, że sprawa „Vesty” nie wygasła wraz ze śmiercią Rehmów.

Reszkiewicz ruszył nieprzekonany ramionami:

– Jeśli to jest afera przemytnicza, to powinien się tym zająć wydział gospodarczy, nam nie wolno marnować czasu „kryminalisty” na przestępstwa gospodarcze. Niech oni sami troszczą się o swoje procenty...

– Ale nie da się wyjaśnić afery przemytniczej bez wyjaśnienia zabójstwa i zabójstwa bez wyjaśnienia afery – zgorączkował się kapitan – te dwie sprawy są ściśle ze sobą związane i wzajemnie uwarunkowane!

– Wszystko jest związane i wzajemnie uwarunkowane ze wszystkim – wyrozumiale uśmiechnął się inspektor Reszkiewicz – tego nas uczono jeszcze na szkoleniu ideologicznym. I co z tego?

Wreszcie po długich targach i molestowaniach Zawieja wytargował tyle, że inspektor zgodził się, aby kapitan jeszcze przez tydzień zajmował się sprawą „Vesty”, po czym zdecydowanie przekaże sprawę wydziałowi gospodarczemu. Inspektor zabrał na wieczór wszystkie akta „Vesty” do przestudiowania. Dopiero

po jego wyjściu Zawieja przypomniał sobie, że brak w nich nieprzepisanego jeszcze na maszynie stenogramu zeznań naczelnika Kowalskiego, jak też kopii obu kablogramów nadanych do Wiednia i komend powiatowych. Był jednak tak zdenerwowany i zły na inspektora, że machnął tylko ręką i postanowił nie informować go na razie o tym, że otrzymał akta niekompletne.

ROZDZIAŁ V

1.

Sierżant magister Niedzielski nie zmarnował trzech dni pobytu w Krakowie, ale pod koniec drugiego dnia znacznie zredukował swoje ambicje. Przestał już marzyć o tym, że przywiezie zakutego w kajdanki mordercę Czarnej Rączki i przedstawi go kapitanowi mówiąc z fałszywą skromnością: „Proszę, oto jest człowiek, którego poszukiwaliśmy”. Po dwóch dniach wyteżonej, nie znającej godzin urzędowych pracy, doszedł do wniosku, że jeżeli mu się uda zdobyć choć jeden pewny ślad, choćby kilka nowych poszlak, to będzie dużo.

Już po przybyciu do Krakowa otrzymał w Komen-dzie Wojewódzkiej telefonogram od Zawiei, w którym

kapitan podawał mu numery i marki samochodów zarejestrowanych na podwarszawskich szosach w czasie zarządzonej obławy. W Wydziale Drogowym WRN okazało się, że tylko jeden wóz spośród zanotowanych przez warszawską milicję drogową był rejestrowany na stałe w Krakowie. Niedzielski mógł się dowiedzieć, do kogo należy ten samochód, jaki jest zawód właściciela i uzyskać wszelkie inne informacje o wozie i kierowcy. Cóż z tego, kiedy z karty rejestracyjnej wynikało, że był to stary samochód marki Hannomag, a jak wiadomo, poszukiwany przez kapitana wóz był supernowoczesną maszyną. Sierżant i magister w jednej osobie wiedział, że brak samochodu w rejestrze krakowskim nie obala jeszcze hipotezy kapitana Zawiei o tym, że mordercy przybyli do Otwocka z Krakowa, ale to pierwsze rozczarowanie podziałało na niego jak zimny prysznic.

Jeszcze trudniejszą sprawą okazało się ustalenie tożsamości nieznanego abonenta „Gazety Krakowskiej”. Według aktualnego wykazu „Ruchu” przy ulicy Dietla mieszkało 352 prenumeratorów tej gazety. Zakładając, że sprawdzenie osobiste każdego z nich zajęłoby tylko pół godziny, trzeba by było miesiąca czasu na to nieprawdopodobnie marudne zadanie. I jak dokonać tej weryfikacji nie budząc podejrzeń zainteresowanych? Wreszcie jak wyluskać spośród 352 ludzi tego jednego, który zawiązał w swój egzemplarz gazety pistolet TT?

Pod koniec drugiego dnia magister Niedzielski wstąpił do eleganckiej kawiarni przy Plantach i patrząc na jadące tramwaje i samochody usiłował opracować jakiś realny plan działania. Jego młoda jeszcze chłopięca twarz była skupiona i poważna i tak się zatopił w myślach, że nie dosłyszał, kiedy kelnerka w białym fartuszkach i zgrabnym czepku na głowie spytała go, czego sobie życzy.

– Małą kawę i ciastko. I dwa ciastka – poprawił się prędko, gdyż był wielkim łakomczuchem i jeśli go nikt ze znajomych nie widział, opychał się słodyczami jak dziecko.

– Kawa czarna czy „murzynek”? – spytała kelnerka notując zamówienie.

– A co to jest „murzynek”? – zdziwił się, nie znając tej krakowskiej nazwy.

– Kawa ze śmietanką.

– To niech będzie „murzynek” – zgodził się, ubolewając w duchu nad niegodnym kryminalistyką pociąganiem do rozkoszy podniebienia.

Nad tym właśnie „murzynkiem” spędził w kawiarni bitą godzinę, nieczuły na kokieteryjne spojrzenia i uśmiechy słane mu przez przystojną kelnerkę, której bardzo przypadł do gustu ten młodzieniec nad wiek poważny i elegancki. Niedzielski nigdy nie był flirciarzem, a teraz szczególnie był odległy od chęci zawierania jakichkolwiek znajomości. Starał się przede wszystkim ustalić hierarchię i kolejność zadań.

Zdecydował, że najpierw musi ustalić tożsamość i miejsce pobytu eleganckiego samochodu z czerwoną strzałą, a dopiero potem szukać nieznanego prenumeratora gazety. Samochód był jeden i rzucał się w oczy, prenumeratorów zaś było 352 i na razie wszyscy byli podobni do siebie. Po drugie, zależało mu przecież nie na byle jakim prenumeratorze, lecz na tym jedynie, który miał coś wspólnego z samochodem lub przynajmniej z jego właścicielem. A więc bezspornie klucz do wykonania zadania tkwił w samochodzie. Tylko jak go znaleźć?

– Może pan jeszcze coś życzy? – fertyczna kelnerka zalotnie uśmiechnęła się podchodząc blisko do stolika. Niedzielski obrzucił spojrzeniem niemal pustą salę i przeniósł wzrok na kelnerkę. Chwilę się namyślał, wreszcie na jego wargach ocienionych pierwszym, miękkim jak puch zarostem, pojawił się uśmiech.

– Wypiłbym kieliszek jakiegoś likieru, ale pod warunkiem, że pani będzie mi towarzyszyła.

Kelnerka poczęła tłumaczyć się, że tego jej nie wolno robić, że kierownik kawiarni będzie krzywo na to patrzeć, ale jak zwykle bywa, kiedy ktoś się broni tylko po to, żeby ulec – po krótkim wzdraganiu się – przyjęła zaproszenie Niedzielskiego.

Już po pięciu minutach wiedzieli o sobie wszystko, to znaczy Niedzielski wiedział o niej wszystko, ona zaś dowiedziała się o nim tyle, ile uznał za stosowne jej

powiedzieć. Powiedział jej, że jest z zawodu kierowcą. Jego szef jest teraz w Nowej Hucie, on zaś ma parę godzin wolnych.

– Ach, zazdroścę panu – powiedziała marząca kelnerka – ile pan świata zwiedzi, ile się pan najęździ samochodem...

Niedzielski skromnie, zaprzeczył, twierdząc, że jeździ najczęściej po Warszawie, a takie wypadki na dalsze trasy należą, niestety, do rzadkości.

– To pan warszawiak? – klasnęła w dłonie kelnerka i natychmiast zwierzyła się, że i ona jest warszawianką i dopiero po powstaniu wyemigrowała do Krakowa. Temperatura rozmowy skoczyła od razu o kilka stopni i natychmiast też znalazł się pasjonujący temat w postaci zestawiania cech charakteru warszawiaków i krakowiaków, przy czym zdaniem kelnerki „kudy tam” krakowiakom do mieszkańców stolicy! Niedzielski powoli, ale stanowczo nawrócił rozmowę na temat samochodów. Ubolewał nad przestarzałością Warszawy, wychwalał wozy zagraniczne. Przygotowawszy w ten sposób, jak mu się zdawało, dostatecznie grunt, zapytał, czy jego nowa znajoma nie widziała czasem wspaniałej maszyny barwy kremowo-czekoladowej, z czerwoną plastikową strzałą na tylnej ścianie.

Kelnerka obrzuciła go ciekawym spojrzeniem:

– A dlaczego pana ona interesuje?

– Ach, spotkałem ją przed kilku dniami na szosie,

jak stała uszkodzona i zaciągnąłem ją na linie do warsztatu. Facet nie miał forsy, żeby mi zapłacić i kazał się zgłosić na ulicę Dietla, ale pech chciał, że zgubiłem kartkę z numerem domu. A przecież Kraków, to nie Grójec i nie tak łatwo kogoś znaleźć, jak się nie zna numeru domu...

Kelnerka pokiwała głową, po czym ściągnąwszy brwi namyślała się chwilę:

– Niech pan zaczeka. Był taki jeden wóz, jakoś tak przed obiadem przed paru dniami. Kremowo-czekoladowy – mówiła z namysłem – jego właściciel taki przystojny, wysoki brunet, kilka razy przychodził do nas na kawę... Ale czy ten samochód miał czerwoną strzałę na tyle? – zastanawiała się.

– Irenko! – zawołała do przechodzącej obok koleżanki. – Czy ty pamiętasz tego faceta, który przed kilku dniami przyjeżdżał do nas taką elegancką, kremowo-czekoladową maszyną?

– Bo co? – spytała zagadnięta, nie wiadomo dlaczego oblewając się gwałtownym rumieńcem.

– Nic, tylko chodzi o to, czy na jego samochodzie była z tyłu taka czerwona strzała. Ten pan pyta się, bo tamten facet jest winien mu forszę.

– To pan zna tego cudzoziemca? – badała nieufnie kelnerka, która przy bliższym przyjrzeniu się okazała się również całkiem apetycznym kociakiem.

– Taka tam znajomość! – machnął niedbale ręką sierzant magister notując w pamięci informację, że

kierowca nieznanego mu wozu był cudzoziemcem. – Ot, stał na drodze, bo mu „delko” nawaliło i ja go zataszczyłem na linie do warsztatu. Obiecał mi za to złociszów...

– Ale jego już nie ma w Krakowie, mówił mi u Pollera, że następnego dnia wyjeżdża do Warszawy – urwała gwałtownie widząc, że w ten sposób zdradziła niepotrzebnie swoją bliższą znajomość z zagranicznym gościem.

– A co ty z nim robiłaś w hotelu Pollera? – podejrzliwie zapytała pierwsza kelnerka. Dziewczyna zamiast odpowiedzi zrobiła się czerwona jak burak, zaś sierżant Niedzielski uznał, że nie należy pogłębiać jej zmieszania i wybawił ją od kłopotliwego pytania,

– Do diabła z Pollerem – powiedział z umyślną brutalnością – mnie chodzi o to, czy to był ten facet i ten sam wóz z czerwoną strzałą.

– A jakże, miał taką strzałę – zaczęła trajkotać druga kelnerka, żeby zagadać niedyskrecję swojej koleżanki – a w nocy to ta strzała się nawet świeciła... – i biedaczka znów urwała, bo mimo woli wygadała się znów, że jeździła samochodem nocą, podczas gdy, jak wynikało ze słów jej koleżanki, nieznanany dżentelmen bywał w kawiarni tylko koło południa. Sierżant Niedzielski zawahał się przez chwilę, czy ma ją zapytać o numer rejestracyjny samochodu, ale lekkomyślna kelnerka wykorzystała krótką pauzę i uciekła do kuchni. Zresztą i tak było mało prawdopodobne, aby mogła zapamiętać

numer. Do tego trzeba nie kobiecej głowy – pomyślał z zarozumiałością, właściwą bardzo młodym mężczyznom.

– Widział pan? Była z nim w hotelu Pollera! – zgorszyła się warszawianka. – A na pewno co rano lata do kościoła, jak wszystkie krakowianki! Ja tam nigdy nie zdecydowałabym się na coś podobnego. Przynajmniej dla pieniędzy, z kimś kto mi się nie podoba – uśmiechnęła się zalotnie, dając młodemu „kierowcy” do zrozumienia, że on mógłby być wyjątkiem od tej niezłomnej zasady.

Ale Niedzielskiemu nagle zaczęło się bardzo spieszyć, obiecał kelnerce, że jeśli uda mu się wyciągnąć pieniądze od cudzoziemca, to zaprosi ją po fajerancie na dansing, po czym zapłacił niezbyt wysoki rachunek i wyszedł z kawiarni.

W hotelu Pollera okazał nabitemu tłuszczem kierownikowi legitymację i zażądał wglądu do księgi meldunkowej. Kierownik zdenerwował się bardzo wizytą funkcjonariusza milicji i to aż z Warszawy i zacierając ręczki i raz po raz wycierając zroszone potem czoło wyłaził wprost ze skóry, żeby jak najprędzej udzielić żądanych informacji i pozbyć się kłopotliwego gościa.

– U nas zatrzymuje się wielu cudzoziemców – odpowiadał na pytania Niedzielskiego – więc trudno mi powiedzieć, o którego może szanownemu panu chodzić...

– Chodzi mi o mężczyznę wysokiego wzrostu, który mieszkał tutaj przed trzema, no, może przed czterema dniami. Mężczyzna ten miał samochód barwy czekoladowo-kremowej, najnowszego typu z czerwoną strzałą plastikową na tyle...

– To chyba pan Homolacs – tak, to może być tylko on – zabębnił niespokojnie serdelkowatymi palcami po grubej książce meldunkowej. – Ale ta naprawdę bardzo przyzwoity i zamożny człowiek...

– Nie pytam pana o opinię o panu Homolacs, tylko o jego personalia. Jeśli oczywiście rysopis i charakterystyka jego wozu zgadzają się – przeciął ostro Niedzielski, wskutek czego tłuszcioch wpadł w istną panikę. Palce mu się plątały, nie mógł odwrócić kartek książki, wreszcie odnalazł jednak potrzebną rubrykę, z której Niedzielski spisał odnośne informacje: Franz Homolacs, lat 40, obywatel austriacki, przybył z Wiednia dnia tego a tego, numer wizego pobytowego taki to a taki, zawód: dziennikarz. Przy tej rubryce zaniepokoił się: dziennikarz? Oczekiwał, że poszukiwany będzie kupcem, przemysłowcem (przecież chodziło o zegarki), ale dziennikarz!?! Jeszcze raz z naciskiem spytał kierownika, czy rysopis podany przez niego odpowiada Homolacsowi i czy był on posiadaczem samochodu takiego właśnie, jak opisał przed chwilą. Właściciel brzuska i łysiny był bliski płaczu:

– Panie kapitanie, ja naprawdę nie wiem... Pan

Homolacs był brunetem, był wysoki, ale czy to właśnie o niego chodzi panu kapitanowi? Przysięgam, że innych brunetów wysokich z zagranicy w tych dniach nie nowowaliśmy.

– A opis samochodu? – napierał bez litości Niedzielski.

– Miał samochód, owszem, był kremowy – ale ja się naprawdę jemu nie przyglądałem. Człowiek ma tyle pracy, panie kapitanie...

Awansowany naraz o tyle stopni służbowych sierżant Niedzielski wyprostował się z godnością i zapowiedział, że obecnie pragnie przesłuchać portiera i pokojówkę, która sprzątała w pokoju pan Homolacsa.

– To ja już będę wolny? – ucieszył się kierownik, który jak widać, nie lubił zbyt bliskich kontaktów z władzą.

– Owszem, będzie pan wolny. Aha, jeszcze jedno tylko, czy w pańskim hotelu zezwala się na to, że goście zagraniczni sprowadzają sobie kobiety na noc, do pokójów?

Grubas jęknął, jak by dostał nieoczekiwany cios w szczękę:

– Nieee, nnic mi o tym nie wiadomo... – wybełkotał i spojrzał z przerażeniem na surowego młodzieńca: Czy, nie daj Boże, wie on także o tym, że za przymknięcie oczu na nocne rozrywki pana Homolacsa otrzymał od austriackiego dziennikarza dwie butelki koniaku marki

„Hennessy”, które odsprzedał w komisie za siedemset złotych? Ale Niedzielski kiwnął głową i poprosił o przywołanie portiera i pokojówki.

Kiedy po godzinie wychodził z marmurowego hallu i znalazł się już na placu Teatralnym, był bogatszy o jeszcze jedną ważną informację: pan Homolacs kilkakrotnie przybywał do hotelu w towarzystwie niejakiego Jana Kawki, właściciela znanej w Krakowie dużej pracowni grawersko-złotniczej i fabryczki dewocjonaliów. Sam fakt przebywania zagranicznego dziennikarza w towarzystwie rzemieślnika był już dość zastanawiający. Ale do rangi pierwszorzędного śladu podnosił go dopiero ten fakt, że pracownia Jana Kawki mieściła się przy ulicy Dietla, jego zaś nazwisko figurowało na posiadanym przez Niedzielskiego spisie prenumeratorów „Gazety Krakowskiej”.

Sierżant magister Niedzielski czuł się jak rasowy pies, który chwycił wiatr i zaczyna iść po śladzie. Zapomniał o tym, że dawno już minęła pora obiadu. Bezpośrednio z hotelu udał się do znajdującego się w pobliżu strzeżonego parkingu samochodów. Dozorca parkingu, wąsaty inwalida z drewnianą nogą, doskonale pamiętał samochód z czerwoną strzałą i hojnego właściciela. Ale nawet i on nie pamiętał jednak numeru rejestracyjnego. Potwierdził za to zarówno to, że Homolacs przyjeżdżał kilkakrotnie z panem Kawką, jak też, że raz późnym wieczorem przywiózł autem dziewczynę,

której rysopis zgadzał się z rysopisem kelnerki z kawiarni.

Sierżant Niedzielski zanotował sobie w pamięci konieczność ustalenia personaliów kelnerki, ale odłożył to na wolniejszą chwilę i natychmiast udał się do pobliskiej stacji benzynowej, w której według informacji inwalidy pan Homolacs zaopatrywał się w benzynę. Dwie godziny zajęło mu przejrzanie wszystkich kwitów wystawionych za benzynę sprzedaną w ostatnim tygodniu, w których notowano numery samochodów. Uzył jednak od pracowników stacji jedną ważną wskazówkę: elegancki samochód był rejestrowany zagranicą i miał odmienne numery od polskich – tyle zapamiętał pracownik stacji benzynowej. Wśród setek obsłużonych w ostatnim tygodniu samochodów odnalazł kilkanaście z cudzoziemską numeracją. Wynotował je wszystkie, po czym siedząc w pobliskiej restauracji i jedząc z roztarżeniem obiad zaczął porównywać te numery z listą doręczoną mu przez kapitana Zawieję. Emocjonował się przy tym zajęciu nie mniej niż gracz w toto-lotka w dniu ogłoszenia wyników losowania. O mały włos nie zakrzuszył się kawałkiem łykowego befsztyka, kiedy nagle stwierdził, że jest jeden numer, który występuje w obu wykazach: CUX-C5. To jeszcze nie był żaden dowód, mogło się bowiem okazać, że przypadkowo zupełnie inny samochód zagraniczny tankował benzynę w Krakowie i potem w fatalną noc znalazł się w pobliżu

Warszawy i został wylegitymowany. Ale była to poszlaka, która bardzo łatwo mogła stać się ważnym śladem. Mimo, że do końca obiadu łamał sobie głowę, w jaki sposób bliżej zidentyfikować tajemniczy numer i ustalić, czy rzeczywiście należy do wozu Homolacsa, niczego jednak nie wymyślił i postanowił udać się do Komendy Miasta, aby zaczerpnąć bliższych informacji o dziwnym grawerze i właścicielu wytwórni dewocjonalistów, który znajduje się w tak zażyłych stosunkach z zagranicznymi dziennikarzami.

2.

Naczelnik Kowalski stawiał się punktualnie co do minuty na godzinę wyznaczoną przez kapitana Zawieję. Po przeczytaniu stenogramu rozmowy uwierzył go swym podpisem, po czym wręczył kapitanowi odnalezioną przez siebie korespondencję Rehma w sprawie nielegalnych transakcji importowych.

– Czy powiadomił pan Dyрекcję Biura Importu Urzędzeń Precyzyjnych o rewelacyjnych odkryciach dotyczących osoby Augusta Rehma? – spytał Zawieja wystawiając poświadczenie o przyjęciu dokumentów. Naczelnik Kowalski zmieształ się:

– O to chodzi, że sam nie wiem jak postąpić. Naczelnny dyrektor jest na urlopie i wraca dopiero za tydzień. A nie chciałem robić sensacji w biurze wokół

tej, bądź co bądź niemiłej dla nas wszystkich, sprawy. Szczególnie, że ja sam jestem poniekąd jej odkrywcą...

– Czyli, że na razie nikt nic nie wie, oprócz pana i mnie?...

– Na razie nikt.

– To bardzo dobrze. Proszę pana o utrzymanie wszystkiego w tajemnicy, dopóki nie zawiadomię pana, że zakaz już nie obowiązuje.

– Nawet przed dyrektorem naczelnym? – zafrasował się naczelnik Kowalski. – Nie wiem, czy mam prawo?

– Nawet przed naczelnym. Wydam panu w razie potrzeby pisemne zaświadczenie, że został pan do tego dla dobra śledztwa zobowiązany przez milicję...

– Boże, w co to się człowiek może mimo woli wpłatać? – westchnął zgnębiony naczelnik Kowalski, ale kapitan Zawieja nie mógł mu w niczym pomóc, rzucił mu tylko spojrzenie pełne otuchy i z szacunkiem zaczął żegnać skrupulatnego urzędnika, coś sobie jednak przypomniał, gdyż raz jeszcze poprosił go o zajęcie miejsca:

– Jeszcze jedno, panie naczelniku. Dużo wczoraj myślałem o pańskim odkryciu i zastanowiła mnie jedna rzecz: dlaczego dopiero blisko miesiąc po śmierci Augusta Rehma zdecydował się pan na przejrzenie pozostałych po nim dokumentów?

Kowalski spojrział na kapitana z widocznym zdziwieniem:

– Przecież to nie ode mnie zależało. Zająłem się tym dopiero przedwczoraj, gdyż przedwczoraj polecił mi to zrobić zastępca dyrektora naczelnego. Ja, panie kapitanie, jestem naczelnikiem tylko jednego wydziału...

Zawieja kiwnął głową na znak, że rozumie, iż sam Kowalski nie mógł nic tutaj zrobić, ale ciągnął dalej :

– I przez cały miesiąc w Biurze nie odczuwało się braku Rehma, nie odczuto potrzeby sprawdzenia tego, co po nim zostało w dokumentach?

– Ja naprawdę nie wiem do czego pan prowadzi... – zaczął mu się bacznie przyglądać Kowalski.

Zawieja nie zamierzał jednak bliżej wyjaśniać naczelnikowi Biura Importowego „do czego prowadzi”, lecz postawił następne pytanie, które pozornie nie miało nic wspólnego z poprzednimi.

– Jakie były stosunki Augusta Rehma z dyrektorem naczelnym?

– Tylko oficjalne, ale jak najbardziej poprawne.

– A z zastępcą naczelnego dyrektora?

– Jak najlepsze. O ile mi wiadomo, widywali się często na gruncie prywatnym, zdaje się, że byli starymi znajomymi, bodaj jeszcze sprzed wojny.

– Tak. A naczelnny dyrektor, mówi pan, wraca dopiero za tydzień z urlopu?

Naczelnik Kowalski kiwnął głową, ale był już wyraźnie

zdziwiony chaotycznymi pytaniami, stawianymi przez tego zazwyczaj bardzo logicznie myślącego oficera dochodzeniowego.

– Czy naczelny dyrektor wyjeżdżał na urlop na cały miesiąc, czy też na krócej?

– Wyjechał na cały miesiąc nad morze.

Zawieja krótko pomedytował, jak by coś obliczał w pamięci:

– Czyli, że urlop naczelnego dyrektora rozpoczął się mniej więcej w tydzień po śmierci Rehma.

Teraz z kolei naczelnik Kowalski musiał się zastanowić, przypominając sobie te bądź co bądź odległe wydarzenia. Ale gdy odpowiadał, miał głos człowieka zupełnie pewnego tego, co mówi:

– Urlop naczelnego dyrektora zaczął się rzeczywiście w kilka dni po śmierci Rehma, ale pamiętam, że w dniu odkrycia zwłok nie było go już w Warszawie, gdyż jeszcze wcześniej wyjechał służbowo do Gdańska, gdzie miał do załatwienia jakąś sprawę w naszym oddziale i stamtąd od razu miał udać się do Juraty na odpoczynek.

– No tak, teraz to już chyba rzeczywiście wszystko, co chciałem wiedzieć na ten temat – kapitan zmęczonym ruchem przeciągnął dłonią po czole. – Może tylko jeszcze jedno małe pytanie – dorzucił widząc, że Kowalski już powstał i szykuje się do wyjścia: – Jak się nazywa zastępca dyrektora naczelnego, który panu polecił przejrzeć spadku po Rehmie?

– Henryk Zgorzelski. Inżynier – powiedział naczelnik Kowalski, usiłując wyczytać w oczach kapitana, do czego mu były potrzebne te wszystkie informacje i w jakim związku mogłyby się one znajdować z ujawnioną przestępczą działalnością Augusta. Rehma.

– Zgorzelski... Zgorzelski... skąd ja znam to nazwisko – powtórzył kilkakrotnie kapitan, jak by coś sobie przypominał, a Kowalski poczuł zimne mrówki na plecach. – Czy czasem nie widziałem na Nowym Świecie jakiejś firmy o tym samym nazwisku?

Naczelnik odetchnął z ulgą:

– Ależ tak, rzeczywiście! Jest tam firma zegarmistrzowsko-jubilerska Mirosława Zgorzelskiego, brata naszego dyrektora Zgorzelskiego...

Zawieja roześmiał się:

– No widzi pan – teraz już będę mógł spać spokojnie, męczyłoby mnie to nazwisko przez cały dzień...

Kowalski odwzajemnił się uśmiechem:

– A ja już się przeraziłem, że znowu coś wyskoczy w rodzaju afery Rehma. Bo jeśli milicja zna czyjeś nazwisko, to nigdy nic z tego dobrego nie wyniknie...

– No, nie przesadzajmy! Znamy na przykład pańskie nazwisko, a nie tylko, że nie mamy do pana żadnych pretensji, lecz jesteśmy panu szczerze zobowiązani...

Rozstali się bardzo pogodnie, ale naczelnik Kowalski

byłby bardzo zdziwiony zmianą, jaka odmalowała się na twarzy kapitana, skoro tylko zamknęły się drzwi. Kapitan pobieżnie przestudiował przyniesione umowy i listy, po czym szybko wrzucił je do teczki, wyjął pęk kluczy do mieszkania Rehma i uprzedziwszy sekretarkę, że wróci dopiero za godzinę, wydał polecenie, aby Jurek Piskorz po powrocie przyjechał do niego pod dom na Nowogrodzkiej.

Na podwórku domu przy Nowogrodzkiej kapitana owionął piwniczny, stęchły zapach. Kupa śmieci piętrzyła się nadal przed śmietnikiem, na którym widniała tablica zabraniająca wyrzucania odpadków poza zbiornikiem. Znał dobrze drogę, toteż pewnie skierował się w stronę kuchennej klatki schodowej. Pieczęcie na drzwiach były nienaruszone. Dziurka od klucza, jak się przekonał, była zasnuta pajęczyną. Otworzył oba zamki i wszedł do kuchni.

3.

Jurek Piskorz wtargnął do pokoju sekretarki z szybkością trąby powietrznej:

– Pan naczelnik jest? – zawołał, ledwo otworzył drzwi i zrobił przy tym taki przeciąg, że wszystkie papiery sekretarki frunęły ze stołu i zawirowały w powietrzu.

– Drzwi! – krzyknęła rozpaczliwie sekretarka, po

czym zaczęła robić wymówki, że wchodzi do jej pokoju, jak do stajni, że nawet nie powie dzień dobry i jeszcze papiery rozrzuca, ale Jurek przerwał jej bez ceremonii.

– Ojej, nie mam czasu na słuchanie farmazonów! Mnie się ziemia pod nogami pali, a pani tutaj z drętwą mową o grzeczności! Pytam się raz jeszcze: jest pan naczelnik?

– Gbur! – pisnęła cienko sekretarka i odwróciła się do Jurka plecami. Szofer ruszył ramionami, pobiegł do drzwi gabinetu Zawiei, zapukał, otworzył, zajrzał i... puścił „wiąchę” przekleństw, ale taką czteropiętrową, milicyjną. Z komiczną rozpaczą raczej rzucił się, niż siadł na krzesło stojące obok biurka sekretarki. Sekretarka, której oblicze („twarz” byłaby tu słowem nie oddającym rozmiarów obrazy) skamieniało, zaczęła stukać na maszynie, udając, że poza nią nie ma nikogo w pokoju.

– No i gdzie ja go będę teraz szukać? – jęknął Jurek.

– Klap, klap, klap – maszyna nieczuła na strapienie kierowcy sucho stukała jak karabin maszynowy.

– Cały dzień i całą noc szukam dla niego tego samochodu, a jak go znalazłem, to naczelnika nie ma...

– Klap – maszyna na chwilkę ucichła, ale za moment ze zdwojoną zaciekłością sekretarka zaczęła bić w Boga ducha winne klawisze.

– Czy pani nie może na chwilę przestać z tym kłapaniem? – krzyknął wreszcie Jurek rozwścieczony jej obojętnością. – Człowiek nie może myśleć skoncercetować...

Zaległo długie milczenie wypełnione już tylko seriami maszyny do pisania. Jurek wstawał, spoglądał na zegarek, wyglądał przez okno, ale Zawieja wciąż nie przychodził. Tymczasem w duszy sekretarki walczyły ze sobą zaciętość i gniew na niegrzecznego szofera z obowiązkiem poinformowania go o miejscu przebywania kapitana Zawiei. Trzeba było jednak dobrego kwadransa, żeby wreszcie obowiązek zwyciężył i sekretarka nie odrywając oczu od klawiatury zimno wycedziła:

– Kapitan Zawieja jest w domu Rehmów przy Nowogrodzkiej i kazał panu tam natychmiast przyjechać...

Jurka jak by przeszył prąd elektryczny – chwycił czapkę, cisnął niedopałek papierosa i rzucił się w stronę drzwi. Na progu stanął jednak ha chwilę i powiedział ze złością:

– To pani wiedziała i nie powiedziała mi tego od razu?

– Bo ze mną trzeba grzecznie, kulturalnie – zaczęła sekretarka.

– To niech pani pracuje w jakim teatrze, albo w domu kultury, a nie w milicji, jak pani od mocniejszego słówka pokrzywki dostaje – przerwał jej bez ceremonii.

– A jeżeli przez pani fochy stanie się coś złego, to

pierwszy postaram się, żeby pani z pudła nie wylazła.

Sekretarka chwyciła się stołu, aż jej pobiegały panokcie, ale nim znalazła dość mocny epitet pod adresem aroganckiego szofera – Jurka już nie było w pokoju.

Kiedy w pięć minut później zajeżdżał „po kawalersku” przed ponurą kamienicę na Nowogrodzkiej, sprzed bramy wjazdowej ruszył ładny, nowoczesny samochód. Przez moment wydało mu się, że samochód ma na tylnej ścianie czerwoną plastikową strzałkę. Szybko jednak uspokoił się – był to wóz o zupełnie innym numerze, niż ten, który mu podała Wiga, a który miał należeć do pewnego zagranicznego mieszkańca hotelu Excelsior na Pradze. Ten wóz był bez wątpliwości krajowy i należał do prywatnego właściciela.

– Mają ludzie forszę – westchnął w duchu zazdrośnie wyjmując kluczyk ze stacyjki swojej Warszawy – taka hulajnoga na pewno kosztuje na czarnym rynku ze sto pięćdziesiąt patyków. – Zreflektował się jednak, że krzywdzi swoją umiłowaną Warszawę, bo poklepał czule samochód po zamkniętych drzwiczkach i w tejże chwili zaklął spostrzegłszy, że przednia opona podejrzenie „oklapła”. Musiał zmarnować trochę czasu na podpompowanie koła, które na szczęście okazało się nieuszkodzone. Dopiero uporawszy się z tym, niemal biegiem zanurzył się w ciemną czeluść bramy. Oślepiiony

nagłym przejściem z jaskrawo oświetlonej ulicy do ciemnego tunelu bramy zderzył się z jakąś kobietą śpieszącą w przeciwnym kierunku. – Oczu pani nie ma! – krzyknął Jurek, aby ubiec poszkodowaną i zapewnić sobie dogodną pozycję wyjściową w przewidywanej nie bez racji awanturze. Ale kobieta podniosła tylko torebkę, którą upuściła przy zderzeniu i natychmiast pobiegła w stronę wyjścia. Jurkowi wydało się, że słyszy płacz przerywany gorączkowo powtarzanymi słowami: „O, Jezu, o Jezu!” Zrobiło mu się głupio – może zrobił jej jakąś krzywdę? Ruszył jednak ramionami i pobiegł w stronę kuchennej klatki schodowej.

Drzwi wejściowe opatrzone mosiężną tabliczką z nazwiskiem Rehma, o dziwo, były nie zamknięte! Piskorz uśmiechnął się z satysfakcją: „pan naczelnik” dopuścił się tej samej lekkomyślności, za którą kiedyś objechał na perłowo ze szlaczkiem swego szofera. Wchodził powoli i ostrożnie, aby zaskoczyć kapitana. W mieszkaniu, w którym nic się nie zmieniło od ostatniego ich pobytu, panowała głucha cisza. Jurek stąpając na palcach przeszedł przez wąski korytarzyk dzielący kuchnię od sypialni, po czym wstrzymując oddech podsunął się pod drzwi wiodące do gabinetu Rehma. Były zamknięte. Położył ostrożnie rękę na klamce i chwilę posłuchawszy nagłym szarpnięciem pociągnął je do siebie wołając jednocześnie:

– Ręce do góry!

Zamiast oczekiwanego głosu Zawiei odpowiedziała mu głucha cisza. W pokoju nie było nikogo. Piskorz stanął zdetonowany na progu. – Co za cholera! Wszystko pootwierane, a jego nie ma? Rozejrzał się podejrzliwie po gabinecie, zatrzymując dłużej wzrok na pancерnej kasie, której drzwi były również uchylone i odsłaniały wnętrze pełne papierów i teczek. Nagle poczuł, że mróz przechodzi mu po kręgosłupie. Pod biurkiem dostrzegł nogi leżącego człowieka, obute w czarne pantofle. Były to pantofle kapitana Zawiei.

Trzeba oddać Jurkowi sprawiedliwość, że zachował się dzielnie i przytomnie. Szybko sięgnął w zanadrze i wyciągnął pistolet. Broń jego była niezawodna w działaniu, bo nie było tygodnia, aby Jurek nie przestrzelał jej w lasku na Bielanych. Z zarepetowanym pistoletem w garści dokonał błyskawicznych oględzin całego mieszkania łącznie z łazienką i dopiero stwierdziwszy, że nikogo nie ma, po zaryglowaniu drzwi wejściowych przystąpił spieszenie do leżącego na podłodze ciała. Zawieja leżał twarzą do ziemi. Z tyłu głowy widniał olbrzymi guz, z którego ciekła strużka krwi. Jurek odwrócił kapitana na plecy i na gwałt przypominając sobie wszystko, czego uczono go w szkole milicyjnej o pierwszej pomocy, rozpiął marynarkę i koszulę kapitana, po czym przyłożył ucho do piersi nadsluchując bicie serca. Z podniecenia jemu samemu tak waliło tętno w uszach, że ten sposób badania okazał się zupełnie nieprzydatny.

Wtedy wziął z biurka Rehma niklowany nóż do rozcinania papieru i przyłożył go do rozchylonych warg kapitana.

Odetchnął z ulgą widząc, jak niklowana powierzchnia noża pokrywa się lekką mgiełką oddechu. Poczuł, że coś go ściska w gardle, ale ofuknąwszy się w duchu: „Tylko się tutaj nie rozklejaj!” pobiegł do kuchni, aby po powrocie wylać na twarz kapitana kubełek wody. Nie żałował jej, toteż wkrótce Zawieja wyglądał jak po dyngusie, ale ku radości Jurka powieki kapitana drgnęły i po chwili otworzył oczy.

– Panie naczelniku! – krzyknął Jurek chwytając kapitana za rękę, ale snadź było to tylko chwilowe odzyskanie przytomności, bo źrenice jego znów zmętniały i kapitan popadł w ponowne omdlenie.

Jurek strzepnął bezradnie palcami:

– Psiakrew, i co teraz robić? Ależ oczywiście, trzeba wezwać pogotowie!

Skoczył do telefonu, podniósł słuchawkę i zaklął. Telefon był już widocznie wyłączony, bo w słuchawce panowała absolutna cisza. I oto z podłogi rozległ się nagle jęk. Jurek podbiegł do leżącego. Zawieja otworzył jeszcze niezbyt przytomne oczy i odruchowo sięgnął do tyłu czaszki. Syknął z bólu, dotknąwszy rozciętej skóry, ale ten właśnie ból wytrzeźwił go do reszty.

– Panie naczelniku! – ponowił płaczliwie swoje

wezwanie Jurek, w którego oczach nagle twarz Zawieja rozmazała się i rozplynęła.

– Jurek? – rozpoznał go kapitan, marszcząc czoło z wysiłku. – A ty skąd się tu wziąłeś? – Ale zanim Jurek zdążył coś powiedzieć, Zawieja znów przemówił:

– Co się ze mną właściwie stało? Co się stało... Jestem taki słaby, w głowie mi się kręci...

Piskorz zdążył już opanować wzruszenie, nie czekając dalszego ciągu skoczył ponownie do kuchni, skąd przyniósł karafkę wiśniaku, kieliszek i szklankę.

– Niech pan wypije, panie naczelniku – namawiał podsuwając kieliszek Zawieji – nic tak nie wzmacnia, jak taka wiśnia w płynie... – I widocznie chcąc pogłęboko przekonać kapitana o leczniczych właściwościach wiśniówki, sam wychylił duszkiem pół szklanki. Zawieja wódka zrobiła rzeczywiście dobrze. Po paru minutach mógł już wstać przy pomocy Jurka z ziemi i usiąść w fotelu.

– Czekaj... Jak to było? Siedziałem za biurkiem Rehma i przeglądałem stemple, odbijając je kolejno na papierze. Nagle usłyszałem szelest za swoimi plecami, chciałem się obejrzeć i... Potem już nic nie pamiętam.

– Napadli pana naczelnika, sk...syny – wyciągnął logiczny ze specyficzną precyzją sformułowany wniosek Jurek Piskorz.

– Napadli. Widocznie. Ale kto? – zastanawiał się

Zawieja, ostrożnie obmacując obolałą potylicę. – Którędy się dostali do mieszkania?

– Przez drzwi – mruknął Jurek – pan naczelnik zapomniiał zamknąć drzwi od kuchni. Ja też wszedłem tamtędy.

Zawieja spojrział bystro na szofera:

– Drzwi od kuchni? Wykluczone! Zamknąłem je własnoręcznie i klucze zostawiłem w zamku. Pamiętam doskonale...

– A może włamali się na „pasówkę”¹?

¹ Na „pasówkę” – przez „dopasowanie” wytrychu (żarg. złodz.)

– Jak? Kiedy klucz z tej strony tkwił w zamku!

– Ale jak ja przyszedłem, to drzwi były otwarte, jak Boga kocham! – upierał się Jurek.

Kapitan, mimo protestów Jurka, powstał i opierając się na jego ramieniu przeszedł z nim do kuchni. Klucz wraz z innymi umocowanymi na kółku tkwił wewnątrz zamku.

– To niemożliwe, żebym się omylił i pozostawił drzwi otwarte – szepnął do siebie Zawieja oglądając uważnie powierzchnię klucza. – Napastnik musiał otworzyć je dopiero wychodząc z mieszkania. Ale jak się tutaj dostał, nie naruszając pieczęci?

Kiedy tali stali przed drzwiami medytując nad dziwnym wypadkiem z kluczami, nieoczekiwanie tuż nad ich głowami rozległ się dzwonek. Obaj mężczyźni drgnęli i spojrzeli na siebie.

– Jurek, szybko do korytarzyka! Ubezpieczaj mnie od tyłu, a ja otworzę drzwi! – szeptem rozkazał Zawieja.

Kto mógł dobijać się do mieszkania, którego właściciele od miesiąca leżeli na powązkowskim cmentarzu? Kapitan otworzył drzwi i ujrzał stojącego na schodach mężczyznę z walizeczką i dwóch sanitariuszy z noszami.

– Tutaj wzywano pogotowie? – powiedział lekarz urzędowym głosem – gdzie jest ranny?

Zawieja wpuścił trzech mężczyzn do kuchni, po czym lekko zażenowany wyjaśnił wskazując na rozbitą głowę:

– Ranny to ja jestem. Ale naprawdę nie było żadnej potrzeby wzywać pogotowia. To już nadgorliwość mojego szofera...

– Moja? – zdziwił się Jurek Piskorz wyłaniając się z korytarzyka zapomniawszy schować pistolet, który wciąż trzymał w garści. – Ja wcale nie wzywałem pogotowia. Nawet chciałem, ale telefon wysiadł i nie mogłem z niego zadzwonić...

– Jestem oficerem śledczym milicji – wyjaśnił Zawieja widząc nieufne spojrzenie, jakim lekarz obrzucił pistolet w rękę Jurka Piskorza. – Uległem drobnemu wypadkowi – dodał piorunując wzrokiem Jurka, aby nie udzielał zbyt szczegółowych wyjaśnień o rodzaju „wypadku”. Lekarz rozpakował walizkę i odesławszy

niepotrzebnych sanitariuszy z powrotem do karetki zaczął opatrywać głowę Zawiei.

– Ktokolwiek dzwonił do nas, dobrze zrobił, że wezwał lekarza – powiedział rozstawiając sterylizator z narzędziami. – Rana jest co prawda niegroźna, ale pasudna, długie rozcięcie skóry wymaga zszycia klamrami. Ale dlaczego pan jest taki mokry? – spytał zaczynając ostrożnie wystrzygać włosy z najbliższej okolicy rany.

– To ja cuciłem pana naczelnika – dumnie wyjaśnił Jurek Piskorz.

– No to pan naczelnik może podziękować Bogu, że nie zginął śmiercią topielca. – Po czym mimochodem spytał: – To nawet cucić trzeba było pana? Co się właściwie stało?

Zawieja krótko zastanowił się i po chwili powiedział:

– Będę z panem szczery. To był napad. Będę musiał pana prosić o krótki opis doznanych przeze mnie obrażeń, który zostanie włączony do akt sprawy.

Podczas kiedy lekarz znieczulał skórę przed przystąpieniem do zszycia, kapitan zapytał kto i w jaki sposób powiadomił pogotowie o wypadku.

– Zwyczajnie, jak to bywa w tych okazjach. Ktoś zadzwonił, podał adres i nawet dokładnie określił, że chodzi o człowieka rannego.

– Ale kto to był, mój szofer tego nie zrobił?

– Tego nie wiem. Mogę panu najwyżej powiedzieć numer telefonu, z którego przyjęto wezwanie.

– Bardzo bym pana prosił.

Lekarz przerwał na chwilę czynności i nie chcąc zdejmować gumowych rękawiczek, które nałożył do zabiegu, poprosił Jurka, aby podał kapitanowi gruby brulion leżący na wierzchu walizki z narzędziami.

– Niech pan obejrzy sobie ostatni zapis w książce.

Zawieja przerzucił książkę zapelnioną setkami adresów i nazwisk wzywających pomocy, jak też adnotacjami lekarzy o rodzaju spełnionych usług. Wreszcie odszukał ostatni, najświeższy zapis. „Telefon 21-15-15, NN kobieta wzywa pogotowie pod taki a taki adres, celem udzielenia pomocy rannemu”.

– Jurek – rozkazał kapitan szoferowi – pójdz do najbliższego telefonu i zadzwoń do biura numerów, żądając podania adresu i nazwiska właściciela telefonu 21-15-15.

– Rozkaz, panie naczelniku – z ulgą powiedział Jurek. Gdy po kwadransie wracał do mieszkania Rehmów, na schodach minął wychodzącego lekarza.

– Jest, jest, panie naczelniku – zawołał triumfalnie Jurek wpadając do kuchni. – Ale draka! Bo ten telefon znajduje się i n d e n t i k o w tym samym domu, gdzie pana tak uperfumowano...

– W tym samym domu? – ożywił się kapitan, który obecnie w białym bandażu wyglądał jak Beduin. Wziął kartkę do ręki i gwizdnął, czerniała na niej informacja

wypisana kulfoniastym pismem Jurka Piskorza. 21-15-15, Nowogrodzka nr N, właściciel: Nadolski.

– Ależ to przecież tutaj, w sąsiedztwie – przypomniał sobie wystraszoną sylwetkę sąsiada Rehmów, który przyszedł tutaj zwabiony głosem magnetofonu.

– Musieli coś słyszeć przez ścianę – domyślił się Jurek, ale kapitan przerwał mu machnięciem ręki.

– Czekaj. Zaraz wszystko sprawdzimy! – Poszli ponownie do gabinetu Rehma, gdzie ku zdziwieniu Jurka kapitan podniósł do góry kilim zasłaniający drzwi wiodące z gabinetu do mieszkania Nadolskich. Jeden rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że wszystkie paski ze stemplami Komendy Milicji, którymi opieczutowano drzwi, były przerwane. Kapitan nacisnął klamkę, ujmując ją przez chusteczkę do nosa i drzwi posłusznie otworzyły się wydając cichutki szelest. Tak, to był ten sam dźwięk, który zaalarmował kapitana na sekundę przed ciosem. Jurek wytrzeszczył oczy ze zdumieniem. W milczeniu przeszli przez dwa pokoje zajmowane przez Nadolskich nie zastając w nich nikogo. Meble pokryte były pokrowcami, na stole leżała gruba warstwa kurzu. Gdy doszli do drzwi wejściowych, które przed wojną pełniły funkcję paradnego wejścia do mieszkania Augusta Rehma, ujrzeli liczne listy i gazety wrzucane przez listonosza przez szparę w drzwiach. Najdawniejszy nosił datę sprzed dwóch tygodni. Kapitan nie zmieniając

ułożenia gazet i listów uważnie przyjrzał się im kucnąwszy na podłodze. Przy jednym zatrzymał się dłużej, po czym kiwnięciem głowy przywołał do siebie Piskorza.

– Jurek, co widzisz na tej kopercie? Nie na tej, tylko na tej dużej, białej.

– Melduję, że nic nie widzę, panie naczelniku. Trochę jak by zabrudzona...

Zawieja wyprostował się: – To nie brud, ty obrzępało, ale wyraźny ślad z kurzu i to w dodatku ślad kobiecej stopy obutej w pantofel na słupku. Ten ślad i odciski linii papilarnych na słuchawce telefonicznej wystarczą, żeby ustalić tożsamość mojej nieznannej opiekunki, kiedy już będziemy znali podejrzanych...

Jurek popatrzał na naczelnika z uwielbieniem: – Ten ma łeb – nie na wszy! Kapitan powoli podszedł do drzwi wejściowych. Kiedy ujął za klamkę, znów zachowując niezbędną ostrożność, aby nie zatrzeć ewentualnych odcisków palców – i te drzwi także otworzyły się bez oporu.

– No i co ty na to? – zapytał Zawieja swego szofera, ale Jurek tylko rozłożył ręce:

– Ja już mam s z a m o t w głowie, panie naczelniku, od tego wszystkiego i już nic a nic nie rozumiem...

– To wszystko trzeba dopiero wyjaśnić – zastanawiał się Zawieja, oglądając słuchawkę aparatu telefonicznego,

na którym widniał numer 21-15-15. – Na razie wiemy chyba tylko jedno, że tędy dostali się do mieszkania...

– A skąd pan wie, że ich było kilku, a nie jeden, na ten przykład?

– Musiał być ten, który mnie uderzył i ta kobieta, która zawiadomiła pogotowie, a więc co najmniej dwie osoby. Nie sądzisz chyba, że ktoś, kto wali kogoś ciężkim przedmiotem, pójdzie potem zawiadomić pogotowie i wzywać dla ofiary pomocy? To wszystko musiało odbywać się bardzo szybko. Zaraz, którą mamy teraz godzinę?

Zawieja spojrział na swój zegarek i stwierdził, że ma stłuczone szkiełko, a zegarek w ogóle nie idzie. Strzałki zatrzymały się na godzinie jedenastej czterdzieści siedem. Musiał uderzyć nim o biurko, lub o podłogę.

– O której ty wyjechałeś z Komendy? – zapytał Piskorza.

– O dwunastej, akurat grali hejnał przez radio.

Zawieja pokręcił melancholijnie obandażowaną głową:

– Widzisz, jak to w naszej pracy bywa! Gdybyś wyjechał o kwadrans szybciej, prawdopodobnie nie miałbym teraz rozwalonej głowy...

Spojrział zdumiony na Piskorza, który bluznął potokiem straszliwych przekleństw i pogróżek.

– Jurek, jak ty się wyrażasz?

– Ach, panie naczelniku – trząś się dosłownie z rozżalenia szofer – bo ja mogłem być o kwadrans prędzej, tylko ta s z l ą d r a, ta pańska sekretarka, tak mnie za nos wodziła...

I opowiedział kapitanowi o swoim nieporozumieniu towarzyskim z maszynistką. Kapitan ruszył ramionami:

– Trudno, stało się i nie odstanie. A ty też nie jesteś bez winy. Po co drażnisz kobietę? Nie wiesz, jaka ona jest przeczulona? Zresztą, kto wie, co się okaże lepsze. Gdyby nie było napadu, nie byłoby nowych śladów i powiązań – medytował głośno rozglądając się po mieszkaniu. – Teraz przynajmniej wiemy, że czegoś szukano w mieszkaniu Rehmów, że jest ktoś, kto też wiedział o planowanym włamaniu, ale nie chciał, żeby mnie spotkała jakaś krzywda. To wszystko są nowe i ważne ślady.

Zawieja wysłał Jurka do dozorca, aby dowiedział się kiedy ostatni raz widział Nadolskiego, sam zaś telefonicznie wezwał ambulans kryminalistyczny dla zebrania wszystkich śladów, jakie ewentualnie mogli zostawić ludzie, którzy nielegalnie wtargnęli do mieszkania Rehma.

– I taką sprawę pan inspektor Reszkiewicz chce umorzyć – pomyślał ze złością przechodząc z powrotem do gabinetu Rehma – albo „ugrobić” oddając ją partaczom z działu gospodarczego. Przecież to jest sprawa nie tylko, że nie załatwiona i nie wykryta, ale nawet

jeszcze w pełni nie rozwinięta. Kto może wiedzieć, jaki obrót przyjmie w najbliższej przyszłości i czy czasem nie okaże się, że zamiast zwykłej tuzinkowej rozgrywki, nie kroi się tutaj prawdziwy, wielki szlem kryminalistyczny? Tak, tak – inaczej widzi się i czuje sprawę patrząc na nią spoza biurka Komendy Głównej, a inaczej czując ją w rozharatanym zbrodniczą ręką łbie – myślał dotykając delikatnie bandaża na głowie. Postanowił, że choćby miał dotrzeć do samego ministra, nie pozwoli tej sprawie pogrzebać, ani wydrzeć sobie!

W gabinecie uwagę kapitana zwróciła leżąca na ziemi jego teczka. Dobrze pamiętał, że przed napadem leżała na biurku. Podniósł ją i zajrzał do wnętrza. Była pusta. Zawieja zdenerwował się – były w niej przecież wszystkie egzemplarze umów zawartych nielegalnie przez Rehma, z firmą Johann Lippert et Co w Wiedniu! Zaczął szukać dokumentów na biurku – ale i tam ich nie znalazł. Za to z przerażeniem stwierdził, że zniknęły wszystkie kartki, na których tak pracownicy odbijali wzorce stempli Biura Urządzeń Precyzyjnych. Co gorsza nie było też samych stempli.

Kapitan usiadł ciężko w fotelu. W ten sposób zginęły dowody przestępczej działalności Augusta Rehma, wytracono mu też możliwość zidentyfikowania stempli, którymi opatrzone nielegalne umowy. Przeciwnik zadał mu cios celny i bardzo bolesny... Czy wiedzieli o tym,

że mnie tutaj zastaną, czy też wybrali się po stemple sądząc, że będą mogli ubiec moją wizytę? Czy z góry ukartowali wykradzenie oryginałów umów, czy też zrobili to pod wpływem impulsu, wyzyskując niezwykłą okazję, jaka się im nadarzyła? Wreszcie w bolącej głowie – zastrzyki znieczulające przestały działać – powstała jeszcze jedna myśl, pod wpływem której kapitan powstał z fotela i zaczął dalsze poszukiwania: „Czy nie poza tym nie zginęło z mieszkania, co chcieli zniszczyć lub zamaskować?” Niestety odpowiedź na to pytanie przyszła szybciej niżby tego pragnął. Oto zaledwie zajrzał do pancерnej szafy, w najniższej jej części dojrzał otwartą skrytkę, której istnienia nawet nie podejrzewał dokonując pierwszych oględzin. Kwadratowa skrytka wielkości małej walizeczki była pusta. Przestępcy musieli się bardzo spieszyć (może zostali przez kogoś spłoszeni?), gdyż nawet nie zdążyli jej ponownie zamknąć. Nie odrywając wzroku od czarnego kwadratu skrytki kapitan myślał z goryczą, że dałby sobie jeszcze dwa razy rozbić głowę, żeby się dowiedzieć, co się znajdowało w skrytce do godziny jedenastej czterdzieści siedem?

Pochylonego nad skrytką zastał Jurek Piskorz, który wrócił zdyszany i już od progu mieszkania Nadolskich zaczął raport:

– A więc jest tak: ci dani Nadolscy wyjechali na urlop, do Szklarskiej Poręby. Nie ma już ich od dwóch

tygodni i wrócą dopiero w końcu sierpnia. Ale to pestka, po ja przecież przez tę całą drakę z panem naczelnikiem zapomniałem powiedzieć o najważniejszym!

– O czym? – zapytał go Zawieja, nie mogąc odebrać się od skrytki.

– O Jezu, a to znowu co za f a t a m o r g a n a? – wykrzyknął Jurek, urywając w pół słowa.

Kapitan spojrzał na niego, po czym przeniósł wzrok w tę stronę, w którą rozszerzonymi ze zdumienia oczyma gapił się piegowaty szofer. Na ścianie wisiał portret młodego mężczyzny, który Zawieję zastanowił jeszcze przy pierwszej wizycie w tym pokoju. Ale teraz był to portret bez głowy. Ostрым narzędziem wycięto z portretu prostokąt płótna z wymalowaną twarzą, tak że przez dziurę w obrazie widać było wzorzystą tapetę ściany. Twarz Zawiei ścięła się, no, teraz był już komplet szarad, z których nic, ale to zupełnie nic nie rozumiał! I właśnie dlatego, że zadania i zagadki piętrzyły się tak masowo i nieoczekiwanie, kapitan Zawieja odzyskał nagle absolutny spokój.

– No więc, co to za rewelacje miałeś zakomunikować? – spytał Jurka, który z trudem oderwał oczy od niesamowitego portretu.

– Przecież ja odnalazłem tę daną maszynę z czerwoną strzałą – oprzytomniał wreszcie chłopak.

– Nie? Naprawdę? – pochylił się ku niemu żywo Zawieja.

– Jak Boga Kocham! – wyjął kartkę z kieszeni. – Wóz maiki „Delage”, numer wozu jakiś taki epidemiczno-choleryczny: CUX-C5. Widział kiedyś pan naczelnik coś takiego, bo ja nie? Facet mieszka w hotelu Excelsior, ale nie wiem jak się nazywa, bo moja reperacyjna kuracjuszka ¹ nie sporutowała tego jeszcze dokumentnie, ale będę wiedział jeszcze dzisiaj...

¹ „kuracjuszka” – prostytutka (żarg.)

Zawieja zaczął się przechadzać po dywanie wyściełającym gabinet Rehma:

– No, Jurek, masz u mnie odpust zupełny na wszystkie grzechy ciężkie i lżejsze, jakie popełnisz w ciągu najbliższego miesiąca. Więc mówisz, że właściciel wozu mieszka w Excelsiorze?

Jurek przytaknął.

– Czy to może być tylko przypadek? – zastanawiał się głośno kapitan. – Rehm ginie w Excelsiorze, podejrzany o współudział w zabójstwie Czarnej Rączki też mieszka w Excelsiorze. Chorąży Barski będzie musiał bliżej zająć się tym podrzędnym hotelem.

Jurek nagle przerwał ten monolog, coś sobie z wysiłkiem przypominając:

– Panie naczelniku...

- Słucham?
 - Czy może to być, że ci, którzy pana tak urządzili, też przyjechali tutaj samochodem?
 - Niewykluczone. Ale dlaczego o to pytasz?
 - Panie naczelniku, jak podjeżdżałem pod bramę po awanturze z tą maszynową sabotażystką, to widziałem jak sprzed bramy ruszała elegancka, prywatna maszyna. Zawieja znał bystrość i spostrzegawczość swego szofera, toteż nie lekcewał tej informacji.
 - Marka wozu?
 - Widziałem ją tylko od kuchennej strony. Ale za to pamiętam jej numer.
 - Oj, to niemożliwe... – sceptycznie skrzywił się Zawieja.
 - Ja już mam takie szoferskie oko, że jak tylko spojrzę na numer, to mi się zapisze w mózgowicy, jak w notesie. Na ten przykład – C 77-254...
 - Taki numer miał ten samochód? – spytał z niedowierzaniem kapitan.
 - Nie, skąd. To był numer karetki pogotowia, która przyjechała po pana naczelnika. A tamten samochód miał numer... – Przymknął oczy, jak by odczytując z jakiejś niewiadomej kartki i pewnie powiedział: – H-24-200.
- Zawieja zapisał natychmiast numer podany mu przez szofera. Oczywiście, Piskorz mógł przekreślić numer samochodu. Nie było też żadnej pewności, że spostrzeżone

przez niego auto miało jakikolwiek związek z napadem, ale sprawdzić trzeba wszystko.

– B a ś k a pracuje, panie naczelniku, co? – natrętnie domagał się pochwały Jurek.

– Pracuje, pracuje! – przyznał mu kapitan, po czym spojrział z roztargnieniem na zdemolowany zegarek. Rozbite szkło zegarka musiało mu podsunąć jakąś myśl, gdyż przez chwilę zastanawiał się w milczeniu, wreszcie spytał szofera:

– Więc powiadasz, że wyjechałeś z Komendy o dwunastej?

– Akurat grali hejnał z Krakowa.

– Z Komendy na Nowogrodzką jechałeś nie dłużej niż pięć minut – obliczał głośno Zawieja – czyli że byłeś tutaj o dwunastej pięć, no, doliczając zamknięcie wozu i dojście tutaj – o dwunastej osiem. Wynikałoby z tego, że od napadu na mnie do twojego przybycia bandyci mieli dwadzieścia jeden minut. Dla nich to mogło wystarczyć, ale kiedy zdążyła zadzwonić nasza nieznanajoma? Nie mogła przecież dzwonić wtedy, kiedy oni byli w sąsiednim pokoju...

– Zaraz, zaraz, panie naczelniku – przypomniał sobie Piskorz – pan nie wie, że ja jeszcze z dziesięć minut zbradziażyłem na dole, pompując przednie koło, które trochę „siadło”.

Kapitan żywo odwrócił się w stronę Piskorza:

– I wtedy, kiedy pompowałeś koło, tamtego samochodu już nie było?

– Oni już odjeżdżali, kiedy ja dopiero podjeżdżałem pod bramę – z całą pewnością wyjaśnił Jurek.

Zawieja kiwnął z zadowoleniem głową: – No tak, teraz się zgadza. Ta kobieta miała około dziesięciu minut czasu, żeby wejść tutaj, zobaczyć co się stało ze mną, zadzwonić po pogotowie i ulotnić się. Musiała się dobrze śpieszyć, ale to wszystko teraz jest możliwe.

Jurek Piskorz nagle jęknął, jak by dostał cios pięścią w przepoń.

– Co ci jest? – spytał zdumiony kapitan.

– Ta kobieta! – wystękał z trudem szofer.

– Co z tą kobietą?

– Ja ją widziałem! Widziałem, panie naczelniku – chwycił kapitana za ramię i zacinając się z podniecenia opowiedział o kobiecie, z którą zderzył się w bramie. Teraz z kolei kapitanowi udzieliło się jego podniecenie.

– Szybko, Jurek, dyktuj jej rysopis! – zawołał przygotowując notes i ołówek. Ale szofer, niemal płacząc, wyjaśnił, że spotkanie trwało tak krótko, w bramie było ciemno, a on był tak oślepiiony słońcem, że niczego nie dostrzegł.

– Żebym był wiedział, żebym był wiedział – bił się kulkami po głowie.

U drzwi zadzwoniono. To przyjechał ambulans kryminalistyczny.

4.

Komisiak nie potrzebował nawet zaglądać do rejestru samochodów prywatnych, żeby poinformować kapitana, do kogo należy samochód o numerze rejestracyjnym: H-24-200.

– Przecież to ten sam samochód, który zanotował w barze „Pod Kuchcikiem” kapral Rembik, mam jeszcze cały raport tutaj na stole...

I te „klocki” pasowały do siebie. Czarna Rączka jedzie z panem Zgorzelskim samochodem, pan Zgorzelski ratuje Czarną Rączkę, gdy depczą mu po piętach agenci, samochód pana Zgorzelskiego czeka przed domem na Nowogrodzkiej, kiedy dokonuje się włamania do mieszkania Rehmów...

– Trzeba będzie zająć się bliżej panem Zgorzelskim – myśli kapitan.

* * *

Pan Mirosław Zgorzelski spojrzął w swoim sklepie na zegarek: za kwadrans siódma, można już zamykać. Przy pomocy korbki zaczął opuszczać stalową żaluzję na wystawowe okno, kiedy nagle rozległ się dzwonek u drzwi i do sklepu weszli dwaj mężczyźni. Jeden starszy w nieprzemakalnym płaszczu i drugi młody o bystrych oczach niosący teczkę skórzaną pod pachą.

– Czym mogę służyć? – spytał pan Zgorzelski nie przestając kręcić korbką.

– Chcieliśmy kupić zegarek – powiedział pan w nieprzemakalnym płaszczu.

– Męski na rękę – uzupełnił młodzieniec z teczką.

– Jedną chwileczkę, jeśli panowie pozwolą, to opuszczę tylko żaluzje – powiedział uprzejmie pan Zgorzelski. I dopiero gdy skończył swą czynność, wytarłszy wypięłgnowane dłonie w irchową szmatkę podszedł do kasy pancерnej.

– Panów interesują zegarki nowe, czy używane?

– Nowe, oczywiście, wyłącznie nowe! – powiedział starszy pan i założył na nos okulary, szykując się do oglądania zegarków.

Pan Zgorzelski wyjął z kasy drewnianą tackę, pokrytą niebieskim aksamitem, na którym srebrzyło się i zło-ciło kilkanaście zegarków.

– Oto Doxa – trzy i pół tysiąca. Złoty Schaffhausen – siedem tysięcy – prawdziwa okazja. Zenith – dwa i pół tysiąca, w tej samej cenie Delbana, Atlantic – dwa tysiące sto... – mówił wprawnie podsuwając błyszczące cacka obu panom, którzy z nabożnym skupieniem pochylali się nad szklaną ladą.

Starszy klient zwrócił się do swego towarzysza:

– No, na który się pan decyduje?

Młodzieniec był niezdecydowany, brał zegarki po kolei do rąk, przykładał do ucha, wreszcie zapytał jubilera.

– A z dawniejszych i bardziej znanych marek, na przykład Cyma, Omega...

– ... albo Longines – wtrącił szybko pan w nieprzemakalnym płaszczu.

– ... nic pan nie ma? – dokończył zdanie młodzieniec z teczką.

Pan Zgorzelski rzucił na obu przybyszów czujne spojrzenie, ale niewinny wyraz ich twarzy zaraz go uspokoił:

– Niestety, tych zegarków w ogóle nie sprowadzamy po wojnie. Muszą panowie popytać w komisach, bo tam czasami sprzedają je prywatni właściciele...

– A na te zegarki – spytał nieoczekiwanie starszy pan wskazując na tacę – ma pan oczywiście rachunki?

Pan Zgorzelski znieruchomiał i po raz drugi przyjrzał się uważniej przybyszom:

– Nie rozumiem – powiedział powoli – dlaczego to pana interesuje?

Starszy klient westchnął ciężko, jak by przykro mu było powiedzieć to, co z kolei musiał wyznać:

– Bo my się interesujemy zegarkami, że tak powiem, służbowo. Pan pozwoli – oto moja legitymacja: jesteśmy z Państwowej Inspekcji Handlowej.

Pan Zgorzelski przybladł, oczy mu się rozlatały, ale obaj rewidenci stali jak wkopani przed ladą i patrzyli mu w twarz życzliwym spojrzeniem.

– Panowie, o takiej dziwnej porze – wyjąkał wreszcie – mam pewne plany towarzyskie na dzisiejszy wieczór, może by można było jutro...

Starszy rewident pokiwał wyrozumiale głową:

– To naprawdę bardzo przykro się złożyło. Wie pan, myśmy też mieli pewne plany towarzyskie, ale cóż, służba nie družba. Rozumiem pana, ale nie mogę w niczym pomóc.

Młodszy, który już rozpakowywał teczkę wyjmując z niej jakieś papiery, spojrzął na duży zegar, który właśnie wybił siódmą.

– Już siódma, może pan zamknie uprzejmie sklep i zechce nam towarzyszyć przy pracy. Zaczniemy od tej kasy pancерnej – pokazał ołówkiem szafę, z której pan Zgorzelski wyjął przed kwadransiem pechową tackę z zegarkami.

Kiedy elegancki właściciel sklepu zasuwiał żaluzje drzwi wejściowych, stojący obok niego mężczyzna z teczką zauważył sznureczki potu plamiące nieskazitelny kołnierzyk popelinowej koszuli. Było to dziwne, bo wieczór był chłodny i wietrzny. Jednak pracując od lat w wydziale operacyjnym Komendy Stołecznej MO miał czas przyzwycząić się do rozmaitych objawów zdenerwowania u ludzi, którzy nie mieli zbyt czystego sumienia.

5.

Żona kapitana Zawiei o mało nie zemdląła, kiedy późnym wieczorem zobaczyła męża z obandażowaną głową w towarzystwie Jurka Piskorza.

– Roman, co się stało, na litość boską?

– Tatuś na pewno bił się z kimś – zawołał dziesięcioletni Rysiek, który wytknął głowę z drzwi sypialni. – Ale tatuś go nalał, prawda?

– Nalałem, nalałem, bądź spokojny – poderwał malca z ziemi i wierzgającego bosymi nogami podniósł w powietrze, pocałował, potem klepnął po pośladkach opiętych pasiastą pizamką – a teraz zmykaj do łóżka, bo już bardzo późno!

Pani Zawiej owa wciąż jeszcze stała z załamanyimi rękoma, nie odrywając wzroku od zakrwawionej opaski na bujnej czuprynie męża, kiedy kapitan zwrócił się do Jurka i żegnając się z nim powiedział:

– Czyli jutro rano możesz po mnie nie przyjeżdżać, Jurek... Będziesz musiał się wyspać po wczorajszej i dzisiejszej nocy... Tylko błagam cię, nie zrób jakiegoś głupstwa!

Jurek przybrał nader zarozumiały wyraz twarzy i uspokoił kapitana:

– Spokojna czaszka, panie naczelniku, baśka pracuje... Tak wszystko urządzone, że facet nie skapuje... A ta Wiga to też się z wilgoci nie załęgła, ani jej ciotka z litości nie urodziła!

Tu przerwał, spojrzął na żonę kapitana, zakaszał się gwałtownie i pospiesznie opuścił przedpokój słysząc jeszcze na klatce schodowej jak „pan naczelnik” mówił do żony:

– Nie denerwuj się, Marychna, zaraz ci wszystko wyjaśnię, tylko ręce umyję...

W pół godziny później Jurek Piskorz odziany w granatowy garnitur „tenis”, w kremowej koszuli, na której jak kwiat szkarłatny czerwienił się chiński krawat, w żółtych pantoflach na słoninie, wkraczał dumnie w progi restauracji hotelu Excelsior. Tak jak było umówione, „kuracjuszka” specjalnej kategorii dla najlepszych gości, znana w półświatku stolicy pod imieniem Wigi, siedziała już przy stoliku, sącząc przez słomkę jakąś lemoniadę. Nie, nie! Mylicie się, jeśli przypuszczacie, że Don Juan z Ochoty natychmiast podszedł do stolika Wigi. Wręcz przeciwnie, udał, że jej zupełnie nie zna, zajął miejsce przy stoliku, odległym od niej o kilka metrów i zajął się obserwacją innych licznie na sali reprezentowanych „kuracjuszek”, z których żadna, musiał to bezstronnie przyznać, nie dorównywała urodą i elegancją „danej” Widzę.

Już po kwadransie przymrużał sobie jedną brunetkę w ciuchowej bluzce z przezroczystego nylonu i postawił jej małą wódkę i kanapkę z kiełbasą (Zawieja zapłaci!). Teraz już niczym nie wyróżniał się spośród innych gości tego lokalu drugiej kategorii. W pewnej chwili Wiga

wstała, zostawiając torebkę na znak zajęcia stolika i ruszyła powoli w stronę korytarza, w którym znajdowały się szatnie i kiosk z papierosami. Ponieważ wychodząc na moment zatrzymała się, i rzuciła Piskorzowi krótkie, ale znaczące spojrzenie, szofer przeprosił na chwilę swoją przygodną znajomą upoważniając ją do zamówienia „czegoś na gorąco” i bez pośpiechu udał się w stronę korytarza. Został przed kioskiem Wigę kontemplującą wystawione za szybą papierosy różnych marek krajowych i zagranicznych.

– Coś się tak wystroił, niuniuś? – spytała go ironicznie, ale Piskorz nie zrozumiał ironii.

– Co chcesz, wie człowiek, jak trzeba wystąpić w eleganckim lokalu: kur-de-ma-ra, fir-de-bal!

– Wyglądasz jak nakrapiany pstrąg – ucięła Wiga.
– Chwała Bogu, że nie muszę z tobą siedzieć przy jednym stoliku. A teraz uważaj! On się nazywa Homolacs i mieszka w pokoju 105. Będzie tutaj o dwunastej. Tak się ze mną umówił. Klucze od pokoju zazwyczaj zawieszają na drzwiach, tylko jak gdzieś wyjeżdża, to oddaje do portierni...

– Mnie tam klucz niepotrzebny – uderzając się nieznacznie po kieszeni, z przechwałką w głosie powiedział Jurek Piskorz. – Najważniejsze, co z kluczem od maszyny?

– Klucz od samochodu nosi zawsze przy sobie, ale zapasowy ma na kółeczku z innymi kluczami, które

trzyma w szufladzie nocnego stolika i nigdy ich nie używa. Tylko uważaj, bo na stoliku stoi kryształowy lichtarz, żebyś nie potłukł, lebiego. I pamiętaj... – Nie zdążyła jednak już powiedzieć, o czym jeszcze ma pamiętać, gdyż w tej samej chwili ktoś za nimi się zatrzymał:

– Och, Fräulein Wiga... Czesze sze, sze pani wiedzieć. Sie sind ungläublich pünktlich.

– Guten Abend, Herr Homolacs. Wie gehts Ihnen? – odpowiedziała niespeszona kategoria „S” dość płynną niemieczyzną i ujęła poufale pana Homolacsa pod ramię.

Jurek wrócił raz jeszcze na salę i ku zdumieniu brunetki zwolnił ją od wszelkich dalszych obowiązków, upoważniając do zjedzenia także drugiego kotleta, który zamówiła dla niego.

– Ale dlaczego? Nie podobam ci się? – spytała urażona w swej zawodowej ambicji. I czując, że coś tutaj „nie gra”, coś jest sprzeczne, z „uczciwym” spleceniem swych zobowiązań wobec hojnego i sympatycznego gościa, ponowiła pytanie.

– Podobasz mi się, podobasz niemożebnie – uszczypnął ją pod stołem Jurek – ale musimy przełożyć miłosny pitigril na inną porę. Muszę stąd spierniczać, rozumiesz?

– Blacharze!?! – szepnęła ze zgrozą i zachwytem córa nocy.

Jurek rzucił jej na to nieco skonfundowane spojrzenie,

ale w lot oceniwszy, że sama mu podsuwa najlepsze i najbardziej dla niej zrozumiałe wytłumaczenie, skwapliwie przytaknął:

– Ano właśnie: siedzą mi na ogonie blacharze”¹ A ty jak byś była blatowna, mała, to byś jeszcze z pół godzinki tutaj posiedziała, niby czekając na mnie, rozumiesz? Kiedyś się spotkamy, to ci się odplacę.

¹ Śledzą mnie milicjanci (żarg. złodź.)

– Posiedzę, choćby godzinę – szepnęło dziewczę i odprowadziło wytwornego młodzieńca o piegowatej twarzy spojrzeniem pełnym podziwu i uwielbienia.

Jurek powoli odszedł kołysząc się niedbale na słoniowych podeszwach, ale ledwo znalazł się w hallu, natychmiast stracił swą ospałość i nonszalancję. Szybko skierował się w stronę wyścielonych czerwonym chodnikiem schodów prowadzących do pokoiów hotelowych.

– Pan szanowny mieszka u nas? – osadził go głos portiera, który obserwował niezwykle barwnie odzianego młodzieńca przez szybę swej dyżurki. Jurek podszedł do budki i przytknął do szyby swą milicyjną legitymację.

– No a teraz mordę w kubeł! – mruknął nie tyle wytwornie co zdecydowanie i pozostawiając za sobą nagle skulonego portiera, wstąpił pewnie na kokosowy chodnik przykrywający schody.

Długi korytarz na pierwszym piętrze był zupełnie

pusty. Mięśisty chodnik tłumiał i tak cichy odgłos słoniowych podszew. Jurek bez trudu odnalazł pokój 105. Klucz zgodnie z przewidywaniami Wigi, wisiał na gwoździu. Przez sekundę nawiedziły go wątpliwości: Kapitan Zawieja wyraźnie powiedział, że ma tylko zapoznać się z samochodem, dokonać oględzin wozu, zapisać jego markę i numer motoru. O wchodzeniu do pokoju Homolacsa nie było mowy, ale Jurek chciał oszołomić kapitana swoją niezwykłą inwencją śledczą. Już rano postanowił, że na własną rękę zrewiduje pokój tajemniczego cudzoziemca. To się kapitan ucieszy, gdy mu przyniesie jakieś rewelacyjne dowody obciążające pana Homolacsa! Drzwi bez trudu otworzyły się kluczem wiszącym na gwoździu. Klucz ten natychmiast powędrował na swoje miejsce, Jurek zaś zamknął drzwi za sobą wytrychem wyjętym z kieszeni.

W pokoju jest mroczno. Tylko skąpe światła latarni miejskich przedostają się przez siatkowe firanki. Powietrze pachnie wodą kolońską i aromatycznymi papierosami. Jurek pociąga nosem i kręci z uznaniem głową – inteligentny zapach! Krążek światła ze ślepej latarki, którą zaczyna myszkować po kątach, wyłania stopniowo meble: szafa z lustrem, stół, fotel, krzesło, tapczan i stojący u wezłowania nocny stolik. Na stoliku lampa w kształcie kryształowego świecznika z pryzmatami wisiorków, które w świetle latarki zaczynają się tęczo iskrzyć. Jurek miękkim krokiem podchodzi do

stolika i ostrożnie odsuwa szufladę. Są. Spięte stalowym kółkiem błyszczą kluczyki, wśród nich jeden płaski o patentowanym wykroju musi być kluczem od stacyjki samochodu. Zdejmuje z kółka kluczyk od samochodu, chowa go do kieszeni, po czym dokonuje dalszych oględzin. Zainteresowały go drugie drzwi, ale gdy je otworzył, przekonał się, że prowadzą do łazienki. Światło latarki ślizga się po białych kafelkach, zatrzymuje się na chwilę na otwartym oknie, po czym zakreśliwszy łuk wraca do wnętrza pokoju. Teraz ponownie wraca do stolika i zaczyna metodycznie go przetrząsać uważając, by wszystko pozostawić w poprzednim stanie.

– Taka mać – westchnął żałośnie otworzywszy pudełeczko z sygnetami i złotymi spinkami od mankietów – marnuje się człowiek w tej milicji, za to co trzymam w ręku, można by śmiało nową Warszawę kupić...

Nawet w tej dość niezwykłej sytuacji nie opuściło go pieszczone w duszy marzenie o własnym, prywatnym samochodzie, który „puściłby” jako taksówkę... Bez żalu jednak odłożył pudełeczko i sięgnął po drugie, prawdopodobnie po cygarach. Otworzył je i oczy mu się zaiskrzyły: leżało w nim kilkanaście sztuk pięknych bursztynowych cybuszków do papierosów, ze specjalnym urządzeniem do filtrowania dymu. Złotymi literami wytłoczono na nich napis: Johann Lippert et Co - Wien. Jurek obracał cygarnicę w palcach, a w duszy jego

przez ten czas toczyła się straszna walka... I oto Jurek Piskorz nie wytrzymał – nie tknąwszy uprzednio złoty precjozów pana Homolacsa, gwizdnął teraz bezczelnie, choć tnie bez skrupołów, jedną fajeczkę.

– Po cholere mu tyle cygarniczek? – uspokoił się w duchu. – Zresztą facet śpi na dolarach, a na Zachodzie za jednego dolara na pewno cały mendel takich wihajstrów dostanie...

Poza pudełkami w stoliku nocnym nie było nic ciekawego, toteż Jurek pociągnawszy pogardliwie nosem, zamknął drzwiczki szafki nocnej i zbliżył się z kolei do dużej lustrzanej szafy na ubranie. Ledwo jednak zajrzał do wnętrza i wciągnął bijący z niego zapach chypre'u, u drzwi wejściowych usłyszał z przerażeniem podniesiony nieco głos Wigi i błagający, ściszony głos Homolacsa. Wyglądało na to, że Wiga poczuła się czymś dotknięta, zaś pan Homolacs błaga o przebaczenie, jednocześnie starając się przyciszyć kompromitującą go sprzeczkę na hotelowym korytarzu.

– Stop orkiestra, szwagra biją... – mruknął pod nosem samozwańczy as wywiadu i rzucił wokoło splotzone spojrzenie. Co robić? Dokąd wiać?

Kiedy jednak u drzwi wejściowych zachrobotał klucz, Jurek Piskorz jak rączy jeleń jednym susem znalazł się w łazience. Pan Homolacs otwierał drzwi, a Jurek Piskorz przewieszony przez parapet okna decydował

się na skok z pierwszego piętra. Przymknął oczy, nabral powietrza do płuc i szepnąwszy: – Ojczyzno, za dużo ode mnie wymagasz – skoczył w dół i... wylądował w objęciach patrolującego milicjanta.

– Co to, za spadochroniarza kawaler się podbawia? – spytał ironicznie milicjant, nie puszczając jego kołnierza z mocnego uchwytu i już sięgnął ręką po gwizdek.

– Ciszej, koleś, na rany kota! – szarpnął się Jurek chwytając go za rękę. Ale upłynęła minuta nim udało mu się wytłumaczyć całe zajście, wylegitymować i sprawić, że milicjant przestał go traktować jak złodzieja schwytanego na gorącym uczynku. To nieoczekiwane spotkanie miało i tę dobrą stronę, że pod osłoną kolegi ze służby zewnętrznej już bez obawy Jurek otworzył drzwi wspaniałego samochodu z czerwoną plastikową strzałą.

– Więc kapujesz, koleś, jakby ten Amerykaniec zaczął robić szum, że mu skradziono jego riksę, to ty uspokój go, że natychmiast zacznie się poszukiwania. A po godzinie możesz odebrać wóz z garażu Komendy Miasta. I jeszcze zostaniesz za gieroja, który w godzinę odnalazł zaginiony samochód.

– A jakby niczego nie skapował? – upewniał się milicjant.

– To za godzinę ja mu sam odprowadzę maszynę i postawię na to samo miejsce. Jak widzisz, my pracujemy

elegancko, wszystko dla naszych klientów. Nic nie bój, koleś, tu wszystko zrobione jest z p r e d y s t y n a c j ą . – Strzelił mądrym, choć nie bardzo pasującym słowem na zakończenie i odpłynął rozłożystą maszyną w stronę Śląsko-Dąbrowskiego mostu.

ROZDZIAŁ VI

1.

Następnego dnia stan rany Zawiei na tyle się poprawił, że mógł już zamiast malowniczego turbanu nosić na głowie mniej dekoracyjny, ale wygodniejszy opatrunek przymocowany plastrami. Wysłuchawszy porcji westchnień i wyrazów współczucia ze strony sekretarki, która z tego powodu chodziła przez cały dzień z miną żałobniczki, Zawieja zaczął dzień pracy od przeglądania poczty. Na samym wierzchu leżał czerwony blankiet radiogramu z Wiednia. Otworzył niecierpliwie depeszę i przeczytał informację wiedeńskiej policji, że firma Johann Lippert et Co nie istnieje pod wskazanym adresem, ani w ogóle nie figuruje w wykazie przedsiębiorstw handlowych zarejestrowanych na terenie nadunajskiej stolicy.

Można byłoby oczekiwać, że taka informacja powinna zmartwić kapitana, tymczasem humor jego po

zapoznaniu się z treścią radiogramu uległ wyraźnej poprawie. Uderzył ręką w biurko i powiedział sam do siebie: – Wszystko się zgadza, jak w zegarku! Byłbym bardzo zmartwiony, gdyby firma Lippert et Co istniała w rzeczywistości.

I wyjąwszy dziennik czynności dochodzeniowych postawił przy notatce „ściągnąć z Wiednia informacje o firmie L et Co” czerwonego ptaszka na znak, że sprawa została załatwiona pozytywnie. Teraz zabrał się do przeglądania dalszej poczty, którą sekretarka ułożyła mu w zgrabnej harmonijce na stole. A więc przede wszystkim plik meldunków ze wszystkich komend miejskich i powiatowych o wynikach poszukiwań w sklepach zegarmistrzowskich i komisowych. Nieociekonie sekretarka zdążyła już nawet podsumować cyfry ujawnionych zegarków Longines według poszczególnych miast i województw, jak też zestawień nazwisk dostawców zanotowane w książkach depozytorów w sklepach komisowych. Z danych tych wynikało, że na terenie całego kraju znajdowały się w sprzedaży 2.842 nowe zegarki marki Longines, przy czym olbrzymia ich większość znajdowała się w Warszawie, Krakowie i Łodzi, oraz na terenie tych województw. Kapitan rozczarował się nie znajdując wśród nazwisk depozytorów nazwiska Mirosława Zgorzelskiego, na którym mu najbardziej zależało.

– Drań jest ostrożny – mruknął mściwie i wytrwale przebiegał oczyma dziesiątki nazwisk wypisanych

czytelny pismem sekretarki. W pewnym miejscu zatrzymał się i zaczął coś sobie przypominać. Joanna Szmyt – przekazała do sprzedaży dziesięć nowych zegarków marki Longines. Zaraz, skąd on zna to nazwisko? JOANNA SZMYT? Gdzie to miało miejsce? W Łodzi? I natychmiast jak w magnezjowym błysku zobaczył wytworną sylwetkę starszej damy, właścicielki domu mód w Łodzi, która tak wiele wiedziała o Teofilu, a niczego nie chciała o nim powiedzieć. Ależ oczywiście – Joanna Szmyt – rodzona siostra Wilhelminy Rehmowej! Kapitan zafrasował się.

– Oj, niedobrze! – zachwiał się gmach koncepcji, jaki sobie zbudował po tajemniczym zniknięciu oryginałów umów handlowych Rehma z domniemaną firmą Lippert et Co. Musiał jednak przerwać dalsze studiowanie materiałów z terenu, odnotowując tylko w pamięci konieczność wzięcia pod obserwację powściągliwej damy z Łodzi, bo do pokoju wsunął się zmęczony, niewyspany, ale wyraźnie triumfujący Jurek Piskorz.

– Panie naczelniku, melduję posłusznie, że udał się panu szofer na złoty medal! – zaczął skromnie swój raport Piskorz, którego humoru nie potrafiła nawet zepsuć lodowata mina, z jaką przywitała go przed chwilą sekretarka. Jurek złożył jak zwykle wielosłowny raport o wyniku oględzin wozu pana Homolacsa, a w miarę tego jak mówił na twarzy kapitana malowała się coraz

większa uwaga i skupienie. W samym samochodzie Jurek nie znalazł niczego szczególnego, „maszyna wdechowa”, ale cudów żadnych nie ma, przydzielony mu „do pomocy” oficer operacyjny odkrył na obiciu tylnego siedzenia i na bocznej ścianie kilka małych, rdzawych plamek, które były bardzo podobne do śladów zakrzepłej krwi. Nie można było jednak pobrać próbek analizy bez zniszczenia obicia, a to by musiało zwrócić uwagę właściciela.

– Na to będzie jeszcze czas – mruknął do siebie Zawieja, robiąc notatkę w dzienniku czynności służbowych.

– I ja też tak myślę – zgodził się z nim Jurek – ważniejsza będzie sprawa tego zapasowego koła...

– Jakiego koła? – podniósł brwi Zawieja.

– Ano to było detalicznie tak. Już wszystko mieliśmy gotowe, już ten chorąży z operacyjnego ponotował wszystkie numery i przetrząsnął wszystkie zakamarki i każe mi w trymiga odstawić k a r a b a n z powrotem pod hotel, kiedy patrzę, a tu wysiadła tylna opona. Musiałem najechać na jakieś cholerstwo, jak jechałem z hotelu do garażu komendy. O, krewa, myślę, trzeba będzie koło zmieniać, a to potrwa te piętnaście minut, albo i pół godziny. Bo ci bogaci faceci, pan naczelnik wie, to o wozy zupełnie nie dbają i na każdej śrubie tam tyle rdzy i brudu, że i zębami nie odkręcisz. Wiadomo, taki facet zmienia wozy, jak my, za

przeproszeniem, gacie, jak się trochę zabrudzi, to już nowy wóz kupuje.

– Ale ty mi mów o tym zapasowym kole, a nie o gaciach.

– Zaraz będzie i o kole. To ten chorąży mówi: Nic nie bój, my to zaraz zrobimy! Ty tyle zrobisz, co zając kobyle przez płot – myślę sobie – ale żeby mu nie było żal, każę mu zapasowe koło odkręcić! No to ja podnoszę pudło na lewarku, a chorąży z tym kołem się kramarzy, bo w nocy, jak to w nocy, żadnego mechanika nie było w garażu. Pan naczelnik sam wie, jakie to niezemskie lesery z tych mechaników...

– Jurek! Mów krótko, bo ja nie mam czasu na wysłuchiwanie twoich filozoficznych rozważań! No, pał, pał już, tylko streszczaj się na litość boską! – dorzucił widząc, że Jurek obraca w rękę paczkę „Sportów” i spogląda nań proszącym wzrokiem. Jurek bez pośpiechu włożył papierosa do ładnej bursztynowej fajeczki z czarną końcówką okutą srebrem, zaciągnął się dymem i niewzruszenie kontynuował swoją opowieść:

– No to było tak, jak powiedziałem: ja odkręcam śruby, a chorąży zdejmuje zapasowe koło. Ale widzę, że u mnie robota na pic-glanc gotowa, a ten chorąży wciąż się z tym kołem bradziaży. Wtedy idę do niego i zagajam, że gdzie indziej za ten czas sputnika na księżyc wystrzelą, a on jeszcze tej jednej śruby nie odkręcił. Chorąży się tłumaczy, że on śrubę dawno odkręcił, tylko

koła z bagażnika wyjąć nie może, bo cholernie ciężkie. Patrzę się i faktycznie: śruba odkręcona, koło oswobodzone – tylko brać i zabrać. Ile może ważyć takie koło, no, dwadzieścia, trzydzieści kilo? Chwytam więc paluchami za koło i... nic. Koło ani drgnie. We dwójkę chwyciłim z tym chorążym i dopiero „ej, rrup!” Jezus, Maria, panie naczelniku, jak gruchnęło na ziemię, to aż się cała Komenda zatrzęsła, a tył samochodu to tylko poderwał się i podniósł na jakie dwadzieścia centymetrów! Pan sobie wyobraża co by to było, gdyby tak upadło któremu z nas na odcisk?

– Ale co było w tym kole? – Zawieja aż się położył na biurku, pochylając się w stronę szofera.

– A niech pan zgadnie? – zaczął się droczyć Jurek, dumny z wywartego wrażenia, dojrzawszy jednak groźny błysk w oczach swego zwierzchnika pospiesznie dorzucił: – Srebro, srebro było, panie naczelniku, b y n a j m n i e j tak mówił ten chorąży, który ściał wiórek scyzorykiem i schował do koperty. Dobre siedemdziesiąt kilogramów, albo i więcej srebra, odlanego w jednym kawałku jak obarzanek i wmontowanego do zapasowej opony. Panie naczelniku, co z panem? – zaniepokoił się widząc, że kapitan poderwał się zza biurka i gorączkowo zaczyna wielkimi krokami przemierzać gabinet.

– Oto mamy i dewizy! Oto mamy i dewizy! – powtarzał głośno do siebie, śmiejąc się i klaszcząc w ręce,

aż Jurek Piskorz z troską pomyślał, że jednak takie uderzenie w głowę, to nigdy bez śladu nie przechodzi. Ale jego naczelnik nagle się przed nim zatrzymał i powiedział uderzając go po ramieniu:

– Niech mnie kule biją, jeśli nie wystaram ci się o naszywki kaprała, Jurek!

Piskorz skrzywił się, mruknął: koza nie bydlę – frajter nie szarża – i bezwstydnie wyznał, że wolałby, aby mu przybyła jedna setka na liście płacy, niż dwie belki na naramienniku. Kapitan uspokoił go, że pieniądze premia też go nie minie, ale widząc wchodzącego do pokoju sierżanta magistra Niedzielskiego, kazał Jurkowi udać się na zasłużony odpoczynek.

Szofer posłusznie podniósł się z krzesła, ale na żądanie Zawiei musiał jeszcze wytłumaczyć, w jaki sposób zwrócił panu Homolacowskiemu kluczyk od stacyjki samochodu.

– To już załatwiła ta moja Wiga – wyjaśnił flegmatycznie – która wyskoczyła na ulicę, kiedy usłyszała, że zajechałem lemuzyną przed ten hotel.

– A Hamolacs niczego nie zauważył?

Jurek uśmiechnął się oblesnie:

– To pan nie zna tej Wigi! Gdyby pan ją choć raz zobaczył, to by pan sam zrozumiał, że żaden facet po dwóch godzinach z Wiga nie obudziłby się, gdyby mu nawet z katusz nad głową strzelali. Taka babka...

Pokazał łokciem i odszedł zapominając o leżącej na

stole cygarnicze skradzionej importowanemu facetowi.

– No, jak tam po podróży? – przywitał się serdecznie Zawieja z Niedzielskim. – A teraz wy opowiadajcie, co słyhać w starym Krakowie... Bo u nas nowości nie brak...

2.

Dopiero nad ranem obaj rewidenci Państwowej Inspekcji Handlowej zakończyli swoje czynności urzędowe w sklepie zegarmistrzowskim Mirosława Zgorzelskiego. Elegancki i tak zawsze z siebie zadowolony dżentelmen w średnim wieku zszarzał i wyblakł przez tych kilka godzin. Przekrzywiony krawat, nieuczesane włosy i worki pod oczyma świadczyły, że wizyta ta kosztowała go niemało zdrowia. Co prawda nigdy przedtem nie miał kontroli tak dokładnej i surowej. Na przykład kiedy koło dziesiątej wieczorem na kontuarze nieoczekiwanie zadzwonił telefon, młodszy rewident nie pozwolił właścicielowi podnieść słuchawki, tylko sam przyjął telefon.

– Pan Zgorzelski? – spytał głos o dziwnym cudzoziemskim brzmieniu.

– Tak – odpowiedział rewident rzucając krótkie spojrzenie na właściciela samochodu H-24-200 i klnąc w duchu, że jego obecność nie pozwala mu zmienić głosu.

– Dlaczego pan nie przychodzi Excelsior – pytał zirytowanym głosem rozmówca.

– A kto mówi? – zaryzykował pytanie młody pracownik wydziału operacyjnego KM MO. W słuchawce zaległo milczenie, po czym rozmówca widać zorientował się, że nie rozmawia z tym, na kim mu zależało, bo rozległ się szcęk odłożonej słuchawki i połączenie zostało przerwane.

– Ja protestuję! – przyodział się w szatę obrażonej godności pan Zgorzelski. – Panowie zachowują się nie jak rewidenci PIH, lecz, jak przedstawiciele władz bezpieczeństwa! Jeśli jestem podejrzany, to domagam się przedstawienia zarzutów, w przeciwnym razie będę dochodził swoich pretensji i u władz panów... Mój brat jest wysokim urzędnikiem w centralnej instytucji!

Starszy rewident spojrzał zmieszany na swego „pomocnika”, ale ten z niewzruszonym spokojem odpowiedział panu Zgorzelskiemu, że niestety nie mógł pozwolić na przyjęcie telefonu, gdyż telefon mógł pozostawać w związku z jego handlową działalnością, którą właśnie badali.

– A co do zażalenia, to oczywiście wolno panu skarżyć nasze postępowanie przed naszymi władzami. Aczkolwiek wydaje mi się, że jak dotąd w niczym panu nie ubliżyliśmy...

Pan Zgorzelski nie znalazł na to na razie żadnej

odpowiedzi, jednak jego zacięta mina świadczyła, że nie zgadza się ze zdaniem zuchwałego młokosa.

Jeśli chodzi o zegarki, pan Zgorzelski okazał się w całkowitym porządku: na wszystkie znalezione w sklepie sztuki zegarmistrz posiadał legalne i formalne rachunki kupna. Marża zarobkowa, jaką pobierał od sprzedanych zegarków, także mieściła się w granicach przewidzianych prawem.

– No, z zegarkami wszystko w porządku – powiedział z uśmiechem starszy, prawdziwy rewident, odkładając teczkę pełną sprawdzonych dokumentów.

– Dziwiłbym się, gdyby było inaczej – wtrącił młodszy – firma solidna z tradycjami...

Ale nawet to pochlebstwo nie rozchmurzyło pana Zgorzelskiego, który z niepokojem patrzył na teczkę zaopatrzoną napisem „Skup srebra”, którą trzymał w ręku młodszy z inspektorów.

– Pan zużywa skupione srebro wyłącznie na własny wyrób przedmiotów jubilerskich? – zapytał od niechcienia przeglądając kwity zakupu. Powieki pana Zgorzelskiego zadrgały niespokojnie. Zaczął nagle silić się na uprzejmość:

– Niezupełnie. Poważną część srebra odsprzedaję swemu przyjacielowi, właścicielowi wytwórni dewocjonalistów w Krakowie. Panowie sami rozumieją, że w Warszawie łatwiej o skup większej ilości srebra niż w Krakowie.

Starszy rewident lekko zmarszczył czoło:

– O ile mi wiadomo, pan nie posiada koncesji na skup i sprzedaż srebra w złomie, tylko na wytwarzanie przedmiotów ze skupionego srebra i odsprzedaż gotowych wyrobów.

Pan Zgorzelski nagle się spocił i wypuścił z sapnięciem powietrze z płuc:

– Pan ma oczywiście rację. Ale te transakcje nie mają charakteru handlowego. Odsprzedaję panu Kawce srebro po cenie kupna. Ot, taka zwykła przyjacielska usługa...

– No tak – to zmienia postać rzeczy – wtrącił się szybko młodzieniec – zmuszając do milczenia zdziwionego nieco tym komentarzem starszego kolegę. – Więc pan zakupił w bieżącym miesiącu osiemdziesiąt dwa kilogramy srebra, na składzie zaś pan posiada dwanaście kilogramów złomu srebrnego. Czy można z tego wnosić, że siedemdziesiąt kilogramów odsprzedał pan temu przyjacielowi z Krakowa?

Pan Mirosław Zgorzelski z wysiłkiem wyjaśnił, że należy jeszcze odliczyć dziesięć kilogramów zużytych przez jego pracownię na własną produkcję jubilerską.

– Czyli pan. Kawka nabył od pana około sześćdziesięciu kilogramów srebra?

– Tak.

– Czy ma pan na to rachunek?

– Jeszcze nie, ale w najbliższych dniach powinienem otrzymać pokwitowanie. Jak już mówiłem, nie traktuję tych transakcji handlowo...

– Rozumiem, rozumiem...

Zaległo milczenie, wypełnione szelestem przewracanych dokumentów.

– Z księgi zakupu srebra wynika, że takich większych zakupów na potrzeby swego przyjaciela dokonuje pan mniej więcej co trzy miesiące? Czy to się zgadza?

– Tak. Tyle mniej więcej zużywa on kwartalnie na produkcję różnych świętości. Jak panom wiadomo, w naszym kraju, szczególnie na wsi popyt na dewocjonalia jest duży, a wytwórni mało...

– Czyli, że i na Panu Bogu można nieźle zarabiać...

– O, powiedziałbym, że na nim zarabia się najlepiej i najłatwiej – zdobył się na wolteriański dowcip pan Zgorzelski i odczuł ulgę widząc, że niedyskretny rewident odkłada dokumenty dotyczące zakupu złomu srebra.

– Ja myślę, że na tym można uznać sprawę srebra za ostatecznie i zadawalająco wyjaśnioną? – spytał twierdzącym tonem młodszy rewident, na co starszy odpowiedział tylko jakimś niezdecydowanym i zdziwionym pomrukiem. Właściciel sklepu odetchnął i już znacznie spokojniej przyglądał się kontroli dalszych dokumentów. Dopiero u schyłku nocy młodszy rewident, który był po prostu niestrudzony, powstał, aby rozprostować kości zeszywniałe od siedzenia nad teczkami z dokumentami, przeszedł się po pracowni i

stojąc twarzą do ściany przeciągnął się nieprzyzwoicie, jak by znajdował się w swojej sypialni.

– Ale manieri ma ta dzisiejsza młodzież! – pomyślał ze zgorzeleniem pan Zgorzelski, lecz natychmiast sprężył się, bo nagle usłyszał pytanie:

– Czy tutaj w ścianie ma pan także jakąś skrytkę pancerną?

– Tak – odpowiedział niechętnie lekko ochryłym głosem – ale ja jej nie używam i nie zaglądam do niej od lat... To stara skrytka mojego ojca, której przestaliśmy używać od czasu jak kupiłem tę dużą kasę pancerną – dodał prędko widząc, że młodszy rewident podchodzi blisko do ściany i przygląda się zarysom drzwi-czek wpuszczonych w mur i niedokładnie przysłoniętych wielkim oprawnym dyplomem jakiegoś Grand Prix uzyskanego w Paryżu przez firmę Zgorzelski i S-wie w roku 1929.

– Wie pan, dla spokoju sumienia, niech pan ją otworzy... – dobrotliwie mówi młodszy człowiek, nie odrywając wzroku od skrytki i zdejmując dyplom ze ściany. Mimochodem zauważa, że rama dyplomu nie jest zakurzona, a nawet nosi zupełnie wyraźne odciski palców (psiakrew, że nie można tego zdaktyloskopować!).

Pan Zgorzelski zaczyna coś mrużyć pod nosem, że nie wie, czy w ogóle ma jeszcze klucze do tej skrytki, ale młody człowiek nie przejmując się jego wątpliwościami, wyjmuje z kasy pancernejszej pęk kluczy, z łatwością

odnajduje właściwy i wkłada go w wąską szparę drzwiczek skrytki pomalowanej na kolor ściany. Rozlega się cichy szczełk i skrytka staje otworem. Jeden rzut oka i młody człowiek wydaje zdziwione gwizdnięcie. Kiedy się odwraca, widzi przed sobą zielonego ze strachu pana Zgorzelskiego i zdumionego rewidenta PIH, który nic z tej sceny nie rozumie. Obaj, jak zahipnotyzowani podchodzą do skrytki ziejącej czernią wnętrza.

– Phi, jakiś portret – mówi rozczarowany rewident, który już wietrzył handlową sensację.

– Nie mam pojęcia skąd to się tutaj wzięło i do kogo to należy – rozdygotanym głosem powtarza pan Zgorzelski, obmacując niespokojnie wzrokiem twarze obu urzędników.

– To dziwne – mówi powoli młodzieniec i wyjmuje leżący na podłodze skrytki, czarny, podłużny przedmiot – rzeczywiście skąd to mogło się tutaj wziąć? – Oczy starszego rewidenta robią się okrągłe jak śliwki na widok trzymanego przez młodzieńca magazynku do pistoletu, połyskującego mosiądzem pocisków.

– Może leży jeszcze od powstania – jąka z trudem pan Zgorzelski, który w jednej sekundzie dosłownie spływa potem.

– To niewykluczone – chętnie godzi się z nim młodzieniec – ale sam pan rozumie, że jako urzędnicy państwowi jesteście zobowiązani do złożenia zameldowania

o tym milicji. Nielegalne posiadanie broni i amunicji jest zakazane prawem.

Gdyby obaj widzowie byli bardziej spostrzegawczy, zauważyliby zapewne, że rzekomy rewident PIH trzyma magazynek w dwóch palcach, tak aby nie zatrzeć ewentualnych odcisków palców. Młody człowiek zawijając w papier znaleziony magazynek zdążył zauważyć numer wytłoczony na jego podstawie: C-1387. Ten numer jemu nic nie mówi, wystarczy jednak, że następnego dnia rzuci nań okiem kapitan Zawieja, aby stwierdzić, iż jest to zapasowy magazynek do pistoletu TT, z którego zastrzelono Czarną Rączkę.

Młody rewident uspokajał pana Zgorzelskiego, że wystarczy krótkie wyjaśnienie, aby milicja biorąc pod uwagę jego nieposzlakowaną opinię umorzyła dochodzenie, siada przy maszynie stojącej na małym stoliku pod zielono oszkloną lampą biurową. Młodzieniec pisze powoli protokół z przeprowadzonych oględzin i rewizji dokumentów, jak też poświadczenie o znalezieniu i zabezpieczeniu magazynku z amunicją do pistoletu TT. Pisze dużo i rozwlekle, a ponieważ nie ma wprawy w pisanie, trwa to bardzo długo. Młodzieniec jednak nie zniechęca się, chcąc odbić jak najwięcej znaków pisarskich, gdyż jedno z zadań, jakie otrzymał na zlecenie Zawiei od porucznika Komisiaka brzmiało: pobrać próbki pisma maszyny do pisania. A im więcej odbito czcionek przy pobieraniu próbki pisma, tym łatwiej

ekspertom będzie porównać krój czcionek maszyny z czcionkami anonimowego listu, przesłanego w swoim czasie na ręce kapitana Zawiei.

Skończywszy wreszcie pisanie i po uwierzytelnieniu treści protokołów podpisami wszystkich obecnych, młody człowiek podchodzi do telefonu:

– Wie pan co? Od razu zawiadomię milicję. Przyjadą, obejrzą skrytkę i magazynek i już nie będą pana w sklepie więcej nachodzili – mówi życzliwie do zupełnie zmartwiałego i niezdolnego do stawiania oporu pana Zgorzelskiego. – Sam pan rozumie, że dla dobrego imienia firmy niepożądana by była wizyta milicjantów w dzień...

Nie doczekawszy się odpowiedzi, na której mu zresztą nie zależało, wykręca numer Komendy Miasta i po chwili mówi: „Proszę z oficerem dyżurnym...”

3.

Tydzień wyznaczony przez inspektora Reszkiewicza mijał szybko. Zawieja nie zauważył nawet, że po upalnym sierpniu nadszedł wrzesień, którego dni wciąż jeszcze pogodne i słoneczne, miały już podszewkę wczesno jesiennego chłodu. Tyle nowych okoliczności ujawniło się w ciągu ostatniego tygodnia, tyle spraw trzeba było przemyśleć i tyle działań podjąć, że kapitan

zupełnie zaniedbał swego przyjaciela na Solcu i nawet żonę widywał tylko przelotnie, kiedy wracał do domu późnym wieczorem i rano, gdy wyruszał ponownie do pracy. Inspektor Reszkiewicz zapowiedział swą powrotną wizytę w czwartek, toteż Zawieja w środę do późnego wieczoru siedział w Komendzie usiłując z sierżantem magistrem Niedzielskim uporządkować wyniki dotychczasowego dochodzenia. Na mosiężnej popielnicze urosła spora piramidka niedopałków, podłoga była szara od popiołu, oni zaś niestrudzenie dyskutowali, jedynie co parę godzin odświeżając zmęczone mózgi kawą, parzoną na miejscu w małym ekspresiku. Kapitan od pewnego czasu na prośbę młodego adepta kryminalisty porzucił formę oficjalną i zwracał się do niego po prostu po imieniu.

– Widzisz, kochany, w dochodzeniu tak jak w MHD – od czasu do czasu remanent jest niezbędny. Jeszcze tydzień, dwa, a my sami nie potrafimy się połąpać w tej płątanie faktów i osób. A to by było bardzo niedobre... Spróbujmy więc zrobić spis tego, co już wiemy i czego się dopiero domyślamy...

Niedzielski wziął ołówek do ręki i z gotowością spojrział na kapitana, ten jednak pokręcił przecząco głową:

– O, nie, to by było za łatwe! Chcę żebyś był moim doradcą i współpracownikiem, a nie sekretarzem. Spróbuj sam zacząć analizę sprawy...

Sierżant magister z zakłopotaniem poszczypał górną wargę ze skąpym zadatkiem na zarost:

- Ale od czego by tu zacząć, towarzyszu kapitanie?
- Spróbuj zacząć od opisanie składników sprawy, czyli mówiąc patetycznie, od poszczególnych aktów dramatu...

- A więc akt pierwszy: zabójstwo Rehma i jego żony – trochę niepewnie powiedział Niedzielski.

- Słusznie, dalej!

- Zabójstwo Czarnej Rączki i afera przemysłowa pana Homolacsa – pewniej już powiedział Niedzielski.

- Stop! To byłby rejestr trochę zbyt powierzchowny. Sytuacja rozwijała się w sposób nieco bardziej złożony.

Kapitan założył ręce na plecy i skrzypiąc butami o wysokich cholewach zaczął się przechadzać po gabinecie:

- Zaczęło się rzeczywiście od tego, że Rehm i jego żona zostali zabici w sposób pozorujący zabójstwo z zazdrości z jednoczesnym samobójstwem sprawcy. Kiedy jednak sprawcy przekonali się, że śledztwo odrzuciło zazdrość jako motyw zabójstwa, usiłowali podsunąć nam nowy wariant, oskarżając Rehma w anonimie o działalność szpiegowską. Argumentem miały być wysokie sumy na koncie Rehma, które Rehm miał

rzekomo otrzymać za swe usługi na rzecz obcego wywiadu; To byłby punkt drugi.

– Tej ewentualności nie wykluczaliśmy na razie – zauważył ostrożnie Niedzielski, wodząc oczyma za krążącym po pokoju kapitanem.

– Formalnie, nie – faktycznie wykluczyli ją sami przestępcy.

Niedzielski popatrzył pytająco na Zawieję.

– Widzisz – ożywił się Zawieja – oni w ogóle „przefajnowali” całą sprawę! Chcieli mi za bardzo „ułatwić” pracę i przez to sypali się raz po raz sami. Zauważ, że kiedy po raz pierwszy wpadłem na trop afery zegarkowej, to było przy Czarnej Rączce, pamiętasz? Natychmiast podsunęli mi i ten motyw, obciążając Rehma pełną odpowiedzialnością za przemyt zegarków.

– No, a te umowy, które przyniósł towarzyszeni naczelnik Kowalski? – zdziwił się Niedzielski. – Czyżby nie były autentyczne?

– Kochany – z nutką zarozumiałości w głosie powiedział Zawieja – gdyby były autentyczne, nie staraliby się ich wykraść! Nie zabraliby także wszystkich naszych stempli, uniemożliwiając przez to identyfikację użytych pieczęci i charakteru pisma Augusta Rehma.

Niedzielski patrzył na kapitana w milczeniu kręcąc głową, ale prawdę mówiąc trudno byłoby stwierdzić, co w tym niemym geście przeważało: podziw, czy

niedowierzenie. Zawieja musiał wziąć ten gest za oznakę powątpiewania, gdyż zaczął energicznie przekonywać swego pomocnika.

– Trzeba poszczególne zarzuty przeciw Rehmowi rozpatrywać na tle całości jego obrazu duchowego. Zastanów się tylko – gdyby wszystkie ich informacje były prawdziwe,, to nasz Rehm musiałby być wielostronnym i rutynowanym zbrodniarzem: a więc po pierwsze miał być człowiekiem patologicznie zazdrośnym o swą żonę, po drugie miał być szpiegiem, po trzecie miał być przemytnikiem i aferzystą na grubszą skalę. Tymczasem wszystkie uzyskane przez nas wiadomości o tym człowieku zgodnie stwierdzają, że był to człowiek bardzo uczciwy, prostolinijny, rygorystycznie trzymający się przepisów i praw, wreszcie był to dobry i zgodnie z żoną żyjący małżonek. Jak widzisz, nic się tutaj kupy nie trzyma!

– Czyli waszym zdaniem, towarzyszu kapitanie, August Rehm był całkowicie niewinny? – Pytanie było wyraźnie wątpliwe. Zawieja żywo podniósł dłoń gestem protestu:

– Powoli, powoli! Ja tego nie powiedziałem. Moim zdaniem Rehm nie był mordercą żony i przemytnikiem zegarków marki Longines. Musiał jednak mieć jakiś związek z całą aferą, choć jeszcze nie wiem, na czym ten związek polegał... Przypuszczam, że dużo mógłby tu nam pomóc zagadkowy pan Teofil, który pisywał do żony Rehma takie wylewne i serdeczne listy. Ale tego

Teofila od razu umieść na liście spraw, o których nic nie wiemy.

Niedzielski skończył notować i ponownie spojrzął pytająco na kapitana:

– Na jakiej podstawie przypuszczamy, że Rehm mimo wszystko był zamieszany w sprawę zegarków? Może był zupełnie niewinny?

Kapitan krótko się zastanowił i zaczął wylizywać:

– Rehm pracował w firmie, która ma praktycznie biorąc monopol na import zegarków, został zabity przez autorów afery zegarkowej, ergo musiał w jakiś sposób im przeszkadzać, prawdopodobnie musiał coś o niej wiedzieć i z powodu tej wiedzy stał się dla nich niebezpieczny. Ta zbieżność specjalności zawodowej Rehma, typu instytucji, w której pracował i rodzaju afery nie może być przypadkowa. Po drugie – konto Rehma rzeczywiście wykazuje sumy nieproporcjonalnie wysokie do jego oficjalnych zarobków. Po trzecie – jedną z kolporterek przemyconych zegarków jest pani Joanna Szmyt, rodzona siostra żony Augusta Rehma. Wystarczy?

– Dla mnie wystarczy, ale nie wiem czy dla prokuratora...

– Dla prokuratora, dla prokuratora! – zżymał się niecierpliwie kapitan. – Oczywiście, że dla prokuratora to wszystko jeszcze zbyt mało. My, mój mały, inwentaryzujemy obecnie tylko nasze hipotezy, prokurator zaś wymaga rejestru dowodów. Dowody zaś znajdą się

wtedy, kiedy dopracujemy się we dwójkę prawidłowej hipotezy całej sprawy i przy jej pomocy potrafimy odkryć sprawców. Zresztą chcę zwrócić twoją uwagę na to, że szczegółowych, poszczególnych dowodów już w tej chwili mamy niemało: a więc zastanawiający kąt, pod jakim oddano strzały z pistoletu „Vesta” do obu ofiar, różnice w stopniu pośmiertnego stężenia obu zwłok, wskazujące na to, że Rehm został zabity o kilka, a może i kilkanaście godzin wcześniej od swojej żony, miejsce znalezienia zwłok Rehma, tak odległe od jego mieszkania i do tego tak bardzo uczęszczane. Oczywiście, że to są na razie tylko pojedyncze rodzyнки, ale daj mi tylko ciasto, to ja już potrafię te rodzyнки powtykać na swoje miejsca...

I Niedzielski nie miał wątpliwości, że kapitan potrafi. W ogóle była od niego taka jakaś skondensowana siła i energia, a nawet zaciętość, że sierżant w duchu zastanawiał się, co było przyczyną tej wyraźnej zmiany w nastroju zwierzchnika. Domyślił się w końcu, że Zawieja mówiąc do niego o sprawie „Vesty” przez cały czas miał przed oczyma ironiczny uśmiech inspektora Reszkiewicza i odbywał rodzaj generalnej próby przed jutrzejszym starciem.

– Sądzę – mówił dalej Zawieja – że nasza hipoteza dotycząca śmierci małżonków Rehmów jest dostatecznie spoista i kompletna i może nam na razie roboczo wystarczyć.

– Dopóki nie wiemy kto ich zabił, lub przynajmniej nie mamy opartej na pewnych danych supozycji na ten temat, ta hipoteza też nie jest kompletna – sprzeciwił się Niedzielski pukając ołówkiem w arkusz papieru.

Zawieja z uznaniem kiwnął głową.

– Brawo, młodzieńcze! Podoba mi się, że niczego nie przyjmujesz na wiarę i starasz się samodzielnie myśleć. Będą z ciebie ludzie...

– ...jeśli bydlęciem nie zostanę – zacytował Zagłobę sierżant Niedzielski i obaj roześmieli się, co wniosło niezbędny moment odprężenia.

– Nie zostaniesz, nie ma obawy. A wracając do twego zarzutu: kto zabił Rehmów? Otóż tego jeszcze nie wiemy, ale supozycja pewna już istnieje – Czarna Rączka. Jego wzrost odpowiada danym ekspertyzy. Pamiętasz chyba, że ekspertyza określiła wzrost zabójcy na 160-165 cm? Poza tym w sypialni Rehmów znalazłem kawałek materiału z jego marynarki, choć według słów Weroniki Kawki, rzekomy malarz nie dokonywał swych „pomiarów” w pozbawionej okien sypialni, a prócz kuchni pani Rehmowa chciała jedynie odnowić okna w gabinecie męża. Oczywiście Czarna Rączka był tylko najemnym narzędziem zbrodni... Jestem przekonany, że ten kto kazał zabić Rehmów, ma białe, nawet bardzo białe rączki...

– Zgorzelski? – domyślił się sierżant Niedzielski.

– A któż by inny? To do niego udał się Czarna Rączka po zwolnieniu z aresztu. U niego znaleziono magazynek od pistoletu skradzionego Rehnowi, z którego zastrzelono Czarną Rączkę. To jego samochód stał przed domem, gdy dokonano napadu na mnie. U niego odkryto wycięty z portretu fragment portretu Rehma. On wreszcie organizuje skup srebra i dostarcza go odkrytemu przez ciebie Janowi Kawce do przetapiania w drogie obarzanki, które pan Homolacs wywozi swoim Delagem jako zapłatę za przywożone tymże samochodem zegarki marki Longines. Był wreszcie poprzez swojego brata bliskim znajomym Rehma. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że wytworny pan Zgorzelski jest szefem tej całej szajki.

Niedzielski zastanawiał się z takim wysiłkiem, że na jego gładkim młodzieńczym czole pojawiła się głęboka zmarszczka:

– Czy nie wydaje się wam, towarzyszu kapitanie, że jak na szefa, to ten Zgorzelski jest zamieszany zbyt bezpośrednio w różne sprawy. Mnie się wydaje, że szef stara się raczej stać trochę na uboczu...

Kapitan nagle zatrzymał się i rzucił w stronę swojego ucznia krótkie spojrzenie:

– Wiesz... to coś powiedział przed chwilą jest znacznie głębsze, niż może sam przypuszczasz...

W duchu zaś pomyślał, że bezpośredni zwierzchnik tego nowicjusza, porucznik Komisiak mógłby myśleć

dwa lata i nie wymyśliłby tak celnej uwagi. Co to jednak znaczy wykształcenie ogólne! Nie zdradził jednak oczywiście tych swoich myśli, tylko zaczął rozważać podniesiony przez Niedzielskiego zarzut:

– Ale jeśli nie Zgorzelski, to kto? Mamy wybór, jak dotąd, bardzo mały: Homolacs, Teofil, ewentualnie brat Zgorzelskiego, Joanna Szmytowa, Kawka...

– No, Kawkę chyba można wykluczyć od razu – skrzywił się lekceważąco Niedzielski.

– Dlaczego? Po twoich krakowskich rewelacjach? – zdziwił się kapitan:

– Ach, to towarzysz myśli o Janie Kawce, bo ja myślałem o Weronice...

Zawieja nagle ponownie stanął w pół kroku, po czym odwrócił się powoli do Niedzielskiego:

– Czekaj, czekaj... Przecież my rzeczywiście mamy do czynienia z dwiema osobami o nazwisku Kawka...

Zamyślony wystukał cygarniczkę o krawędź popielnicy:

– Czy to tylko zbieg okoliczności? A może między Weroniką Kawką, a bogatym handlarzem dewocjonaliów z Krakowa występuje jakieś pokrewieństwo?

Coś mu się musiało przypomnieć, gdyż szybko poszedł do biurka, wysunął szufladę i zaczął ją opróżniać z różnych papierów i teczek:

– Gdzieś tutaj miałem protokół z wywiadu o Weronice Kawce, zrobionego przez Komendę w Mińsku

Mazowieckim – wyjaśniał wykładając coraz to nowe papiery na stół. – Nie przywiązywałem do niego większego znaczenia, więc nawet jeszcze nie wpiąłem do akt sprawy... Aha, to będzie ten dokument! – Szybko przerzucił treść papieru zapisanego niewprawnym pismem dzielnicowego z Mińska:

– Czekaj, czekaj... – zaczął mrużyć pod nosem szybko przebiegając wzrokiem treść raportu. – Oho, tu jest coś: „W roku 1939 wyszła za mąż za Jana Kawkę, handlarza zegarkami na bazarze Kercelego, ale bita przez niego i maltretowana rozeszła się z nim, jak z a - p o d a j ą sąsiedzi w pierwszych latach po wojnie i od tego czasu żyje samotnie...”

– A to ci bomba! – klasnął w ręce Zawieja i podniósł wzrok na Niedzielskiego, ale w tej samej chwili na twarzy jego pojawił się wyraz zdziwienia: – Ale co się z tobą dzieje!? Przecież ty mnie wcale nie słuchasz?

Niedzielski patrzył na stół kapitana, na to miejsce, gdzie wyjęta z różnymi papierami z szuflady leżała bursztynowa fajeczka z czarną końcówką obitą srebrem.

– A „to-to” skąd się tu wzięło? – zdziwił się z kolei kapitan i wziął do ręki fajeczkę. Kiedy jednak odczytał złoty napis „Johann Lippert et Co” i na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Spojrzał pytająco na Niedzielskiego:

– Towarzyszu kapitanie – zaczął podnieconym

głosem Niedzielski – przecież taką właśnie fajeczkę widziałem w sklepie Jana Kawki, który odwiedziłem pod pretekstem kupna różańca. Mówiłem wam już w swoim raporcie, że zdumiała mnie wyryta na fajeczce firma, z którą Rehm zawierał swoje sfalszowane umowy.

Spoglądali na siebie takim wzrokiem, jak by ni stąd, ni zowąd na środku biurka wyrosła egzotyczna palma. Los, który często lubi płatać figle, chciał, że w tej chwili do pokoju wszedł jak zwykle zadowolony z siebie Jurek Piskorz. Dojrzawszy w ręku kapitana fatalną fajeczkę zamierzał dyskretnie wycofać się z pokoju, ale właśnie ten jego manewr przypomniał kapitanowi scenę z dnia wczorajszego, kiedy Jurek prosił go o zezwolenie zapalenia papierosa w obecności zwierzchnika.

– Jurek, przyznaj się, to twoja fajeczka?! – groźnie natarł na niego Zawieja.

– Moja – niepewnym głosem odpowiedział szofer i znowu rozejrzał się, jak by zamierzał wyskoczyć przez okno. Po kilku minutach, przyparty do muru jąkając się i czerwieniąc wyśpiewał wszystko.

Po zmyciu głowy Jurkowi, który milcząc wysłuchał ostrej reprimendy „pana naczelnika” i w pierwszej sposobnej chwili ulotnił się z gabinetu, obaj oficerowie powrócili do przerwanej analizy „Vesty”.

– Jakie właściwie miejsce w całej aferze mamy przypisać tym cygarniczkom? – spytał Niedzielski z

uwagą obracając fajeczkę w rękę. – Bo przecież Homolacs nie wozi ich chyba dla celów reklamowych firmy Lippert et Co?

– Na pewno nie – odparł z przekonaniem Zawieja – już choćby tylko dlatego, że firma Lippert et Co nie istnieje. Można suponować, że fajeczki są częścią hasła rozpoznawczego, które musimy dopiero odkryć, bo może nam się przydać we własnych działaniach operacyjnych.

Ale sierżant magister miał wątpliwości, czy przy tak ciemnych interesach, przy których padają trupy, ktośkolwiek zgodziłby się współdziałać z ludźmi sobie nieznanymi, których dopuszczaloby się do sekretów bandy jedynie na zasadzie okazania fajeczki, nawet jeśli przy tym było jeszcze umówione hasło słowne.

– Przecież przestępcy, zdają sobie również sprawę z tego, że hasło może zostać przez nas przechwycone – zakończył swoje rozumowanie.

Okazało się jednak, że Zawieja nie bał się tego kontrargumentu. Podsunąwszy Niedzielskiemu do wglądu listy sporządzone przez panią Irenę, na których widniały nazwiska osób deponujących w komisach zegarki marki Longines, wygłosił do nich krótki komentarz:

– Pomyśl dobrze – dwa tysiące osiemset zegarków jest w tej chwili w sprzedaży komisowej. Ile zegarków można oddać jednorazowo do sprzedaży nie budząc podejrzeń? Dwa, trzy – no, dziesięć, jeśli potrafi się

przekonać sprzedawcę, że się je otrzymało w paczce z zagranicy. Ale przecież nie sto i nie dwieście! Każda próba hurtowej dostawy natychmiast zwróciłaby uwagę, choćby naszych agentów z gospodarczego wydziału, nie mówiąc już o samych sprzedawcach, którzy nie wszyscy przecież są łapownikami i kanciarzami. Przemysłowcy muszą więc mieć dostatecznie szeroką sieć kolporterów, którzy dostarczają zegarki do komisów, sprzedają pokątnie na bazarach, prywatnie itd. Nasza lista zawiera ponad dwieście nazwisk, a przecież na pewno nie są to wszyscy kolporterzy jacy działają, tylko ci, których nam się udało ustalić.

– Czyli, że właściwie trzeba mówić o dwóch warstwach przestępców w sprawie „Vesty” – zakonkludował Niedzielski wertując listy kolporterów – banda właściwa, nieliczna i cała organizacja kolporterska, która już idzie „na masówkę”.

Kapitan wniósł jednak jeszcze jedną poprawkę do tego sformułowania: – Sądzę, że w rzeczywistości trzeba mówić o trzech warstwach w bandzie „Vesty”, a nie o dwóch. Takie bandy organizują się trochę na podobieństwo łóż masonskich. Pierwszy, najwyższy stopień „wtajemniczenia” to wąska grupa bandy właściwej, do której należą na pewno Zgorzelski, Homolacs, Kawka i prawdopodobnie Teofil, oraz Czarna Rączka, potem idzie szersza, ale jeszcze nie masowa grupa organizatorów kolportażu. To są ci ludzie, którzy legitymując

się hasłem, otrzymują od członków bandy większe ilości zegarków do kolportażu między komisji i prywatnych, pokątnych sprzedawców. Wreszcie masowa sieć kolporterów, często zmienianych, którzy nie znają ani hasła, ani członków bandy właściwej, a kontaktują się tylko ze znanymi sobie osobiście organizatorami kolportażu. Bardzo często są to ludzie zupełnie uczciwi, którzy podejmują się sprzedaży zegarka dla zarobku, będąc przekonani, że człowiek, od którego je otrzymują do sprzedaży, sam z kolei otrzymał większą przesyłkę, legalną paczkę z zagranicy. Taką organizację stwierdziliśmy przed rokiem w bandzie Cagliego (dla odmiany włoskiego „turysty”), która potrafiła tym systemem rozkolportować około 15 tysięcy przemyconych zegarków, wartości około 20 milionów złotych.

Sierżant Niedzielski bardzo uważnie słuchał kapitana. Każde zdanie doświadczonego kryminalistyka wzbogacało jego wiedzę, w ciągu kwadransa przebywania z kapitanem Zawieją uczył się nie raz więcej niż w ciągu całego dnia wykładów w szkole łódzkiej.

– A jak towarzysz kapitan sądzi, czy Joanna Szmytowa była tylko kolporterką, czy też organizatorką kolportażu? – spytał spostrzegłszy podkreślone w rejestrze nazwisko właścicielki domu mód w Łodzi. Zawieja zaśmiał się na widok tej bezgranicznej wiary w jego wszechwiedzę i nieomyślność.

– A skąd mam to wiedzieć, mój drogi? Dopóki

Barski nie ukończy swych czynności operacyjnych w Łodzi, nic nie wiem. Może Szmytowa jest nawet członkiem samej bandy właściwej? Wszystko jest możliwe.

Niedzielski pamiętał, że dokonując tej analizy Zawieja stara się zawczasu przygotować do odpierania zarzutów inspektora Reszkiewicza i szukał jakiejś luki w rozumowaniu zwierzchnika, która mogłaby ewentualnie jutro zostać wyzyskana przez inspektora jako argument za zaniechaniem sprawy „Vesty” przez ich wydział. Wreszcie Niedzielskiemu wydało się, że widzi taką lukę.

– Czy nie sądzicie, towarzyszu kapitanie, że jak na tak wielką organizację i tak wielkie ryzyko, jakie bandyci podejmują, ich zyski są nieproporcjonalnie małe?

Zawieja zachnął się:

– A co ty wiesz o ich zyskach?! Nic!

Sierżant magister przypomniał wówczas, że na koncie Rehma (jeśli się przyjmie, że konto to należało do bandy) znajduje się zaledwie trzysta tysięcy złotych. Również siedemdziesiąt kilogramów srebra w zapasowym kole wozu pana Homolacza, nie przedstawia wartości współmiernej do nakładu starań i ryzyka ze strony bandytów. Kapitan popatrzył z uznaniem na Niedzielskiego – i on także zadawał sobie takie pytania, miał jednak nad młodym adeptem kryminalistyki tę przewagę, że gdy tylko wpadł na trop afery zegarkowej, przestudiował

akta innych spraw przemysłowych już wcześniej rozwi-
kanych. Dlatego też mógł skutecznie odparować cios
zadany przez swego asystenta.

– Przede wszystkim bezpodstawnie lekceważysz
wartość, jaką przedstawiają zegarki znajdujące się
obecnie na rynku. 2800 zegarków, jeśli wycenimy je
tylko po 1500 złotych, to kapitał równy czterem milio-
nom dwustu tysiącom złotych! Przestępcy musieliby
być samobójcami, gdyby chcieli taką sumę umieścić na
czyimkolwiek koncie prywatnym. Konto Rehma musia-
ło spełniać jakąś funkcję pomocniczą, jaką – to musimy
dopiero odkryć. Pamiętaj, że proceder „Vesty” trwa już
kilka lat i nic na razie nie wiemy o tym, ile milionów
złotych wypłynęło w tym czasie z kraju, jako zapłata za
przemyczone zegarki.

– I te miliony miałyby „wypłynąć w srebro”? –
spytał niedowierzająco Niedzielski. – Przecież na to
trzeba by było chyba kilka ton srebra i nie jednego, ale
całej karawany samochodów.

Zawieja przypierany do muru, podenerwowany nie-
dowierającym tonem Niedzielskiego, który nieoczeki-
wanie przypomniał mu ironiczny głos inspektora Resz-
kiewicza, zaczął się trochę unosić.

– A niby dlaczego nie miałyby wypłynąć w postaci
srebra?! Przecież mamy poszlaki, że Homolacs co kwar-
tał wywozi około siedemdziesiąt kilogramów srebra – to
jest trzysta kilogramów rocznie! Srebro posiada niską

cenę w Polsce, w porównaniu z innymi rynkami europejskimi. Na przykład nikomu nie opłaci się wywozić od nas złota, które jest w Polsce droższe – ale srebro – tak, po stokroć tak! Musisz ponadto wiedzieć, że we wspomnianej już aferze Cagliego, łączny przemysł srebra wynosił trzysta kilogramów, a nielegalny import zegarków, jak ci mówiłem, piętnaście tysięcy!

– No, nie uwierzę, że te trzysta kilogramów srebra stanowiły równowartość wszystkich zegarków – oparł się atakowi Niedzielski, który dokonał w myśli szybkich działań arytmetycznych.

Kapitan ochłonął i już spokojniej wyjaśnił, że i on sam w to nie wierzy, gdyż Cagli wywoził ponadto z Polski szlachetne kamienie (brylanty, perły), które na skutek braku nabywców w kraju, są także znacznie tańsze u nas, niż na Zachodzie.

– O, właśnie – ucieszył się Niedzielski – czegoś takiego jak te kamienie brak naszemu Homolacowski, aby obraz jego działalności był pozbawiony luk i nieścisłości. Czy dane operacyjne nic nie mówią, aby Homolac kontaktował się z notowanymi waluciarzami, lub handlarzami diamentów?

Kapitan wzruszył ramionami:

– Nie mamy takich danych. Zapominasz jednak, że Mirosław Zgorzelski sam jest jubilerem i może tym się zajmować o wiele dyskretnej i skuteczniej od swego

zagranicznego współnika. Ale w tej chwili te szczegóły naprawdę nie mają znaczenia.

Widząc zaś zdziwienie w oczach magistra wyjaśnił:

– Tego wszystkiego dowiemy się, kiedy wybije godzina aresztowania pana Homolacsa i będziemy mogli bez wszelkiego ryzyka poddać jego wóz szczegółowej rewizji.

– A kiedy to będzie? – zapytał Niedzielski.

– W swoim czasie – odpowiedział kapitan – albo... nieco później – dodał z żartobliwym uśmiechem.

Płynęły godziny żarliwej dyskusji, w trakcie której nieraz sięgali do protokołów przesłuchań, nicując poszczególne zeznania na wszystkie strony. Co chwilę Niedzielski podważał wnioski kapitana jakimś argumentem, który jemu samemu wydawał się czasami nie do odparcia, jednak z ulgą stwierdzał, że na wszystkie wątpliwości, kapitan miał gotowe odpowiedzi, które jeśli nawet nie zawsze były stuprocentowo pewne, to jednak z reguły miały logiczne i rzeczowe uzasadnienie.

– Nasza wersja zabójstwa Czarnej Rączki – mówił powoli Niedzielski – zakłada, że bandyta został zabity w Krakowie...

– ...lub w okolicach Krakowa – wtrącił Zawieja.

– Lub w okolicach Krakowa – zgodził się ławo Niedzielski i stamtąd przetransportowany samochodem Homolacsa pod Otwock.

– Tak jest – powiedział Zawieja i czekając na sformułowanie wątpliwości Niedzielskiego zapalił „Giewonta”.

– Na poparcie tej wersji mamy takie fakty jak: orzeczenie lekarza, że śmierć Czarnej Rączki nastąpiła na dwanaście godzin przed znalezieniem zwłok, brak autentycznej łuski w rowie pod Otwockiem, wyczyszczony pistolet bez śladów prochu w lufie...

– No i fakt, że na kilkanaście minut przed odkryciem zwłok zatrzymał się przy nich samochód Homolca, który jechał właśnie z Krakowa – uzupełnił kapitan – pistolet zaś był owinięty w gazetę krakowską z dnia poprzedzającego odnalezienie zwłok. Poszlak chyba nie mało.

– To prawda – odpowiedział bez przekonania Niedzielski – ale po jakiego diabła taszczyli go te trzysta kilometrów samochodem? Przecież to szalone ryzyko. Tyle razy milicja drogowa sprawdza dokumenty, albo niechby się zdarzył jakiś poważniejszy defekt w silniku...

Kapitan spochmurniał. – Ba, żebym wiedział, dlaczego go wieźli! To jest na pewno słaba strona tej wersji i boję się, że Reszkiewicz ją podważy. Również nic nie wiem o drugim samochodzie, którym odjechał człowiek, który zakopywał pistolet. Dlaczego nadjechał od strony Warszawy? Dlaczego potem zawrócił z powrotem do stolicy? Dlaczego stał tak daleko od miejsca

znalezienia zwłok? Jest dużo tych „dlaczego”, ale dopóki nie otrzymam przeciwnego dowodu, muszę przyjąć wersję krakowską za obowiązującą.

Przerwał, gdyż drzwi się otworzyły i weszła sekretarka zapowiadając przybycie porucznika Komisiaka.

– Cześć! – przywitał się z kapitanem udając, że nie dostrzega Niedzielskiego, który na widok oficera wstał z krzesła. – Mam dla ciebie, Romek, dwa meldunki z operacyjnego rozpracowania sprawy Czarnej Rączki.

Kapitan rzucił Niedzielskiemu porozumiewawcze spojrzenie: – Jak by go ktoś zamówił!

Komisiak tłumiąc czkawkę podawał mu kolejno karteluszki meldunków: – No więc po pierwsze: ten drugi samochód na szosie na pewno nie był samochodem Zgorzelskiego – zupełnie inny krój opon. Wysiadka – referował lakonicznie treść meldunków.

– A rozstaw kół? I rodzaj oleju, który wylał się na asfalt? – zapytał niecierpliwie Niedzielski zaglądający porucznikowi przez ramię. Komisiak spojrział przez ramię na sierżanta jak na powietrze i ciągnął dalej ignorując jego zupełnie dorzeczne pytania.

– Żeby nie było żadnych wątpliwości, masz tu zeznania „ciecia”¹ z kamienicy Zgorzelskiego, że samochód H-24-200 stał cały czas przed domem i nigdzie tego wieczoru nie wyjeżdżał.

¹ „Ciec” – dozorca (gw. warsz.).

– To niewesołe – skrzywił się Zawieja.
– Może cię za to ucieszy następna wiadomość – dorzucił Komisiak głosem, w którym zadrgała nuta złościwości. – Ustalono, że Czarna Rączka rankiem tego dnia, w którym zginął, był w Warszawie.

– Nie! – to słowo pełne zdumienia zerwało się z warg obu oficerom jednocześnie, tak że tym razem Komisiak rad z wywartego wrażenia „dostrzegł” nawet sierżanta-magistra i z wyrazem wyższości ciągnął swoją rewelację:

– Nie – „nie”, tylko „tak”. Macie tutaj listę płac z Excelsiora. Około dziesiątej Czarna Rączka we własnej, niefałszowanej osobie, zgłosił się wraz z małżonką do hotelu i zażądał należnych mu pieniędzy za dwa przepracowane tygodnie, które mu też bez sprzeciwu wypłacono.

Nie mogło być żadnych wątpliwości. Wersja „krawkowska” zabójstwa Czarnej Rączki legia w gruzach, a kapitan nie miał na razie żadnej innej. Jutro przyjdzie ten Reszkiewicz... i na to wspomnienie Zawieja puścił taką wiązaną przekleństw, że Komisiak spojrzął na niego przerażony. Sierżant Niedzielski rozumiał jednak jaki cios spotkał kapitana, toteż szukał oczyma jego wzroku, by mu jakoś dodać otuchy. Ale Zawieja nie odrywał wzroku od płachty papieru pokrytej kolumnami cyfr z zakreślonym kółkiem podpisem Czarnej Rączki i już się zastanawiał, jakie konsekwencje ma ta rewelacja dla całej sprawy.

4.

Tymczasem następnego dnia inspektor Reszkiewicz wcale nie przyszedł do Komendy Miasta. Kapitan czekał parę godzin, wreszcie zirytowany sam zadzwonił do Komendy Głównej.

– Inspektor Reszkiewicz? – zdziwił się pracownik odpowiedniego wydziału. – Ależ jego nie ma w Warszawie! Wczoraj po południu wyleciał samolotem do Krakowa. Oczywiście – służbowo.

– Dygnitarz, psia krew! – zeżlił się Zawieja. – Wyjedźcie i nawet nie raczy powiadomić o odwołaniu swojej wizyty! A przecież gdybym wiedział, że jedzie do Krakowa, mógłbym go poprosić, aby dopilnował przeprowadzenia rewizji u Jana Kawki.

– Nie warto się przejmować, towarzyszu kapitanie – pocieszał go jak mógł sierżant Niedzielski. – Ostatecznie dzięki temu mamy kilka dni zwłoki, a to też coś warte...

Aby oderwać myśli zwierzchnika od niemiłego tematu, sierżant Niedzielski przypomniał, że trzeba wysłać wezwanie Weronice Kawce w związku z nowo odkrytym faktem jej małżeństwa z fabrykantem dewocjonalistów.

– A propos – ożywił się Zawieja – karalność tego Kawki sprawdzałeś?

– Tak jest – był karany tylko administracyjnie, za różne wykroczenia finansowe. W roku 1955 toczyło się

przeciwko niemu dochodzenie w sprawie nielegalnego handlu srebrem, ale zostało umorzone z braku dowodów winy.

– A to ciekawa historia! – pokręcił głową kapitan – czy masz może tutaj ten wyciąg z jego karty karalności?

Niedzielski odszukał potrzebny dokument i podał go kapitanowi. Zawieja przeczytał rubrykę tyczącą umorzenia postępowania dochodzeniowego i pacnął ręką w stół:

– Coś podobnego! To już przestaje wyglądać jak zwykły zbieg okoliczności!

– Co się stało, towarzyszu kapitanie?

– Widziałeś, kto umorzył tę sprawę?

– Nie, nie zwróciłem uwagi.

– Rak! Rozumiesz – chorąży Rak!

– Nic nie rozumiem, towarzyszu kapitanie!

– Widzisz, to znaczy, że nie dość uważnie czytałeś akta „Vesty”. Gdybyś czytał uważnie akta spraw innych zabójstw popełnionych przy pomocy pistoletu „Vesta”... Ale co ci tam będę prawil morały! Rozumiesz, w jednej ze spraw jedyny dotąd ujęty zabójca posługujący się pistoletem „Vesta” został otruty cyjankiem potasu w areszcie śledczym. Dyżur miał wtedy chorąży Rak.

– Towarzysz kapitan przypuszcza?... – ze zgrozą w głosie spytał wciąż jeszcze idealistycznie patrzący na świat i ludzi sierżant magister.

– Jeszcze nic nie przypuszczam, tylko kojarzę fakty – szorstko, nawet zbyt szorstko odpowiedział Zawieja. – Czy ty rozumiesz, chłopcze, ile by się spraw wyjaśniło, gdyby się okazało, że Homolacs et consortes mają opiekuna wśród nas, w milicji?!

Sierżant Niedzielski rozejrzał się po pokoju z komiczną trwogą w oczach, jak by ,wydało mu się, że nagle ze wszystkich ścian patrzą na niego bezlitosne oczy, a każde słowo ich rozmowy notuje zbrodnicze ucho.

– Ale... Ale przecież to byłoby okropne!...

– Więcej, to byłoby potworne – zgodził się poważnie Zawieja – i właśnie dlatego nie wolno nam takiej wersji pozostawić bez sprawdzenia, skoro choćby cień podejrzenia zarysował się w naszych mózgach...

Podszedł do selektora i rzucił w słuchawkę: – Z kra-kowską Komendą Wojewódzką, Wydział Kadr – błyskawiczna!

A po pięciu minutach obaj odetchnęli z ulgą: chorąży Rak od roku 1956 już nie pracuje w milicji, zwolnił się na własną prośbę i wyjechał gdzieś na ziemię zachodnie. Już tylko dla spokoju sumienia sprawdzili w centralnej ewidencji oficerów milicji, czy Rak nie figuruje na liście pracowników jakiegokolwiek komendy w kraju i usłyszawszy, że takiego oficera nie ma w rejestrze, z dużą ulgą wykreślili ten wariant ze swego dochodzenia. Sierżant Niedzielski odzyskał spokój i znów zaczął

patrzeć z zaufaniem na ściany pokoju.

– Swoją drogą – powiedział po chwili kapitan – trzeba będzie sprawdzić, co się obecnie dzieje z panem Rakiem, bo może nam się przydać przy „pasowaniu” dawniej niewykrytych spraw naszym podopiecznym. Bądź co bądź – świadek z pierwszej ręki...

Nie zdążył jednak dokończyć swej myśli, bo prze-rwał mu dzwonek miejskiego telefonu. Niedzielski, który siedział bliżej, podniósł słuchawkę, lecz już po chwili wręczył ją kapitanowi:

– To do was, towarzyszu kapitanie...

– Czy pan Zawieja? – usłyszał w słuchawce głos stłumiony, dość jednak wyraźny na to, żeby określić żeńską płec mówiącego.

– Tak, Zawieja przy telefonie.

– Niech pan uważa na siebie. Niech pan nie wychodzi sam wieczorami! Niech pan się pilnuje! – wyrzuciła z siebie pospiesznie nieznajoma rozmówczyni. Kapitan nie wierzył własnym uszom:

– Halo, kto mówi? Kto mówi?! – Zaczął uderzać w widelki telefonu, ale w słuchawce rozległ się szczęk i za chwilę już niczego nie słyszał poza długim jękiem sy-gnału.

– Co się stało? – zapytał Niedzielski, widząc wy-raźną zmianę na szczupłej twarzy kapitana.

– Ostrzeżenie – powiedział powoli Zawieja z za-
kłopotanym uśmieszkiem na wargach – ktoś mnie

ostrzegł, żebym uważał na siebie i nie chodził samotnie wieczorami. Jakaś kobieta...

Sierżant magister tak się przejął nowiną, że aż powstał z krzesła i podszedł do kapitana:

– Musicie, towarzyszu kapitanie, naprawdę uważać na siebie. Stawka jest gruba i dranie nie będą przebierać w środkach...

Kapitan uśmiechnął się wyrozumiale:

– Mój kochany, to wszystko ja wiem bardzo dobrze! W tej chwili jednak najbardziej mnie interesuje osoba nieznaney informatorki...

– Może po głosie dałoby się ją ustalić? – z nadzieją zapytał młodzieniec.

– Ech, po głosie! To w ogóle prawie niemożliwe, zresztą musiała mówić przez szalik, albo przez apaszkę do mikrofonu, bo głos był zupełnie stłumiony i bezbarwny. W każdym bądź razie już po raz drugi dała mi znać o swoim istnieniu. To już dobrze!

– Ja naprawdę niczego nie umiem skojarzyć – bezradnie rozłożył ręce Niedzielski, który usiłował przeniknąć niejasną treść słów kapitana. – Czyżbyście się domyślali, kim jest nieznaną informatorka?

– I tak i nie. Nie domyślam się jej nazwiska i imienia, ale wiem prawie na pewno, że musi to być ta sama osoba, która wezwała przez telefon Nadolskich pogotowie ratunkowe.

– Jakaś kobieta, która ma szczególne powody do troszczenia się o was? – z powątpiewaniem w głosie powiedział Niedzielski. Zawieja roześmiał się:

– Dlaczego od razu tak romantycznie? O wiele prościej przyjąć, że ta kobieta ma szczególne powody do nienawidzenia naszych przeciwników i boi się, że w razie mojej śmierci ujdą bezkarnie i będą dalej robili to, co robią. No, coś tak posmutniał, mały?

Niedzielski miał rzeczywiście mocno zmartwioną minę.

– Może by zapewnić wam ochronę osobistą na najbliższy czas? – spytał wciąż nie mogąc oderwać myśli od niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad głową kapitana. Zawieja ruszył lekceważąco ramionami:

– Gdyby każdemu w milicji, komu grozi napad, za każdym razem zapewniać ochronę osobistą, to trzeba by było podwoić nasze szeregi. To już jest ryzyko zawodowe, mój kochany. Górnik ryzykuje, że zginie w katastrofie, lub pożarze. Lekarz ryzykuje, że zarazi się chorobą, szofer, że zginie w wypadku samochodowym – a my, że zostaniemy napadnięci przez naszych „pacjentów”.

Przed obiadem sierżant magister Niedzielski gdzieś się u r w a ł. Nic nikomu nie mówiąc znikł z Komendy. Zawieja nawet się trochę złościł, że młodzieniec poczyna sobie zbyt samowolnie, ale wkrótce zapomniał o całej sprawie, bo około trzynastej doprowadzono na przesłuchanie żonę Czarnej Rączki.

– Tak szybko? – zdziwił się kapitan przyjmując od Komisiaka zawiadomienie o odszukaniu kobiety i to pytanie mile pogłaskało ambicję naczelnika wydziału operacyjnego.

– Szybko? – udał z kolei on zdziwienie. – W dwadzieścia cztery godziny my ujmujemy dyplomowanych w o r y c h ó w , a nie jakieś tam... – zakończył słowem poddającym w wątpliwość dobre prowadzenie się małżonki Czarnej Rączki. Porucznik Komisiak nie uznał za stosowne wyjaśnić, że tylko szczególnie szczęśliwy traf pozwolił tak szybko ustalić miejsce przebywania wdowy po bandycie, ale prawdę mówiąc Zawiei na tym wyjaśnieniu wcale nie zależało. Grunt, że kobieta, która w dniu zabójstwa jeszcze o dziesiątej rano widziała Czarną Rączkę, siedziała przed nim. Gdyby ją mógł w tej chwili widzieć sierżant Niedzielski, nie dostrzegłby na jej niebrzydkiej twarzy żadnych zmian, od czasu gdy ją po raz ostatni widział w barze na Pradze.

– Pani już wie, że mąż pani nie żyje? – spytał Zawieja po ściągnięciu wszystkich personaliów.

Kiwnęła w odpowiedzi głową, z takim spokojem, jak by ją spytał, czy zauważyła, że się zachmurzyło.

– Od kogo się pani dowiedziała o śmierci męża?

– Dostałam pismo z Zakładu na Oczki, żeby zabrać ciało.

Na ulicy Oczki był zakład medycyny sądowej, ale kapitan pamiętał, jakie trudności miał Barski z ustaleniem

adresu Czarnej Rączki, więc postanowił sprawdzić informację:

- Czy ma pani przy sobie to zawiadomienie?
- Nie. Oddałam je przy odbieraniu ciała męża.

Zawieja zastanowił się: w zakładzie można będzie sprawdzić czy takie pismo rzeczywiście było wystosowane, na razie uczynił z tej sprawy sprawdzian jej szczerości.

– Jak pani myśli, skąd Zakład Medycyny wziął adres pani?

Ruszyła ramionami: – My nie mamy stałego adresu, ale w dowodzie osobistym męża są wpisane dzieci, które mieszkają przy mojej matce na Woli. Zawiadomienie wysłano na adres matki, a ona mi je doręczyła.

Tak, to wyglądało prawdopodobnie. Zawieja przez chwilę popatrzył w jej zmęczone, podsinione oczy spoglądające na niego spod kosmyka utlenionych, dawno nie mytych włosów.

- Pani wie, jaką śmiercią zginął jej mąż?
- Tak. Został zastrzelony.

Nawet w tej chwili głos jej nie zadrgał. Była naprawdę jak z kamienia!

– To przecież nie jest zwykła śmierć – zauważył Zawieja.

– Proszę pana – wzruszyła ramionami – w jego fachu?

Powiedziała to tak spokojnie, że kapitan zrozumiał, iż ta młoda kobieta uważa ryzyko życia za naturalną

konsekwencję bandyckiego rzemiosła swego małżonka.

– Czy pani nie chciałaby, aby zabójcy jej męża zostali ukarani? – spytał przygotowując grunt do zadania bardziej szczegółowych pytań.

Ruszyła ramionami z zakłopotaną miną i było to pierwsze uczucie, jakie odmalowało się na tej twarzy od początku rozmowy.

– Czy Czarna Rączka nie był dobrym mężem?

– Nie był zły. Nie był gorszy niż inni – poprawiła się po chwili. – Chłop – jak chłop.

– A pieniądze pani dawał na życie?

– Jak nie siedział – to dawał. I na dzieci też dawał.

Nie narzekam.

– Ale ostatnio odczuwał brak pieniędzy? – spytał kapitan powoli zbliżając się do interesującej go sprawy.

– Całkiem ostatnio, to tak. Skarżył się, że po zatrzymaniu w zeszłym tygodniu, nie może żadnego „skoku” zrobić, bo mu mogą siedzieć na o g o n i e .

– Kto?

– No, „blacharze”... znaczy się, milicja – poprawiła się, usiłując zatrzeć poprzednio użyte obraźliwe przezwisko. Kapitan udał, że tego nie spostrzegł. Zdusił papierosa w popielniczkę i nie patrząc na kobietę zapytał: – To dlatego poszliście wtedy we dwójkę do hotelu Excelsior po pieniądze?

– Ano, dlatego.

– I dużo tego było?

– Tyle co nic. Coś około pięciu setek. Mąż dał mi dwieście złotych, a resztę zatrzymał sobie.

Zawieja szybko przypomniał znane sobie fakty. Zgadzały się. Na liście płacy wymieniona była suma 502 złote, a przy zwłokach Czarnej Rączki znaleziono około trzystu złotych.

– To krucho musiało być u Czarnej Rączki z forszą, że już nawet po takie grosze musiał się fatygować.

Kobieta machnęła tylko ręką: – On już taki był. Wie pan komisarz, jak to mówią: „Po pierwszym hul dupka, przed pierwszym stul dupka”. Tak i on. Jak podłapał jaką forszę, to morze mu było po kolana. A jak przycisnęła bieda, to nieraz i tydzień samym żurem żyliśmy, zanim znów jaki „skok” mu się udał. Zresztą, jak miał forszę, to wtedy u mnie nie zjawiał się całymi tygodniami. Wtedy miał przyjaciółek i przyjaciół całe fury.

Kapitan musiał trafić na jej czułą strunę, bo powie-działa naraz więcej niż przez całą poprzednią rozmowę. Postanowił grać na tej strunie dalej.

– I już dawno był taki potrzebowski?

– A chyba ze dwa tygodnie. Przedtem to musiał jakiś cięższy grosz podłapać, bo go z tydzień nie widziałam na oczy. Jak wtedy ten młodziak go zamknął na Pradze, to właśnie zobaczyłam go pierwszy raz.

– No, wtedy miał jeszcze kilka zegarków do sprzedania – przypomniał kapitan.

– Ano, właśnie tym też mnie czarował. Ale cóż z tego? Zegarki przypadły razem z nim.

I tym razem wszystko się zgadzało. Przed miesiącem zamordowano Rehmów, wtedy Czarna Rączka miał za co hulać, gdyż na pewno otrzymał sową nagrodę od swych mocodawców. Po przebulaniu pieniędzy wrócił do żony z zegarkami, a po wyjściu z aresztu był rzeczywiście bez pieniędzy, bo podejrzewając, że jest obserwowany, bał się przedsięwziąć cokolwiek dla zdobycia pieniędzy. Ta kobieta mówi prawdę – pomyślał kapitan i postawił jej zasadnicze pytanie.

– Kiedy pani widziała męża po raz ostatni?

– W ten dzień, kiedy byliśmy w hotelu po pieniądze.

– O której godzinie?

– Około jedenastej.

– Jest pani pewna godziny? Przecież w hotelu byliście o dziesiątej.

Kobieta krótko zastanowiła się: – Na pewno o jedenastej. Bo pamiętam, że chciałam kupić gumę do podwiązek, sklep otwierano już przy mnie, a te sklepy otwierają o jedenastej. Przedtem kupiłam to i owo do jedzenia na Nowym Świecie, bo tam przyjechaliśmy autobusem z Pragi.

– Czy mąż towarzyszył pani w zakupach jedzenia?

– Tak, chodziliśmy razem.

– Czy coś mówił o sobie, o planach na przyszłość?

– Narzekałam na brak pieniędzy. Uspokajał mnie, że wkrótce będzie miał forszę i nawet obiecywał, że mi kupi jesionkę, bo ta, którą mam, już strasznie zniszczona.

– Czy to miał być jakiś nowy „skok” – zapytał Zawieja. Kobieta, która dotąd chętnie odpowiadała na wszystkie pytania, nagle zamilkła. Kapitan pochylił się ku niej i powiedział perswadująco: – No, czego się pani boi? Przecież on już nie żyje. To mu nie może zaszkodzić. Więc jak – planował jakiś „skok”?

Wdowa po Czarnej Rączce chwilkę namyślała się: – To chyba nie był zwyczajny „skok”. On mówił, że | to będzie bardzo gruba forsa i to forsa, którą można zdobyć bez mokrej roboty. Tylko mówił, że po tej robocie będzie musiał się na pewien czas zamelinować.

– Na tydzień, na dwa? – podsunął Zawieja.

– Ech – machnęła ręką – na tydzień, na dwa to się melinował po każdym skoku. Jak tak zapowiadał, to na pewno miało być na kilka miesięcy, bo mnie uspokajał, że forsy dla mnie i dzieciaków zostawi tyle, że nam starczy choćby i na rok. No i zostawił – powiedziała z sarkazmem – wesz na smyczy!

Mózg Zawiei pracował teraz dwutorowo, połową świadomości rejestrował odpowiedzi kobiety i formułował nowe pytania, drugą połową na oczekaniu konfrontował nowe fakty ze starymi, konstruował hipotezy i od nich uzależniał dalszy przebieg przesłuchania. Były

to najcięższe i najbardziej wyczerpujące momenty badania świadka.

– Czy nie mówił pani czegoś, co by bliżej określało charakter tego interesu? – stawiał pytanie głośno, jednocześnie zaś w duchu oceniał, że zeznania wdowy pokrywają się z jego przypuszczeniami, iż Czarna Rączka planował zdradę, chciał oszukać z kolei kompanów i dlatego przewidywał tak długi okres melinowania się.

– Nie, nic takiego nie mówił – odparła po namyśle.

Zanim przebrzmiały jej słowa, w umyśle kapitana musiały dokonać się kolejne skojarzenia i powstać nowe warianty sytuacyjne, gdyż pytanie, które z kolei zadał, pozornie nie miało żadnego związku z poprzednimi.

– Czy pani zawsze dokonuje zakupów na Nowym Świecie?

– Nie – popatrzyła na niego zdumiona.

– Kto zaproponował, żeby pojechać z Pragi na Nowy Świat? Pani czy mąż?

– On nie proponował, tylko powiedział: Teraz jedziemy na Nowy Świat. I pojechaliśmy.

– Czy się śpieszył? Czy często patrzył na zegarek?

Kobieta po prostu nie nadążała odpowiadać na pytania, które padały jedno po drugim, jak strzały z pistoletu.

– Faktycznie śpieszył się bardzo. Chciał nawet

taksówkę brać, ale na szczęście pasował nam autobus pośpieszny i nim pojechaliśmy. A na zegarek nie patrzył, bo go nie miał.

– Czy mąż miał przy sobie jakąś teczkę?

– Miał. Starą, płócienną teczkę syna, który już chodzi do trzeciej klasy. Bo tę skórzaną, to mu na milicji razem z zegarkami zatrzymali.

– Co miał w tej teczce?

– Nie wiem, ja tam mu do teczki nie zaglądałam. Już pędzę do portfela.

Zawieja ze zmarszczonym czołem bębnił po stole (teczki przy Czarnej Rączce nie znaleziono), wreszcie podniósł oczy na kobietę:

– No i co było dalej?

– Ano nic. Kupiłam wszystko co trzeba do jedzenia, aż mąż mi nagle mówi, że tutaj musimy chwilę poczekać.

– Gdzie to było? – przerwał jej Zawieja.

– Niedaleko Chmielnej. Tam właśnie był ten sklep z guzikami i tam weszłam, żeby kupić gumę do podwiązek, bo akurat otwierali.

– Ale mąż oczywiście z panią nie wszedł do sklepu.

– Nie – odpowiedziała ze zdziwieniem, że wie nawet o tym.

– Szkoda, że pani tę gumę musiała kupować akurat wtedy – wyrwało się szczerze kapitanowi. Popatrzyła na niego podejrzliwie, czy czasem z niej nie kpi, ale twarz

kapitana była bardzo poważna. – Ile czasu zajęło pani kupno gumy?

– Najwyżej pięć minut, bo w sklepie jeszcze nikogo nie było.

– I co robił pani mąż, kiedy pani wyszła ze sklepu?

– Ano nic. Stał w bramie obok sklepu.

– Niech pani sobie dobrze przypomni. Może komuś się kłaniał, może gwizdał, albo sznurował buty?

Z miny widział, że przejawia maksimum dobrej woli, żeby sobie coś przypomnieć, kiedy wspomniał o sznurowaniu butów, oczy jej błysnęły:

– Faktycznie. Trzymał nogę na takim kamieniu, co jest wmurowany w narożnik bramy i...

– ...sznurował buty? – wskoczył z pytaniem.

– ...nie, zapinał teczkę, którą trzymał na kolanie.

– O, psiakrew! – wyrwało się Zawiei i aż uderzył płaską dłońią w papiery na stole. Znów nie zrozumiała, czym się tak przejął, ale nie dał jej odetchnąć: – I co było dalej?

– Poszliśmy w stronę Alej Jerozolimskich. Koło sklepu skórzanego nagle zatrzymał się koło nas jakiś samochód. Ktoś zawołał na mego męża.

– Jak zawołał? – przerwał jej kapitan nie spuszczać oka z jej warg.

– „Panie Olku” – tak zawołał, bo mojemu było Aleksander na imię.

– I co mąż? Czy był zadowolony z tego spotkania?

– Trochę się zasumował, nawet jak by przestraszył.

Ale podszedł do samochodu. Coś tam pogadali, a kiedy podeszłam bliżej, powiedział: Muszę pojechać z tym panem, wrócę wieczorem... I pojechał.

– Czy poznałaby pani tego pana?

– Nie. Nie przyglądałam się mu, zresztą siedział w samochodzie.

– A samochód poznałaby pani?

Zawahała się: – Może.

Zawieja wyszukał w teczce z aktami operacyjnymi zdjęcie samochodu Zgorzelskiego i Homolacsa. Podał jej zdjęcia. Bez wahania wskazała na zdjęcie wozu jubilera: – Ten.

– Czy jest pani pewna?

– Na pewno. Zauważyłam tego srebrnego jelenia na „dziobie” samochodu.

– I więcej już pani męża nie widziała?

– Dopiero na stole w kostnicy – odpowiedziała i teraz dopiero przygryzienie warg i zmiana głosu udowodniły kapitanowi, że jednak nie jest tak niewzruszona, jaką pragnęła się okazać.

– Czy to już wszystko, co pani ma do powiedzenia?

– Chyba tak.

Wydało mu się, że w głosie jej dosłyszał lekkie wahanie. Powtórzył więc raz jeszcze pytanie, czy naprawdę nie ma nic do podania na temat swego ostatniego widzenia z mężem. Tym razem odparła całkiem pewnie, że nic więcej nie wie. Zawieja przeprosił ją na chwilę, wyszedł do pokoju sekretarki, skąd nadał polecenie

wzięcia pod obserwację żony Czarnej Rączki i dokonania rewizji w jej melinie. Po czym wróciwszy wydał jej przepustkę zwalniającą. A Niedzielskiego ciągle nie ma – pomyślał ze złością zapalając papierosa i zabierając się do sporządzania planu czynności, które trzeba było wykonać w związku z zeznaniami wdowy po Czarnej Rączce.

5.

Następnego dnia wieczorem kapitan Zawieja pojechał do profesora Werhara. Prawdopodobnie i dzisiaj nie zdobyłby się na ten wysiłek, gdyż pracy miał bardzo dużo, ale profesor telefonicznie sam go zaprosił do siebie.

– Nie pożałujesz – mówił, wyczuwając niemy opór kapitana – chcę z tobą pomówić o czymś w związku z twoją sprawą, ale to się nie nadaje da telefonicznej rozmowy...

– Czego Werhar mógł chcieć od niego? – zastanawiał się siedząc jak zwykle obok szofera i puszczać mimo uszu paplaninę Piskorza przeplataną soczystymi „wiązankami” pod adresem innych kierowców tamujących ruch na jezdni. – Co takiego mógł Werhar wymyśleć w swojej pustelni, czego by nie przemyślał już on sam tkwiąc od szeregu tygodni w tej sprawie po uszy? Doświadczenie nauczyło go jednak, że nigdy nie

należy lekceważyć pomysłów Werhara, który już niejednokrotnie potrafił rzucić na interesujące kapitana zagadnienie wiązkę światła z najmniej oczekiwanej strony. Na rogu Tamki i Dobrej motor Warszawy nagle się zakaszłał, zaprychał i zgasł.

– Och, cholera! Ja mam zawsze szczęście, jak dziwka w deszcz! – zaklął Jurek Piskorz i wyskoczył z samochodu, żeby przepchnąć go parę kroków, gdyż przymusowy postój wypadł na samym zakręcie. Natychmiast otworzył maskę, zaczął coś grzebać w silniku, lecz już po pięciu minutach wyprostował się i rozłożył ręce:

– Klops, panie naczelniku! Wysiadła cewka k o n d u k c y j n a i muszę wracać do warsztatów. Jeszcze takiego wstydu nie miałem, żebym przez stolicę, jak ten głupi, na szpagacie zasuwiał...

Zawieja nie przejął się wypadkiem, do mieszkania Werhara miał już tylko kilka kroków, więc poleciwszy Jurkowi po odstawieniu samochodu jechać do domu, poszedł pieszo.

– Na pewno ciekawi cię, co mam do powiedzenia w sprawie „Vesty” – zaczął bez ogródek profesor, gdy tylko zabrali się do picia tradycyjnej kawy.

– Prawdę mówiąc, gdyby nie to, to w ogóle nie przyjechałbym dzisiaj – wyznał szczerze kapitan. – Wiesz, mam diabło dużo roboty z tą sprawą – dorzucił łagodząc bezceremonialność poprzedniego wyznania.

– Toteż tylko dlatego ośmieliłem się zajmować ci czas, że, jak mi się wydaje, doszedłem do pewnych wniosków, które mogą dla ciebie posiadać pewną wartość.

Sięgnął na biurko, jak zwykle pokryte spiętrzonymi papierami i jak zwykle nieomylnie wyciągnął z tego „muzeum dzikości i barbarzyństwa” kopertę, na której kapitan nie bez zdziwienia dojrzał nadruk Komendy Stołecznej MO.

– A to co znowu?

– Nie pamiętasz? To są listy Teofila. Przed dwoma tygodniami sam mi je przysłałeś do przejrzenia.

Rzeczywiście na prośbę profesora, kapitan przesłał mu fotokopie listów znalezionych przy zwłokach Rehma. Nie przywiązywał jednak do tego większego znaczenia, bowiem ich oryginały zostały już wszechstronnie przebadane przez ekspertów zakładu kryminalistycznego, zarówno pod kątem charakteru pisma, jak składników atramentu, rodzaju papieru itd. Toteż otwarcie powiedział o tym profesorowi. Werhar ruszył przekornie swoją dużą głową i pogładził się po bródce:

– To wszystko dotyczy formy i materialnego kształtu listów, a ja chcę z tobą mówić o ich treści.

– Co do treści, to znam je wszystkie na pamięć i poza zapewnieniami o miłości i tęsknocie, jak też poza wyrzutami pod własnym adresem, niczego w tych listach nie ma szczególnego.

– Zobaczmy, zobaczmy, czy jest tak jak mówisz – powiedział profesor i otworzył kopertę. – Być może, że mnie się udało dojrzeć w nich coś więcej od ciebie, choć niewykluczone, że tylko ulegam złudzeniu.

Kapitan widział jednak dobrze sobie znany błysk w oczach ukrytych za grubymi okularami i lekkie drganie nozdry ostrego nosa profesora Werhara. Były to oznaki, że stary psycholog jest mocno przekonany o swej racji, a te „wątpliwości” i „skromna niepewność” są tylko gierkami starego oryginała.

– Przedtem jednak – powiedział Werhar, machając listem – ustalmy twój pogląd na osobę Teofila w obecnej fazie dochodzenia.

– Właściwie niczego o nim nie wiem – niechętnie odparł Zawieja – co prawda nie zajmowałem się nim specjalnie, gdyż wciąż coś nowego wyskakiwało z samej sprawy „Vesty”.

Werhar spojrział na kapitana z nagłym zainteresowaniem: – Mówisz tak, jak by Teofil nie należał do sprawy „Vesty”?

Istotnie profesor trafnie podchwycił to, czego Zawieja nie wypowiedział nawet przed samym sobą, ale co nurtowało go potajemnie.

– Czy Teofil należy do sprawy „Vesty”? – powtórzył pytanie z namysłem – chyba tak i nie. Na razie nie jest mi potrzebny do wytłumaczenia zabójstwa Rehmów i organizacji przemytu zegarków – i dlatego bezwiednie

wykluczam go ze sprawy „Vesty”. Tam wszystko się tłumaczy bez niego. Z drugiej strony... Zawahał się, nie wiedząc, w jakie słowa ująć to, co miał na myśli i tutaj dopomógł mu Werhar: – Z drugiej strony odnosisz wrażenie, że bez Teofila nie możesz wyjaśnić sobie tego, czego jeszcze nie rozumiesz?

– Właśnie jest tak jak mówisz – spojrzał nań z wdzięcznością kapitan. – Na przykład sprawa Rehma. Co go łączyło z bandą? Dlaczego taki porządny człowiek dał się usidlić? Na czym to usidlanie polegało? Ile razy o tym myślę, tylekroć mimo woli nasuwa mi się postać Teofila.

– Czyli intuicja? – spytał Werhar z zaciekawieniem badacza, który ogląda rzadkie zjawisko ze swojej dziedziny.

– Może to można tak nazwać – odpowiedział z wahaniem kapitan – w każdym bądź razie zakładam, że Teofil to historia w życiu Wilhelminy Rehmowej bardzo stara i przebrzmiała i na pewno ani on sam, ani jego listy nie były przyczyną zamordowania tej kobiety.

– Ciekawe. Dlaczego uważasz, że romans Rehmowej z Teofilem to stara historia? – dopytywał Werhar z taką miną, jak by odczuwał przyjemność z tego, że kapitan brnie coraz dalej po drodze, którą on uważa za błędną.

– Ekspertyza listów – lakonicznie stwierdził Zawieja. – Chemiczna analiza atramentu, jak też stopień

zzółknięcia papieru świadczą o tym, że listy te były pisane przed dwoma, a może nawet i przed trzema laty. Listy są bez daty, to prawda, jednak dokładniejsze badanie wykazało, że kartki zostały skrócone, właśnie przez odcięcie pasków z datami. Stąd żadna kartka, choć pochodzą z jednego bloku listowego, nie posiada identycznej długości...

Werhar zaczął z kolei dotykać palcami zębów, jakby je liczył czy też sprawdzał ich trwałość:

– Hm, ekspertyza, jak widzę, była rzetelna. Przyznam się, że ja tych subtelności papierowomiarowych w ogóle nie dostrzegłem...

Kapitanowi wydało się, że w głosie profesora dźwięczy leciutka ironia, ale ten ciągnął dalej:

– Jeżeli to jest taka stara i przebrzmiała historia, dlaczego w takim razie upierasz się przy tym, że Teofil w ogóle gra jakąś rolę w tej całej sprawie? Może to był po prostu romantyczny epizod w życiu pani Rehmowej, który wygasł przed latami? A przypadkowo znalezione listy zostały użyte przez sprawców dla umotywowania wersji zabójstwa z zazdrości?

– Hm, kiedy ja mam na to poszlaki, że tak nie jest. Czarna Rączka wiedział coś o Teofilu i jeszcze wyrażniej wiedziała o nim Joanna Szmytowa z Łodzi, rodzona siostra Wilhelminy Rehmowej. A weźmy choćby to powiedzenie samej Rehmowej, które cytowała Weronika Kawka, że „życie jest straszne, kiedy trzeba żyć, drżąc o kogoś oprócz siebie”.

– Co? Powiedziała tak? Rzeczywiście? – Werhar aż podskoczył na fotelu, na co Tor zareagował gwałtownym poderwaniem głowy z podłogi.

– Mówiłem ci o tym, tylko musiałeś zapomnieć – przypomniał mu Zawieja – to był przecież jeden z koronnych dowodów dla oficera z Pragi, który przyjął te słowa za dowód, że Wilhelmina miała kochanka,

Werhar z miną bardzo z siebie zadowoloną powstał z fotela i zaczął przechadzać się po pokoju, zręcznie lawirując między porozstawianymi krzesłami, przy czym przez cały czas zacierał ręce. Kapitan obserwował te trochę aktorskie manewry z uśmiechem, w końcu jednak spytał:

– No, ale może wreszcie oświecisz mnie, na czym polega to twoje rewelacyjne odkrycie? Mam nadzieję, że będzie to coś rozsądnego.

Werhar zatrzymał się i zręcznie odparował złościwość:

– Jeśli hołdujesz zasadzie, że do rozsądnych należą ci tylko, którzy się zgadzają z tobą, to zapewne nie uznasz tego, co powiem, za rozsądne. Bo oto, mój kochany, ja zupełnie, ale to zupełnie nie zgadzam się z twoim poglądem na Teofila!

– To znaczy? – spytał Zawieja.

– To znaczy, że Teofil nigdy nie był kochankiem Wilhelminy Rehmowej, a nawet nigdy nim być nie mógł.

Powiedział to tak triumfalnie i z taką pewnością.

że kapitan poczuł się zupełnie zdezorientowany. Postanowił podrażnić profesora, aby szybciej dowiedzieć się, co ma na myśli:

– Zaraz, czy wyczytałeś to w listach? Czy na podstawie tych kilku kartek doszedłeś do nieomylnego wniosku, że Teofil, hm, nie był pełnowartościowym mężczyzną, względnie, że pani Rehmowa należała do niezłomnie wiernych twierdz małżeńskich?

Werhar machnął wesoło ręką:

– Kpij, kpij! Ja będę kpił z ciebie za kwadrans. Przekonasz się na własnej skórze, że fatalna właściwość prawdy polega na tym, że bywa ona zbyt podobna do tego, co mówi nasz przeciwnik. A co do wierności pani Rehmowej, to znasz dobrze moje poglądy: Ja o wiele wyżej stawiam wierność psa, niż wierność kobiety. Pies jest bowiem wierny do ostatniego tchnienia, a kobieta do pierwszej okazji.

Pogłaskał Tora po puszystym futrze, na co pies zareagował potakującym pukaniem ogona w podłogę.

– Również nie posądzam bynajmniej Teofila o impotencję. Moje twierdzenie opieram rzeczywiście na treści listów, ale w inny sposób, niż myślisz.

Wrócił na fotel i wziął do ręki fotokopie listów, na których kapitan spostrzegł zakreslenia i znaki porobione czerwonym atramentem.

– Pamiętasz dobrze treść tych listów?

– Mówiłem ci, że znam je na pamięć – lekko zniecierpliwiony odpowiedział Zawieja.

- No więc, co jest w tych listach, twoim zdaniem?
 - Wielosłowna, choć niegłupia analiza egzaltowanej miłości, jaką czuł do Wilhelminy Rehmowej, oraz liczne wyrzekania, typowe dla oddalonego kochanka.
 - Mężczyzna, który potrafi mądrze mówić o miłości, nie bardzo musi być zakochany.
 - Nigdy nie twierdziłem, że Teofil był bardzo zakochany w Wilhelminie, wystarczyło, jeśli ją kochał trochę.
 - Oczywiście mógł być jej kochankiem nawet nie kochając ją wcale – zgodził się skwapliwie Werhar, – W ogóle na świecie jest znacznie więcej kochanków, niż zakochanych. Ale moim zdaniem Teofil w świetle tych listów w ogóle nie był zakochany w Wilhelminie.
 - Tylko?
 - On ją po prostu kochał.
 - Nie kijem go to pałką – roześmiał się Zawieja, który na początku zdania już wietrzył jakąś rewelację.
- Werhar zirytował się:
- Jeśli będziesz mi ciągle przeszkadzał, to przestanę mówić!
 - Kiedy sprawa jest naprawdę zupełnie jasna! – bronił się kapitan.
 - Jasna, jasna! – zagderał profesor. – Tylko te sprawy wydają się w życiu jasne, które przestaliśmy zgłębiać! Przestań na chwilę patrzeć na Teofila przez

okulary swojej poprzedniej hipotezy i słuchaj uważnie tego, co ci powiem.

Zawieja przyrzekł poprawę i usadowił się wygodniej w fotelu.

– Powiedziałem i nie cofam tego, że Teofil kochał Wilhelminę, ale nie był w niej zakochany. To jest duża różnica: kochać można ojczyznę i miasto, ideę i pracę, matkę i przyjaciela, być zaś zakochanym można tylko i wyłącznie w kobiecie, traktowanej jako kobieta. Słowo „zakochany” ma niedwuznaczny pierwiastek erotyczny i nikt go nie używa w odniesieniu do stanów pozbawionych wyraźnego, erotycznego zabarwienia. Otóż, uważaj – ja twierdzę, że w listach Teofila, przynajmniej w tych, które tutaj otrzymałem, nie ma ani jednego zdania o treści erotycznej lub choćby o erotycznym podkładzie.

Kapitan zaczął słuchać bardzo uważnie.

– No, no, mów dalej! – zachęcał profesora.

– Postaraj się wyobrazić, że piszesz do swojej byłej narzeczonej, która jeszcze nie przestała ci być drogą. Co będziesz wspominał w takich listach? Oczywiście „chwile szczęścia”, „rozkosznej samotności”, „godziny spędzone w najczulszym sam na sam”. Będziesz rozpamiętywał jej uroki, zaklinał, żeby ci pozostała wierna, obiecywał powrót i wskrzeszenie tej szczęśliwości. Wreszcie będziesz przypominał szczegóły jej urody, jakieś zakątki, które były świadkami waszego szczęścia, jakieś kawiarnie, w których spotykaliście się, jakieś

melodie, które towarzyszyły wam w najpiękniejszych chwilach...

Przy ostatnich zdaniach głos Werhara złagodniał, zaczął mówić śpiewnie, marząco...

– Być może Teofil jest za mądry, żeby pisać takie banały – zgłosił nieopatrznie zastrzeżenie Zawieja.

Werhar popatrzył na kapitana surowo:

– Jeśli to są banały – zdenerwował się – wówczas i sama miłość jest banałem! A co do tego, że Teofil mógł być „za mądry”, to przypomnę ci zdanie Balzaca o tym, że jeśli nawet miłość nie dodaje rozumu głupcem, to jednak czyni bardzo głupimi mądrych ludzi.

Zawieja leciutko uśmiechnął się:

– Na dźwięk imienia Balzaca podnoszę ręce do góry! Mów dalej, staruszkule!

– Jaka jest główna nuta uczucia Teofila do Wilhelminy? – postawił pytanie Werhar, kładąc rękę na pliku fotokopii i od razu sam na nie odpowiedział: – To uczucie jest przepojone wdzięcznością i uwielbieniem. Jakie jest główne uczucie pod własnym adresem: pretensja, żal do samego siebie, wyrzuty.

– Może są to listy odtraconego kochanka, który w ten sposób pragnie powrócić do łask swej wybranej? – postawił z kolei pytanie kapitan, pragnąc wypróbować w obecności psychologa wszelkie możliwe wytłumaczenia.

– Znowu pudło. Odtracony kochanek będzie się

tłumaczył i usprawiedliwiał, będzie analizował zarzuty, jakie mu może czynić strona przeciwna, będzie starał się wybielić, przedstawiając je w innym, korzystniejszym dla siebie świetle. Teofil tego nie robi. Teofil oskarża tylko siebie, tylko siebie uważa za winnego, nie prosi też o wybaczenie, nie żywi żadnej nadziei na to, że da się odbudować świat, który sam zburzył. Zwróć uwagę na podkreślone zdanie: „Często śnicie mi się oboje i ty i on, którzy byliście dla mnie tacy dobrzy...” ; – Ten „on”, to chyba Rehm?

– Najprawdopodobniej. A jeśli tak, to cóż to za przedziwny kochanek, który śni o mężu ukochanej, w takim czułym nastroju i w takiej serdecznej, pełnej żalu tonacji! Przecież wobec kochanki sarno wspomnienie jej męża byłoby już nietaktem i gruboskórnością. Sam zaś powiedziałaś, że autor listów to człowiek egzaltowany, subtelny.

Kapitan już zapomniał o swoich ironicznych przyczynkach i z rosnącą uwagą słuchał wywodów profesora.

– Jest jeszcze jedno zdanie, które byłoby psychologicznie fałszywe, gdyby miało dotyczyć pary kochanków. O, to tutaj: „Moje zjawienie się pomiędzy was dwojgiem musiało być dla ciebie, najdroższa, najlepsza, związane z cierpieniami, które aby pokonać, musiałaś się zdobyć na prawdziwe bohaterstwo”. Zauważ – domniemany kochanek, który przysparza cierpień i

zmarłwień nie zdradzonemu mężowi, ale swej... umiłowanej i daje do zrozumienia, że dla męża jego wtargnięcie do małżeństwa z niezrozumiałych powodów było oczywiste i wytłumaczone. Czy ty już widzisz, jakie niesamowite łamańce logiczne i psychologiczne trzeba wyczyniać, jeśli się przyjmie, że Teofil był kochankiem Wilhelminy Rehmowej?

Kapitan to widział już od dobrego kwadransa, ale chciał z profesora wydobyć wszystko, co się da.

– No dobrze – powiedział z udanym wahaniem – przypuśćmy, że masz rację, załóżmy, że Teofil nie był kochankiem Rehmowej, że stosunki, jakie ich łączyły, były całkiem platoniczne – jakże wytłumaczyć sobie ten miłosny i pełen uwielbienia ton, jaki mimo wszystko dominuje w tych listach? Czy masz jakąś własną hipotezę?

Werhar rad z widocznej zmiany w zachowaniu przyjaciela pogładził się w zadumie po brodzie, po czym rzucił na kapitana ukośne spojrzenie:

– Hipotezę mam, ale wprost boję się ją wypowiedzieć, tak jest nieprawdopodobna.

– No mów, na litość boską, nie przejmuj się tym – zgorączkował się kapitan – i przez nieuwagę nadepnął na ogon Torowi, który uciekł z płaczącym skowytym. Ku złości kapitana Werhar poszedł obejrzeć ogon psa, potem dopiero wrócił i zaczerpnąwszy powietrza powiedział z westchnieniem:

– Moja hipoteza brzmi: Teofil Rehm.

Zawiei wydało się, że się przesłyszał.

– Coś ty powiedział?

– Teofil Rehm – powtórzył dobitnie profesor i zrobił dłonią gest mówiący: „Nic nie poradzę, to jest jedyna możliwość”.

Było już zupełnie ciemno, kiedy kapitan Zawieja wychodził z domu Werhara. Parę godzin stawili na analizie hipotezy profesora Werhara, która choć rzeczywiście na pierwszy rzut oka wydawała się oszałamiająco nieprawdopodobna, to jednak nie można jej było odrzucić choćby dlatego, że tłumaczyła wiele spraw, które dotąd były zagadką. Przyjawszy, że Teofil był bliskim krewnym Rehmów, można było na przykład zrozumieć uporczywe milczenie Joanny Szmytowej, która ani słowa nie chciała powiedzieć na jego temat, choć jednocześnie kategorycznie i z głębokim przekonaniem zaprzeczyła, aby Teofil był zabójcą Rehmów.

Gdyby hipoteza Werhara znalazła potwierdzenie, wiele spraw ułożyłoby się w logicznym porządku. Teofil jest bliskim krewnym Rehmów i dlatego był przez nich kochany, darzy ich, szczególnie Wilhelminę podobnym uczuciem. W jakiś sposób zamieształ się w aferę przemytniczą „Vesty” i... Kapitan przystanął: ależ oczywiście, to może być powód, dla którego taki uczciwy i porządny człowiek, jak Rehm, ukrywa działalność bandy. Ba, może nawet w obawie o los bliskiej osoby, pomaga jej i niesie usługi. Ze względu na zajmowane

stanowisko w Biurze Importu te usługi mogą być bardzo duże – świadczą o tym sumy zdeponowane na kencie Rehma. I to właśnie jest zgrzyt – zatrzymuje się uderzony nową refleksją kapitan – Rehm dla ocalenia bliskiej osoby popełniający przestępstwo mieści się jeszcze w psychologicznym wizerunku, jaki sobie o nim wyrobił. Ale Rehm przyjmujący za te usługi wysokie honoraria, bogacący się na nich – jest dla kapitana nie do przyjęcia.

– Trzeba koniecznie jeszcze raz przebadać sprawę kenta Rehma – odnotowuje w pamięci kapitan – szczególnie, że właściwie ma tylko jeden ostatni wyciąg z tego konta, który znalazł już w skrzynce do listów, brak zaś w żelaznej szafie, całej poprzedniej dokumentacji konta. Czyżby Rehm niszczył wyciągi natychmiast po otrzymaniu? – zastanawia się idąc skąpo oświetlonymi gazowymi latarniami ulicami Powiśla?

– Jest jeszcze jedna sprawa, bodaj najważniejsza – jakie pokrewieństwo łączyło Teofila z Rehmami?

Co prawda Werhar nie miał wątpliwości – Teofil musi być synem małżonków Rehmów. Kapitan zdecydowanie odrzucił tę supozycję – przekonał się osobiście i wielokrotnie w trakcie śledztwa, że Rehmowie byli bezdzietni.

– To jest nonsens – przekonywał Werhara. – Wilhelmina Rehmowa leczyła się przez szereg lat właśnie z powodu bezpłodności. Są na to liczne dowody w

zeczaniach świadków i w dokumentach. Po drugie wiadomo nam, że Rehmowie w czasie wojny adoptowali nawet jakiegoś chłopca, który zginął w pierwszych dniach po wyzwoleniu od wybuchu jakiegoś niewypału. Zeznali to liczni sąsiedzi, którzy dobrze pamiętali rozpacz Rehmów po tej stracie. A przecież nikt, kto ma własne dziecko, nie adoptowałby cudzego!

Ale Werhar z uporem maniaka powtarzał:

– Nic mnie nie obchodzi dowody – muszą być inne, nieznanne ci dowody, że Rehmowie mieli syna. Taka gorąca miłość nie może łączyć brata i siostry, ani kuzynów, po drugie ani brat, ani kuzyn nie może „wkroczyć między małżeństwo”, nie może być powodem rozdźwięków między małżonkami. Chyba, że między „kuzynem” a żoną wytworzy się związek erotyczny, a ten w tym wypadku stanowczo wykluczam.

– Po pierwsze nie zapominaj, że mogły być inne listy Teofila – parował ciosy Zawieja – po drugie zaś, co mogło być przyczyną rozdźwięków między Rehmami, jeśli nawet Teofil był ich synem?

– Bardzo proste – na przykład różnica w poglądach na to, jak należy wychowywać dziecko. To, że Teofil wmieszał się wreszcie do afery przemytniczej, wszedł na drogę przestępstwa – a sam taką myśl zakładasz – wskazuje, że w wychowaniu jego popełniono liczne błędy.

– Ale dlaczego Teofil pisze o „nagłym wkroczeniu

w ich życie”? Przecież dzieci są zazwyczaj stale przy rodzicach, a tego nie dałoby się ukryć w kamienicy, gdzie Rehmowie mieszkają bez przerwy od dwudziestu pięciu lat.

Werhar zamilkł, chwilę namyślał się, rozczesując swoim zwyczajem bródkę, wreszcie przyznał się, że tego nie wie. – Tu już jest potrzebne kryminalistyczne ustalenie faktów, sama psychologiczna analiza nie wystarczy. Ale fakt, że Teofil był synem Rehmów jest dla mnie najprawdopodobniejszy, dlatego właśnie, że jest to jedyna hipoteza, która wiąże i wyjaśnia wszystkie pozostałe fakty.

Kapitan zanurza się w mrok pod wiadukt mostu Poniatowskiego. Na stromych schodach walają się gazety, ogryzki od jabłek, niedopałki papierosów. Jest już późno, toteż przechodniów jest bardzo niewielu. Nie wiadomo dlaczego właśnie w tej chwili przypomina sobie ostrzeżenie nieznaney sojuszniczki i odruchowo upewnia się, że pistolet ma w prawej kieszeni cywilnej marynarki. Gdybym sam miał dokonać napadu, to wybrałbym właśnie takie odludne miejsce jak ten wiadukt – myśli i dopiero po sekundzie stwierdza, że wszystkie te skojarzenia i myśli rozbudzone zostały przez jeszcze nieuświadomione, ale już rejestrowane przez ucho dźwięki miękkich kroków, które od pewnego czasu rozlegają się za jego plecami. Zawieja szybkim rzutem oka omiata przestrzeń przed sobą: na stromiźnie schodów wiodących na wiadukt nie ma nikogo. Jedyna

żarówka jarzy się pod skrzyżowaniem stalowych belek, po których dudnią jadące wiaduktem tramwaje Jeszcze kilka kroków i Zawieja postanawia wyjaśnić sytuację. Szybkim ruchem zanurza rękę w kieszeni i nagle zatrzymując się ostro odwraca się do tyłu, aby stanąć twarzą w twarz... z Jurkiem Piskorzem.

– Ty?! – zdumiewa się kapitan, rozluźniając uchwyt na kolbie pistoletu. – Co ty tutaj robisz?

– O rany! – szczyrzy zęby Jurek Piskorz – ale pan naczelnik mnie przestraszył! Jeszcze trochę, a padłbym tknięty k a t a l e p s j ą...

Zawieja jednak nie daje się zagadać i napiera na chłopaka, aby wyjawiał mu prawdziwą przyczynę swego nieoczekiwanego pojawienia się na Solcu.

– No dobrze, już dobrze – godzi się niechętnie Jurek. – Ten nowy – Niedzielszczak – mówił mi, że jakoby ktoś chce naruszyć pana naczelnika cielesną nietykalkość, dlatego musimy przez pewien czas pana naczelnika pod e k s t r a d ą prowadzić. Ponieważ miałem wieczór wolny, to dzisiaj ja zaciągnąłem wachę przy panu naczelniku...

Kapitan burczy i wymyśla nadgorliwcom, odgraża się, że się porachuje nazajutrz z Niedzielskim, ale serce zalewa mu fala wzruszenia, że oto tak go lubią troszczą się o niego, te czasem szorstkie i niewyparzone w gębie, ale jak widać, szczerozłote chłopaki...

Kiedy już w zgodzie i przyjaźni mijają półpiętro,

na którym umieszczono publiczne szalety, spoza szarocementowego filaru wynurza się młody mężczyzna z nastawionym kołnierzem, w czapce „bandziorce” na głowie. Z rezygnacją zamyka w kieszeni nóż sprężynowy i strzykając brunatną od nikotyny śliną między zębami myśli: miał być sam, a pojawiło się ich dwóch. Tego w umowie nie było.

ROZDZIAŁ VII

1.

Podobnie jak w domu kapitana Zawiei dzień magistra Niedzielskiego zaczyna się od natrętnego terkotu budzika. Ponieważ jednak Niedzielski mieszkał daleko od centrum i oczywiście nikt nie przyjeżdżał po niego służbowym samochodem, musiał wstawać o godzinę wcześniej od kapitana. Ubierając się starał się robić jak najmniej hałasu, aby nie budzić swej matki, śpiącej w tym samym pokoju. Czynił to nie tylko z synowskiej treski o jej wypoczynek, lecz także, aby uniknąć nie kończących się dyskusji i pretensji o dziwną karierę, jaką sobie wybrał. Matka Niedzielskiego, dama ze sfer, które przed wojną nazywano „dobrym towarzystwem” kierując syna na prawo, marzyła, że pójdzie śladem swego nieżyjącego już ojca, znanego przed wojną

adwokata w stolicy. Fakt, że syn „takich rodziców” został policjantem, był w jej oczach czymś niesłychanie szokującym i żenującym. Toteż od dnia jego powrotu z sześciomiesięcznej szkoły dla oficerów dochodzeniowych w Łodzi trwała w domu nieustanna walka, która niemało nerwów kosztowała obie strony. Matka wciąż jeszcze żyła nadzieją, że syn zrzuci z siebie żenujący mundur milicjanta, Niedzielski wciąż jeszcze nie tracił wiary w to, że potrafi przekonać matkę, że jej zastrzeżenia trzeba zapisać na karb przesądów jej sfery i całkowitej nieznajomości jego pracy.

Wymknąwszy się na palcach z domu, ledwo łyknąwszy jakąś kanapkę i na stojąco popiwszy ją zagrzaną na maszynie gazowej herbatą, sierżant magister Niedzielski wsiadł w przepełniony nieludzko o tej porze tramwaj i pojechał w stronę śródmieścia. Nie dojechał jednak do placu Dzierżyńskiego, tylko wysiadł wcześniej na przystanku w pobliżu czekoladowego domu PKO, którego elewacja z przedziurawionych pustaków zyskała mu wśród warszawiaków złośliwą nazwę „domu pod sedesami”. Miał tutaj do wykonania zlecenie przez kapitana Zawieję zadania. PKO było jeszcze nieczynne dla interesantów, ale służbowa legitymacja okazana wartownikowi sprawiła, że ten udał się, aby załatwić specjalną przepustkę do biur Kasy Oszczędności. Patrząc na szklane obrotowe drzwi zamknięte na solidną kłódkę sierżant magister z uśmiechem myślał o tym jak różna

okazała się praca dochodzeniowa od tych rojeń o niej, z jakimi pojechał na kurs do Łodzi. Na podstawie lektury powieści kryminalnych wyobrażał sobie dawniej, że oficer dochodzeniowy nie wypuszcza z garści pistoletu, zaś trzy czwarte jego pracy polegać będzie na szarpiących nerwy, emocjonujących walkach wręcz i pościgach za przestępcami. Tymczasem minęło już kilka miesięcy, a sierżantowi Niedzielskiemu, poza momentami czyszczenia broni w ogóle nie wypadło wydobyć swego pistoletu z futerału. Przez ten czas dojrzał właściwe oblicze swej pracy, różne od wyobrażanego, ale nie mniej piękne i emocjonujące.

– Pan naczelnik prosi pana do siebie.

Niedzielski ocknął się ze swoich rozmyślań. Wziął z rąk strażnika blankiet przepustki i udał się za nim schodami wysłanymi czerwonym chodnikiem na drugie piętro.

– August Rehm? – powtórzył za nim naczelnik Wydziału Obrotu Czekowego. – To zdaje się ma związek z jakimś samobójstwem?

Niedzielski kiwnął głową.

– Ależ panowie, już sprawdzaliście stan jego konta przed miesiącem – zdziwił się naczelnik – dobrze pamiętam, bo sam udzielałem informacji.

Sierżant magister wyjaśnił, że chciałby przejrzeć całą dokumentację konta, odcinki dokonywanych wpłat i wypłat.

– Proszę uprzejmie – odpowiedział grzecznie naczelnik i zadzwonił pod jakiś numer telefonu wewnętrznego. Po kilku minutach w gabinecie zjawiła się starsza urzędniczka z kokiem na głowie.

– Rehm, Rehm, Rehm... – mruzczała pod nosem urzędniczka sunąc palcem po kolumnie alfabetycznie spisanych nazwisk właścicieli kont PKO. – Aha, jest tutaj. Ale właściwie o które konto Augusta Rehma panu chodzi? – spytała podnosząc wzrok na Niedzielskiego.

– Jak to, o które? – zdziwił się Niedzielski. – Czyżby Rehm miał kilka kont?

– Tak jest. August Rehm posiadał dwa konta, jedno o brzmieniu: „August i Wilhelmina Rehmowie” i drugie po prostu „August Rehm”.

Niedzielski podniósł zdziwiony wzrok na naczelnika wydziału:

– Czym to wytłumaczyć?

Naczelnik uśmiechnął się pobłażliwie:

– W życiu tak bywa, że mąż woli mieć drugie konto, o którego istnieniu żona nie jest poinformowana. Rozumie pan, że w ten sposób mąż zapewnia sobie znacznie większą swobodę finansową..

Posiadaczka koka spojrzała ze zgorszeniem na zwierzchnika.

– Czyli, że PKO zezwala na posiadanie dwóch kont identycznych? – upewnił się Niedzielski notując dane dostarczane przez bankowców.

– Te konta nie są identyczne, proszę pana – sprostowała urzędniczka z kokiem – pierwsze jest prywatnym kontem Rehma, drugie zaś jest kontem dwojga osób, czyli swego rodzaju spółki Rehma i jego żony.

– Na pewno też różnie wygląda sprawa podpisów osób uprawnionych do dysponowania sumami zdeponowanymi na każdym koncie – dopowiedział naczelnik. – Jestem przekonany, że konto „August Rehm” mogło być uruchomione na podstawie czeków z podpisem samego Rehma, to zaś drugie wymagało obu podpisów jednocześnie.

Niedzielski po krótkim namyśle oświadczył, że pragnąłby zobaczyć wzorce podpisów osób upoważnionych do działania w ramach poszczególnych kont:

– Czy to jest możliwe? – spytała urzędniczka, patrząc wyczekująco na naczelnika.

– Oczywiście. Ten pan jest z Komendy Stołecznej MO – odpowiedział naczelnik na nieme pytanie widniejące w jej wzroku – proszę więc odszukać obie karty wzorcowe i przynieść tutaj do gabinetu.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo – zaniepokoił się Niedzielski, widząc jak urzędniczka powoli i bez pośpiechu składa swoje papiery, metodycznie wpina do teczki i zawiązuje czarną tasiemką.

– Och, nie – pośpieszyła go uspokoić – kartę konta „August Rehm” mam nawet wyjętą z kartoteki, gdyż

dokonywano wczoraj na tym koncie operacji, zaś pozostałą kartę znajdę w ciągu dziesięciu minut...

Niedzielski podziękował jej uśmiechem i uprzejmym skinięciem głowy i już zamierzał powrócić do swej rozmowy z naczelnikiem, kiedy z pewnym opóźnieniem treść wypowiedzianego przez urzędniczkę zdania dotarła do jego świadomości.

– Przepraszam panią! – poderwał się z krzesła tak żywo, że aż naczelnik cofnął się do tyłu. – Przepraszam, pani wspomniała o jakiejś operacji na koncie Rehma w dniu wczorajszym?!

Urzędniczka zdziwiona zatrzymała się u progu pokoju naczelnika:

– Tak jest, dokonaliśmy wypłaty z tego konta. Była to większa suma, około trzysta tysięcy złotych, dlatego zapamiętałam konto...

– Ależ konto Rehma zostało zablokowane przez prokuratora jeszcze w pierwszej fazie śledztwa! – zdenerwował się Niedzielski i jego podniecenie udzieliło się obu urzędnikom. – Właściciel tego konta został przecież zamordowany!

– Mój Boże, co teraz będzie?! – zmartwiła posiadaczka dużego koka i spojrzała przerażona na zwierzchnika.

– Przede wszystkim proszę przynieść obie karty wzorcowe z podpisami, a ponadto proszę przynieść dokumentację obu kont – powiedział spokojnie naczelnik, jednak drobne drżenie jego rąk splecionych na

zielonej bibule biurka wskazywało, że i on jest zdenerwowany. Bagatela! – trzysta tysięcy wypłacie z zablokowanego konta! Ktoś będzie musiał za to odpowiadać!

Niedzielskiego czekała jednak jeszcze sensacja znacznie większa. Oto kiedy zdenerwowana urzędniczka przyniosła wreszcie całą dokumentację, okazało się, że na karcie wzorcowej o brzmieniu „August Rehm” w ogóle nie było podpisu Augusta Rehma. August Rehm podpisywał się czytelnie, charakterystycznym, jak by nieco gotyckim pismem. Taki właśnie sąsiadujący z podpisem żony zobaczył sierżant Niedzielski na karcie drugiego konta „August Rehm i Wilhelmina Rehmo-wa”. Okazało się także, że rzeczywiście w dniu poprzednim dokonano wypłaty z konta „August Rehm” sumy trzystu trzech tysięcy złotych, przy czym podpis na czeku dokładnie odpowiadał podpisowi zgłoszonemu na karcie wzorcowej, z tym jednak, że podpis ten nie należał do Augusta Rehma! Do kogo należał, tego nie wiedział ani naczelnik Wydziału Obrotu Czekowego, ani urzędniczka z kokiem na głowie.

Dlaczego Rehm posiadał dwa konta PKO? Kto był dysponentem drugiego konta? Kto podjął wczoraj trzysta tysięcy? Dlaczego PKO wypłaciło pieniądze z zablokowanego konta?

Wiele pytań naraz wybuchło w mózgu młodego oficera dochodzeniowego, ale z odpowiedzią na nie musiał

począć do spokojnej analizy wszystkich danych, jakiej dokonają na spółkę z kapitanem Zawieją. Dlatego też opanował się i postanowił wyjaśnić to, co pozostało jeszcze do wyjaśnienia w PKO.

– Czy może tak być, że człowiek, którego nazwisko figuruje w nazwie konta, nie składa swej próbki podpisu jako dysponent konta? – zwrócił się do naczelnika wydziału.

– Oczywiście – odpowiedział naczelnik, nie przestając przeglądać dokumentacji obu kont – powiedzmy, że istnieje firma „E. Wedel” i takie jest brzmienie konta, tymczasem dysponentem konta może być główny księgowy, albo dyrektor firmy o zupełnie innym nazwisku. To samo dotyczy chorych umysłowo, prawnie ubezwłasnowolnionych itd. PKO nie wymaga, aby dysponentem konta była osoba, na której nazwisko je otwarto. To już zależy od woli właściciela...

Uprzejmy i płynny potok jego wymowy nagle się urwał. Naczelnik przyglądał się z uwagą jakiemuś dokumentowi wpiętemu do teczki z napisem: August i Wilhelmina Rehmowie nr 1-15-154066. Niedzielski zauważył tę pauzę i spojrział wyczekująco na naczelnika.

– Proszę pani, proszę mi podać teczkę konta „August Rehm” – zwrócił się naczelnik do urzędniczki, po czym z niezrozumiałym pośpiechem przejrzał zawarte w tej teczce dokumenty. Za chwilę na twarzy jego

odmalowała się wyraźna ulga i odprężenie, odetchnął głęboko i zwrócił się do Niedzielskiego:

– No, kamień spadł mi z serca! Widzi pan, tutaj jest pismo prokuratora blokujące konto „August i Wilhelmina Rehmowie”. Tego samego dnia, jak wynika z adnotacji naszego urzędnika, konto zostało zablokowane przy stanie ośmiu tysięcy dwustu czterdziestu złotych i trzydziestu sześciu groszy. Tymczasem w teczce konta „August Rehm” takiego dokumentu nie ma, czyli że w ogóle nie otrzymaliśmy polecenia zablokowania także i tego konta.

– A więc wypłacając wczoraj tę kwotę byliśmy w porządku! – ucieszyła się urzędniczka i podniosła dziękczynne spojrzenie w stronę sufitu.

– Jak najzupełniej w porządku – potwierdził naczelnik i zapalił papierosa, który wydał mu się niezwykle smaczny.

Podczas, gdy ci oboje cieszyli się, sierżant magister pluł sobie w brodę, że ani prokurator, ani oficer prowadzący pierwsze śledztwo nie zorientowali się, że Rehm posiadał dwa konta. Choć musiał po zastanowieniu przyznać, że i kapitan Zawieja nie wpadł na trop drugiego konta i to właśnie umożliwiło przestępcom podjęcie tej sporej sumy pieniędzy.

– Kapitan się zmartwi – pomyślał z troską – ale ostatecznie i on nie jest bogiem i może strzelić gafę...

Zakomunikowana telefonicznie nowina podziałała na Zawieję jak uderzenie pioruna.

– Natychmiast jadę do PKO zbadać okoliczności wczorajszej wypłaty – poinformował Niedzielskiego głosem, w którym wyraźne było wzburzenie. – Ty już nie przejmuj się więcej tymi kontami, tylko za wszelką cenę nawiąż kontakt z Pallą. Cholera jasna! Taka gafa!...

I niestety Niedzielski nie mógł mu nic powiedzieć na pocieszenie.

2.

„Pallę” alias „Księcia Nocy” sierżant magister Niedzielski poznał na początku swojej niedługiej kariery milicyjnej. Wyznaczony przez porucznika Komisiaka do pomocy przy „zjęciu”¹ głośnego złodzieja – recydywisty za kradzież zegarka z ręki śpiącego w parku Skaryszewskim przechodnia – Niedzielski odnalazł go w restauracji „Stolica”, gdzie właśnie upłynniał zdobytą gotówkę w towarzystwie mocno umalowanej i mocno pachnącej tanimi perfumami piękności.

– Pan inspektor pozwoli – przedstawił się z gracją, kiedy Niedzielski powiadomił go, że jest zatrzymany – Palla jestem, czyli Księżę Nocy do usług...

Już po pierwszym przesłuchaniu poinformował spokojnie Niedzielskiego, że to on rzeczywiście był sprawcą kradzieży zegarka, ale i tak nie potrafił mu niczego

¹ „Zdjęcie” – aresztowanie (żarg. milic.)

udowodnić, bo nie ma świadków i nie ma dowodów. Oczywiście to jego gołosłowne przyznanie się, którego nie podpisałyby, gdyby zostało zaprotokołowane dla sądu, nie było żadnym dowodem i po dwóch tygodniach zgodnie z własnymi przewidywaniami został zwolniony z aresztu z braku dowodów winy.

– Widzi pan inspektor – ubolewał Palla, żegnając się z Niedzielskim – trzeba było mnie posłuchać i tym razem dać mi spokój. Tyle zachodu, tyle roboty i na próżno. Jak Palla mówi, że dowodów nie ma, to znaczy, że nie ma. Zna się człowiek trochę na tej robocie...

I rzeczywiście mógł się znać. W jego teczce personalnej były kopie dwudziestu kilku wyroków, jakimi Księżę Nocy był karany od czasów przedwojennych do dni dzisiejszych. Gdyby Palla odsiadywał rzeczywiście wszystkie wyroki w pełnym wymiarze, wówczas starczyłoby ich na dwa ludzkie żywoty. Zawsze jednak udało mu się znacznie skrócić czas odsiadywania kary. To zdarzyła się po drodze jakaś błogosławiona amnestia, raz za obrobienie sklepu jubilerskiego od wieloletniego wyroku ocaliła go wojna. Kiedy żadne nadzwyczajne wydarzenia nie przychodziły mu w sukurs, wówczas zaczynał działać adwokat Palli (miał bowiem stałego obrońcę) i powołując się na wzorowe zachowanie Księcia Nocy w więzieniu, za jego niekłamaną pracowitość i karność uzyskiwał zawsze przedterminowe zwolnienie z więzienia. Palla należał już do nielicznej grupy

„weteranów” przedwojennego świata przestępczego i z tego tytułu cieszył się wśród młodszego pokolenia ryce-ryzy nocy wielkim mirem i poważaniem. To oni właśnie nadali mu drugi zaszczytny pseudonim Księcia Nocy. Prawdę mówiąc milicjanci także lubili Pallę, który nigdy nie puszczał się na „mokrą robotę”, nie sprawiał trudności przy aresztowaniu, a swój proceder uważał za zawód jak każdy inny, który w naturalny sposób wiąże się z ryzykiem więzienia i sądu.

Kiedy oficerowi dochodzeniowemu udało się udowodnić Palli winę, przyjmował ten „niefart”¹ pogodnie i bez dalszych korowodów przyznawał się do winy. Ot, po prostu przegrał mecz. Przeciwnik okazał się lepszy. Stary recydywista wiedział, że objawienie skruchy i nieutrudnianie śledztwa w sprawie, która i tak już jest udowodniona, może mu jedynie pomóc przed sądem.

Na spotkanie z tym właśnie człowiekiem, z polecenia Zawiei udał się po opuszczeniu gmachu PKO sierżant Niedzielski. Nie daleką miał drogę, gdyż według danych dostarczonych przez wywiadowców milicji Palla spędzał ostatnio całe dnie w melinie przy ulicy Chmielnej.

Wejście do meliny znajdowało się w przechodniej bramie, skąd schodkami schodziło się do znajdującego się w suterenie korytarza. Niedzielski znalazłszy się w

¹ „Niefart” – pech, niepowodzenie (żarg.)

korytarzu stwierdził, że było tu dość czysto, ale pusto. Zatrzymał się na chwilę, aby przysłuchać się dźwiękom dobiegającym spoza drzwi wychodzących na ten korytarz. Spoza jedynych drzwi, które robiły szczególnie mocne i solidne wrażenie dobiegł go gwar głosów i jak mu się wydało szczęk szkła. Uznał, że to musi być wejście do meliny. Nacisnął klamkę i bez trudu znalazł się we wnętrzu wielkiej, sklepionej izby, podobnej do piwnic w rycerskich zamkach. Kilka stołów pokrytych papierem do pakowania stało na środku. Jeden stół włożony w róg izby przykryty długim obrusem imitował bar, czy bufet. Zaledwie sierżant magister znalazł się w środku meliny, poczuł na sobie spojrzenie kilku par oczu. Trzymając jeszcze rękę na klamce rozejrzał się po izbie. Na ławce pod ścianą siedziało kilka prostytutek, których błyszczące oczy i ceglaste rumieńce nie pozostawiały wątpliwości co do ich trzeźwości. Obok nich siedziało kilku młodzieńców o włosach strzyżonych na jeża, lub spadających strąkami na kołnierze w kształcie modnej fryzury à la „głupi Jasio”. Na widok intruza zastygli w pozach dwuznacznych karesów i pieszczot. Pod ścianą drzemało kilku mężczyzn w średnim wieku, którzy teraz ocknęli się i także przyglądali się ze złowrogą podejrzliwością stojącej w progu postaci młodego mężczyzny. Po kilku sekundach wahania dwaj młodzieńcy towarzyszący prostytutkom oderwali się leniwie od ściany i niedbale kołysząc się w biodrach

zaczęli się zbliżać do Niedzielskiego. Sierżant poczuł niemiłe łaskotanie w gardle. Nie wiadomo jak skończyłaby się ta cała scena, gdyby właśnie w tej chwili drzwi, przy których stał Niedzielski, nie otworzyły się i do pokoju nie wszedł... Palla!

Stary złodziej błyskawicznie ocenił sytuację i chwytając za rękę Niedzielskiego zaczął gromkim głosem go witać:

– Co za miła niespodzianka! Witam pana inspektora w naszych niskich progach!

Stary „worycha” wiedział jak zaalarmować bywalców meliny – na dźwięk słowa „inspektor” prostytutki skurczyły się, jak by się chciały zapaść pod ziemię, zaś siedzący na ławce mężczyźni podnieśli się z miejsc i dość spieszenie udali się za kotarę z szarego koca, maskującą prawdopodobnie zapasowe wyjście z meliny.

– Pan inspektor z Komendy Miasta jest moim gościem – władczo powiedział Palla do dwóch młodzieńców, którzy z dość głupimi minami wciąż jeszcze stali przed nimi z rękoma w kieszeni, po czym poprowadził Niedzielskiego do stołu nakrytego papierem.

– Kieliszek chleba, panie inspektorze? – zapytał twierdząco Palla, skoczył za kotarę i przyniósł stamtąd karafkę wódki, pudełko rozpieczętowanych sardynek i kilka „kajzerek”. Kiedy Niedzielski obejrzał się za siebie, w melinie oprócz niego i Księcia Nocy nie było już nikogo.

– Znają mores przed Pallą – zaśmiał się chełpliwie złodziej, po czym z naganą w głosie dodał: – Ale pan inspektor jest strasznie lekkomyślny! Jak tak można iść samotnie do meliny! Cale szczęście, że ja się tutaj znalazłem w porę. A coś mi mówiło: Idź na Chmielną, idź na Chmielną. Żeby to byli uczciwi złodzieje, tak jak ja, to nie powiem. Ale to przecież gówniarze, meneliki – taki trzy razy nożem machnie, zanim coś pomyśli – a to naprawdę byłby fatalny „obciach”¹, jakby pana inspektora coś złego spotkać miało akurat tutaj...

Mówił nalewając wódki do dwóch szklanek po musztardzie. Niedzielski miał raz jeszcze okazję przekonać się, że Palla mówi dość poprawną polszczyzną, nie dziwił się jednak temu, wiedząc, że stary recydywista miał przed wojną ukończone dwie klasy gimnazjum.

– Panie Palla, ja przyszedłem do pana z polecenia kapitana Zawiei...

– Od razu się domyśliłem. A jak tam zdróweczko pana kapitana? On ostatnio coś nie za tęgo wyglądał. Tylko czego może chcieć ode mnie pan kapitan? Przecież do niczego się nie poczuwam, żadnych skoków ostatnio nie robiłem... – Nikt by nie poznał w tym przystojnym starszym panu, o wyraźnie południowym typie, którego faliste, czarne jak kruk włosy przetykała dyskretna siwizna – najgłośniejszego złodzieja Warszawy.

¹ Obciach – przykrość, kompromitacja (żarg.)

Jego garnitur z szarego fil a filu, choć prawdopodobnie był szyty na inną osobę, leżał jednak nienagannie. Modna, biała, choć nieco zszarzała koszula ozdobiona była wąskim granatowym krawatem. Niedzielski przyglądał się Palli, obserwował lekkie ruchy jego mocnych, ale zgrabnych dłoni i zastanawiał się, od której strony rozpocząć rozmowę. Na razie postanowił uspokoić Pallę, że sprawa nie dotyczy jego osobiście. Książę Nocy lekko nastroszył się i spojrzał spod teatralnie uniesionej brwi na młodzieńca.

– Jeśli mnie nie dotyczy, to znaczy, że dotyczy kogoś innego! Przykro mi, że kapitan Zawieja posądził mnie o to, że będę sypać moich kolegów... Łapsy, meneliki, gówniarze, ale zawsze to koledzy, panie inspektorze, i od Palli takiej rzeczy wymagać nie można...

Minęło parę minut zanim Niedzielskiemu udało się przekonać Pallę, że naprawdę nie chodzi mu o informacje o aktualnie działających przestępcach, że pragnie porozmawiać z nim o starych, dobrych, przedwojennych czasach. To zapewnienie także jeszcze nie rozwiało nieufności Księcia Nocy, ale pragnąc się dowiedzieć o co właściwie chodzi udał, że się uspokoił.

– No, to pod te dawne czasy, panie inspektorze – uniósł do góry szklankę po musztardzie napelnioną do połowy wódką. – Szklanka „gołdy” jeszcze nikomu nie zaszkodziła...

Wypił, zagryzł sardynką, którą zręcznie nabił na wi-delec i wycierając beztriosko oliwę z palców o spód

klapy pięknego garnituru z rozmarzeniem w głosie powiedział:

– To były piękne czasy, panie inspektorze... Czy ja wtedy chodziłbym w takim łachu jak dzisiaj? – pogardliwie pokazał palcem na swój garnitur. – Smoking, panie inspektorze, krochmalona koszula, czarna mucha... Ha, ale i człowiek był inny – „piers marynarza, plecy tragarza” – a dziś, co ja jestem? Szmata, panie inspektorze! Człowiek ryzykuje dla zasranych trzystu złotych, a przed wojną i po tysiąc nachylał się z wahaniem: czy się opłaci! Ale skąd wziąć takich ludzi, jacy byli przed wojną? Jak wziąłem jakiemu dziedzicowi, albo bankierowi ten tysiąc czy dwa z portfela, to dopiero po tygodniu zauważył, że mu czegoś brakuje. A może i w ogóle nie zauważył – t a k i e harmonie pieniędzy ludzie mieli w tych czasach, panie inspektorze...

– No, wszyscy chyba tak wiele pieniędzy nie mieli – zaoponował Niedzielski, starając się wypić jak najmniej wódki, aby zachować pełną przytomność umysłu.

Palla strzelił pogardliwie palcami:

– Wiadomo, że nie wszyscy. Pod mostem Poniatowskiego trudno było miejsca znaleźć na nocleg. Ale ja nie mówię o tej szantrapie, tylko o ludziach z mojej sfery. Z mojej sfery działania zawodowego – dorzucił widząc uśmiech na wargach Niedzielskiego. – Bo ja, panie inspektorze, przed wojną na byle paskudtwo

się nie poślakomilem. „Ziemiańska”, „Resursa”, „Bristol”, oto było moje pole działania. I przestępcy byli wtedy inni – artyści, mistrzowie Nie to co dzisiaj, działość, które umie tylko na chama faceta urządzić. Mózgi pracowały, panie inspektorze. Albo weźmy na ten przykład prostytutki. Czy to, co dzisiaj jest, to są prostytutki? Każda lebiega z Grójca, albo z innego Wołomina, byleby nie była garbata, przychodzi i już się za prostytutkę podaje. A dawniej, panie inspektorze, tak nie było. Trzeba było przejść przez całą komisję, która dopiero stwierdziła czy nowa do zawodu się nadaje, czy ma w lokalach urzędować, czy na ulicy, czy trzeba jej własną „chatę” zorganizować, czy też na bazie hoteli będzie pracować. I ja też byłem członkiem takiej komisji. Ile babek, panie inspektorze, przeszło przez moje ręce! I klnę się honorem że odrzucałem wtedy piękniejsze i zdolniejsze od tych, które dzisiaj jako kategoria „S” spacerują. Ale to były czasy, w których kwalifikacje się szanowało, panie inspektorze i byle łachudra do naszej branży w żadnej specjalności nie mogła się dostać.

– A jakich miał pan przed wojną kolegów, którzy w branży zegarkowej pracowali? Chyba, że i o nich nie chce pan mówić...

– Dlaczego nie? Większość i tak już nie żyje, a ci którzy żyją, już się ustatkowali i pędzą nudny żywot porządnymi obywateli. Ja ostatni jeszcze się kołaczę w tej branży! Ale jak tak dalej nasz fach upadać będzie

jak upada, to też chyba się wycofam i gdziekolwiek na stróża nocnego pójde, żeby pilnować przed fuszerami tego, czego już nie ma kto kraść w sposób mądry i fachowy.

Wzrok Palli zaczął się błąkać po szarym stropie piwnicy, jak by wywoływał z pamięci obraz dawno minionych czasów i dawno wyblakłych twarzy:

– Był taki Antek, który w czasie przesłuchania ukradł zegarek komisarzowi Pasikowskiemu i ten ani się spostrzegł. Był Kazik, prawdziwy wirtuoz w opróżnianiu kieszeni pasażerów w tramwajach. Był zegarmistrz, specjalista od zdejmowania zegarków ręcznych, szczególnie kobietom.

– Dlaczego właśnie kobietom? – zainteresował się Niedzielski.

– Bo piorun był przystojny jak Roman Nowarro i jak zaczął babkę ślipiami magnetyzować, to mógłby na placu Saskim w biały dzień majtki z niej ściągnąć i też by niczego nie zauważyła. Ale on się wycofał z branży jeszcze przed wojną i zaczął handlować zegarkami na Kiercelaku. Myśmy kradli, a on je przerabiał, rozumie pan, zmieniał cyferblaty, oprawy i sprzedawał. Miał chłop łeb do interesu, miał! Ale wielki talent złodziejski zmarnował. Żona go do tego namówiła. Baba była pobożna, aż do mdłości i wciąż mu dziurę w brzuchu wierciła: „przestań i przestań”, no i chłop się załamał. W naszym fachu, panie inspektorze, nie ma gorszej gangreny jak baba. Złodziej tak, jak artysta, jeśli chce

dokonać wielkich dzieł, musi być samotny.

– A może pana interesują dalsze losy Zegarmistrza?
– spytał nieoczekiwanie Niedzielski, który od paru chwil dosłownie zamieniał się w taśmę magnetofonową zapamiętując każde słowo recydywisty.

Palla stał się ostrożniejszy:

– Aha, to o niego kapitanowi Zawiei chodzi. Czyżby coś znów przeskrobał?

– Nie, skądże! Zegarmistrz jest bardzo szanowanym fabrykantem dewocjonaliów w Krakowie. No, wie pan, wyrabia różańce i święte medaliki...

– Ot, na co mu przyszło – ponuro pokiwał głową Palla i zde gustowany wychylił jeszcze pół szklanki wódki.

– Nas interesuje żona pana Kawki czyli Zegarmistrza. Dlaczego się oni rozeszli?

– Nie wiem – odpowiedział po krótkim namyśle Palla. – Nigdy nie pracowała w naszym fachu. Mówiłem już, że była na to za głupia i za pobożna. Nawet nie wiedziałem, że się rozeszli. A ciekawe przy kim został ten ich syn? Chyba przy niej?

Niedzielski zdziwił się.

– Nic nie wiem o tym, że Kawkowie mieli syna?

– No, jak to? – zdziwił się z kolei Książę Nocy. – Pamiętam, że to był fajny chłopak. Teoś go zwali...

– Teofil? – Niedzielski z najwyższym trudem

opanował nerwy i powstrzymał się od zdradzenia nadmiernego zainteresowania.

– Czort go wie! Wołali na niego Teoś. A czy było mu Teofil czy Teodor, tego już nie wiem. Pamiętam, że go Zegarmistrz zaczął nawet fachu uczyć i chłopak miał smykałkę do tego, jak mało kto. Pan rozumie, na takiego szczeniaka nikt uwagi w tramwaju nie zwraca. Ale ta jędza urządziła mu takie piekło, że musiał chłopaka z akcji wycofać. Choć ja tam myślę, że po cichu go chyba nadal posyłał na mniejsze i łatwiejsze „skoki”...

– Może chłopiec zginął w powstaniu – podsunął ostrożnie Niedzielski.

Palla chwilę się zastanowił.

– To być może. Jak wojna wybuchła, miał jakie dwanaście lat, na powstanie miałby akurat lat osiemnaście, a tacy najwięcej wtedy rozrabiali... Szkoda by go było, bo chłopak był jak rydz, a taki ładny, że sam się dziwiłem, skąd z takiej pokraki matki, taki syn. No tak, ale ojca miał przystojniaka – zreflektował się po chwili.

Sierżant magister usiłował jeszcze więcej wyciągnąć z Palli na temat tajemniczego syna Jana i Weroniki Kawków, o którym nie było żadnych wzmianek w aktach urzędu stanu cywilnego miasta stołecznego Warszawy, ale bądź stary recydywista rzeczywiście nic więcej nie wiedział, bądź też zaniepokoiło go zbyt duże zainteresowanie młodego oficera milicji, bo poza ogólnikami

nic więcej nie chciał powiedzieć. Na zakończenie wybuchł spór o to, kto ma płacić za wódkę i zakąskę.

– Załatwimy tą sprawę po koleżeńsku – apodyktycznie zdecydował Palla – bo przecież pan inspektor i ja to koledzy – obaj żyjemy z przestępstwa. Więc proszę się nie obrazić, ja wszystko zapłacę. Ja tu mam zresztą otwarte konto. Pan inspektor jest młody, dopiero na dorobku, a ja już mam karierę za sobą.

Na takie dictum nic nie można było powiedzieć Kiedy wyszli przed bramę i zaczęli się żegnać, nikt by nie powiedział, że to ściskają sobie dłonie oficer dochodzeniowy i wielokrotny recydywista. W pewnym momencie Palla coś sobie przypomniał i przytrzymał jeszcze na sekundę rękę Niedzielskiego:

– Czy mógłby pan mi powiedzieć która godzina?

Niedzielski usłużnie wysunął przed siebie rękę i spojrzał na przegub ręki. Dosłownie zgłupiał – zegarka nie było, tylko na opalonej skórze białą jaśniejszy pasek ciała przykrytego zazwyczaj zegarkiem. Księżę Nocy rad z wywartego wrażenia, uśmiechnął się i wyjął z kieszeni zegarek, który oddał Niedzielskiemu z pełnym wdziękiem ukłonem.

– Ależ, panie Palla, to nie mój zegarek!

Księżę Nocy leciutko zmieszał się:

– O, pardon! Co za roztargnienie, to jest faktycznie

mój własny zegarek, który przed godziną odebrałem od zegarmistrza.

Po czym spiesznie zabrał Niedzielskiemu piękną złotą Doxę i zanurzywszy ponownie rękę w kieszeni wręczył mu tym razem jego własny, nikłowy zegarek marki Pobieda. Palla lekko otrzepał palce obu rąk, jak by chciał strzepnąć z nich kurz, po czym dość spiesznie skłonił się Niedzielskiemu i oddalił się w dół ulicy Chmielnej, pozostawiając oniemiałego młodzieńca na chodniku.

* * *

O tej samej godzinie kapitan Zawieja siedział w gmachu PKO i przesłuchiwał kasjerkę, która dokonała wczoraj wypłaty trzystu tysięcy złotych z konta Augusta Rehma. Niewiasta była starsza („przechodzona pięćdziesiątka” – określił ją Jurek Piskorz), ale jeszcze z pretensjami.

– To był naprawdę bardzo elegancki pan – mówiła uśmiechając się na samo wspomnienie nieznanego interesanta – taki kulturalny, przystojny.

– Czy pani zapamiętuje wszystkich klientów tak dokładnie? – spytał lekko zdziwiony kapitan, kiedy podała mu dość dokładny rysopis.

Kasjerka uśmiechnęła się pobłażliwie. – Wszystkich – nie. Ale ostatecznie wypłaty trzystatysięczne nie

bywają codziennie. Na takich klientów zwraca się trochę uwagi.

Rozmawiali w odgrodzonym szybami szklanym boksie kasy nr 3. Na czas przesłuchania zasłonili szybę firanką, więc byli wolni od ciekawych spojrzeń z sali. Zawieja wydobył z teczki zdjęcie Zgorzelskiego, Kawki, Homolaca – ale urzędniczka kategorycznie zaprzeczyła: Jej interesant wyglądał zupełnie inaczej. Znów zaczęła się unosić nad jego elegancją i przystojnością, opisywała popielaty garnitur, szpakowate włosy – słowem powtarzała to wszystko, co Zawieja miał już zanotowane. Kapitan przerwał jej grzecznie, ale stanowczo:

– W jakich banknotach wypłaciła pani mu pieniądze?

– Oczywiście w samych pięćsetkach – to i tak była taka fura pieniędzy, że wyładował cały skórzany neseser – taką niewielką walizeczkę z błyskawicznym zamkiem, wie pan? – wyjaśniła bliżej. Zanotował sobie opis walizki, po czym spytał, czy może mu podać numery wyplaconych banknotów.

– Oczywiście – odparła spokojnie – po tak dużą sumę musiałam iść do skarbcza, bo nie miałam tyle w kasie podręcznej i tam wydano mi banknoty nowej emisji.

Wyszukała odpowiedni kwit w segregatorze i Zawieja zaczął wynotowywać serie i numery wszystkich wyplaconych banknotów.

– Proszę pana – wtrąciła widząc jak pracowicie przepisuje cyfry z wykazu – czy ten pan, to był jakiś przestępca?

– Obawiam się, że tak i to bardzo poważny – odpowiedział nie przerywając pisania.

– Mój Boże, taki wytworny, przystojny mężczyzna – westchnęła z żalem, po czym chwilkę pomyślawszy spytała: – A gdyby przyszedł jeszcze raz, to co mam zrobić?

– Kazać natychmiast zatrzymać go strażnikowi. Zdobyłaby pani poważną nagrodę od PKO – powiedział Zawieja – ale może pani być spokojna, nie przyjdzie tutaj po raz drugi – dorzucił uśmiechając się.

– Kto wie, kto wie? – powiedziała kasjerka i zaczęła pudrować nos przed lusterkiem małej, srebrnej puderniczki. Zawieja początkowo zbył jej uwagę ukrytym uśmiechem, przypisując ją nadmiernej ufności w swoją urodę. Było jednak w jej głosie coś zastanawiającego, tak że po chwili przerwał pisanie i przyjrzał się jej uważniej:

– Dlaczego pani przypuszcza, że mógłby przyjść jeszcze raz?

Kasjerka rozejrzała się dokoła, jak by w ciasnym boksie mógł ktokolwiek znajdować się oprócz nich dwojga i tajemniczym głosem szepnęła:

– Bo widzi pan, on tutaj coś zgubił i może po to wrócić.

– Zgubił?! – Zawieja aż się uniósł na krześle.

Kasjerka odsunęła szufladę i wydobyła z niej jakiś mały przedmiot owinięty w papier: – Kluczyki od walizki! – powiedziała triumfalnie. – Musiały mu wypaść z kieszeni, jak wydostawał wieczne pióro dla podpisania czeku przy odbiorze pieniędzy. Podał mi je klient, który stał za nim w kolejce.

– Ech, kluczyki od walizki – twarz Zawiei wyciągnęła się. Spodziewał się śladu bardziej konkretnego. Wziął jednak do ręki mały zwitek papieru. Gdy go rozwinął, ujrzał rzeczywiście dwa płaskie, niklowane kluczyki związane niebieskim sznurkiem. Były za małe, żeby mogły się na nich utrwalić przydatne w śledztwie odciski palców, zresztą na pewno poprzednio dotykała ich kasjerka. Zaczął zawijać kluczyki z powrotem w papier, kiedy uwagę jego zwróciły jakieś atramentowe litery. Rozwinął paperek i odczytał: „8 września 195... Zadania klasowe, zadanie nr 18. Z dwóch miejscowości A i B wyjechały na spotkanie sobie dwa pociągi, pierwszy z nich miał do przeb...”.

Pismo było dziecięce, okrągłe, niewyrobane. Kratkowany papier zdradzał wyraźnie, że kartkę wydarto z jakiegoś szkolnego zeszytu. Teraz dopiero we wzroku Zawiei pojawił się żywszy błysk zainteresowania.

– Czy to pani zawinęła kluczyki w ten papier?

– Ależ nie. Tak zapakowane podał mi je klient. Dlatego nie zwrócił uwagi przedtem swego poprzednika,

że mu coś z kieszeni wypadło, gdyż myślał, że to umyślnie wyrzucony kawałek papieru. Dopiero gdy przydepnął go nogą, wyczuł w papierze coś twardego, ale wtedy właściciela już nie było.

To był ślad! Jeśli dopisze im szczęście, mogą w szybkim czasie ustalić tożsamość człowieka, który podjął trzysta tysięcy z konta Augusta Rehma. Kapitan zaczął się nagle spieszyć, tak że kasjerka zdumiała się, co go mogło tak bardzo poruszyć. Czyżby ten głupi świsstek papieru z fragmentem arytmetycznego zadania?

3.

Nie było rzeczą zbyt bezpieczną nawinąć się w tej chwili pod rękę kapitanowi Zawiei. Ten zawsze tak zrównoważony i spokojny oficer był teraz dosłownie naładowany dynamitem. Twarz zaś miał tak gradową, że nawet sekretarka unikała jego spojrzenia pilnie chowając głowę za piramidę papierów. Bo też sypnęło się tego dnia na kapitana nowin co niemiara! A każda gorsza od poprzedniej, nadwerężająca gmach z takim trudem konstruowany przez kapitana, lub co najmniej zwiastująca dodatkowe komplikacje i trudności.

Więc przede wszystkim z Krakowa przyszły wyniki rewizji przeprowadzonej w wytwórni dewocjonaliów i w prywatnym mieszkaniu Jana Kawki. Nie znaleziono

nic podejrzanego, nic, co by mogło wyjaśnić, jakie rzeczy zabrano z kasy pancерnej Rehma, nic co by rzuciło światło na rolę bursztynowych cygarniczek z napisem Johan Lippert et Co! Nie znaleziono nawet dowodów na to, że Jan Kawka trudnił się przemytem srebra. Ilość złomu srebrnego ściśle odpowiadała danym podanym uprzednio przez pana Mirosława Zgorzelskiego, tak, że nie można było nawet wyciągnąć wniosku, że to właśnie ze srebra przesłanego przez Zgorzelskiego został wytopiony srebrny „obarzanek”, który pan Homolacs wciąż jeszcze wozi w zapasowym kole swojego „Dela-ge'a”. Gdyby przynajmniej można było założyć, że Kawka zdążył usunąć wszystkie kompromitujące go przedmioty po sygnale alarmowym otrzymanym od współników z Warszawy! Też nie! – telefon i poczta Kawki była w tym czasie pod stałym nadzorem. Równie starannie rejestrowano wszelkie kontakty osobiste i telefoniczne panów Homolacsa i Zgorzelskiego, którzy jedynie mogli poinformować Kawkę o „wsypie” w sklepie zegarmistrzowskim przy Nowym Świecie.

A jak by tego wszystkiego nie było dosyć, okazało się, że sam Kawka był wtedy nieobecny w Krakowie, gdyż trzy dni przed rewizją w celach handlowych wyjechał do Gdańska. To wszystko były fakty bezspornie ustalone i sprawdzone. A przecież Kawka w żadnym wypadku nie mógł być niewinny. Dla utrzymania całej swojej koncepcji kapitan musiał przyjąć, że jednak

został uprzedzony o czekającej go rewizji. Ale przez kogo i jak?

Niemniej przykre okazało się drugie doniesienie, tym razem z Urzędu Celnego: Stwierdzono, że August Rehm rzeczywiście podjął jedną paczkę z komory celnej nadanej przez Johanna Lipperta z Wiednia, zawierającą według faktury sto zegarków marki Longines. I paczka ta rzeczywiście była zwolniona od opłat celnych na zasadzie przedstawionego przez Rehma pisma Biura Importu Urządzeń Precyzyjnych. Zapytany telefonicznie naczelnik Kowalski ustalił, że w dniu odebrania paczki August Rehm znajdował się w delegacji służbowej wystawionej na Kraków i województwo. A paczka została podjęta w komorze celnej w Żąbkowicach! Był to co prawda tylko jeden wypadek i dotyczący tylko stu zegarków, lecz kto może z całą pewnością twierdzić, że władze celne przeszukały już wszystkie dokumenty i że w ich aktach nie ma innych pokwitowań podpisanych przez Rehma? Ale już tej jednej paczki było dość, żeby podważyć podstawową tezę kapitana, że sam Rehm nie był przestępcą.

Także przeprowadzona rewizja w melinie, w której ostatnio mieszkał Czarna Rączka z małżonką, nie dała żadnych rezultatów. „Żadnych przedmiotów, które mogłyby mieć związek z przestępstwem nie znaleziono” – głosił protokół z przeprowadzonej rewizji.

Tych hiobowych wieści nie była w stanie osłodzić jedyna pozytywna wiadomość z Biura Ekspertyzy pisma, które przesłało opinię, że anonim otrzymany w swoim czasie przez Zawieję został napisany na maszynie znajdującej się w sklepie Mirosława Zgorzelskiego. Był to jeszcze jeden ważny dowód obciążający Zgorzelskiego, ale fakt ten nie rzucał żadnego nowego światła na całość sprawy. Wręcz przeciwnie w świetle nowych faktów można było przyjąć, że przy pomocy anonimu dawni współnicy usiłowali po prostu zepchnąć całą winę na nieżyjącego kompana i w ten sposób odwrócić uwagę milicji od własnych osób.

Kiedy przed obiadem wrócił sierżant Niedzielski i podzielił się z kapitanem zdobytymi wiadomościami w melinie Księcia Nocy, kapitanowi chciało się usiąść i zapłakać. Tak doskonale pasująca do wydarzeń werharska wersja pokrewieństwa Teofila z Rehkami także zachwiała się w posadach. Poszukiwany Teofil ma być dzieckiem Jana i Weroniki Kawków! W wiarygodność świadectwa Palli nie było co wątpić. Mogła oczywiście istnieć nikła szansa, że zaplątał się tutaj jakiś drugi Teofil, lub może jak przypuszczał Niedzielski „Teodor” – ale kapitan raczej przygotowywał się na to, że wspomniany przez Pallę „Teos”, to rzeczywiście poszukiwany przez niego Teofil. Ale na litość boską, jak w takim razie wytłumaczyć pełne uczucia listy pisane przez Teofila

Kawkę (!) do żony Augusta Rehma? Co znaczą spostrzeżenia i słusznie podkreślone przez profesora zwroty o „wtargnięciu do rodziny”, „o przyczynionych cierpieniach”? Jakie związki mogły łączyć Rehmów z synem swojej własnej służącej, którą w dodatku znali dopiero od kilku lat?

– Przecież ustalić te rzeczy nie będzie trudno – pocieszał go Niedzielski, dobrze rozumiejąc jak katastrofalne wiadomości przyniósł swojemu zwierzchnikowi – wystarczy gruntownie przesłuchać Weronikę Kawkę...

Kapitan machnął ze złością ręką i zamiast odpowiedzi wręczył Niedzielskiemu jakiś mocno pomięty i zbrudzony papier. Było to urzędowe wezwanie Weroniki Kawki do stawienia się na przesłuchanie w charakterze świadka, wysłane przez Zawieję za pośrednictwem Komendy Powiatowej MO w Mińsku Mazowieckim. Kartka była zaopatrzona uwagą milicjanta doręczającego wezwanie: „Wymieniona Weronika Kawka nie znajduje się obecnie pod podanym adresem. Jak z a p o d a - j e jej rodzina dana Kawka przed tygodniem wyszła z domu i dotychczas nie powróciła. Przeprowadzone poszukiwania przez miejscową milicję, ogłoszenia przez radio, nie dały dotąd rezultatu. Jak z a p o d a j ą członkowie rodziny w ostatnim czasie dana Weronika Kawka była bardzo zdenerwowana i istnieją podejrzenia, że popełniła samobójstwo. Cichocki, plutonowy”.

- No i co ty na to?
- Czy towarzysz kapitan wierzy w to samobójstwo?
- odpowiedział pytaniem na pytanie sierżant Niedzielski, szczypiąc swoim zwyczajem górną wargę ze znikomą zapowiedzią przyszłych wąsów.
 - To nie jest Niepokalane Poczęcie, żeby w nie wierzyć albo nie! – szorstko odpowiedział Bogu ducha winnemu chłopakowi. – Faktem jest, że Weronika Kawka zniknęła i że nam to cholernie komplikuje całą sprawę.
 - Trzeba uruchomić aparat operacyjny do poszukiwania zaginionej – nie zrażony poprzednią odprawą „podpowiadał” gorliwie sierżant.
 - Nie bój się, już to zrobiłem. Ale to znów przedłuży wszystko, skomplikuje i bez tego skomplikowane i bardzo rozgałęzione dochodzenie.
 - Moim zdaniem ona była zbyt religijna na to, żeby popełnić samobójstwo – wrócił do pierwszej wersji Niedzielski.
 - Mój kochany, samobójstwa popełniają nie tylko ateści. Ja bym raczej powiedział, że Weronika Kawka była zbyt ograniczona i zbyt pozbawiona wyobraźni na to, żeby popełnić samobójstwo! Ale teraz nie o to chodzi. Jeśli Weronika rzeczywiście nie żyje (mogła przecież podzielić los Czarnej Rączki), to będzie nam bardzo trudno ustalić, jak to było naprawdę z tym Teofilem.

– Przecież zawsze jeszcze zostanie nam w odwodzie Jan Kawka – sprzeciwił się nieśmiało Niedzielski – który wie co najmniej tyle o własnym synu, co jego żona.

– Wiedzieć, to on może i wie, ale nie możemy go tknąć, zanim nie rozgryziemy całej afery i nie będziemy wiedzieli wszystkiego o organizacji szajki i roli, jaką w niej odgrywał August Rehm. A klucz do tego, jak prze-czuwam od początku, kryje się w osobie Teofila. No, i masz błędne kółko! Kręcka można dostać! Że też czło-wiek musiał wybrać sobie taki zwariowany fach...

Oho, kiedy kapitan Zawieja zaczynał już w ten spo-sób mówić o swoim zawodzie, to znaczyło, że jego na-strój i samopoczucie spadły do poziomu bliskiego abso-lutnemu zeru.

– Ty rozumiesz – ciągnął dalej sardonicznym to-nem – w kryminalnej powieści bohaterowie w ogóle nie przeżywają takich plajt. Tam „genialny detektyw” w mojej obecnej sytuacji zapaliłby fajkę, wypił filiżankę kawy i usiadłszy w miękkim fotelu zacząłby... „my-śleć”. Myślałby, myślał i albo by coś wymyślił, co na-tychmiast wyjaśniłoby wszystko, albo też „nagle i nieo-czekiwanie” rozległoby się pukanie u drzwi i do jego „gustownie urządzonego gabinetu” wszedłby ktoś...

Kapitan urwał, gdyż jak na zawołanie u drzwi rozle-gło się rzeczywiście pukanie.

– Czary, czy co? – mruknął ze złością kapitan i krzyknął: – Wejść!

Przez uchylone drzwi wsunęła się spłoszona sekretarka:

– Pan inspektor Reszkiewicz do pana kapitana... Czy mam prosić?

Kapitan spojrział na Niedzielskiego i pokiwał z rezygnacją głową jak by mówił: – Właśnie jego tu jeszcze brakowało do kompletu!

– No, na co pani jeszcze czeka? – rzucił się z kolei na sekretarkę. – Przecież nie mogę powiedzieć inspektorowi z Komendy Głównej, żeby sobie poszedł do wszystkich diabłów!... niestety – dorzucił, patrząc jak Niedzielski zbiera swoje rzeczy i szykuje się do wyjścia. Sierżant pomyślał, że będzie musiał jeszcze wrócić do kapitana, aby mu opowiedzieć o tym, co robił wczoraj w południe, kiedy tak tajemniczo zniknął z Komendy Głównej.

* * *

Zadanie operacyjne wyglądało niemal karkołomnie: „Ustalić z kursu jakiej klasy pochodzi zadanie arytmetyczne następującego brzmienia (tu podano tekst zadania)... Ustalić w jakich szkołach warszawskich w dniu 8 września przerabiano to właśnie zadanie w odnośnych klasach... Ustalić przy pomocy nauczycieli, jacy

uczniowie mogli napisać tekst uwidoczniiony na załączonych fotokopiach... Ustalić adresy i nazwiska rodziców tych uczniów...”

Porucznika Komisiaka dosłownie zatrzęsło, kiedy otrzymał tę epistołę, w której słowo „ustalić” powtarzało się wielokrotnie, a każde dotyczyło zadania podobnego do szukania igły w stogu siana. Chciał już nawet dzwonić do Zawiei, że on, Komisiak, już wyraźnie „ustalił”, że naczelnikowi Sekcji Kryminalnej kielbie załęgły się w mózgownicy, ale rzuciwszy raz jeszcze wzrokiem na blankiet zlecenia działań operacyjnych pohamował się. Napisana niebieskim ołówkiem widniała na nim uwaga: „Sprawa szczególnie ważna. Działać wszystkimi dostępnymi środkami. Komendant Miasta”.

Zgrzytając zębami z bezsilnej wściekłości porucznik zajrzał do Informatora Milicyjnego m, st. Warszawy i przekonał się, że w stolicy są 223 szkoły podstawowe, 54 ogólnokształcące i 168 zawodowych.

– 445 szkół! – wałnął pięścią w Bogu ducha winne biurko. – Nie, no ja przecież z tym Zawieją naprawdę k o t a dostanę!

Choraży Barski, który ledwo wczoraj wieczorem wrócił z Łodzi i nawet jeszcze nie zdążył złożyć raportu kapitanowi o rezultatach swoich poszukiwań, starał się uspokoić szefa, choć wiedział, że cały ciężar „ustalania” spadnie właśnie na niego i równych mu stanowiskiem pracowników Wydziału.

– Przede wszystkim ustalmy z jakiego podręcznika pochodzi to zadanie. Jeśli z licealnego (a na to wskazywałoby użycie symboli „A” i „B”), to szkół od razu będzie nie 445 a tylko 54...

– A jeśli ze szkoły podstawowej? – ponuro zapytał Komisiak.

– To zawsze zamiast 445 będziemy mieli ich tylko 223 – ruszył z rezygnacją ramionami miedzianowłosa chorąży.

– Tylko 223! – gdyby Barski miał choć cień poczucia przyzwoitości, ładunek sarkazmu, jaki porucznik włożył w słowo „tylko”, powinien był go spopielić na miejscu.

– No to zajmuj się od razu tymi „tylko 223” szkołami, ja nie chcę nic o tym słyszeć – silne rozdrażnienie musiało pobudzić nadmierne wydzielanie kwasu w żołądku Komisiaka, bo kipiąc ze złości zaczął szperać po biurku szukając flakonika z „Alusalem”.

I Barski się zajął. Stosunkowo najłatwiej poszło z ustaleniem podręcznika, z którego zaczerpnięty był tekst zadania. Chorąży udał się do szkoły, którą sam, przed kilku laty kończył i tam przy pomocy bardzo życzliwie ustosunkowanych doń nauczycieli odszukał podręcznik, w którym znajdowało się zadanie nr 18 o identycznym brzmieniu. Był to podręcznik algebry na klasę VIII. A więc na szczęście kurs licealny – czyli tylko 54 szkoły! Szkoła, którą kończył Barski, była

pełną jedenastolatką, więc mógł liczyć na to, że znajdzie tu w każdym wypadku pomoc, o ile tylko... zadanie nie pochodziło z podręcznika szkoły zawodowej!

Komisiak na wiadomość o tym wyraźnie poweselał. – A mówiłem, że 54 to nie 445 – mruknął, jak by to nie on, ale Barski miał przed południem tyle obiekcji. Zarządził natychmiast krótką odprawę dwudziestu swoich podwładnych i polecił następnego dnia do południa przebadać wszystkie klasy VIII i odszukać tę, w której zadanie nr 18 przerabiane było 8 września.

Dwudziestu pracowników operacyjnych na jedno zadanie – to niemal mobilizacja! Myliłby się jednak ktoś, kto by przypuszczał, że Komisiak tak energicznie zabrał się do dzieła, z samej sympatii do Zawiei. Tajemnica jego energii kryła się w błękitnej parafie komendanta miasta, a porucznik Komisiak władzę bardzo szanował, toteż nie przypadkowo kapitan Zawieja postarał się o autograf komendanta zanim wysłał pisemko do sąsiada na drugim końcu korytarza.

4.

Gabinet był duży – tak duży, że nawet potężne ciemnowiśniowe biurko i przystawione do niego w kształcie litery T, pokryte zielonym sukniem stoły konferencyjne wydawały się w porównaniu z jego ogromem krusze i

miniaturowe. Wprowadzony przez sekretarkę do tego gabinetu Zawieja siedział i oglądaniem gabinetu skracał czas oczekiwania na człowieka, którego nazwisko znał z historii walk I Armii WP, a ostatnio widywał często na rozkazach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Na dużej gdańskiej szafie, wypełnionej książkami i kompletami różnorodnych czasopism stało brązowe popiersie Dzierżyńskiego. To popiersie, orzeł nad biurkiem i wielki bucharski dywan to były jedyne elementy dekoracyjne tego gabinetu. Kapitan wiedział, że człowiek, którego poprosił o posłuchanie, jest w stopniu pułkownika, i że on właśnie jest dyrektorem departamentu, któremu podlegał pion pracy Zawiei. Zastłonięta zielonymi firankami wisiała na ścianie wielka mapa.

– Kapitan Zawieja?

Zawieja drgnął na nieoczekiwany dźwięk, wcale bowiem nie dosłyszał, jak otworzyły się ogromne drzwi obite skórą. Na ich tle wysoki mężczyzna o mocno szpakowatych włosach ubrany w szary, cywilny garnitur, wyglądał po prostu niepokaźnie.

– Tak jest, Zawieja jestem – niepewnie odpowiedział kapitan, nie wiedząc, czy pytający jest już tym właśnie człowiekiem, na którego czekał, czy też kimś, kto go dopiero doprowadzi do właściwej osoby. Dlatego też nie zameldował się, ale nieznamy podszedł do niego i bez żadnej pozy, całkiem nieurzędowo wyciągnął rękę i przedstawił się. Nazwisko, które usłyszał,

podziało na kapitana jak ostroga, sprężył się, wyprostował i właśnie chciał wygłosić formułę zameldowania się, kiedy pułkownik całkiem „cywilnie” ujął go pod ramię i poprosił gestem o zajęcie miejsca naprzeciw siebie za stołem konferencyjnym. Nie pozostało mu nic innego, jak zastosować się do życzenia gospodarza.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie wzajemnie. Kapitan patrzył na pospolitą, nawet brzydką twarz swego najwyższego zwierzchnika, na zimne błękitne oczy, spoglądające na niego uważnie spod obfitych brwi. Twarz ta zeszpecona wielką blizną w poprzek całego nosa, była jednak sympatyczna i budziła zaufanie. I właśnie wtedy, kiedy Zawieję poczęło już denerwować przedłużające się milczenie, pułkownik powiedział:

– Proszę, mówcie, co macie mi do powiedzenia...

Zawieja zaczął swą opowieść o sprawie „Vesty”, o tym jak powziął podejrzenia, co do wyników pierwszego dochodzenia, jak rozsuplując zagadkę śmierci Rehmów „wyszedł” na wielką aferę przemytniczą. Jak zaczęły się trudności ze strony Komendy Głównej, a ściśle biorąc ze strony inspektora Reszkiewicza, który wreszcie zażądał przekazania sprawy wydziałowi gospodarczemu, a Zawiei powierzył sprawę nie wyjaśnionego dotąd zabójstwa starej „Doktorowej” na Pradze. Kapitan pragnął jak najpełniej zorientować pułkownika, mówił szczegółowo nie ukrywając spraw, które dotąd

były niejasne i nie wyjaśnione. Im dłużej jednak mówił, tym większy go ogarniał niepokój: pułkownik odchyłony na swym krześle do tyłu słuchał jego słów z kamienią twarzą i opuszczonymi powiekami.

– Zasnął? – zaniepokoił się Zawieja i zmieszany zamilkł, ale wtedy powieki pułkownika natychmiast drgnęły i błękitne oczy spojrzały ze zdziwieniem.

– Czy to już wszystko?

– Nie, tylko... – zaciął się i nie wiedział co powiedzieć Zawieja.

Po twarzy pułkownika przemknął ledwo uchwytny cień uśmiechu:

– Mówcie, mówcie dalej, ja naprawdę nie śpię, tylko taki mam sposób słuchania...

I jak by go zmęczyło wypowiedzenie aż tak długiego zdania od razu przymknął oczy, pograżając się ponownie w stan zewnętrznie bardzo podobny do drzemki. Zawieja zaczął więc zdawać sprawę z przedwczorajszej przeprawy z Reszkiewiczem, w wyniku której inspektor wykazał jak wiele luk istnieje jeszcze w koncepcji kapitana i kategorycznie polecił przekazać sprawę wydziałowi gospodarczemu.

– I to jest właśnie powód dla którego napisałem raport o przyjęcie mnie przez was, towarzyszu pułkowniku – zakończył kapitan odczuwając ulgę, że zrzucił ciężar z pleców, który go przygniatał od dwóch dni. Pułkownik podniósł powieki i kapitan uczył na sobie

spojrzenie jego niebieskich oczu, w których, jak mu się wydało, zapalił się nowy płomyk – płomyk sympatii.

– A czego oczekujecie ode mnie?

– Decyzji o doprowadzeniu sprawy „Vesty” do końca przez nasz wydział.

– Czyli przez was?

– To chyba naturalne. Ja mam tę sprawę w palcu, ja ją rozplątałem – zarumienił się Zawieja, bo wydało mu się, że ton, jakim pułkownik wypowiedział swoje pytanie, był lekko przekpiwający.

– Hm... – odpowiedział pomrukiem pułkownik, chwilę pomilczał, po czym zapytał: – Czy do tego nie wystarczyłaby decyzja Komendy Miasta?

– W normalnych warunkach, tak, ale tym razem sam Komendant Miasta polecił mi zwrócić się do was, bo...

Przerwał, jak gdyby się nagle potknął o myśl, której nie mógł lub nie chciał wyrazić:

– Bo...? – pytająco podjął wątek pułkownik, nie spuszczając wzroku z jego twarzy.

– Towarzyszu pułkowniku – poruszył się niespokojnie na krześle kapitan – to są zbyt przykre przypuszczenia, aby o nich mówić!

– W naszym zawodzie z reguły mamy do czynienia z przykrymi sprawami i nieprzyjemnymi przypuszczeniami. Mówcie, kapitanie!

To już brzmiało silniej niż zachęta, to był niemal

rozkaz. Zawieja ciężko westchnął i niechętnie, z ociąganiem powiedział:

– Mamy pewne poszlaki na to, że inspektor Reszkiewicz pragnie sam zgarnąć laury ze sprawy „Vesty” i przygotowuje się do tego, żeby po oddaniu przeze mnie sprawy wydziałowi gospodarczemu, przejąć ją z kolei w gestię Komendy Głównej...

Powieki pułkownika drgnęły i przez moment kapitan poczuł na twarzy jego uważne spojrzenie, ale już po sekundzie pułkownik przybrał swoją na pół śpiącą, na pół znudzoną maskę:

– Po co?

– Sprawa dotyczy nie tylko morderstwa, ale i wielomilionowych nadużyć – odpowiedział czerwieniąc się coraz bardziej Zawieja – towarzyszu pułkownik rozumie już?

– Nie.

– Według przepisów, oficer, który likwidując szajkę przestępczą odzyskuje dla skarbu państwa poważne sumy pieniędzy, otrzymuje premię pieniężną, której wysokość zależy od wysokości odzyskanych sum. Chciałbym, żeby towarzyszu pułkownik mnie dobrze zrozumiał – ja nie dlatego walczę o sprawę „Vesty”, że sam chcę otrzymać tę premię. Mogę się jej zrzec natychmiast, tutaj! Ale uważam takie postępowanie i takie motywy za niegodne oficera milicji.

Znowu to krótkie badawcze spojrzenie w oczy, po czym z ust pułkownika padają słowa:

– Wierzę wam!

Tylko dwa słowa, ale Zawieja nie ma cienia wątpliwości, że pułkownik naprawdę mu wierzy. Odczuwa ulgę. Znowu zalega między nimi milczenie, często przerywające tę dziwną rozmowę.

– Jakie macie dowody? To jest bardzo ciężkie oskarżenie.

Zawieja zaciska pięści i postanawia powiedzieć pułkownikowi wszystko, choć jest mu bardzo nieprzyjemnie występować w tej dwuznacznej roli wobec, bądź co bądź, swego kolegi po fachu.

– Nie prowadziłem oczywiście żadnego „dochodzenia” przeciw Reszkiewiczowi – zaczyna usprawiedliwiając się – dlatego niezbitych dowodów nie posiadam. Mogę tylko mówić o tym, co zwróciło moją uwagę w trakcie nielicznych kontaktów osobistych z Reszkiewiczem. Ale, towarzyszu pułkowniku, mnie jest naprawdę bardzo przykro...

– Dajcie spokój, kapitanie, rąbcie prosto z mostu! Więc co zauważyliście?

– Przede wszystkim niezrozumiałe dla mnie zainteresowanie Reszkiewicza sprawą „Vesty” i to od chwili, gdy sprawa nabrała wyraźnie ekonomicznego charakteru. Nie często się zdarza, aby inspektor z Komendy Głównej, aż tak interesował się jedną, pojedynczą sprawą, których ma pod swym nadzorem dziesiątki... Po drugie zauważyłem, że Reszkiewicz prowadzi życie na stopie o wiele wyższej, niżby można było oczekiwać,

znając wysokość poborów oficerów milicji Sam mi mówił, iż dostał karton papierosów amerykańskich od jakiegoś turysty, któremu odnalazł aparat fotograficzny w „Bristolu”. Czy tylko karton papierosów? Czy tylko od tego turysty? I wreszcie od kiedy to oficerowie KG zajmują się Wykrywaniem pojedynczych drobnych kradzieży?

Przypuszczam, że i w tamtym wypadku aparat odnalazł jakiś oficer z dzielnicy, a Reszkiewicz tylko obciął kupony od tego sukcesu...

Zawieja przerwał i rzucił okiem na twarz pułkownika, ale niczego poza uwagą nie dało się z niej wyczytać.

– Wreszcie poszlaka ostatnia – podjął z przymusem swoje dowody – wręczyłem Reszkiewiczowi niekompletne akta „Vesty”. Brakowało w nich nielegalnych umów zawartych przez Rehma z pseudofirma wiedeńską, jak też wyników operacyjnego ustalania liczby przemycanych zegarków w komisach całego kraju. Jednak, gdy kilka dni temu zwracał mi teczkę „Vesty” poruszył mimochodem także i sprawę tych dokumentów, chociaż ich w teźce nie było. Kiedy zapytałem, skąd w ogóle wie o ich istnieniu, odpowiedział, że przecież on także „robi coś po tej linii”. Było to dla mnie najlepszym dowodem, że Reszkiewicz, przygotowuje się do skaperowania „Vesty” Komendzie Miasta i chce zapisać cały sukces na własne konto.

Pułkownik poruszył się w swoim fotelu i rozplótł ręce spoczywające dotąd nieruchomo na tafli szkła przykrywającej biurko:

– Ech, psychologia, psychologia – westchnął – kij, który ma zawsze dwa końce.

Kapitan nie zrozumiał jaki związek ma to zdania z tym co mówił poprzednio, ale pułkownik nie zostawił mu czasu na refleksje. Krótkimi jakby wymuszonymi, zdaniami, zakomunikował mu swoją decyzję.

– Sprawę „Vesty” trzeba oczywiście doprowadzić do końca. Nie damy jej Reszkiewiczowi. Ale i w Komendzie Miasta zostać nie może.

– Jak to, towarzyszu pułkowniku? – przerwał mu wbrew dyscyplinie kapitan Zawieja.

– Nie może – powtórzył spokojnie pułkownik – bo jeśli zostanie w Komendzie Miasta, to Reszkiewicz będzie mógł wam bruździć, tak, jak bruździł dotąd. Bądź co bądź hierarchia w milicji obowiązuje. Wasze poszlaki są zaś zbyt nikłe, żeby wytoczyć mu dyscyplinarne dochodzenie.

– Więc co się stanie z „Vestą”? – zapytał zgnębiony kapitan.

– Przejdzie do nas. W gestię ministerstwa. Tym samym wypadnie z kompetencji inspektora Reszkiewicza.

Kapitan zwiesił głowę: oto czego się doigrał! Tak czy inaczej utraci sprawę, w którą włożył tyle serca

i pracy! Ktoś inny rozwiąże do końca tajemnicę Augusta Rehma. Ktoś inny pierwszy spojrzy w twarz tajemniczego Teofila. Ktoś inny założy kajdanki na ręce pana Zgorzelskiego, Homolacsa, Kawki i innych przestępców. Przecież naprawdę nie o nagrodę mu chodziło, tylko o zwycięstwo w tym niebezpiecznym, pojedynku, jaki rozpoczął przed miesiącem, a który go fascynował jak hazardowa gra.

Pułkownik musiał spostrzec oznaki rozgoryczenia kapitana, gdyż na jego tak chłodnej i zamkniętej twarzy pojawił się lekki uśmiech:

– Oczywiście nie przejmujemy samej „Vesty”, tylko przejmujemy ją razem z wami – dodał i z satysfakcją zanotował nagłą zmianę w wyrazie twarzy kapitana Zawiei. – Zostaniecie na czas nieokreślony oddelegowani do dyspozycji MSW – wyjaśnił dokładniej. – Zarówno wy, jak i ci ludzie, którzy wam teraz w tej sprawie pomagają...

Kapitan od razu pomyślał o sierżancie Niedzielskim, o Jurku Piskorzku i spojrzał na pułkownika rozjaśnionymi oczyma.

– Inspektorowi Reszkiewiczowi – ciągnął dalej pułkownik – nie mówcie o swojej wizycie u mnie. O przejściu „Vesty” przez MSW dowie się z oficjalnego pisma. Ot i to byłoby wszystko, kapitanie Zawieja. Czy jesteście zadowoleni?

Kiedy obite skórą odrzwia zamknęły się za kapitanem, pułkownik przez chwilę się siedział za biurkiem

w swojej charakterystycznej drzemiącej postawie, po czym sięgnął po słuchawkę jednego z sześciu telefonów, ustawionych na bocznym stoliku.

– Z majorem Rydlem. Tak, to ja. Słuchajcie, wpadnijcie do mnie! Mam tutaj jedną sprawę, którą wypadnie się natychmiast zająć. I weźcie ze sobą teczkę inspektora Reszkiewicza z Komendy Głównej...

5.

– To teraz już ten dany pan Reszkiewicz może nam tylko *n a d m u c h a ć* – upewnił się Jurek Piskorz dosłyszawszy w rozmowie kapitana i Niedzielskiego nowinę o przydzieleniu całej trójki do dyspozycji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Mniej więcej – z uśmiechem zgodził się Zawieja.

Wracali we trójkę z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie zapoznawali majora Rydla szczegółowo ze stanem sprawy „Vesty”. Działo się to zaledwie w dwa dni po wizycie u pułkownika, z czego można było wnioskować, że pułkownik nie zlekceważył prośby kapitana, ani też o niej nie zapomniał.

W sekretariacie pani Irena podała kapitanowi dużą kopertę, na której Niedzielski dojrzał stempel Biura Importu Urządzeń Precyzyjnych. Kapitan przeczytał pismo przewodnie do kilku załączonych dokumentów i rzucił ze zniechęceniem kopertę na stół.

– Masz babo placek! Znowu coś sprzecznego z naszą wersją. Naczelnik Kowalski przysłał mi dwie odnalezione faktury celne, na których August Rehm kwituje odbiór przesyłek wolnocłowych po sto zegarków każda. Nauczony poprzednim doświadczeniem naczelnik sprawdził w kadrach i okazało się, że za każdym razem Rehm opuszczał Warszawę na jeden, dwa dni, udając się w delegację służbową do miast, w których pobierano zegarki.

– Czyli w sumie mamy już trzy takie faktury – zmartwił się szczerze sierżant magister. – O jednej można było myśleć, że sfalszowana, ale trzy?

– Ależ August Rehm jest niewinny! – wykrzyknął ze złością Zawieja – on nie może być winny, bo inaczej cały obraz sprawy, który sobie dotąd wytworzyłem, rozleci się jak domek z kart.

Sierżant-magister pomyślał w duchu, że co najwyżej byłoby to dowodem, iż „obraz” kapitana był fałszywy, ale przezornie zmilczał.

– Trzeba posłać faktury do ekspertyzy pisma – podsunął szefowi.

Zdegustowany Zawieja machnął lekceważąco ręką: – Poślemy, pošlemy i co z tego? Odpowiedzą jak za pierwszym razem: „Nie jest wykluczone, że podpis złożył Rehm”. Ale pewności żadnej nie ma. I nic dziwnego: podpisy na pokwitowaniach składa się zazwyczaj przy okienku, stojąc, w zupełnie nienormalnej pozycji

ciała i dlatego z reguły są one bardzo zniekształcone. Tyle to ja wiem sam, bez ekspertyzy... Ja muszę zdobyć dowód na niewinność Rehma. – powtarzał z uporem kapitan stąpając ciężko po gabinecie – a do tego muszę spod ziemi wytrzasnąć tego cholernego Teofila. Inaczej nie będę miał spokoju!

– A ta właścicielka Domu Mód w Łodzi? Przecież ona coś wiedziała o Teofilu. Może by ją ściągnąć na ponowne przesłuchanie? – wtrącił Niedzielski.

– Można było się łudzić co do tego, kiedy nie mieliśmy wyników badań Barskiego. Przecież Barski ustalił w Łodzi, że Joanna Szmytowa lokowała zegarki w kilku łódzkich komisach posługując się różnymi dowodami osobistymi. Jest więc na pewno organizatorką kolportażu, a nie tylko zwykłą kolporterką, za jaką ją dotąd uważaliśmy. Szmytowa kupiła przed dwoma laty willę za trzysta tysięcy, a w tym roku za sto tysięcy samochód, który jest zapisany na nazwisko jej kochanka i nie ma żadnych wątpliwości, że nie zarobiła tych pieniędzy na szumnie zwanym Domu Mód, który zresztą okazał się zwykłym sklepem z kapeluszami damskimi i to wcale nie najwyższej kategorii. Nie, mój drogi, ta baba ma dość powodów, żeby milczeć i wszystkie szanse, żeby zasiąść na ławie oskarżonych.

– I tego wszystkiego nie dostrzegła prokuratura lub inspekcja handlowa? – oburzył się Niedzielski, któremu

nieznane były jeszcze nowiny przywiezione przez Bar-
skiego z Łodzi.

– Oj, kochany, kochany – z politowaniem pokiwał
głową Zawieja – widać, że jesteś jeszcze bardzo młody.
Niewiele jest dzisiaj w Polsce murów, których by nie
przeżył osioł obładowany złotem. Dlatego między in-
nymi i my mamy tyle roboty. Tymczasem – powrócił do
przerwanego wątku – Weronika Kawka, przy całym
swym ograniczeniu, wydaje się niewinna i ta mogłaby
coś powiedzieć o Teofilu, ale tej znów nie ma, psia-
krew!

Jurek Piskorz, który niewiele z tego wszystkiego ro-
zumiał, robił jednak mądre i „wtajemniczone”. miny,
potakiwał bądź zaprzeczał ruchami brwi i wytrzeszcza-
niem oczu. Przy czym z reguły wąpiące miny robił, gdy
coś mówił sierżant Niedzielski, potakiwał zaś i wydawał
pełne uznania pomruki, kiedy przemawiał „pan naczel-
nik”. Te pomruki i pochrząkiwania zwróciły wreszcie
na niego uwagę kapitana Zawiei.

– Widzisz, Jurek, żebyś był równy chłopak, to byś
się zakrzętnął i „w try miga” odszukał mi tego Teofila!
– powiedział chwytając żartobliwie szofera za ucho.

– Już się robi, panie naczelniku – ochoczo poderval
się chłopak – to dla mnie jak splunąć, tylko niech mi
pan naczelnik da jego fotografię...

Obaj oficerowie wybuchnęli śmiechem:

– Żebym ja miał jego fotografię, to sam bym wiedział, jak go szukać – odpowiedział kapitan Zawieja.

– To niemożliwe – upierał się Jurek – żeby dzisiaj facet nie robił sobie fotografii. Muszą być jakieś jego zdjęcia...

– Ba, były, na pewno były, ale zostały w porę usunięte przez ludzi, którym zależało na tym, żebyśmy nie mogli wpaść na trop Teofila – wyjaśnił tym razem sierżant Niedzielski.

– Kapuję – mrugnął do niego Jurek Piskorz – zrobili z fotografiami identiko to samo, co z tym lanszaftem w gabinecie nieboszczyka.

Jurek Piskorz strasznie się zdziwił, widząc jak obaj oficerowie, spojrzawszy krótko na siebie, poderwali się obaj z miejsc, a Niedzielski palnął się otwartą dłonią w czoło. Kapitan Zawieja podbiegł do szafy pancерnej i zaczął w niej czegoś szukać. Kiedy się odwrócił, Jurek ujrzał w jego ręku prostokąt sztywnego i lśniącego farbami płótna.

- Czyżby raz jeszcze mądrość przemówiła ustami prostaczka? – powiedział Zawieja wpatrując się w twarz wyobrażoną na płótnie.

– Jeśli „prostaczek” to ja, to faktycznie, można powiedzieć, że pan naczelnik ma rację – skromnie spuszczając oczy powiedział Jurek Piskorz, choć wciąż jeszcze nie rozumiał, czym się tak obaj przejęli.

– Byliśmy dotąd przekonani, że portret przedstawia Augusta Rehma w wieku młodzieńczym. A właściwie

na jakiej zasadzie? Jurek wysunął nową, bardzo śmiałą hipotezę, której nie można odrzucić bez sprawdzenia.

Piskorz nadał się pychą i spojrzął z góry na magistra Niedzielskiego, jednocześnie usiłując zapamiętać nowe, uczone, a nie znane słowo „hipoteza”.

– Ta hipoteza idealnie się pokrywa z sugestią Werhara, że Teofil jest dzieckiem Rehmów – dorzucił Niedzielski – wtedy takie podobieństwo ojca do syna jest zupełnie zrozumiale...

W pół słowa przerwał mu natrętny dzwonek telefonu miejskiego.

– Podnieś słuchawkę, proszę cię i, niezależnie od tego kto dzwoni, powiedz, że mnie nie ma! – zwrócił się kapitan do sierżanta. Niedzielski posłusznie podniósł słuchawkę, lecz zaledwie ją przyłożył do ucha, spojrzął na kapitana wystraszoną wrokiem, po czym rzuciwszy do słuchawki:

– Chwileczkę, zaraz sprawdzę, czy jest – przysłonił ręką mikrofon. – Towarzyszu kapitanie, to ten sam głos kobiety, który już was raz ostrzegał, domaga się rozmowy z wami...

– Na litość boską! – zakrzętała się Zawieja i oczy mu rozbłysły, jak myśliwemu, któremu gruba zwierzyna sama wchodzi pod muszkę – rób co chcesz, ale musisz ją kilka minut zatrzymać przy telefonie!

I podczas gdy Niedzielski rozwlekle upewniał się, czy sprawa jest naprawdę dość pilna, żeby fatygować

pana kapitana do telefonu, po czym obiecywał go odzyskać na terenie gmachu, prosząc rozmówczynię o minutkę cierpliwości, kapitan z drugiego aparatu połączył się z centralą telefoniczną, żądając natychmiastowego sprawdzenia, z jakim numerem jest w tej chwili połączony jego miejski telefon.

– Rozmównica publiczna róg Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej – rzucił szeptem Piskorzowi – leć tam samochodem, choćbyś miał pół miasta rozwalić i zatrzymaj kobietę, którą zastaniesz w budce...

– Tak jest! – szepnął tylko Jurek Piskorz i tak jak stał bez czapki i bez pasa wypadł z gabinetu.

Od Komendy do Świętokrzyskiej było najwyżej osiemset metrów, no może kilometr, więc jeśli Niedzielskiemu uda się przetrzymać nieznaną jeszcze choćby przez dwie minuty Jurek powinien zdążyć na czas! Kapitan Zawieja przygryzł wargi, rwał na strzępki trzymany w ręku jakiś kawałek papieru i nie cdrywał wzroku od sekundnika, który po prostu przykleił się do cyferblatu i zdawał się trwać w miejscu. – A co będzie jeśli na skrzyżowaniu Trasy W-Z i Marszałkowskiej powstanie jakiś korek komunikacyjny, który zatrzyma Jurka na kilkadziesiąt drogocennych sekund? Co do tego, że światła regulujące ruch nie będą przeszkodą dla brawurowego szofera, kapitan nie miał wątpliwości.

– Towarzyszu kapitanie! – szeptem powiedział Niedzielski – ona się denerwuje i wciąż woła „halo!”

Kapitan z rozpaczą spojrział na sekundnik: – Powiedz jej, że już idę i za chwilę podejść do telefonu...

Niedzielski odsunął rękę zasłaniającą mikrofon, poszurał nogami imitując zbliżające się kroki, po czym bardzo rozwlekłe i wielosłownie poinformował nieznaną, że kapitan Zawieja już idzie i za chwilę podejmie z nią rozmowę. Kapitan odczekał dokładnie piętnaście sekund, które teraz leciały błyskawicznie i z ciężkim sercem wziął podaną mu przez Niedzielskiego słuchawkę:

– Kapitan Zawieja, słucham...

– Proszę pana, ja z panem już raz rozmawiałam – słyszy w słuchawce ten sam przytłumiony i niewyraźny głos. – Jeszcze raz pana ostrzegam, niech się pan pilnuje. Oni naprawdę chcą pana zabić. Niech pan nigdy nie wychodzi wieczorami sam, niech...

Nagła przerwa. W słuchawce rozległo się skrzypnięcie, jak by otwarły się jakieś źle nasmarowane drzwi. Parę sekund trzasków, zmieszanych dźwięków. Kapitan dosłownie wrasta w słuchawkę, którą aż do bólu przyciska do ucha. Niedzielski nie mniej przejęty wpija się oczyma w jego twarz usiłując odgadnąć, co się dzieje po drugiej stronie drutu telefonicznego. I nagle Zawieja słyszy w telefonie junacki głos Piskorza.

– Panie naczelniku, to ja. Mucha nie siada! Zaraz „przyknamy”¹ do Komendy. No, niech się szanowna

¹ „Knaić” – jechać (żarg. złodz.)

nie szarpie, bo będę zmuszony damską rączkę wykręcić.

– Szatan, nie chłopak! – mówi Zawieja i siada ciężko na krześle, ocierając chusteczką zalewający mu oczy pot.

Nie muszą długo czekać. Po pięciu minutach w drzwiach staje Jurek Piskorz i elegancko, ale mocno trzymana przez niego pod rękę kobieta o wystraszonej twarzy.

Kapitan Zawieja podchodzi, ujmuje ją delikatnie za łokieć i prowadzi do stojącego przed biurkiem krzesła.

– Kiedyś już pani tutaj była, prawda? Nie spodziewałem się jednak, że spotkamy się ponownie w ten sposób.

Lecz dlaczego ta kobieta nie słucha, co się do niej mówi? Nie patrzy na obecnych w gabinecie mężczyzn. Całą jej uwagę przykuwa coś na biurku kapitana Zawieja bierze do ręki prostokąt wycięty z portretu i podaje go kobiecie mówiąc pod wpływem nagłego natchnienia:

– Biedny Teofil. Biedny chłopak. Tyle się nacierpiał.

I właściwie nie trzeba już żadnych słów, gdyż potwierdzeniem wymowniejszym od wszelkich zeznań stają się obfite łzy i gwałtowne szlochanie, jakie zaczyna wstrząsać ramionami Weroniki Kawki.

* * *

Dwie bite doby zajęły pracownikom porucznika Komisiaka poszukiwania VIII klasy, w której w dniu 8 września przerabiano z matematyki zadanie nr 18. Zajęcie było bardzo marudne, gdyż nie można było polegać ani na pamięci profesorów, ani nawet na zapiskach w dziennikach lekcyjnych, w których mogło nie być odpowiedniej notatki o przerabianym materiale po prostu z powodu roztargnienia pedagoga. Podczas kiedy Zawieja przeżywał wszystkie perypetie z inspektorem Reszkiewiczem, a potem czekał na wynik wizyty w MSW, pracownicy operacyjni przeglądali niestrudzenie tysiące zeszytów w pięćdziesięciu czterech warszawskich szkołach licealnych. Barski, który został kierownikiem całej akcji, sam dokonywał poszukiwań w liceum na ulicy Kopernika. Nie jemu jednak przypadło w udziale odkrycie autora posiadanego przez milicję fragmentu zadania matematycznego.

W wyniku pierwszego dnia poszukiwań ustalono jedynie, że dnia 8 września zadanie nr 18 z całą pewnością było przerabiane w liceum przy ulicy Kopernika i to zdecydowało, że następnego dnia Barski osobiście sprawdzał wszystkie zeszyty klasy VIII w tym liceum. Dopiero około godziny piątej po południu, kiedy towarzyszący mu w poszukiwaniach pedagog był już nieprzytomny ze zmęczenia, z liceum na Wawelskiej nadeszła telefoniczna wiadomość, że starszy sierżant

Kobiałek odnalazł poszukiwanego ucznia.

– Ty, słuchaj, czy to aby tylko nie lipa? – upewniał się chorąży telefonicznie, patrząc z wahaniem na stertę już przejrzanych zeszytów i na niewielką resztę, która mu jeszcze do zbadania pozostała.

– Mucha nie siada! – głos Kobiałka brzmiał triumfalnie. – Pan profesor poznał pismo, ja sam je porównałem i też wychodzi, że to ta sama osoba. Oczywiście pošlemy zeszyt i materiał porównawczy do ekspertyzy, ale mówię ci, że to już będzie tylko formalność.

– Małgorzata Tyrce? – rozczarowany zapytał Zawieja, kiedy go Barski telefonicznie powiadomił o nazwisku odnalezionej uczennicy. Co za Tyrce? Przecież żaden Tyrce dotąd w sprawie „Vesty” nie występował!

Pełen zwątpienia i złych przeczuć polecił jednak Barskiemu ustalić rodziców i adres uczennicy z VIII klasy liceum przy ulicy Wawelskiej. To zadanie było już o wiele łatwiejsze od szukania samej uczennicy, toteż Barski uwinął się z nim jeszcze tego samego dnia. Sporządził krótką notatkę służbową z przeprowadzonego wywiadu, odwiózł ją jeszcze do Komendy, położył kapitanowi na biurku i dobrze już po północy, zmęczony, głodny pojechał do hotelu milicyjnego, gdzie jako kawaler zajmował pokój.

ROZDZIAŁ VIII

1.

– Więc towarzysz major uważa, że mimo wszystko realizować?

Niedzielski wpatrywał się w twarz kapitana, który stał przy selektorze rozmawiając z majorem Rydlem z MSW. Zawieja miał twarz poważną, zafrasowaną. Kiedy w słuchawce usłyszał brzęk głosu majora, kapitan zrobił niezbyt przekonaną minę, ale do słuchawki powiedział, że zastosuje się do polecenia zwierzchnika. Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę, zwrócił się do sierżanta magistra: – No więc realizujesz Zgorzelskiego, mały. Rydel uważa, że nie wolno z tym czekać ani godziny.

– Ja? – zakrzyknął zaskoczony Niedzielski.

– Ty, ty – potwierdził Zawieja – kiedyś przecież musisz zacząć samodzielnie pracować. Jest godzina dziewięta osiem. O pół do dziesiątej z w i a ż e s z w biurze Zgorzelskiego i przedstawisz mu nakaz rewizji w mieszkaniu. Zawieziecie go razem z Barskim do domu i w jego obecności dokonacie szczegółowej rewizji. Potem razem z nim i z tym co u niego znajdziecie, przyjdziecie tutaj do Komendy. Ot i wszystko! Jasne?

Kapitan nie powiedział Niedzielskiemu, że przydzielając mu do pomocy starszego stopniem i doświadczonego

Barskiego, ubezpieczał się przed niespodziankami, na które mógłby go narazić brak doświadczenia sierżanta magistra. – Niech się chłopakowi wydaje, że pływa na głębokiej wodzie – pomyślał z uśmiechem odprowadzając wzrokiem zgrabną sylwetkę podoficera – inaczej się niczego nie nauczy.

Choć, prawdę mówiąc, sierżant magister już przed paroma dniami udowodnił, że nie tylko potrafi myśleć samodzielnie, ale że nie brak mu odwagi do podjęcia działań operacyjnych na własną rękę. Jak się okazało tego dnia, kiedy Zawieja po raz pierwszy rozgniewał się na Niedzielskiego za samowolne opuszczenie komendy, ambitny chłopak postanowił na własną rękę sprawdzić dane dostarczone przez Komisiaka, które wykluczały udział samochodu Mirosława Zgorzelskiego w wypadkach na szosie otwockiej. Przy pomocy Jurka Piskorza odszukał warsztat obsługi samochodów, w którym pan Zgorzelski zawsze mył i smarował swój wóz i choć rozczarował się, gdyż w warsztacie, wbrew jego przypuszczeniom, nie zmieniano w ostatnim czasie ogumienia samochodu, ustalił jednak, że niedawno wymieniono tam w silniku olej na rzadki w kraju zagraniczny olej firmy Shell. Było to rzeczywiście zastanawiające, gdyż analiza chemiczna plamy olejowej na asfalcie szosy otwockiej, choć nie mogła orzec, jakiej konkretnie marki był olej, który wyciekł z karieru samochodu,

wykazała, jak to określili eksperci, że był to „olej o znacznie większych od krajowych własnościach smarujących, mało zużyty, niemal idealnie „gładki”. Co prawda przesłuchany ponownie przez Niedzielskiego dozorca kamienicy Mirosława Zgorzelskiego zaklinał się na wszystkie świętości, że wóz stał przez cały dzień na podwórzu, jednak Zawieja nie mógł odmówić racji sierżantowi, że „cięć” mógł po prostu dbać o swoją dobrą opinię czujnego stróża domu, lub też po prostu ze starości nie pamiętał, że samochodu przez szereg godzin nie było.

– W sumie biorąc – NWM – powiedział kapitan wysłuchawszy relacji swego pomocnika. Niedzielski popatrzył pytająco, nie rozumiejąc co ten cudaczny skrót oznacza. – „Nad Wiek Mądrze” – powiedział kapitan z poważną miną i... obaj wybuchnęli śmiechem.

Zawieja spojrział na zegarek – była godzina dziewięta trzydzieści: – No, powinni już być u Zgorzelskiego – pomyślał i poczuł, że zaczyna się emocjonować na odległość tym, co się tam teraz dzieje.

– Za godzinę, za dwie zakotłuje się w całej bandzie, jak by w nią piorun strzelił – pomyślał – pierwsze aresztowanie w sprawie „Vesty”! Znów nawiedziły go wątpliwości, czy aby major Rydel nie nazbyt pochopnie zarządził aresztowanie? I co znaczyły jego słowa, gdy Zawieja przestrzegał przed zbyt wczesnym alarmowaniem

całej szajki: „Jeśli nie zrobimy tego teraz, to być może nie uda się to już nigdy?” Czyżby Rydel uważał, że Zgorzelski jest szefem całej bandy i jest to jedyna okazja do uzyskania dowodu przeciwko niemu? Kapitał zapalił papierosa (który to już z rzędu?) i podszedłszy do biurka wziął do ręki kartkę z raportem Barskiego, która czekała na niego całą noc. Raz jeszcze przeczytał kartkę wypełnioną wyraźnym, trochę jeszcze uczniowskim pismem chorążego:

„Poszukiwane zadanie matematyczne pochodzi z kursu klasy VIII szkoły ogólnokształcącej. Jak ustalono, napisała je uczennica ki. VIII szkoły licealnej przy ulicy Wawelskiej Małgorzata Tyrce, lat 14, córka Anastazji i Franciszka (ojciec nie żyje), zamieszkała przy ulicy Wierzbowej nr... Matka Małgorzaty Tyrce jest służącą w domu inżyniera Henryka Zgorzelskiego, wicedyrektora Biura Importu Urządzeń Precyzyjnych...”

Zawieja dalej nie czytał. Zresztą znał już cały raport niemal na pamięć. Zaciągnął się papierosem. Oto i pan Henryk Zgorzelski wystąpił po raz pierwszy na widowie. Jak widać, wart jest swego braciszka – jubilera. Czy uda się zdobyć dowody na tego człowieka, przeciwko któremu dotąd nie przemawiały nawet poszlaki? Psia-krew, żeby móc tak zobaczyć, co się tam teraz dzieje? A może Rydel miał jednak rację nakazując pośpiech? – zawahał się. – Wszystko jest tutaj jak, na loterii,

można wszystko wygrać i wszystko przegrać za jednym zamachem.

– Co się stało? – zwrócił się do pani Ireny, która jak mysz wśliznęła się do gabinetu.

– Przyszła ta kobieta, która już raz tutaj była. Wdowa po tym... no, Czarnej Rączce – wypowiedziała pseudonim bandyty z takim skrzywieniem, jak by musiała przy tym połknąć coś paskudnego.

– Sama przyszła? – ożywił się Zawieja. – Niech ją pani wpuści, oczywiście.

Po chwili w drzwiach gabinetu stanęła czarno ubrana kobieta. – Oho, już się udrapowała na żalobną wdowę – pomyślał nie bez złośliwości Zawieja – niezależnie od warstwy społecznej kobiety zawsze zostaną trochę aktorkami...

– Powiem wszystko, panie komisarzu – zaczęła bez wstępów wdowa po Czarnej Rączce – bo wtedy faktycznie nie wszystko powiedziałam. Pan to od razu sporutował, prawda? – w zdenerwowaniu zaczęła mówić żargonem przestępców. Oczy miała suche, twarde i gniewne.

– Więc co, zdecydowała się jednak pani pomóc ukarać zabójców męża? – spytał poważniejąc od razu i włączając magnetofon naciśnięciem przycisku lampy stołowej.

Machnęła lekceważąco ręką: – E tam, mąż! Ja chcę ukarać tych, którzy mnie do wiatru wystawili

i z a j u c h c i l i ¹ moją krwawicę. Ja im nie daruję.
Taki r a j s t e r ² pieniędzy mi zdmuchnąć, panie ko-
misarzu! Ach, co za podleczy!

¹ Zajuchcili – ukradli (żarg. złodz.)

² Rajster – dużo, kupa (żarg. złodz.)

I ta, która nie uroniła ani jednej łzy nad swoim mę-
żem, wybuchnęła płaczem na myśl o poniesionej stra-
cie materialnej. Kapitan położył jej uspokajająco rękę
na ramieniu: – Spokojnie, spokojnie! Niech pani opo-
wiada wszystko po kolei.

– Powiedziała panu wtedy, że nie wiem o jakiej
to p a r t a n i n i e ³ mój mąż mówił, kiedy obiecywał
wkrótce bombę pieniędzy, prawda?

³ Partanina – lekceważąco: robota (żarg.)

– A no tak pani powiedziała – przyznał Zawieja,
starając się jak najmniej przerywać, licząc że nurtujący
ją gniew i oburzenie będą skuteczniejsze od jego pytań.

– Skłamałam, panie komisarzu. Ja wiedziałam. To
miał być b l i t . ⁴ „Jak tylko ożenię jeden b l i t – mó-
wił Czarna Rączka – to już biedy nie zaznasz”.

⁴ Blit – klejnoty (żarg. złodz. „ożenić blit” – sprzedać klejnoty).

Zawieja zamienił się w słuch. „Blit”, to były właśnie
te kamienie szlachetne, których mu brakowało do peł-
nego obrazu rozrachunku z mitycznym Johannem
Lippertem za przemycane zegarki. Kobieta westchnęła

ciężko, widocznie wspomniawszy szczęście, które przeszło tak blisko i ciągnęła dalej swoje zeznania:

– Jak wtedy wyszłam z tego sklepu z guzikami, to mąż dał mi małą karteczkę i powiedział „s k i t r a j¹ dobrze ten świstek. Jak by, co nie daj Boże, ze mną się coś stało, to tam dostaniesz forszę”. No i schowałam, panie komisarzu, widać dobrze, skoro pańscy wywiadowcy nic przy mnie, ani na c h a w i r z e² nie znaleźli. Musiał mój stary już wtedy trochę czuć c y k o r i o w e³ bo nigdy przedtem takich siupów z karteczkami nie robił. Sam pilnował swoich interesów.

¹ Skitrać, kitrać – chować, schować (żarg. złodz.)

² Chawira – mieszkanie, chata (żarg. złodz.)

³ Czuć cykoriowe, albo mieć cykorię – bać się (żarg.)

– Nic dziwnego – pomyślał Zawieja – wiedział czym pachnie zdrada bandy, dlatego też suma musiała być naprawdę niemała, jeśli mimo wszystko poszedł na takie ryzyko.

– No i dzisiaj rano pojechałam tam po forszę – głos jej znów się załamał pod naporem łez – sam pan wie, że groszem nie śmierdzą. Mąż wykitował, myślę więc, czas zrobić tak jak mówił. A i „blacharzy” już się nie bałam, bo po nieudanej rewizji na pewno już się odczepili ode mnie.

Zawieja w duchu zżymał się na samego siebie, że istotnie zbyt szybko wyjął wdowę po Czarnej Rączce spod obserwacji.

– Do jakiego pasera skierował panią adres zapisany na kartce? – spytał kapitan.

– Do Grubego Kazka w Otwocku – odpowiedziała chlipiąc „żałobna wdowa”.

– W Otwocku? – poderwał się Zawieja, ale natychmiast usiadł i siłą nakazując sobie spokój dał oczyma znak, aby mówiła dalej.

– Przyjechałam, znalazłam tego Grubego Kazka, a on nic, tylko ręce rozkłada: faktycznie, mówi, otrzymał blit od Czarnej Rączki, ale jak wrócił na chawirę, to go już czekała tam mętownia¹ z Czarnym Rączką i blit zabrali i jeszcze jemu oko podbili. Nie mogę powiedzieć – oko miał jeszcze dzisiaj sine jak bakłażan, ale on przecież łże, panie komisarzu, prawda? Milicja nie zabierała blitu Grubemu Kazkowi?

¹ Mętownia – milicja (żarg. złodź.)

Zawieja od natłoku pytań poczuł zawrót głowy: Co to wszystko znaczy? Jaka milicja ujęła Czarną Rączkę i odebrała kosztowności? Gdyby nawet założyć, że to na własną rękę działał wydział gospodarczy, to w jaki sposób Czarna Rączka został tego samego dnia zamordowany? A może Gruby Kazek rzeczywiście łże i po prostu usłyszawszy o śmierci właściciela, przywłaszczył sobie cały blit stwarzając na poczekaniu bajeczkę o przybyciu milicji? Trzeba było jednak coś postanowić,

więc zaczął pospiesznie zadawać wdowie dodatkowe pytania:

– Pani mąż odjechał samochodem z Nowego Świata około jedenastej?

– Było chyba z piętnaście minut po jedenastej – odpowiedziała z namysłem.

– Kiedy Gruby Kazek otrzymał b i t od męża?

– Mówił, że tego samego dnia od jedenastej byli umówieni na Nowym Świecie. Ja myślę, panie komisarzu, że to wtedy właśnie jak ja kupowałam te podwiązki.

Zawiei przypomniała się teczka, którą Czarna Rączka zapinał w bramie po wyjściu żony ze sklepu. Nagle i sam wyjazd samochodem jubilera (?) zaczął układać się w logiczną całość. Musieli go już wtedy podejrzewać o chęć zdrady – szybko rozumował przygotowując następne pytanie:

– Kiedy Gruby Kazek wrócił do Otwocka?

Zmarszczyła brwi w namyśle:

– Tego tak wyraźnie nie mówił, tylko pamiętam, że wracał kolejką elektryczną od razu po spotkaniu z mężem, a kiedy przyjechał do „chaty”, to już tam na niego czekali Ale on łże, łże jak pies, panie komisarzu! To on sam ukradł te kamuszki!

Zawieja był innego zdania, jednak niczego nie powiedział wdowie po Czarnej Rączce, tylko zaczął pospiesznie zgarniać papiery z biurka do szuflady.

– Jedziemy do Otwocka! – powiedział wreszcie zamykając szufladę na klucz.

– Za moją krzywdę! – powiedziała zawziętym głosem kobieta i kapitan domyślił się, że w ten sposób uspokaja swoje sumienie, że po raz pierwszy w życiu zadaje się z m ę t o w n i ą nie jako przeciwnik, lecz jako sojusznik.

2.

Przeglądając portfel inżyniera Henryka Zgorzelskiego sierżant Niedzielski znalazł w nim niedużą książeczkę oprawną w brązowy dermatoid ze złotym, tłoczonym napisem „Paszport służbowy”. We wnętrzu paszportu znajdował się bilet lotniczy do Sztokholmu. Stempel „Orbisu” nosił datę dnia jutrzejszego.

– Pan się wybierał jutro za granicę? – spytał zdziwiony własnym odkryciem.

Elegancki pan w średnim wieku poczerwieniał aż po korzonki szpakowatych włosów:

– Panowie za to wszystko odpowiedzą! Nasza firma poniesie milionowe straty, jeśli mój wyjazd się opóźni z powodu tej niesłychanej rewizji. Jeszcze raz ż ą d a m zezwolenia na telefoniczne porozumienie się z ministrem!

Sierżant Niedzielski nie przeraził się; jednak słowa „minister” i spokojnie kontynuował poszukiwania. Cho-
raży Barski stał jak kolumna przy krześle dyrektora
Zgorzelskiego i nie spuszczał zeń oczu.

Jak dotąd wynik rewizji był negatywny. Nie znaleźli
niczego, co mogłoby mieć związek z przestępstwem.
Kartkę po kartce przewertowali niezbyt bogaty księgo-
zbiór inżyniera, przejrzeni całą bieliznę, przetrząsnęli
wszystkie kąty czteroizbowego luksusowo umeblowa-
nego mieszkania. W miarę jak rewizja się przedłużała, a
wyników nie było, inżynier Zgorzelski stawał się coraz
pewniejszy siebie i coraz bardziej napastliwy. Straszyl
ministrami, odgrażał się, że „ktoś za ten skandal drogo
zapłaci”.

– Gdzie pan trzyma swoje walizki? – spytał po-
myśle sierżant magister Niedzielski, w którego sercu
powoli zaczął się budzić niepokój z powodu płonności
dotychczasowych poszukiwań.

– W przedpokoju, na pawlaczu – wycedził inżynier.

Już na pierwszy rzut oka sierżant Niedzielski prze-
konał się, że wśród kilku skórzanych i plastikowych
walizek różnego koloru i formatu, małego nesesera z
zółtej skóry nie było. Zaczął jednak zdejmować walizki
z „pawlacza” i ze zdziwieniem stwierdził, że są ciężkie,
jak by były wypakowane.

– Walizki są spakowane? – zapytał przez ramię

dyrektora, który razem z Barskim przeszli za nim do przedpokoju.

– Przecież jutro mam wyjeżdżać za granicę – odpowiedział lodowatym tonem dyrektor Zgorzelski i uważnie patrzył jak sierżant zdejmuje dużą walizę ze świńskiej skóry pokrytą licznymi nalepkami zagranicznych hoteli.

* * *

– Czy możecie określić markę tego samochodu?

Gruby Kazek, którego tusza w pełni uzasadniała ten przydomek, zastanowił się:

– Coś w rodzaju Simki Aronde, ale nie Simca. Jakaś mało znana marka. Zresztą, panie inspektorze, czy ja wtedy miałem głowę do samochodów?

Zawieja podsunął mu zdjęcie samochodu Zgorzelskiego: Taki? Podobnie jak przed kilku dniami żona Czarnej Rączki tak też i Gruby Kazek nie miał wątpliwości:

– Tak, to był taki samochód.

– Numeru nie pamiętacie?

Gruby Kazek ruszył tylko bezradnie ramionami. Kapitan zastanowił się: Więc jednak samochód Mirosława Zgorzelskiego! No, ale różny krój bieżnika opon i zeznania dozorcy zaprzeczały tej wersji. Jest tu jakaś zagadka, której wciąż nie umiał ugryźć.

Spojrzał przypadkowo przez okno wychodzące na zosę i dojrzał zbliżający się samochód o barwie perłowszarej, identycznej do tej, jaką miał wóz jubilera. Pod wpływem nagiego impulsu kazał obojgu podejść do okna :

– Tamten samochód był takiego samego koloru jak ten?

– Nie, był bardziej błękitny – pierwsza powiedziała wdowa po Czarnej Rączce.

– Ma recht – potwierdził Gruby Kazek – był niebiesiejszy. Też szary tylko niebiesiejszy.

Zawieja spojrzał na oboje niedowierzająco, ale zarówno paser jak i poszkodowana mieli wyraz twarzy świadczący o pewności tego, co mówią.

– Co do cholery?! – wściekł się w duchu Zawieja. – Jeszcze jeden samochód w sprawie „Vesty”? Ależ to nie przemytnicy, ale istna komunikacja miejska!

Zaczął szczegółowo wypytywać Grubego Kazka o rysopisy przybyszów, szczególnie o tego, który legitymował się milicyjną „blachą”, ale były one tak ogólne, że na ich podstawie nie sposób było wszcząć jakichkolwiek poszukiwań. Wreszcie spytał, dokąd odjechali po odebraniu b i t u.

– W stronę Warszawy – brzmiała kategoryczna odpowiedź Grubego Kazka – patrzyłem za nimi, dopóki mi nie znikli z oczu, bo bałem się, że jeszcze wrócą i zaczną mi chatę przewracać do góry nogami.

– Ile warte było „to”, co wam wręczył Czarna Rączka?

Gruby Kazek rzucił z ukosa spojrzenie na wdowę i powściągliwie odpowiedział:

– To zależy, jak by się ten blit udało ożenić, panie komisarzu... Jak u mnie, to ze sto patyków – murowane, w „Jubilerze” to ze trzy razy tyle. Tylko że nikt by z tym brochem do „Jubilera” nie poszedł, sam pan komisarz rozumie...

– Poznalibyście kamyki, gdyby je wam pokazano jeszcze raz? – spytał podsuwając paserowi protokół przesłuchania do podpisu.

– Jeszcze by – z przechwałką w głosie odpowiedział Gruby Kazek – po ciemku, samym macaniem bym poznał! To był naprawdę piękny blit, panie komisarzu.

Wdowa po Czarnej Rączce ciężko westchnęła.

* * *

Sierżant magister Niedzielski spojrział na wypróżnioną z bielizny i garniturów walizę i zawahał się: – Zaryzykować odprucie podszewki dna, czy nie?

Wszystkie dotychczasowe poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Jeśli Zawieja omylił się, jeśli inżynier jest niewinny – to strach pomyśleć jaka burza

spadnie na ich głowy z rąk tego dygnitarza. Żeby odłożyć decyzję co do zniszczenia walizki, postanowił przedtem wykonać inną czynność, która przysłała mu do głowy w trakcie bezskutecznych poszukiwań w mieszkaniu.

– Proszę chwilę pozostać w tym pokoju, ja zaraz wrócę – zwrócił się do Zgorzelskiego. Chorąży Barski zaprotestował: – Pan inżynier powinien być świadkiem wszystkich naszych poczynań podejmowanych w jego mieszkaniu.

– Ale ja nie chcę robić rewizji, tylko...

– Wszystko jedno – przeciął Barski. Niedzielskiemu krew uderzyła do głowy, ale hamując się powiedział: – W takim razie proszę ze mną do kuchni...

Anastazja Tyrc mimo odbywającej się w domu rewizji była posłuszna swemu obowiązkowi i skrobała w kuchni ziemniaki. Siedzący obok milicjant prowadził z nią leniwą rozmowę, którą na widok oficerów przerwał i zerwał się z krzesła. Służąca otarła ręce o fartuch także wstała z krzesła.

– My tylko na chwileczkę do pani – uśmiechnął się do niej życzliwie Niedzielski.

– Proszę – odpowiedziała z niepokojem spoglądając na swego chlebodawcę, który stał pochmurny między obu młodymi mężczyznami.

– Kto dokonuje wszelkich zakupów gospodarczych?

– Ja. Pan inżynier jest wdowcem, więc nie ma komu tym się zajmować.

– Ile pan inżynier daje pani pieniędzy miesięcznie na utrzymanie domu?

– Pięć tysięcy.

Niedzielski z podziwem pokręcił głową. Musiał to dostrzec dyrektor Zgorzelski, bo po raz pierwszy pogardliwie uśmiechnął się.

– Czy otrzymuje pani pieniądze codziennie, czy od razu na dłuższy czas, na przykład na miesiąc?

– Najczęściej na miesiąc z góry, a potem wyliczam się codziennie przed panem inżynierem.

– Więc pani prowadzi jakieś notatki gospodarcze?

Anastazja Tyrkowa zakrzętała się po kuchni, poszukała czegoś między statkami stojącymi na kuchennym stole i podała Niedzielskiemu mały notes w poplamionej okładce.

– W tej książeczce wszystko zapisuję – wyjaśniła.

Sierżant magister zaczął przeglądać notes, szukając zapisków z ostatnich dni.

– Aha, to znaczy, że przedwczoraj pani dostała od pana inżyniera pięć tysięcy na następny miesiąc – powiedział dostrzegłszy odpowiednią notatkę zrobioną chemicznym ołówkiem – a wydała pani przez dzień wczorajszy dwieście trzydzieści dwa złote. Czyli ma pani jeszcze cztery tysiące siedemset sześćdziesiąt osiem złotych.

– Trochę mniej – sprostowała spokojnie Anastazja Tyrkowa – dzisiaj rano zapłaciłam za mleko, za gaz i za elektryczność, tylko jeszcze nie porobiłam notatek; robię je zawsze wieczorem po skończonych zakupach całego dnia...

– Proszę nam pokazać te pieniądze! – rozkazał Niedzielski.

Dyrektor Zgorzelski, który dotąd stał nieporuszony jak kamienny posąg nagle szarpnął się: – Anastazjo! – powiedział głosem, w którym wyraźny strach splótł się z niejasną pogroźką. Barski przytrzymał go jednak za ramię, zaś Niedzielski dodając kobiecie odwagi zachęcającym wzrokiem powtórzył swój poprzedni rozkaz.

– Jeśli panowie tak każą? – powiedziała służąca patrząc na swego pana usprawiedliwiającym się spojrzeniem i wyjąwszy z szafki puszkę po wedlowskich landrynkach wydobyla z niej zwinięte w rulonik banknoty. Wzrok magistra błysnął, gdy dojrzał wśród nich kilka brązowo-kremowych pięćsetzłotowych banknotów. Były szeleszczące, nowiutkie.

Sięgnął w zanadrze i zaczął porównywać ich serie i numery z zanotowanymi na kartce przez kapitana na więcej. Ledwo jednak wziął do ręki pierwszy banknot, za plecami jego rozległ się ciężki łomot – to inżynier Henryk Zgorzelski nieoczekiwanie zastał.

3.

O godzinie szesnastej kapitan wrócił do Pałacu Mostowskich, a w trzy kwadranse później punkt kontrolny w bramie Komendy Miasta przekroczyła zielona, okratowana karetka, którą pod czułą opieką Niedzielskiego i Barskiego przybył inżynier Zgorzelski. Zawieja właśnie wybierał się na obiad do stołówki, kiedy sierżant Niedzielski dotarł do jego gabinetu. Promieniejąca mimo zmęczenia mina lepiej od słów poinformowała kapitana o wyniku rewizji.

– Udało się?! – spytał chwytając go za rękę i natychmiast zapominając o głodzie, który jeszcze przed chwilą dotkliwie odczuwał.

– Udało się – odpowiedział Niedzielski z uszczęśliwioną miną i wyłożył z teczki sześć pięćsetzłotowych banknotów, które jeszcze przed kilku godzinami spoczywały w blaszanej puszcze od landrynek, oraz całą paczkę studolarowych banknotów, wyprutych z podwójnego dna sakwojażu przedsiębiorczego inżyniera.

– Banknoty z serii zanotowanych w PKO, dolary wyprute z walizki, którą pan inżynier miał jutro przewieźć samolotem do Sztokholmu – wyjaśnił zwięźle.

– Ile ich jest? – spytał Zawieja zanurzając ręce w zielonych banknotach z wizerunkami Beniamina Franklina,

– Jak obszył dwadzieścia tysięcy, towarzyszu kapitanie, dwieście banknotów po sto dolarów.

– Kapitan dokonał w myśli szybkiego rachunku: – Zgadza się. Jeśli nawet skupując pośpiesznie płacili po sto dwadzieścia złotych za dolara (choć ostatnio jego kurs na „czarnej giełdzie” spadł poniżej stu złotych) to akurat kosztowały ich około ćwierć miliona złotych. Tylko jak, do cholery, pracuje nasza „dewizówka”, jeśli można w ciągu paru dni skupić taką ilość dolarów nie zwracając uwagi MO?! – wybuchnął wyładowując w tym okrzyku nie tyle złość na niedostateczną czujność wydziału dewizowego, ile może nawet przede wszystkim radość z obfitości dzisiejszego połowu.

– No, mały, muszę znów powiedzieć, że zachowałeś się na rewizji – NWM! – zwrócił się do sierżanta magistra, który pokraśniał z zadowolenia jak piwonია. – Żebyś jednak nie myślał, że ja przez ten czas próżnowałem, opowiem ci, co wyjaśniło się w międzyczasie w sprawie zabójstwa Czarnej Rączki.

– Ależ to istny „dzień sensacji”! – powiedział Niedzielski, kiedy kapitan skończył swoje krótkie sprawozdanie.

– Tak jest w każdej bardziej skomplikowanej sprawie – uśmiechnął się do niego Zawieja. – Długo, długo nic, a potem jednak takiego dnia, jak dzisiejszy, wszystko zaczyna się pruć jak zleżałe prześcieradło. Wchodzimy już na ostatnie okrążenie, mój mały. Teraz trzeba

się trzymać ostro, bo wypadki będą się sypać jak lawina.

– A co z Weroniką Kawką? – spytał pozornie bez związku Niedzielski.

– Co ma być? – zdziwił się kapitan. – Siedzi w gościnnym pokoju pod naszym opiekuńczym skrzydłem. Więcej nie powie, niż powiedziała. Albo naprawdę nie wie nic o obecnym miejscu pobytu Teofila, albo z jakichś względów o tej jednej sprawie nie chce niczego zeznawać.

Po chwili jednak twarz Zawiei drgnęła w domyślnym uśmiechu.

– Ach, ty ciągle o tym! Nie przejmuj się, mają teraz dość kłopotów ze zwijaniem interesu i zacieraniem śladów, żeby jeszcze im się chciało organizować zamachy na mnie. Szczególnie teraz, po aresztowaniu inżyniera? Domyśliłeś się chyba, że wyjazd inżyniera Zgorzelskiego był jednym z etapów tego „zamykania interesu”. Otrzymałem wiadomość z hotelu Excelsior, że również nasz przemiły austriacki dziennikarz odczuł nagle presyt Polską i wymeldował się, zapowiadając oficjalnie swój wyjazd do ojczyzny. Major Rydel podczas mojej nieobecności doniósł telefonicznie, że dziś rano otrzymał paszport zagraniczny także i pan Mirosław Zgorzelski, który nagle, wyobraź sobie, zapalał chęcią zwiedzenia Wystawy Światowej w Brukseli.

– Jak to? – oburzył się Niedzielski. – I MSW nie przeszkodziło mu w otrzymaniu paszportu?

– Po co? – odpowiedział pytaniem na pytanie Zawieja. – Dzięki wpływom swojego braciszka, jubiler z Nowego Świata otrzymał nawet paszport poza kolejnością zgłoszeń. On ma paszport i nadzieję na szybki wyjazd – my mamy jeszcze jeden dowód więcej. Możesz być pewny, że wszystkie punkty graniczne otrzymały już od Rydla właściwe pouczenie, jak mają spotkać na granicy właściciela samochodu H-24-200. Bo zacny jubiler wybiera się za granicę samochodem. Nie brak więc dowodów na to, że pasażerom zaczyna się robić w Polsce duszno. Chociaż – zawahał się – nie bardzo wiem, co właściwie wywołało wśród nich taki popłoch? Gdyby to się stało jutro, po tym jak otrzymają wiadomość o aresztowaniu inżyniera Zgorzelskiego, to bym się wcale nie dziwił Ale teraz?

Zawieja zachmurzył się – nie lubił kiedy w „jego” sprawie były jakieś fakty, lub zdarzenia, których nie rozumiał, lub co do których nie mógł sobie chociażby stworzyć jakiejś logicznej hipotezy.

– Może ich zaalarmowała wiadomość o zatrzymaniu Weroniki Kawki? Albo przesłuchiwanie wdowy po Czarnej Rączce?

– Może – odparł bez przekonania Zawieja.

Zaległa chwila ciszy, w którą przez otwarte okno wdzierały się odgłosy życia kipiącego na Marszałkowskiej.

Pierwszy przerwał milczenie Niedzielski:

– A ten milicjant – zaczął niepewnie i urwał widząc zniecierpliwiony grymas Zawiei.

– Bzdura, nie było żadnego milicjanta. Sprawdzałem już w Otwocku i telefonicznie w Wydziale Gospodarczym. Nikt oczywiście nie „realizował” Czarnej Rączki i nikt nie odbierał Grubemu Kazkowi kamieni. Po prostu nastraszyli pasera pierwszą lepszą legitymacją, choćby LPŻ, żeby nie robił rabanu przy rabunku klejnotów. Zwróć uwagę na to, że ten rzekomy milicjant był w cywilnym ubraniu. To, że z przerażenia nie zapamiętał dokładniej ich rysopisów, to byłbym skłonny darować Grubemu Kazkowi, ale że bestia przegapił zanotować numer samochodu! I do tego jeszcze ta plątanina z kolorami! – uderzył się dłonią po kolanie – „Bardziej niebieski”, „niebieściejszy” – przedrzeźniał z rozdrażnieniem. – Jak by się zmówili, żeby jeszcze bardziej popłatać, to co już bez nich jest dostatecznie zamotane! Coś ty – zwariował?

Ten ostatni okrzyk skierowany był do sierżanta, który niepomyślnie swego naukowego stopnia i szacunku należnego zwierzchnikowi, wydał okrzyk przypominający triumfalne wycie Apaczów, po czym zerwawszy się z miejsca porwał kapitana za ramiona i kilkakrotnie obrócił dokoła osi.

– NWM! – zawołał sierżant magister klaszcząc w

ręce. – Teraz dopiero będzie naprawdę N W M! Och, towarzyszu kapitanie, jaki ja byłem wariat!

– Na to można się zgodzić, tylko dlaczego mówisz w czasie przeszłym? – mruknął kapitan rozcierając przedramię.

– Przecież jak wtedy latałem po stacjach obsługi, to mi mówili, że brat pana Mirosława Zgorzelskiego ma też samochód i tej samej marki. Tylko, że ja zasugerowany...

– Jakiego koloru? – przerwał mu Zawieja w Lot oceniwszy, jakie perspektywy otwiera przed śledztwem informacja Niedzielskiego.

– Błękitny. Szarobłękitny. Sam go dzisiaj dotykałem, gdy robiliśmy rewizję w garażu. Tylko – dodał z poczuciem winy – nie pomyślałem o tym, żeby zwrócić uwagę na krój jego opon. Ale to się da nadrobić!

Zmęczenie, głód – wszystko definitywnie zeszło na drugi plan. Zawieja był teraz całkowicie pochłonięty nowym tropem, skoncentrowany na jednym tylko zagadnieniu zdawał się nie pamiętać o obecności Niedzielskiego, który nawet poczuł się lekko dotknięty, że kapitan tak mało uwagi poświęcił jemu, który bądź co bądź dokonał tego ważnego odkrycia. Kapitan telefonował. „Operacyjny? Słuchaj stary, musicie zaraz wziąć próbki z opon samochodu Henryka Zgorzelskiego zagażowanego w domu przy ulicy Wierzbowej nr...”. Komisiar, musiał wyczuć w głosie kapitana jakiś ton

szczególnie poważny, bo tym razem nawet nie próbował oponować. „Oczywiście, zrewidować cały wóz. Właściciel jest u nas, w areszcie”.

Następny telefon był do Biura Importu Urządzeń Precyzyjnych. Choć było już po godzinach urzędowania, naczelnik Kowalski, na szczęście był jeszcze w biurze. Z rozmowy, której tylko część dochodziła do jego wiadomości, Niedzielski dowiedział się, że kapitan prosi naczelnika Kowalskiego o ustalenie, co robił wicedyrektor Zgorzelski dnia takiego, to a takiego w biurze, w godzinach między dziewiątą a dwunastą.

– Ależ oczywiście, panie naczelniku, że pan tego nie może pamiętać i musi pan to dopiero odtworzyć. Może jakieś zapiski w kalendarzu pana, lub pana Zgorzelskiego, byłyby tu pomocne, to samo dotyczy jego sekretarki... Tak, tak proszę do mnie dzwonić, będę jeszcze godzinę w Komendzie. Do widzenia.

Dopiero po tych dwóch telefonach kapitan zwrócił się do sierżanta magistra.

– Miałeś jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

Niedzielski nie odpowiedział na zapytanie, tylko zapytał z kolei co ma zrobić. Kapitan podszedł do sierżanta i poklepał go po ramieniu:

– Jesteś morowiec. Zajmij się sprawdzeniem alibi samochodu inżyniera. Tego, niestety, nie można odkładać do jutra.

Sierżant bez słowa zaczął zapinać pas z ciężkim futerałem pistoletu. Psiakrew, nawet nie będzie czasu uprzedzić Iwony o tym, że spotkanie w „Niespodziance” nie dojdzie do skutku!

4.

– Wiesz co, przejdźmy się nad Wisłę – zaproponował profesor Werhar. Profesor ubił Wybrzeże Kościuszkowskie w tej porze roku, kiedy jeszcze nie opadł smutek pustki i listopadowych szarug, a już w przeredzonych konarach drzew, w pożółkłych klombach i trawnikach czai się, nikła jak przecucie, melancholia gasnącego lata. Kapitan chętnie się zgodził i już po kwadransie obaj przyjaciele z wiernym Torem u nogi przechadzali się asfaltową promenadą pod mostem kolejowym. Za nimi w odległości dziesięciu metrów posuwał się jak cień Jurek Piskorz, który nie chciał przeszkadzać obu panom w rozmowie, ale też zgodnie z umową zawartą z sierżantem Niedzielskim ani nawet na moment nie pozostawiał kapitana bez opieki. Nad Wisłą było pusto, odludnie. Pod mostem szybko gęstniał niebieskawy mrok.

– Powiedz mi, mój kochany – wrócił Werhar do przerwanej rozmowy – dlaczego właściwie jeszcze nie aresztujesz Zgorzelskiego, Homolacsa i Kawki i nie poprowadzisz dalszego dochodzenia klasyczną metodą

przesłuchań, konfrontacji itd.? Sądzą, że sprawa już dojrzała do tego.

– I tak i nie – odpowiedział kapitan, któremu podobne myśli nie były obce – Widzisz, w moim fachu bardzo ważną rzeczą jest dobrać odpowiedni moment, w którym przystępuje się do aresztowania podejrzanych. Źle jest, jeśli robi się to zbyt wcześnie – bo utracą się w ten sposób możliwości zdobycia dodatkowych dowodów, których dostarczają sami przestępcy przebywając na wolności. Ale niedobrze jest także, jeśli aresztowanie następuje zbyt późno, bo wtedy istnieje niebezpieczeństwo pozacierania śladów, usunięcia dowodów, lub wręcz ucieczki poszczególnych podejrzanych.

– A ty jak oceniasz pod tym względem „Vestę”? – spytał Werhar, obserwując z boku twarz kapitana, na której malowało się wyraźne znużenie.

– Dwie minuty przed dwunastą – odpowiedział kapitan obrazowo – ale jeszcze nie dwunasta.

– Czyli, że wypadki wchodzi w końcową fazę – ożywił się profesor – podziwiam twoje opanowanie i spokój w tej sytuacji.

– Kogo natura przeznaczyła na niebezpieczeństwa, temu też dała odwagę do pokonywania ich – odpowiedział poważnie Zawieja – taki jest już mój zawód, który sam sobie wybrałem i w którym jedynie mogę być szczęśliwy. Ale mówmy jeszcze o przyczynach, dla

których zwlekam z aresztowaniem podejrzanych.

– Pierwsza, to na pewno brak Teofila? – spróbował się domyślić Werhar.

Ale kapitan roześmiał się i klepiąc po ramieniu profesora powiedział:

– Pudło, panie profesorze! Teofil nie jest już dla nas problemem. Na razie nie wiem tylko, gdzie się znajduje. Mam nadzieję, że za kilka dni będę mógł ci o nim dużo opowiedzieć, ale dziś jeszcze wybacz...

– Rozumiem, rozumiem – przerwał mu profesor – sprawa jest jeszcze w toku...

– Właśnie. Więc nie Teofil, tylko ktoś, kogo zupełnie nie znam – jest dla mnie problemem numer jeden.

– Ktoś, kogo zupełnie nie znasz? – zdziwił się szczerze Werhar.

– Tak, ktoś, kto odgrywa ważną rolę w bandzie, ktoś, kto być może jest jej szefem, naczelnikiem. Zresztą nazwa tutaj nie jest istotna. Widzisz, początkowo uważałem za takiego szefa tego zegarmistrza z Nowego Świata, Mirosława Zgorzelskiego. Ale zwrócił mi uwagę mój „asystent”, Niedzielski (wiesz, to ten młody z tytułem magistra), że Zgorzelski jak na szefa jest zbyt bezpośrednio zaangażowany w całą robotę wykonawczą. Podejrzewałem wówczas jego brata, inżyniera, przeciwko któremu nie mieliśmy żadnych poszlak, a który będąc wicedyrektorem biura, w którym pracował

Rehm, mógł z powodzeniem spełniać taką kierowniczą funkcję. Dzisiaj go aresztowaliśmy. Sądzę jednak, że „szef” nie podejmowałby pieniędzy z konta Rehma, nie używałby swego samochodu zabójcom Czarnej Rączki. Słowem intuicyjnie czuję, że to jeszcze nie jest szef, tylko osoba blisko niego stojąca. Niepokoi mnie to, że istnieje ktoś jeszcze, kogo nie znam, kto nie wszedł jeszcze w krąg mojego śledztwa, a jednak odgrywa w nim rolę zasadniczą, choć bardzo dyskretną...

Werhar aż przystanął z wrażenia i głaszcząc bródkę przez dłuższą chwilę milcząco rozważał słowa kapitana:

- To jest niemożliwe – powiedział wreszcie.
- Co jest niemożliwe?

– Jest rzeczą niemożliwą, aby ten człowiek był ci całkowicie nieznany, żeby w ogóle, jak powiadasz „nie wszedł w krąg twojego śledztwa”, żeby udało mu się dotąd utrzymać z dala od całej sprawy.

– Co masz na myśli? Wypowiedz się dokładnie, profesorze – z zaciekawieniem słuchał kapitan jak zwykle nieoczekiwanych, ale zawsze godnych uwagi spostrzeżeń profesora.

– Słuchaj, to ma być przecież szef z prawdziwego zdarzenia, a nie kukła, prawda? W takim razie ten szef coś robi, nadaje kierunek działania swoim podwładnym, jego funkcje muszą być zazębione z funkcjami pozostałych, jego czyny muszą w jakimś miejscu wiązać się

z czynami reszty, wreszcie muszą istnieć fizyczne kontakty jego z podejrzanymi. I znając ciebie, wiedząc jak dokładnie ustalasz i badasz przebieg każdego działania, każdego poszczególnego czynu bandy, nie wierzę w to, aby nawet najlepiej zamaskowany i usunięty w cień szef ani razu nie znalazł się w kręgu twojego dochodzenia. Oczywiście, że, jak słusznie zauważył twój nad wiek mądry Niedzielski (Zawieja uśmiechnął się – NWM!), ten szef unika niepotrzebnego angażowania się osobistego, nie miesza się niepotrzebnie w szczegóły afery, nie podejmuje zadań drugorzędnych i nieistotnych. Ale na Zeusa, były tutaj sprawy niebagatelne! Śmierć dwóch osób, decyzja o zabiciu Czarnej Rączki, przemyt milionowy zegarków, przemyt srebra, drogich kamieni! Jest rzeczą niemożliwą, aby te wszystkie sprawy odbyły się bez jego bezpośredniej decyzji, choć mogły się odbyć bez jego fizycznego udziału. Choćby dzielenie łupów z nielegalnego handlu wymagało jego udziału, a przecież trudno uwierzyć, żeby jakakolwiek banda uznawała szefa, który tylko bierze udział w podziale łupu, nic w zamian nie dając jej od siebie.

– Ja się z tym zgadzam, panie profesorze – odpowiedział kapitan – tylko, że nie mam ani jednej osoby „z rozpracowanych” członków bandy, którzy by pasowali do podanej przez ciebie charakterystyki. I dlatego boję się ich aresztować, żeby nie było tak jak z tasiemcem

– urwiesz całego tasiemca, a zostawisz przyssaną główkę w ciele, i oto już po pewnym czasie cały pasożyt odrośnie na nowo!

Werhar pokręcił krnąbrnie głową:

– Jest ta może różnica, że człony tasiemca nic nie potrafią powiedzieć o swojej „główce”, a członkowie bandy wiedzą na pewno dużo o swoim szefie.

– Jest jeszcze kilka powodów, dla których nie aresztuję tych ludzi, staruszk – odpowiedział śmiejąc się ze zgryźliwej odpowiedzi Zawieja. – Powód natury taktycznej. Otóż wśród podejrzanych jest cudzoziemiec Homolacs, obywatel austriacki. Jego aresztowanie tylko na podstawie poszlak może wywołać skandal międzynarodowy. Facet występuje jako dziennikarz. Powiesz mi, że wozi w kole zapasowym 70 kg srebra? Dobrze, ale nie złapałem go na gorącym uczynku usiłowania przemycenia tego ładunku za granicę, nie ma zaś przepisu prawnego zabraniającego komukolwiek wozić nawet i tonę srebra w granicach państwa. Oczywiście, musiałby się tłumaczyć skąd i po co ma to srebro, ale przyznasz, że to nie to samo, co „nakryć” go z tym ładunkiem na granicznym punkcie kontrolnym.

– Czyli czekasz aż Homolacs zdecyduje się wyjechać z kraju?

– Oczywiście. I chyba nie będę czekał zbyt długo, bo już dzisiaj rano wyjechał do Krakowa likwidując wszystkie rachunki w hotelu Excelsior!

– Druga przyczyna? – spytał Werhar, który umiał uważnie słuchać.

– Druga przyczyna nosi imię Jana Kawki – powiedział kapitan ze złością – w niepojęty sposób został uprzedzony o mającej się u niego odbyć rewizji i potrafił pousuwać wszystkie ślady, choć sam się w tym czasie znajdował nie w Krakowie, a na Wybrzeżu. Nie mam właściwie żadnych dowodów przeciwko niemu, oprócz kontaktów z Homolacsem w Krakowie. Ale komu można zakazać kontaktów z zagranicznym dziennikarzem? Dopiero teraz, mam nadzieję, że pilnie nadzorowana wizyta Homolacsa w Krakowie da także i w sprawie pana Kawki namacalne dowody.

– Czekaj, czekaj – przerwał mu Werhar, marszcząc w namyśle brwi, podobne do kępek mchu – to bardzo ciekawe... Wydaje mi się, że ręki szefa trzeba szukać w takich właśnie subtelnych, niezrozumiałych, a bardzo doniosłych posunięciach przeciwnika. Nie znajdziesz go wśród trybów samej maszyny przestępczej, znajdziesz go za to, jeśli poszukasz maszyny poruszającej te tryby. Kto wie, czy osoba szefa nie wyjdzie na jaw właśnie wtedy, kiedy wyjaśnisz te liczne „drobiazgi”, których nie rozumiesz. I jeszcze raz twierdzę, że musiałeś się z szefem już spotkać, przynajmniej słyszeć o nim, a może nawet już z nim rozmawiałeś na przykład w charakterze świadka... Ale słuchaj, gdzie się podział mój Tor?

Stali właśnie pod stalowym łukiem mostu średnicowego, po którym z hukiem przetaczał się elektryczny pociąg kolei podmiejskiej. Pod samym mostem było już zupełnie ciemno. Ciemność ta była tym kompletniejsza, że kontrastowała z migającymi światłami pociągu.

– Muszę go poszukać, żeby nie wybiegł gdzieś na jezdnię i nie wpadł pod samochód – powiedział profesor zaniepokojony zniknięciem ulubieńca i ze zrećznością, o którą trudno go było posądzić w tym wieku, zaczął się wdrapywać na trawiastą skarpę bulwaru wołając: Tor, Tor! Chodź tutaj! Do nogi!

Zawieja zaczął wypatrywać psa w najbliższej okolicy mostu. On także wołał i gwizdał, ale jego wołanie zagłuszane było hukiem drugiego z kolei pociągu biegnącego tym razem od strony Pragi. Dopiero, gdy pociąg minął most i potoczył się w stronę tunelu, zaległa cisza, w której kapitan usłyszał ciche warczenie.

– Tor, chodź tutaj! – krzyknął Zawieja, ale odpowiedziało mu ponowne warczenie. Zdziwiony kapitan udał się w stronę, z której dobiegał go głos Tora. Zobaczył go pod sztachetami płotu, ogradzającego filar mostu, jak z najeżoną sierścią, i jedną nogą uniesioną w powietrzu, z naprężonym ogonem stał dotykając niemal sztachet pyskiem i nie przestawał warczeć.

– Tor, co ty tutaj takiego odkryłeś? – zniecierpliwiał się kapitan i podszedł do samego płotu.

Przez szpary w sztachetach, na jaśniejszym tle kamiennego filaru Zawieja dostrzegł ciemną plamę ludzkiej postaci.

– Nie, to chyba przywidzenie! – pomyślał kapitan i zbliżył się jeszcze bardziej, aby zajrzeć za płot przez szparę w sztachetach. I wtedy rozległ się cichutki stuk, tak jak by pękła łupina orzecha, jak by ktoś uderzył małym młoteczkiem w miniaturowe kowadełko. Ale kapitan Zawieja natychmiast poznał w tym cichutkim szczęk odgłos iglicy spadającej na spłonkę naboju.

– Niewypał! – buchnęła w nim nagła jak błyskawica i równie oślepiająca myśl i zanim myśl ta zdążyła przybrać pełną słowną formę, kapitan Zawieja już się toczył po ziemi, odruchowo starając się jak najdalej odsunąć od zamachowca. Usłyszał charakterystyczny szczęk ponownie repetowanego pistoletu i po sekundzie: Ping, ping, ping! – trzy suche strzały rozległy się w najbliższej odległości. Za trzecim, którego błysk zdążył dojrzeć kątem oka, smagnęło go coś po przedramieniu. Za płotem rozległ się łomot nóg uciekającego człowieka. Kapitan właśnie zamierzał poderwać się z ziemi, kiedy tuż nad głową huknęło ponownie jak z armaty: tym razem był to pistolet Jurka Piskorza, który przekonawszy się, że kapitan żyje, puścił się w pościg za napastnikiem.

– W nogi, Jurek, w nogi strzelaj! – zdążył jeszcze krzyknąć kapitan, a ten już sadził jak zając po zielonym trawniku, nie przestając strzelać za bandytą. Lecz choć nie żałował nóg, choć prawdopodobnie ustanowił wówczas życiowy rekord w biegu na krótkim dystansie, Jurek Piskorz prawdopodobnie nie doścignąłby zamachowca, który miał nad nim przewagę kilkudziesięciu metrów, na trafienie zaś w biegu z pistoletu trudno było liczyć. I wtedy wieczną chwałę i wieczne miejsce w aktach „Vesty” pozyskał stary, wysłużony Tor profesora Werhara. Przypomniawszy sobie dawne czasy spędzone w szkole milicyjnej, dognał napastnika już w okolicy portu rzecznoego i wspaniałym susem skoczył mu do ręki, trzymającej ciągle pistolet. Kapitan usłyszał krzyk przerażenia i wtórujący mu triumfalny okrzyk Jurka Piskorza.

– Puść go, Tor! – rozkazał Jurek, po czym podniósłszy z ziemi upuszczony pistolet, kopnął nie regulaminowo, ale od serca, obalonego przez Tora opryszka:

– Wstawaj, ty, w mordę pluty!

Od strony wiaduktu biegli już kapitan Zawieja, profesor Werhar i jeszcze ktoś trzeci, widocznie jakiś przechodzień zwabiony hukiem strzałów.

– Jest, panie naczelniku! – zameldował Jurek – Tor go złapał!

Napastnik, młody człowiek, o dość plugawej powierzchowności patrzył spode łba na człowieka, do

którego przed chwilą strzelał z zasadki. Oczy miał pełne złości i strachu. Zawieja jeszcze drżący z podniecenia obejrzał go uważnie, niemal z ciekawością, tak jak się ogląda okaz niebezpiecznego, dzikiego zwierzęcia.

– No cóż, miałeś pecha, oprychu? Gdyby nie to, że pierwszy nabój nie wypalił, udałoby ci się ze mną! Kto ci kazał mnie zastrzelić? – natarł nagle ostro na opryszka. Ten opuścił oczy i milczał.

– Dobrze, nie chcesz gadać tutaj, będziesz gadał w Komendzie. Jurek, podaj mi jego pistolet!

Przy blasku latarni portu rzeczny kapitan przyjrzał się broni i ironiczny uśmiech pojawił się na jego wciąż jeszcze pobladłej twarzy:

– Popatrz tutaj – powiedział, pokazując pistolet Werharowi. Psycholog nałożył okulary i przyjrzał się wskazanemu przez kapitana miejscu. Widniał na nim wygrawerowany napis „Vesta” prod. Hijos de E. Echeverría cal 7,65.

– Na Boga – szepnął z przerażeniem profesor – znów ta „Vesta”.

– Przepraszam – wtrącił się nieoczekiwanie cywil, który przybiegł za kapitanem i dotąd stał w pewnej odległości od ich grupy – może mógłbym w czym towarzyszyć pomóc?

I nie czekając na pytanie wy dobył legitymację służbową:

– Porucznik Łącki z MSW. Przybiegłem tutaj zaalarmowany strzałami. Właśnie przechadzałem się po bulwarze...

– Samo niebo was tu zesłało – ucieszył się kapitan, ale na wszelki wypadek sprawdził legitymację porucznika. – Widzicie, trzeba natychmiast ściągnąć nasz wóz, który stoi na Solcu przed mieszkaniem profesora, a nas dwóch powinno zostać, jako eskorta przy tym gagatku.

– Do widzenia, profesorze! – wyciągnął rękę do Werhara – przykro mi, że nasz spacer tak nieprzyjemnie się zakończył. A Torowi spraw dzisiaj sowitą kolację, zasłużył na to!

Profesor uściśnął rękę kapitana, ale zaraz ją puścił, wołając z przerażeniem:

– Panowie, przecież on jest ranny! Ma rękę lepką od krwi!

Zdjęli szybko marynarkę kapitana i rozerwali rękaw zbroczonej krwią koszuli. Na szczęście było to tylko powierzchowne draśnięcie prawego przedramienia i wystarczył prowizoryczny opatrunek z chusteczki do nosa, aby zatamować upływ krwi.

– Dodatkowe dwa lata lecą – warknął Jurek do bandyty wkręcając mu cichaczem lufę pistoletu w okolicę krzyża. Ale opryszek opuścił głowę jeszcze niżej i nie powiedział ani słowa.

5.

Jest już grubo po północy. W gabinecie Zawieja wciąż pali się światło. Wcale nie poszedł do domu i nie ma szans, aby dzisiejszej nocy zmrużył oczy choć na chwilę. Za biurkiem siedzi Władysław Stonka – człowiek, który strzelał do niego pod mostem kolejowym.

– Kto ci kazał mnie zabić? – powtórzył ponownie swoje pytanie Zawieja.

– Nikt mi nie kazał, jak Boga kocham, panie komisarzu! Było tak, jak mówię, wyszeptałem się przed pierwszym z forsy, byłem potrzebowski – myślę, nastraszę jakiegoś frajera nad Wisłą i zabiorę mu portfel. Akurat musiał być taki niefart, że na pana komisarza natrafiłem!

– Skąd miałeś pistolet „Vesta”?

– Znalazłem, panie komisarzu, jak Boga kocham, znalazłem. Idę kiedyś nad Wisłą, patrzę, leży paczka, taka fajnie związana sznurkiem...

– Dość! – przerwał Zawieja. – Tę bajkę opowiadałeś już pięć razy.

– To nie bajka, panie komisarzu, to najprawdziwsza prawda! – obruszył się niedoszły zabójca.

Kapitanowi wydało się, że w jego latających oczkach zalsniły iskierki ironii.

– A ten nóż sprężynowy też znalazłeś nad Wisłą?

– spytał kapitan pokazując leżący na stole, a znaleziony przy napastniku przedmiot.

– Nie, noża nie znalazłem. Mam go już dawno. Trzeba przecież na robocie chleb ukroić, jakiś sznurek przeciąć...

– No, tego sznurka, na którym zadyndasz, na pewno nim nie przetniesz.

– Ja? Zadyndam? Ale za co, panie komisarzu?

Był bezczelny, arogancki i pewny siebie. To najbardziej zastanawiało kapitana – co się kryje za tą pewnością siebie? Na co liczyć może człowiek, którego złapano na gorącym uczynku napaści z bronią w ręku i usiłowania zabójstwa.

– Jana Kawkę, kupca z Krakowa, znasz?

– Panie komisarzu, skąd ja do kupców? Nie znam.

– A Zgorzelskiego z Nowego Świata znasz?

– Nawet nie słyszałem.

Kapitan wyjął z teczki „Vesty” zdjęcia fotograficzne Zgorzelskiego, Kawki i Homolacsa i podał je przestępcy.

– A może któregoś z tych panów znasz?

Stonka obejrzał uważnie zdjęcia. Kapitanowi wydało się, że przy fotografii Jana Kawki ręka jego lekko zadrzęta, ale głos, jakim odpowiedział, brzmiał równo i pewnie:

– Nikogo nie znam. Pierwszy raz widzę. Jak Boga Kocham!

Kapitan wziął do ręki bursztynową cygarniczkę z końcówką okutą srebrem:

– A to skąd masz?

– Kupiłem w jakimś kiosku.

– W jakim?

– A czy ja mogę pamiętać? Czy pan komisarz zawsze pamięta, co kupił w jakim kiosku?

– Ale ta cygarniczka jest nieużywana. Nie paliłeś w niej w ogóle papierosów. Dlaczego?

– Czy też zabronione? – cynicznie skrzywił się Stonka. – Nie paliłem, bo mi w niej nie smakowało. Kupiłem, a potem nie paliłem. Wolno mi.

– Wolno. Wolno ci także zaciskać coraz bardziej pętlę na własnej szyi. A co do cygarniczki, to mogę ci powiedzieć, że nie kupiłeś jej w żadnym kiosku, tylko dostałeś od swojego szefa. I ta cygarniczka jest częścią waszego hasła rozpoznawczego.

Stonka pogładził się po bujnej pleremie:

– Ale pan komisarz umie brać pod włos, no, no!

Jednak kapitan wyczuł, że jego słowa wywarły na bandycie pewne wrażenie. Uśmiech, który był przedtem bezczelny i pewny siebie, obecnie stał się sztuczny. Chłop był jednak twardy i nie załamywał się.

– Ot widzisz – ciągnął Zawieja otwierając swoją szufladę – tutaj mam drugą taką samą cygarniczkę. I wiem na pewno, że ta cygarniczka nie została kupiona w żadnym kiosku.

Stonka zbladł.

– No więc jak? Będiesz teraz mówić, czy nie?

– Nie mam nic do mówienia, oprócz tego, co już powiedziałem – powiedział zachrypłym głosem i zaczął ponuro patrzeć na końce własnych butów.

– Dobrze, możesz milczeć – zgodził się ruszając ramionami Zawieja, po czym podniósł słuchawkę telefonu:

– Areszt? Doprowadźcie mi świadka, którego przedwczoraj wam przekazałem. Słucham? Tak, właśnie tego.

W ciszy, która zaległa gabinet, słysząc było ciche skrzypienie krzesła pod podejrzanym i trzaskanie kostek palców, które sobie bezwiednie naciągał.

Zawieja popijał wystygłą, lurowatą kawę. Po paru minutach w najbliższym sąsiedztwie trzasnęły drzwi i za chwilę rozległo się pukanie.

– Proszę wejść! – rozkazał Zawieja i bacznie obserwował twarz Stonki, który zwrócił twarz w stronę wejścia. W chwili, gdy rozległo się pukanie, na twarzy jego malowała się tylko obojętna ciekawość, kiedy jednak drzwi się otworzyły i w gabinecie rozległ się odgłos kroków dwóch osób, opryszek zachnął się bezwiednie do tyłu i poderwał się z krzesła, jak by szykując się do ucieczki. W tym momencie pochwycił widocznie uważne spojrzenie kapitana na swojej twarzy, gdyż z trudem opanował się i głośno przełknąwszy ślinę usiadł z powrotem na krześle.

– Jak widzę, znasz tę panią? – z szyderstwem w

głosie powiedział Zawieja, dając znak ręką konwojentowi, aby nie składał oficjalnego raportu.

– Pierwsze widzę – odburknął Stonka – nie widziałem jej na oczy...

– Tak? Nie widziałeś na oczy? – jak furia rzuciła się w jego stronę Weronika Kawka. – A gdzie miałeś oczy, ty diabelskie nasienie, jak ten bezbożnik, ten łotr, ten łajdak, mój były mąż uderzył mnie przy tobie, kiedyście się zgadywali, że trzeba zrobić z kapitanem porządek? Co?!

– Panie komisarzu, ja nigdy nie widziałem tej kobiety – powtarzał z uporem Stonka, patrząc czarnymi od nienawiści i strachu oczami na oszalałą z żalu i gniewu Weronikę.

– No, słyszał to kto? Nie widział mnie! A mego mężusia, niech zawiśnie jak najprędzej na szubienicy, też nie widziałeś? A może to ja ci obiecałam dziesięć zegarków, jak załatwisz kapitana?

– Milcz ty stara k,... ! – ryknął teraz dopiero Stonka i rzucił się w stronę Weroniki, jak by chciał ją pochwycić za gardło.

– Stać! – warknął ostro Zawieja i uderzył pięścią w stół. Stonka szarpnął się, ale stanął jak gdyby powściągnęła go jakaś niewidoczna lina.

– Ty siadaj na miejsce, a pani niech opowiada wszystko po kolei.

I Weronika Kawka zaczęła swoją opowieść, raz po

raz przerywaną to wybuchami płaczu, to atakami wściekłości na swego byłego męża i jego współnika. Widziała młodego opryska dwukrotnie w Mińsku Mazowieckim, dokąd przybywał zawsze w towarzystwie Jana Kawki. Za drugim razem tak długo pili i gadali, że zmęczona zasnęła na siedząco.

– Jak długo drzemałam, nie wiem, ale w pewnym momencie obudziłam się i widzę, jak mój stary podaje temu zbójowi taką fajeczkę, taką samą, jak pan kapitan ma tam na stole i mówi: Pokażesz jemu tę fajeczkę, ale, powiada, tak nieznacznie, od niechcenia, a on ciebie zapyta, skąd masz taką ładną fajeczkę i poprosi ciebie, żebyś mu dał ją obejrzeć. Wtedy mu ją daj i wyjaśnij, że otrzymałeś od krewnego w paczce z zagranicy. A on spyta z jakiego kraju, to powiedz, że z takiego kraju, gdzie „Guten Tag” mówią. I to już wszystko? – dopytywał się ten tutaj, obracając fajeczkę w paluchach. – Wszystko – mówi Kawka – wtedy on ci da „kopyto z pestkami”.¹ Nie wiedziałam, panie kapitanie, co to za kopyto, w którym pestki bywają, ale jak stary go zapytał, czy umie strzelać z kopyta, to się domyśliłam, że to po ichniemu „lewołwer” znaczy... Zaczęłam wtedy jeszcze lepiej uszu nadstawiać, żeby dosłyszeć przeciwko komu tak się zmawiają, bo prawdę mówiąc najbardziej bałam się, że to przeciwko Teosiowi mój stary coś straszego zamiaruje... – A jak tego „blacharza” poznam – pyta ten tutaj, panie komisarzu. – Zawieja się nazywa

– mówi mój stary. – Pokażemy ci go kilka razy, on często bywa u swojego przyjaciela, takiego starego przyka (on się gorzej wyraził, panie komisarzu) na Solcu i zawsze wieczorami. Miejsce dobre dla „mokrej roboty”, odludne. Nikt niczego nie sporutuje... A ten tutaj jeszcze się przechwalał: – Owa, dla mnie to nie pierwszyna. I tak się dowiedziałam, że to na pana kapitana się szykowali.

¹ „Kopyto” – pistolet, „pestki” – naboje (żarg. złodz.)

– I wtedy zatelefonowała pani do mnie po raz pierwszy? – spytał kapitan, aczkolwiek większość tych rzeczy była mu już znana z poprzednich przesłuchań Weroniki Kawki.

– Nie, panie kapitanie. To było dzień przedtem nim pana napadli w mieszkaniu państwa Rehmów. Świeć Panie nad ich duszami! – a ja telefonowałam później.

– Czy obecny tutaj Władysław Stonka brał udział w napadzie na mnie w mieszkaniu Rehmów?

– Nie, panie kapitanie – odpowiedziała Weronika.

– Tam był tylko mój mąż i jeszcze jeden taki elegancki pan, z siwymi włosami, którego nie znam.

– Przecież pani mąż miał być w tym czasie w Gdańsku – zwrócił jej uwagę Zawieja.

W tym miejscu Stonka uznał ponownie za stosowne wtrącić się:

– No, widzi pań komisarz, baba kłamie jak najęta!

Mąż był w Gdańsku, a ona zalewa, że mnie w Mińska Mazowieckim wódką traktował i do jakiegoś „skoku” namawiał!

– Milcz, ty antychryście! – Weronika Kawka nie mogła spokojnie na niego patrzeć. – Ten mój bywszy mąż, jak już mówiłam, panie kapitanie, ma pieniądze i jak trzeba, to samolotami lata. Rano przylatywał z Gdańska, a po obiedzie odlatywał, sam się tym przede mną chwalił, że on teraz jak jaki lord tylko „aroplana-mi” podróżuje.

I to także potrzebne było tylko ze względu na zamachowca „do protokołu”. Zawieja sprawdzał już po pierwszym przesłuchaniu, że informacja Weroniki znajduje pełne potwierdzenie w rozkładzie lotów pasażerskich: został napadnięty o 11 minut 45, to znaczy w trzy godziny po przylocie samolotu z Gdańska i na pięć godzin przed odlotem samolotu z Warszawy na Wybrzeże. Także chorąży Barski w listach pasażerów odnalazł kilkakrotnie nazwisko Jana Kawki właśnie w tych dniach, o których zeznawała była służąca Augusta Rehma.

– Niech pani teraz opowie, skąd się pani wzięła w mieszkaniu Rehma w tym dniu kiedy napadnięto na mnie.

– Ten tutaj pytał się u Kawki, czy może już jutro rano przyjść po to „kopyto z pestkami”. Tak mu się śpieszyło, Herodowi. Ale mój stary powiedział, że nie, bo będą o jedenastej zajęci na Nowogrodzkiej, żeby

przyszedł dopiero pojutrze. Więc ja poszłam, panie komisarzu, żeby wypatrzeć, co będą tam robić na Nowogrodzkiej, bo bałam się, żeby to znów nie było coś względem Teosia... I widziałam, jak pan kapitan przyjechał, a potem mój stary z tamtym panem taksówką nadjechali. Poszłam ostrożnie za nimi, kiedy weszli już w bramę...

– Tak, dalej już wszystko wiem. A kiedy widziała pani tego Stonkę po raz drugi?

– Drugi raz to go zobaczyłam, panie kapitanie, chyba w zeszłą środę. Tak, na pewno w środę, bo tego samego dnia wyjechałam z Mińska Mazowieckiego i ukrywałam się u jednej takiej, Lechowskiej, na Bródnie. Kawka zrobił straszną awanturę, że wymówiłam mu noclegi u siebie i nawet mnie pobił, panie kapitanie – głos Weroniki znów nabrzmiał łzami, ale tym razem sama się opanowała. – Żebym była żoną, to nie powiem, ale my przecież już od ośmiu lat ze sobą nie żyjemy. I akurat jak ten łajdak bił mnie, przyszedł do „nasz” ten tutaj. Słowem nie ujął się za mną, jeszcze się śmiał, jak płakałam. A potem powiada, że mu się już tak cknę sterceć wieczorami na tym Solcu, że pan kapitan wcale do swojego przyjaciela nie jeździ. A na to Kawka: – Bądź cierpliwy. Dzisiaj będzie. Dzwonił do niego ten stary, że chce się z nim zobaczyć. Wtedy dopiero ja zadzwoniłam do pana.

– Może pani jeszcze powtórzy przy tym oprychu, dlaczego Kawka wybrał pani mieszkanie jako miejsce

spotkań i dlatego nie bał się mówić przy pani o swoich przestępczych zamiarach.

Kawkowa chlipnęła nosem i zbolalym głosem odpowiedziała:

– Im się zaczęło robić gorąco, panie naczelniku, bo pan im zaczął deptać po piętach. Dlatego wołał w Mińsku, niż w Warszawie się spotykać. A Kawka wymusił na mnie przysięgę na ewangelię, że będę milczeć, bo inaczej Teosiowi krzywda się stanie. Nie miałam wyjścia, panie naczelniku, serce się we mnie krajało, ale musiałam milczeć, boć przysięga – święta rzecz. Dopiero, jak się popili i myśląc, że śpię, o zabójstwie pana naczelnika zaczęli gadać, postanowiłam przysięgę złamać. Myślę, że Pan Bóg mi to wybaczy, panie naczelniku?

– Na pewno wybaczy, a nawet nagrodzi – odpowiedział uśmiechając się nieznacznie na myśl, że musi zająć się teologicznymi wątpliwościami swego świadka.

I to wszystko było już wiadome kapitanowi, ale wciąż jeszcze nierozwiązaną zagadką było to, skąd przestępcy znali tak dokładnie jego rozkład dnia, skąd mogli wiedzieć, że został telefonicznie zaproszony przez Werhara? Sprawdzono telefoniczną linię Werhara i nigdzie nie stwierdzono śladu podsłuchu. Przypuszczenie, iż zorganizowali podsłuch aparatu Zawiei w Komendzie było zupełnie karkołomne, ale poddano je także sprawdzeniu. Również bez rezultatu. Nie czas

jednak było teraz rozważać te sprawy. Zawieja zapytał Stonki, czy ma coś do powiedzenia w związku z zeznaniami tej kobiety.

– Wszystko lipa. Nabrechała różnych farmazonów, a ja jej naprawdę na oczy nie widziałem.

Na pytanie kapitana, co robił w środę wieczorem, kiedy był planowany na niego napad na Solcu, Stonka flegmatycznie wyjaśnił, że przechadzał się samotnie po MDM-ie. Był beczelny, pewny siebie, jak by jeszcze liczył na jakieś cudowne ocalenie z opresji. Kapitan postanowił zagrać na ślepo:

– Słuchaj no, nie chcesz mówić, to nie! Ale jeśli liczysz, że twoi przyjaciele pomogą ci wydostać się z kryminału, to się mylisz. Był taki jeden jak ty, w Krakowie, też dla nich „mokrą robotę” zrobił i też wpadł. To wiesz, jak mu pomogli? Zatruli cyjankiem potasu, taką straszną trucizną, jak podłego szczura, żeby ich tylko nie sypnął! Florek się nazywał. Pomyśl trochę o Florku, jak będziesz siedział w celi!

6.

„Inżynier Henryk Zgorzelski, przesłuchany przeze mnie po raz drugi dnia... na wszystkie zadane mu pytania odmówił wszelkich zeznań”. Zawieja złożył swój podpis pod tą notatką i oparł głowę na dłoni. Dopiero teraz poczuł jak bardzo jest zmęczony. Całonocne

przesłuchanie Władysława Stonki i Weroniki Kawki, potem pisanie protokołu, wreszcie odbyte przed chwilą przesłuchanie Henryka Zgorzelskiego, po którym w gabinecie pozostał jeszcze nikły zapach wody lawendowej – to wszystko wyczerpało go ostatecznie. Kiedy punktualnie o ósmej do gabinetu weszła pani Irena, po prostu przestraszyła się widząc podbite oczy i ziemistą cerę kapitana.

– Ale tutaj dymu! – zawołała po przywitaniu i postawiwszy na biurku świeży bukietek astrów, otworzyła szeroko okno.

– Pan dzisiaj w ogóle nie wychodził z Komendy? – spytała z naganą w głosie. W odpowiedzi zrobił niewyraźną minę. – No, ale jutro jest niedziela i musi pan naprawdę wypocząć. Tak przecież nie można – gderała w przyływie opiekuńczych uczuć.

Gdy wyszła, kapitan przeciągnął dłonią po twarzy, rzeczywiście, jutro już niedziela. Psiakrew, jak ten czas leci! – Tak, proszę wejść – zawołał słysząc pukanie u drzwi i w tej samej chwili zadzwonił telefon. Przywitał skinieniem głowy sierżanta magistra, który już się dowiedział od Jurka Piskorza o wczorajszej przygodzie pod mostem kolejowym i przybiegł pełen niepokoju do zwierzchnika, i podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry, panie kapitanie, tu Kowalski

– A dzień dobry panu – ożywił się Zawieja – nie dzwonił pan wczoraj?

– Niestety, nie mogłem. Dopiero dzisiaj przyszedłem wcześniej do pracy i ustaliłem to, o co pan prosił.

– Tak, słucham pana – Zawieja poczuł się na chwilę niemal zupełnie rześkim.

– Więc ustaliłem z całą pewnością, że tego dnia, w godzinach podanych przez pana kapitana, ustalałem z dyrektorem Zgorzelskim plan importu aparatury medycznej. To trwało nawet trochę dłużej, bo gdzieś do pierwszej.

– Czy jest pan zupełnie pewien? – w głosie Zawieja zabrzmiał zawód.

– Jak najpewniejszy. Mam notatki w kalendarzu, poza tym upewniłem się u sekretarki dyrektora Zgorzelskiego.

Zawieja chwilę milczał, skręcając i rozkręcając sznur telefonu:

– Czy ta konferencja miała miejsce w biurze? – spytał po namyśle.

– Nie, pojechaliśmy z dyrektorem do parku Ujazdowskiego. Był taki upał, że w biurze trudno było skupić myśli.

– Aha.

Znów chwilka namysłu, wreszcie kapitan stawia pytanie, na dźwięk którego sierżant magister zamienia się w słuch: – Czy panowie pojechali do parku samochodem pana dyrektora?

Teraz przez dłuższą chwilę namyśla się pan Kowalski, wreszcie z wahaniem odpowiada, że nie... chyba nie. Wreszcie po jeszcze paru sekundach dodaje już zupełnie pewnym głosem, że na pewno poszli piechotą, gdyż dyrektor pragnął łyknąć więcej powietrza. Zawieja wzdycha, dziękuje naczelnikowi za uczynność i odkładając słuchawkę czuje, że nagle z powrotem jest strasznie, ale to okropnie zmęczony.

– No i masz – zwraca się ziewając do Niedzielskiego – nasz inżynierek ma alibi. – I pokrótce powtarza sierżantowi treść rozmowy.

– Ależ to się może zgadzać – z przejęciem mówi Niedzielski – bo za to samochód inżyniera nie ma alibi. Ustaliłem wczoraj, że tamtego dnia rano zabrał go z garażu nieznany dozorca mężczyzna, który pokazał kartkę podpisaną przez dyrektora. Dozorcy powiedział, że zabiera wóz do remontu.

– I kiedy samochód wrócił na miejsce do garażu? – spytał z zaciekawieniem kapitan.

– Tego dozorca nie wie. Twierdzi jednak, że cały dzień samochodu nie było w garażu, a gdy wstał następnego ranka, to samochód znajdował się już w garażu. Nie mógł też przypomnieć sobie wyglądu tego człowieka. Pamięta tylko, że był wysoki i niestary.

– Zgadza się – powiedział Zawieja z nowym przyływem energii. – Numer wozu?

– H-77-030.

Kapitan wyszukał w aktach „Vesty” rejestr samochodów zatrzymanych w czasie obławy. Lecz choć kilkakrotnie przeglądał długie kolumny numerów, tego numeru w rejestrze nie było.

– Boże, jaki ja jestem jednak skonany! – powiedział do Niedzielskiego, który nie wierząc kapitanowi, raz jeszcze sprawdzał wykaz. Zawieja podszedł do okna wystawiając czoło i piekące od niewyspania oczy na chłodny powiew wiatru: – Masz tam na stole kartkę z wypisanymi zadaniami, które musisz wykonać dzisiaj rano. A na razie zostaw mnie samego, muszę się zdrzemnąć na krześle z pół godziny, bo już zupełnie nie mogę myśleć – powiedział nie odwracając się od okna.

* * *

Obudził się około dziesiątej, ścierpnięty i zeszywniały, ale dwie godziny snu z głową wspartą o teczkę z aktami „Vesty” zrobiły mu dobrze. Toteż już znacznie weselszą miną przywitał Niedzielskiego, gdy ten przyśzedł zdać sprawę z wykonanych zadań.

– Jedna nowina dobra, druga zła, towarzyszu kaptanie – meldował sierżant, podczas gdy kapitan cesał się przed szybą okienną.

– Zaczynaj od złej, mały.

– Raz jeszcze sprawdzono wasz aparat i aparat Werhara na podsłuch i niczego nie znaleziono.

- Ha, muszą mieć inne źródła informacji.
- A w centrali?
- Co „w centrali”?
- No, czy podsłuch jest niemożliwy w samej centrali?
- Ech, to nonsens! Wiesz co to znaczy zorganizować podsłuch w samej centrali? Na to większa banda niż ta ma za krótkie ręce. W centrali może być tylko podsłuch milicyjny stosowany wobec szczególnie niebezpiecznych przestępców. Absolutnie wykluczone!
- Ale w takim razie skąd się dowiedzieli o treści rozmowy Werhara z towarzyszem kapitanem?
- Nie wiem! Rozumiesz – nie wiem!
- Ja bym jednak na wszelki wypadek przebadał centralę – upierał się Niedzielski.
- Daj spokój. Dość mamy roboty rzeczywistej, żeby się jeszcze zajmować urojoną – przerwał mu szorstko Zawieja – no, a teraz dawaj tę dobrą nowinę.
- Komisiak zawiadomił, że ślady na szosie pod Otwockiem są identyczne z krojem opon samochodu inżyniera Zgorzelskiego. W czasie rewizji w samochodzie na obiciu tylnego siedzenia i prawych drzwiczek stwierdzono kilka brunatnych plam przypominających wyglądem plamy krwi. Pobrano już wycinki obicia i jak mnie poinformował porucznik Komisiak, przesłano je już do ekspertyzy.

Twarz Zawiei rozjaśniła się: – O, to już coś jest! Jeszcze nie dowód, ale poważna poszlaka. Ostatecznie więcej samochodów może mieć ten sam krój opon, ale to są opony zagraniczne, więc nie takie znów powszechne w kraju. Niech Barski pokaże samochód wdowie po Czarnej Rączce i Grubemu Kazkowi. Jeśli go rozpoznają, to będzie już jakiś dowód. No i te plamy!

Niedzielski zapisał w notesie polecenie kapitana dla chorążego Barskiego, kapitan zaś wykonał kilka przysiadów, wyrzucił kilka razy ramiona w bok wciągając głęboko powietrze i zupełnie już orzeźwiony spytał sierżanta: – Masz jeszcze do mnie jakąś sprawę?

– Towarzyszu kapitanie, tutaj przygotowałem ten artykuł do prasy – powiedział Niedzielski czerwieniąc się – zgodnie z waszym poleceniem.

– Aha – skinął głową z uznaniem Zawieja – prędko to zrobiłeś, tylko czy równie dobrze?

Wziął podaną przez Niedzielskiego kartkę maszynopisu:

SAMOBÓJSTWO CZY ZABÓJSTWO?

(inf. wł.) Jak dowiadujemy się z kół dobrze poinformowanych Komenda Miasta MO znajduje się obecnie na tropie bardzo interesującej zbrodni. Przed miesiącem przy ulicy Nowogrodzkiej znaleziono zwłoki W. R., żony wybitnego handlowca i wyższego pracownika pewnej centralnej instytucji. Następnego dnia na Pradze znaleziono zwłoki

jej męża A. R. Na pierwszy rzut oka wszystko wskazywało na to, że A. R. zabił swą żonę z zazdrości, po czym popełnił samobójstwo. Wnikliwe śledztwo wykazało jednak, iż wersja ta jest błędna, a oboje małżonkowie padli ofiarą straszliwej zbrodni. W wyniku poszukiwań została ostatnio aresztowana W. K., długoletnia służąca zamordowanych, na której ciężą poważne podejrzenia, iż jest zamieszana bezpośrednio w tę zbrodnię. Aresztowana uporczywie odmawia wszelkich zeznań, z czego prowadzący śledztwo wnioskuje, iż bądź jest sama zabójczynią, bądź też osłania w ten sposób rzeczywistego zbrodniarza. W. K. usiłowała popełnić w areszcie śledczym samobójstwo, lecz udało się ją odratować. Obecnie przebywa w szpitalu więziennym, lecz stan jej zdrowia budzi poważne obawy.

Kapitan kiwnął z uznaniem głową:

– Dobrze zrobione. Tylko to ostatnie zdanie proponuję wykreślić. To tutaj od słów: „Obecnie przebywa w szpitalu więziennym...”. Wystarczy tego, że już raz próbowała popełnić samobójstwo.

Niedzielski odebrał kartkę, wykreślił wskazane zdanie i zapytał co ma teraz z tym fantem zrobić:

– A teraz, mój drogi, zadzwoń do wszystkich redakcji i zaproponuj im wydrukowanie tej informacji. Nie zapomnij o PAPie, bo poprzez ich serwis wiadomość

może dotrzeć do wszystkich gazet prowincjonalnych. I oczywiście do radia także. Zobaczysz, że chwycą wiadomość jak kruki, oni lubią sensacje.

– Ale co my będziemy z tego mieli, towarzyszu kapitanie?

Zawieja zrobił figlarną minę i potrząsnął czupryną, jak przekorny uczeń.

– Zobaczysz sam... jeśli się uda. A jeśli się nie uda – to ci powiem, na co liczyłem.

Kiedy zaintrygowany sierżant magister wyszedł, kapitan popatrzył na telefon i przypomniawszy sobie Werhara mruknął: – Nie tylko ty się znasz na psychologii, profesorze.

* * *

– Dalekopis z Krakowa do pana kapitana – powiedziała sekretarka i przesłała zwierzchnikowi uśmiech „numer 142”, jak by powiedział Jurek Piskorz, gdyby był świadkiem tej sceny. Zawieja machinalnie wziął z jej rąk kartkę papieru zapisaną dalekopisowym pismem i w ogóle nie dostrzegł uśmiechu swej niezłomnej adoratorki.

—komenda stołeczna mo warszawa—

dzisiaj o godzinie dziesiątej minut czterdzieści na punkcie kontrolnym w Łysej polanie zatrzymano obywatela austriackiego homolacsa (homolacsa) i

samochód osobowy marki delage numer rejestracyjny cux-c5 (cux-c5) przy uściłowaniu przemyślenia sześćdziesięciu kilogramów srebra——zgodnie z waszym pismem bardziej szczegółowej rewizji wozu nie przeprowadzono zatrzymany homolacs i jego samochód pozostają do dyspozycji komendy stołecznej mo——dowództwo okręgu wop w krakowie.

Kapitan Zawieja o mało nie uściłkał z radości pani Ireny. Udało się – morowcy wopiści – nie przegapili! Druga ryba w sieci.

Wydarł kartkę z notesu i zaczął na niej coś szybko pisać. Sekretarka z czułością spoglądała na jego kędzierzawe włosy, które tu i ówdzie były już przetykane srebrem. Po chwili podniósł głowę i spojrział z wahaniem na nią.

– Czy chciałaby pani zrobić mi przyjemność?

Sekretarka spąsowiała i skromnie spuściła oczy:

– Ach, panie kapitanie, ja dla pana...

– W takim razie, moja droga, niech pani natychmiast osobiście nada ten kablogram na dalekopisy.

– I to już wszystko? – spytała z rozczarowaniem.

– A co miałyby być jeszcze? – spojrział na nią zdziwiony.

Ruszyła ramionami, wzięła szorstko kartkę i wychodząc o jeden ton zbyt głośno niż należało zamknęła drzwi do gabinetu.

– A tę znowu co ugryzło? – zdziwił się przez moment Zawieja, wreszcie ruszył ramionami i powrócił do protokołu zeznań Władysława Stonki.

Nie zdążył jeszcze przeczytać nawet stronicy przepisanych na maszynie zeznań niedoszłego zabójcy, kiedy w drzwiach ukazała się sylwetka milicjanta.

– Macie coś do mnie? – spytał Zawieja spoglądając ze zdziwieniem na domowy pleciony koszyk, trzymany przez przybyłego w ręku.

– A bo tu, towarzyszu kapitanie, przyszła matka tego worychy, co go towarzysz kapitan zamknął i przyniosła wałówkę. Więc chciałbym zapytać, czy można mu doręczyć to żarcie do celi...

Zawieja spojrział z wahaniem na rozłożone akta „Vesty”, potem na koszyk nakryty zgrzebną serwetką. Nie chciało mu się odrywać od pracy, którą ledwie rozpoczął.

– Postawcie koszyk tutaj na biurku i przyjdźcie za jakieś pół godziny, jestem teraz zajęty...

– Rozkaz, mam wrócić za pół godziny – stuknął obcasami milicjant, postawił koszyk z „wałówką” na biurku i wyszedł z gabinetu...

Ledwo wrócił do rozłożonych dokumentów, do drzwi ponownie zapukano.

– Wściekli się, czy co? – warknął kapitan i mimo woli pożałował, że sam wysłał sekretarkę do dalekopisów, wskutek tego każdy mógł obecnie bez przeszkód dotrzeć do jego gabinetu.

– Wejść! – krzyknął w stronę drzwi, i jednym ruchem zgarnął akta „Vesty” i kartkę kablogramu do szuflady.

– Nie przeszkadzam? – do pokoju wszedł inspektor Reszkiewicz.

– Ależ skąd? Proszę bardzo! – skłamał Zawieja, wstając na powitanie inspektora. Zrobiło mu się nieprzyjemnie, bądź co bądź wypłatał Reszkiewiczowi złośliwego figla, powodując przejęcie całej sprawy przez MSW.

– Byłem tutaj w pewnej sprawie u Komisiaka – zaczął Reszkiewicz, siadając na krześle, na którym przed kilku godzinami siedział Władysław Stonka i dowiedziałem się, że was napadnięto. – Myślę więc, zajdę, pogratuluję Zawiei szczęśliwego zakończenia niebezpiecznej przygody...

– To bardzo miło z waszej strony – zmieszał się lekko kapitan i podsunął inspektorowi paczkę „Giewon-tów”. – Zapalcie.

– Dziękuję. Nie. Może zapalicie mojego? – Wyciągnął z kieszeni paczkę „Playersów”, a kapitan pomyślał złośliwie, że wdzięczny Amerykanin musiał mu sprezentować pół wagonu tych papierosów, skoro się jeszcze dotąd nie wyczerpały, ale milcząco przyjął papierosa.

– No, opowiedzcie coś o tym napadzie? Pytałem Komisiaka, ale on sam wie niedużo – powiedział po

chwili Reszkiewicz, zaciągając się dymem. – Sprawca powiedział coś, kto i po co namówił go do napadu?

Zawieja poruszył się i objął inspektora przelotnym spojrzeniem:

– Ciekawe, że wy z góry sugerujecie, iż sprawca został przez kogoś namówiony do napadu. Przecież mógł napaść na mnie samorzutnie, dla celów rabunkowych – zresztą, tak właśnie zeznaje.

Reszkiewicz zgniół ledwo rozpoczętego papierosa w popielniczkę i skrzywił się ironicznie:

– Po co się mamy czarować wzajemnie, kapitanie? Jasne jest, że ten napad był w związku ze sprawą „Vesty”. Napadać dla celów rabunkowych na funkcjonariuszy MO? To bardzo niebezpieczne i... nierentowne zajęcie.

Zaśmiali się obaj, bo to co powiedział, było prawdziwe. Reszkiewicz zaś ciągnął dalej:

– Mielicie rację, kapitanie, obstając przy kontynuowaniu śledztwa w sprawie „Vesty”, No cóż, przyznać się uczciwie, że się popełniło błąd, to nie wstyd, prawda?

W kapitanie po raz pierwszy zrodził się odruch sympatii dla Reszkiewicza, co przyszło mu tym łatwiej, że inspektor sprawiał dzisiaj wrażenie człowieka zmęczonego i zrezygnowanego.

– Nie macie pretensji do mnie, że udałem się do MSW? – spytał bez obwijania w bawełnę.

– Jakże mogę mieć pretensję? Postąpiliście, jak dyktowało wam sumienie, ot i wszystko! A że ja mam z tego powodu kupę nieprzyjemności, to już zupełnie inna historia – jak by to powiedział Molier.

– Kipling – poprawił z uśmiechem Zawieja.

– Niech będzie i Kipling – zgodził się Reszkiewicz – nigdy nie byłem dobrym polonistą.

Po raz pierwszy tak rozmawiali ze sobą szczerze, po koleżeńsku, bez ukrytych pretensji. Zawieja chciał jakoś osłodzić gorzką pigułkę, którą sam zgotował Reszkiewiczowi.

– W waszych argumentach w sprawie „Vesty” było dużo życiowej racji. Tylko, że nie zawsze można postępować tak, jak wygodniej, czasami trzeba kierować się tym, co słuszniejsze – powiedział nieświadomie cytując Werhara.

– Zgoda – kiwnął głową Reszkiewicz, potem widocznie, aby zmienić ten mimo wszystko niezbyt miły dlań temat, wskazał ręką stojący na biurku koszyk: – A to co? Dorabiacie do skąpej pensji pokątnym handlem? – spytał żartobliwie.

– To? – zaśmiał się w odpowiedzi Zawieja. – To jest jedzenie przyniesione dla mojego niedosłego zabójcy przez matkę. Mam właśnie sprawdzić zawartość koszyka i wydać decyzję...

– I jako człowiek wielkoduszny, oczywiście, będziecie dokarmiać swojego prześladowcę?

Zawieja odpowiedział zdejmując serwetkę z koszyka: – To zależy tylko od tego, co tutaj zapakowano: kiełbasa, chleb, kawałek boczku i sześć ciastek... Można dać, niech zna moje dobre serce...

Dalszą rozmowę przerwała sekretarka, która z wypiekami na twarzy weszła do gabinetu:

– To niesłychane, panie kapitanie!... – urwała w pół słowa widząc, że kapitan nie jest sam. Zawieja spojrzał przepraszająco na inspektora i wyszedł razem z sekretarką z pokoju:

– Co się stało, proszę pani?

– Dalekopisy nie chcą natychmiast przekazać telefogramu pana kapitana. Mówią, że najpierw muszą przekazać do wszystkich komend wojewódzkich jakieś rozkazy Komendy Głównej. Prosiłam, błagałam, ale powiedzieli, że najwcześniej za dwie godziny...

– Wykluczone! – przerwał jej stanowczym tonem Zawieja. – Kablogram nasz musi wyjść natychmiast! To sprawa bardzo poważna. I wszystkie rozkazy, choćby samego pana Boga, muszą poczekać...

– Ja tam już nie idę. To są impertynenci! – powiedziała nadając słowu „impertynenci” siłę kruszącej bomby.

– Dobrze! Wobec tego pójdę tam sam – zdecydował kapitan – pani uprzedzi inspektora, że wrócę za kwadrans...

Ale kiedy wrócił do gabinetu, już nie zastał Reszkiewicza. Zrobiło mu się trochę nieprzyjemnie, że wyszedł na tak długo i może inspektor poczuł się tym dotknięty, lecz w końcu ruszył brwiami i siadł ponownie do pracy.

7.

Następnego dnia była niedziela. Dzień wstał piękny, słoneczny, pastelowy – taki, jakie bywają w Polsce na progu jesieni. Tym ciężiej było sierżantowi magistrówi siedzieć cały dzień na dyżurze w Pałacu Mostowskich.

– Widzisz, inni ludzie, jak ludzie – pożegnała go rano matka, gdy wychodził z mieszkania obciskając mundur pasem z pistoletem – pójdą w niedzielę gdzieś do parku, na spacer, wieczorem zaś do teatru, a ty nawet niedzieli nie masz. W imię czego to wszystko?

Udał, że nie słyszy i milcząc pocałował ją w policzek. Czy matka potrafi kiedyś zrozumieć, że ta ciężka, niewdzięczna praca, związana z tylu niewygodami i niebezpieczeństwami jest jedyną pracą, która mu odpowiada, w której się czuje naprawdę szczęśliwy? A w imię czego to wszystko? Ha, tutaj naprawdę nie mogli znaleźć wspólnego języka. Mimo że najbliżsi sobie, żyli w dwóch światach całkowicie różnych. To wszystko, co dla młodego Niedzielskiego było ważne i drogie, dla

siwowłosej damy było zbiorem pustych haseł, które nie budziły w jej duszy żadnego oddźwięku. Bo sierżant magister, choć o tym nie mówił, przecież nie dla samej przygody wybrał tę twardą służbę. Czy to znaczy, że nie nie zaćmiewało „milicyjnego szczęścia” magistra Niedzielskiego? O nie, takie twierdzenie nie byłoby prawdziwe. Bolało go to, że dotąd na naramiennikach nosi naszywki sierżanta, że nie dano mu, mimo wyższego wykształcenia, stopnia oficerskiego. Ile razy musiał zaciskać zęby spotykając kolegów ze studiów, którzy ironicznie spoglądali na jego naramienniki i ze złośliwym współczuciem pytali go: Czy to prawda, że jest dzielnicowym, albo, że kieruje ruchem na Nowym Świecie?

Zacinał zęby, ale ani przez chwilę nie pomyślał o zrzuceniu tego błękitno-szarego munduru. – Łaski bez – powtarzał sobie czując ukłucia dotkliwego ciernia w sercu – wysłużę sam tę gwiazdkę.

Ponieważ niedziela była spokojna i na mieście nie wydarzyło się nic takiego, co by wymagało interwencji dyżurnego oficera, więc też sierżant magister miał dość czasu na smętne rozmyślania o swojej krzywdzie. Dopiero około czwartej po południu beznadziejną nudę wlokących się godzin przerwał telefon. Dzwonił profos aresztu śledczego, że jeden z więźniów śledczych nagle zachorował i on nie wie, co z tym fantem robić.

– Na pewno symuluje – mruknął Niedzielski – ale zaraz tam przyjdę!

W długim korytarzu podziemia, z którego na wszystkie strony wychodziły masywne, pozamykane na zasuwy drzwi, spotkał profosa.

– Cholera go wie, co mu jest, ale jęczy, wrzeszczy, że się boi, że go ściska coś w piersiach... To znowuż opowiada, że mu się robi ciemno przed oczami i nic nie widzi. Może i symuluje, ale ja wolę, żeby w razie czego nie było na moją odpowiedzialność – tłumaczył się profos, brzęcząc pękiem kluczy i prowadząc dyżurnego oficera do celi.

– Zobaczymy – odpowiedział powściągliwie Niedzielski.

Cela była oświetlona jasną żarówką elektryczną. Siedziało w niej sześciu mężczyzn. Niedzielski nie potrzebował nikogo pytać, gdzie jest chory, gdyż jeden tylko leżał na pryczy, pozostali zaś skupili się wokół niego, głośno komentując niezwykle przypadek. Sierżant magister podszedł do pryczy. Aresztanci rozstąpili się.

– No, czego udajesz? Wstawaj! – ostro wsiadł z miejsca na więźnia, ale natychmiast urwał. Chory był bowiem „ich” więzień – Władysław Stonka. Więzień do sprawy „Vesty”. Błędne spojrzenie, zroszone potem czoło, wykrzywione bólem usta, ręce szarpiące odzież na piersi i pełen przerażenia, półzwierzęcy skowyt nie

pozwalają wątpić, że ten człowiek jest naprawdę poważnie chory.

– Cholera jasna! – zaklął z przestachem profos – jeszcze piętnaście minut temu nie wyglądał tak paskudnie!

– Natychmiast wezwać dyżurnego lekarza! – rozkazał Niedzielski, sam zaś, aby ułatwić oddychanie, zaczął rozpinać koszulę więźnia.

Profos galopem popędził do telefonu. Rozpinając kołnierzyk sierżant Niedzielski nachylił się nad Stonką i twarz jego owionął gorący oddech. I wtedy właśnie nozdrza sierżanta po raz pierwszy pochwytiły lekki, ale wyraźny zapach gorzkich migdałów. Straszliwe podejrzenie targnęło Niedzielskim. Zbliżył twarz jeszcze bliżej do ust Stonki. Omyłki nie było – oddech chorego wyraźnie pachniał gorzkimi migdałami!

– Czy chory jadł coś na krótko przed atakiem? – zwrócił się do współwięźniów, czując jednocześnie gęsią skórkę na całym ciele.

– A ot, tam leży – pokazali na krzesło, na którym widniało puste pudełko, z ostatnim niedojedzonym, ponczowym ciastkiem. Wyraźnie widniało na nim półkole wygryzione zębami Stonki. Niedzielski wziął pudełko do ręki i ostrożnie rozchylając obie połówki ciastka zbliżył je do nosa. Znów poczuł ten sam złowieszczy zapach gorzkich migdałów. Nawet się nie obejrzał, kiedy za plecami otworzy się drzwi i do celi wszedł profos

w towarzystwie niskiego mężczyzny z walizeczką w ręku.

– Doktor Kałużny – przedstawił się krótko Niedzielskiemu. – Kto tutaj zachorował?

* * *

Następnego dnia mały doktor przyjął kapitana Zawieję, jak zwykle, władczo i opryskliwie. Kapitan udał, że tego nie widzi i po podziękowaniu za szybką i skuteczną interwencję, zaczął wypytywać o szczegóły wypadku.

– Przyczyną zasłabnięcia był cyjanek potasu – wyjaśniał Kałużny – dyżurny sierżant pierwszy spostrzegł charakterystyczny dla tej trucizny zapach gorzkich migdałów...

– Truciznę podano w ciastku? – upewnił się Zawieja.

– Tak jest, w nasyconym sokiem ponczowym ciastku. Nawet dość dowcipnie to zrobione, bo w ciastku nikogo nie zdziwi migdałowy zapach.

– Czy dawka zawarta w ciastku była śmiertelna?

– Jeśli powiem, że w ciastku znajdowało się około dwóch gramów cyjanku potasu, zaś dawka śmiertelna dla dorosłego człowieka wynosi 0,18 grama, to sądzę, że można raczej uznać, iż dawka była zabójcza nawet dla słonia.

– Tak, to prawda – zgodził się kapitan, udając że nie dostrzegł zgryźliwego tonu lekarza.

– Jak się chory czuje obecnie?

– Po zastosowaniu zastrzyków lobeliny i innych środków pobudzających – przyszedł do siebie, choć jeszcze przez parę dni będzie musiał pozostać w szpitalu.

– Czyli, że na razie nie będę mógł się z nim zobaczyć?

– Niech pan o tym nawet nie wspomina – nastroszył się doktor Kałużny. – Człowiek, który z aresztu trafia do mnie, przestaje być więźniem, a jest po prostu chorym. Nie wcześniej niż za dwa, trzy dni... – i powstał, wspinając się nieznacznie na palce, aby choć o kilka milimetrów zmniejszyć dysproporcję wzrostu, dając jednocześnie znać, że uważa dalszą rozmowę na ten temat za bezcelową.

A jednak doktor Kałużny się omylił! Kapitan jeszcze tego samego dnia rozmawiał z Władysławem Stonką i to na wyraźne żądanie chorego. Przestępca domagał się tego tak energicznie, urządzał takie awantury, że doktor Kałużny wyczerpawszy wszystkie środki perswazji i pogroźek sam wezwał kapitana do odwiedzenia chorego.

– Niech pan już idzie do tego wariata, bo mi szpital zdemoluje! – przywitał kapitana z taką pretensją, jak by

to Zawieja ponosił odpowiedzialność za burzliwe zachowanie chorego.

Władysław Stonka przywitał kapitana z wyraźną ulgą i choć był jeszcze bardzo osłabiony, usiłował nawet podnieść się na posłaniu.

– Leż, leż spokojnie – powitał go kapitan – tobie nie wolno się teraz męczyć...

– Panie komisarzu, żeby nie pan!... żeby nie pan!... – zaczął Stonka przerywanym ze wzruszenia i wyczerpanym głosem – to bym już s t y r g n ą ł jak ten pies...

– Jak to, żeby nie ja? – zdziwił się Zawieja i pomyślał, że chory jeszcze musi majaczyć i w malignie myli go z sierżantem Niedzielskim. – Przecież mnie przy tobie nie było, gdy zatrueś się?

Stonka zachwiał głową po wymiętej poduszce i z trudem przełknął ślinę:

– Ja wiem, co mówię, panie komisarzu. Ja jestem przytomny. Mnie przez cały czas kołatało się po głowie, to co pan komisarz opowiedział mi o tym w Krakowie, którego u z i e m i o n o , żeby nie sypnął...

– O Florku?

– Ano, o nim. I od razu jak tylko ugryzłem to, ciastko i poczułem taki dziwny smak, od razu mi się przypomniał ten Florek. Przecież gdyby nie to, ja bym zeżarł to całe ciastko, panie kapitanie...

Stonka aż rozplakał się z żalości nad samym sobą,

nad tym, że tak mało brakowało, aby już gryzł ziemię i że tak jak psa potraktowali go jego mocodawcy. Kiedy, się wreszcie uspokoił, podniósł zaczerwienione od płaczu oczy na kapitana i z determinacją w głosie powiedział:

– Teraz powiem wszystko, panie komisarzu, jak na świętej spowiedzi! Ja będę gnić w pudle, ale i im nawiać z Polski nie dam! A już się szykują, szykują w mordę pluci, ja ich teraz wyszykuję, panie komisarzu. Niech pan teraz pyta o co chce, wszystko powiem!

Zawieja wydobył z teczki notatnik i zapalił małą stolową lampkę na nocnym stoliku.

* * *

– Chwileczkę, muszę założyć nową kartkę – powiedziała pani Irena i nieznacznie spojrzała na zegarek. Już piąta – a tutaj końca jeszcze temu dyktowaniu nie widać! Zawieja dostrzegł ten gest, bo pośpieszył ją uspokoić, że to już naprawdę potrwa niedługo.

– Jestem gotowa – powiedziała pani Irena unosząc ręce nad klawiaturę maszyny do pisania. Zawieja zajrzał do notatnika.

„Po odbiór pistoletu miałem zgłosić się do sklepu jubilerskiego Mirosława Zgorzelskiego na Nowym Świecie nr... legitymując się hasłem rozpoznawczym składającym się z bursztynowej fajeczki i hasła słownego

„Kraj, w którym mówią Guten Tag”. Tak rzeczywiście zrobiłem i otrzymałem od Mirosława Zgorzelskiego pistolet „Vesta”, kaliber 7,65, z którego miałem zgładzić kapitana Romana Zawieję...”.

Monotonny stukot maszyny do pisania nagle ustał. – No, dlaczego pani nie pisze? – zdziwił się Zawieja. Sekretarka rzuciła mu przerażone spojrzenie. – Czego się pani niepokoi? Jak widać, to polecenie nie zostało przecież wykonane – uśmiechnął się i dyktował dalej.

„Polecenie tej treści otrzymałem od Jana Kawki, który za wykonanie zadania obiecał mi nagrodę w wysokości dwudziestu tysięcy złotych i dziesięciu zegarków marki Longines.

– To straszne! – znów przerwała pisanie sekretarka.

– Dlaczego? Całkiem rzeczowa umowa – i cena zupełnie przyzwoita. Sam bym za siebie tyle nie dał – żartował Zawieja.

„Ponadto Kawka obiecał mi, że po pomyślnym wykonaniu tego zadania będę mógł zarobić jeszcze więcej biorąc udział w ostatnim „skoku”, jaki jego banda przedsięwziąć zamierza w Krakowie. Dotyczy on jakiegoś początkującego spekulanta, który zamierza nabyć hurtem większą partię zegarków. Zegarki zostaną mu dostarczone do hotelu, za które od razu zapłaci grubszą gotówkę (Kawka mówił o pięciuset tysiącach złotych), po czym natychmiast po odejściu partnerów, zegarki te

zostaną odebrane nieznanemu, którego Kawka nazywał „Jeleniem”.¹

¹ Jeleń – frajer, „ofiara”.

W jaki sposób te zegarki mają być odebrane – nie wiem. Kawka mówił mi tylko, że ja mam „stać na świecy” w czasie akcji i za to obiecywał mi dwadzieścia tysięcy złotych. Wspominał też, że on i jego wspólnik już od pewnego czasu o b r a b i a j ą tego Jelenia i akcji trzeba się spodziewać lada dzień. Co zamierzają robić po obrabowaniu „Jelenia”, jakie są ich dalsze plany, tego nie wiem. Kawka nigdy nie udzielał mi szerszych informacji o bandzie. Nie wiem również dlaczego na miejsce akcji wybrano Kraków, choć Jeleń ma przebywać w Warszawie”.

– No to by było wszystko – powiedział Zawieja zamykając notes. Sekretarka wykręciła kartkę z maszyny i zaczęła porządkować maszynopis protokołu.

– Ale pan nie dopuści do tego „skoku”, panie kapi-tanie? – spytała myśląc o treści tego, co jej dyktował.

– Wręcz przeciwnie – roześmiał się – nie tylko, że dopuszczę, ale postaram się być przy nim obecny. Cho- r ą ż y Barski już od pięciu godzin ustala, jakie kontakty i z kim ostatnio nawiązywali nasi mili znajomi. Musimy ustalić tego Jelenia, widzi pani...

– To strasznie trudne zadanie – pokręciła głową

pani Irena, która choć pracowała od lat w milicji, zawsze uważała pracę śledczą za coś bliskiego czarnej magii.

– Wcale nie takie trudne – zaproponował kapitan odbierając od niej porządnie ułożone i spięte kartki maszynopisu – przecież wszyscy nasi znajomi są już od dawna pod nieustanną obserwacją. Spodziewam się, że Barski... Ale oto i on! – przerwał widząc wsuwającą się przez drzwi płomienną czuprynę tajnego wywiadowcy.

Pani Irena miała nadzieję, że Barski złoży swój raport w jej obecności i w ten sposób dowie się, kto jest tym Jeleniem, ale kapitan objął chorążego ramieniem i pociągnął do swego gabinetu.

Zdażyła tylko usłyszeć, jak kapitan zapytał go: – Udało się?

– Tak jest, towarzyszu kapitanie. Pojutrze, w Krakowie...

Resztę stłumiła drzwi zamknięte starannie za sobą przez Zawieję.

Sekretarka ruszyła z niezadowoleniem głową i zaczęła przymierzać kapelusik przed lusterkiem, które wyjęła ze służbowej szuflady. – To się nazywa sprawiedliwość – myślała z pretensją – całymi dniami przepisuje różne nudne papiery dla nich, a jak jest coś naprawdę ciekawego, to robią z tego przed nią tajemnicę!

ROZDZIAŁ IX

1.

We wtorek rano pogoda się popsowała. Zaczął padać deszcz, oziębilo się. – Radio powiada, że to tylko przejściowa mżawka – pocieszył Zawieja Jurka Piskorza, który niepokoił się, że jutrzejsza jazda do Krakowa może być nieprzyjemna.

– Jak radio mówi, że przejściowa, to plucha na trzy dni murowana – ponuro prorokował Jurek. – Znaczy się numer naszej Warszawy mam także zmienić? O rany, to będzie jakaś większa rozróżba?

Ale kapitan udał, że nie dosłyszał tego pytania i wścibski szofer nie dowiedział się po co właściwie jada tak daleko.

Okolo dziesiątej rano zadzwonił porucznik Komisiak:

– Słuchaj, do jasnej cholery! – zaczął bez żadnych wstępów – czy ty wreszcie skończysz z tą „Vestą”, bo już wkrótce przez nią pojedę tam, gdzie nie sieją mocnej machorki!

Zawieja uśmiechnął się do słuchawki:

– Czym prędzej zażyj pigułkę przeciwko zgadze, bo jeszcze rzeczywiście szlag cię trafi i milicja straci jednego z najnieudolniejszych naczelników wydziału operacyjnego...

– Zobaczmy jeszcze kogo pierwszego kostuchna

kopnie! – obruszył się po drugiej stronie drutu „żołąd-kowy” naczelnik i odpukał zabobonnie w służbowe biurko.

– No, ale żarty na bok – co znowu za kłopot masz z tą „Vestą”? – podjął kapitan poważniejszym tonem.

– Dzwoniła Komenda Dzielnicy Stare Miasto, że zgłosił się do nich jakiś facet, który na gwałt domaga się widzenia z prowadzącym sprawę Rehmów. Facet nie znał nazwiska oficera, dzielnica zaś nie знаła sprawy i wreszcie odesłali go do mnie, że niby jeśli jestem „operacyjny”, to mogę i takie sprawy ustalać. Wkrótce zaczna do mnie odsyłać paniusie, którym zaginęły ulubione pekińczyki.

– Nazwisko tego człowieka?

– Ba, rzecz w tym, że on nie chce powiedzieć swego nazwiska.

– Słuchaj, a w jakim jest wieku, stary, czy młody?

– Tak około trzydziestki. Ale, co ty? Chcesz całą ankietę personalną ściągnąć telefonicznie? Powiedz lepiej, co mam z nim zrobić? Splawić?

– Komisiak, zamorduję cię, jeśli ten człowiek zaraz, natychmiast nie dotrze do mnie!

– Wiesz kto to jest? – zdziwił się porucznik wy-czuwając w głosie kapitana wyraźne podniecenie.

– Domyślam się i błagam cię, przyślij go do mnie w towarzystwie jakiegoś oficera, żeby broń Boże nie rozmyślił się i nie nawiał po drodze.

– Poniatno! ¹ – popisał się Komisiak jedynym znany sobie słowem w obcym języku – akurat jest tutaj ten twój Niedzielski, niech go eskortuje. Cześć!

– Cześć!

¹ Poniatno – zrozumiałe (ros.)

Zawieja odłożył powoli słuchawkę i sięgnął po papierosa, a choć był zazwyczaj bardzo opanowany, zauważył, że palce trzymające papieros lekko drżą. Zapalił, przeszedł się po pokoju, poprawił krzesło przed biurkiem. Potem zatrzymał się, zawahał, wreszcie odsunął szufladę biurka, wyjął leżący w niej pistolet, zarepetował i położył z powrotem pozostawiając szufladę lekko uchyloną.

– Proszę! – zawołał gdy po paru minutach rozległo się pukanie do drzwi i mimo woli obciągnął mundur na sobie. Drzwi się otwierają, wchodzi pierwszy Niedzielski. Za nim widzi wysoką postać mężczyzny. Ledwie kapitan spojrzał na jego twarz, nie ma już wątpliwości, że jest to właśnie ten człowiek, na którego czeka. Oczywiście postarzają go nadmiernie siwe skronie, porzyta zmarszczkami twarz, wyraz goryczy zastygły w linii ust – ale twarz jest ta sama, ta sama!

– Dzień dobry! – mówi niepewnie przybyły.

Zawieja szybko podchodzi do niego, podaje rękę i witając mówi wyraźnie, dobitnie:

– Dzień dobry, panie Teofilu, czekałem na pana!

Niedzielski spogląda na kapitana, jak by chciał się upewnić, że to co usłyszał nie było halucynacją, nieznamy zaś sprawia wrażenie zupełnie ogłuszonego. Kapitan prowadzi go za ramię do swego biurka:

– Wiedziałem, że pan przyjdzie sam do mnie – mówi sadzając go na krześle i dając znak Niedzielskiemu, aby pozostał w pokoju. Jeszcze żaden z nich nie zdążył powiedzieć ani słowa, kiedy kapitan wyjmując z szafy wycinek portretu i kładzie przed nieznanym:

– Poznaje pan, prawda?

– Tak, to ja – mówi cicho Teofil i głos jego nabrzmiewa wzruszeniem, ale natychmiast tłumi je wysiłkiem woli. W ogóle robi wrażenie człowieka, którego nerwy napięte są do granic wytrzymałości.

– Skoro pan zna moje imię i ten portret, to zapewne wie pan i resztę o mnie?

Kapitan daje nieznacznie znak Niedzielskiemu, aby uruchomił magnetofon i sierżant posłusznie włącza aparaturę, wciąż jak zahipnotyzowany wpatrując się w twarz przybysza.

– Wiem dużo o panu.

– To znacznie ułatwi rozmowę. Nie przypuszczałem jednak, że Weronika tak szybko zdradzi wszystkie tajemnice naszej nieszczęśliwej rodziny...

Ostatnie zdanie mówi głosem, w którym wyczuwa się lekki żal i rozczarowanie. Kapitan żywo reaguje:

– Nie ma pan powodu czuć pretensji do Weroniki. To nie ona pana „zdradziła”. Zdradziły pana listy pisane do... – zawahał się przez chwilę – do żony pańskiego ojca. Weronika potwierdziła to tylko, co wiedzieliśmy już przedtem, lub ściślej, czego domyślaliśmy się wcześniej. Najlepszy dowód, że aby pana odnaleźć, musieliśmy się posłużyć podstępem, bo Weronika nie zgodziła się podać pańskiego adresu.

– Jak to podstępem? – Teofil patrzy na kapitana spojrzeniem pełnym niepokoju.

– Tak jest, podstępem. Komunikat prasowy o aresztowaniu Weroniki został napisany przez obecnego tutaj oficera celowo dla pana, panie Teofilu...

– Więc Weronika nie usiłowała popełnić samobójstwa i nie jest podejrzana o zabójstwo? – w głosie Teofila zdumienie i wzburzenie miesza się z radością i ulgą.

– Może pan być spokojny, Weronika cieszy się najlepszym zdrowiem. Zobacz pan ją jeszcze dzisiaj. I wcale nie jest aresztowana, tylko na jej własną prośbę i dla jej bezpieczeństwa zatrzymana w gmachu komendy.

Musiało coś się nagle załamać w duszy Teofila, napięcie poprzednich godzin, a może i dni, było zbyt wielkie, aby teraz mógł opanować reakcję nerwów na tyle niezwykłych nowin. Kapitan i Niedzielski odwracają dyskretnie oczy, nie ma bowiem przykrzejszego widoku, niż łyzy dorosłego mężczyzny.

– Ja bardzo przepraszam, to tylko nerwy – mówił Teofil, przygryzając wargi – wstydzę się tej słabości.

Kapitan widzi, że siedzący przed nim mężczyzna jest jednym kłębkim rozdygotanych nerwów. W tym stanie nie ma żadnego sensu go przesłuchiwać. Pragnąc dać mu czas do ochłonięcia i opanowania się Zawieja proponuje, że na razie zapozna go z danymi, jakie posiada o jego osobie.

– Proszę bardzo, panie kapitanie!

Sierżant magister Niedzielski patrzy ze zdziwieniem na niebieską teczkę, wyjętą przez kapitana z szuflady. Na teczce widnieje nalepka: „Teofil Remowicz” i podtytuł: (do sprawy „Vesty”). Niedzielski ma prawo dziwić się, bo tej teczki nigdy nie widział, choć zna na pamięć całą dokumentację sprawy „Vesty”. Sierżant nie wie, że wszystko, co w tej teczce się znajduje, zostało przez kapitana zebrane w ciągu kilku ostatnich dni po zatrzymaniu Weroniki Kawki i że to jeden z etapów przygotowań, jakie kapitan czynił po wysłaniu niezrozumiałego komunikatu do prasy. Zawieja zaczyna przeglądać dokumenty i w miarę ich przeglądania, rzeczowym, bezosobowym tonem streszcza zawartość niebieskiej teczki:

– W aktach parafii rzymsko-katolickiej kościoła Św. Ducha pod cyfrą 2437/1926 widnieje dokument stwierdzający, że dnia 24 grudnia 1926 r, zostało tam

ochrzczone niemowlę płci męskiej, któremu nadano imię Teofil August. W rubryce „ojciec” widnieje znak NN¹ w rubryce „matka” podano nazwisko wybitnej w owych czasach śpiewaczki operowej. Ponieważ matka niemowlęcia zmarła w czasie porodu, dziecko do chrztu podawali rodzice chrzestni: Jan i Weronika Kawkowie zamieszkali w Mińsku Mazowieckim, oni też zarejestrowali dziecko pod nazwiskiem Remowicza, jednocześnie oświadczając, że pragną je zaadoptować.

¹ NN – nieznan

Kapitan przerwał i spojrzał na Teofila. Pobladłą twarz ukrył w dłoniach i siedział w tej postawie nie podnosząc oczu. Zawieja przewrócił kartkę.

– W aktach Sądu Powiatowego m, st. Warszawy z roku 1927 istnieje urzędowy akt przyznania praw rodzicielskich nad niemowlęciem Teofilem Augustem Remowiczem małżeństwu Janowi i Weronice Kawkom. Mija wiele lat i oto w czasie okupacji hitlerowskiej w tymże sądzie powiatowym dla miasta stołecznego Warszawy odbywa się znów rozprawa, której wynikiem jest akt prawny, przekazujący uprawnienia rodzicielskie nad piętnastoletnim już Teofilem Augustem Remowiczem małżonkom ślubnym Augustowi i Wilhelminie Rehmom. Mam tutaj kartę meldunkową, na podstawie której Teofil melduje się w domu Rehmów przy ulicy Nowogrodzkiej i pozostaje tam do fatalnego dla niego roku 1945.

Kapitan znów przerywa. W gabinecie jest tak cicho, że słycać odgłos ołówka, którym nie mniej przejęty od Teofila sierżant magister Niedzielski nerwowo bazgrze po papierze.

– Czy mam mówić dalej? – pyta Zawieja zaniepokojony wyglądem siedzącego naprzeciw mężczyzny.

– Proszę mówić dalej.

Niedzielski czuje ściskanie w gardle, jak w teatrze, kiedy akcja zbliża się do dramatycznego rozwiązania!

– Następnny dokument pochodzi z Wojskowego Sądu Doraźnego, przed którym w marcu 1945 r, toczyła się sprawa przeciw Teofilowi Augustowi Remowiczowi za udział w napadzie z bronią w rękę na ambulans pocztowy przewożący pieniądze do banku. Napad się nie udał, sprawcy zbiegli, jedynym ujętym z pistoletem w rękę był Teofil August Remowicz. Biorąc pod uwagę młody wiek przestępcy, mimo obostrzonych rygorów stanu wojennego, sąd wojskowy w trybie doraźnym skazał Teofila Augusta Remowicza na dziesięć lat więzienia. W drodze z sądu do więzienia karetka została odbita przez jego współników, którzy uprowadzili Remowicza w nieznanym kierunku, raniąc dwóch konwojentów i zabijając kierowcę. – Kapitan przestaje czytać i rzuca w formie wyjaśnienia. – Były to czasy bardzo niespokojne, władze bezpieczeństwa były zajęte zwalczaniem politycznego podziemia i band dywersyjnych,

toteż powierzchowne poszukiwania nie dały rezultatu, mimo iż domyślano się, że odbicie skazanego było dziełem współników, którzy bali się, że młody chłopiec może po rozprawie wydać innych współuczestników napadu na ambulans pocztowy.

Zawieja przewrócił ostatnią kartkę wpiętą do teczki: – Tutaj zaś mam tę część zeznań Weroniki Kawki, które dotyczyły wypadków bezpośrednio poprzedzających narodziny Teofila Remowicza. Rok 1925/26 zaznaczył się w małżeństwie Augusta i Wilhelminy Rehmowej dwoma pamiętnymi wydarzeniami. Pani Wilhelmina zachorowała ciężko na gruźlicę i na rok musiała wyjechać do Szwajcarii przerywając studia. Pan Rehm zaś w tym czasie zawarł znajomość, a potem i bliższą przyjaźń, ze znaną aktorką i śpiewaczką opery warszawskiej, której nazwisko figuruje w rubryce „matka” na świadectwie chrztu Teofila Augusta. Weronika, która w tym samym roku poślubiła Jana Kawkę, była przez pięć poprzednich lat służącą w domu Augusta Rehma, którego znała jeszcze z kawalerskiego okresu jego życia. Po powrocie pani Rehmowej Weronika ku jej żalowi wymówiła pracę, tłumacząc się obowiązkami małżeńskimi i koniecznością zajęcia się adoptowanym dzieckiem. Weronika powróciła na to stanowisko dopiamo wtedy, kiedy porzucił ją jej mąż. Ale wtedy już Wilhelmina Rehmowa знаła tajemnicę narodzin swego przybranego

syna. Tyle o historii Teofila Augusta Remowicza mówią dokumenty zebrane w tej teczce.

2.

Zeznania Teofila Remowicza trwały wiele godzin, przerywały je dłuższe pauzy, kiedy wzruszenie uniemożliwiało mu mówienie. Działo się to szczególnie wówczas, kiedy wypadało mu mówić o swej przybranej matce, którą darzył stanowczo większym uczuciem, niż swego rodzzonego ojca.

– Nie winię swojego ojca – mówił z żalonym uśmiechem – oddał mnie na wychowanie Kawkom, nie wiedząc przecież, że Jan Kawka jest zawodowym złodziejem. Byłem wszak kompromitującym owocem, jedynego chyba w jego życiu szaleństwa. Ojciec był pedantycznie skrupulatny we wszystkich sprawach, chorobliwie wręcz wrażliwy na swoją dobrą opinię i nieskazitelne imię. Przy Janie Kawce nauczyłem się złodziejskiego rzemiosła...

– To już wiemy – przerwał mu Zawieja, pragnąc uwolnić go od tych przykrych wyznań.

– Naprawdę byłem przywiązany do Weroniki, która, choć ograniczona i niezbyt mądra, kochała mnie szczerze i kto wie, gdyby Kawkowie rozeszli się wcześniej, być może zostałbym uczciwym człowiekiem. Przez szereg lat uważałem Weronikę za matkę, a Kawkę

za swego ojca, toteż kiedy Wilhelmina Rehmowa odkryła przypadkowo starannie ukrytą tajemnicę swego męża i zażądała, żebym wrócił do ojca – był to dla mnie wstrząs straszliwy. Z sutereny Kawków nagle wprowadziłem się do salonów na Nowogrodzkiej. Musiałem uczyć się wszystkiego od początku, poznawać prawa tego nowego świata, podczas gdy stary świat Jana Kawki trzymał mnie ciągle w swych okowach. Miałem już szesnaście lat, panie kapitanie, i nie tak łatwo było pozbyć się wszystkich nawyków, sądów i ocen, jakimi nasiąknąłem w złodziejskiej kompanii mojego przybranego ojca. Nigdy też nie pozbyłem się uczucia żalu i pretensji do Augusta Rehma. Pokręcił mi przez swoje samolubstwo całe życie!

Ścisnął dłonie z całej, siły, żeby opanować przyływ rozżalenia, a w głosie jego było tyle żalu, że sierżant magister poczuł, że i jemu wilgotnieją oczy;

– Pokochałem za to głęboko Wilhelminę – zaczął po chwili – która była dla mnie prawdziwą matką. Była to dusza artystyczna, wrażliwa, której całe życie upływało w cieniu silnej indywidualności męża. Dla niego musiała zresztą zrezygnować z kariery aktorskiej, o której marzyła od młodości. Matka – bo tak ją w myślach zawsze nazywam – studiowała w szkole teatralnej, aż do tego fatalnego w skutkach wyjazdu na leczenie do Szwajcarii. Po powrocie zaś ojciec nie zezwolił już na

podjęcie studiów, gdyż jak mówił, chce ją mieć wyłącznie dla siebie i nie zgodzi się, aby jego nazwisko poniewierało się po afiszach. Poddawa się, biorąc przed wojną udział w różnych przedstawieniach amatorskich na cele dobroczynne, a po wojnie, kiedy takich przedstawień już nie organizowano, bawiła się magnetofonem, nagrywając na taśmę różne sceny z wielkich dzieł, których nigdy nie było jej dane zagrać naprawdę. Przez cztery lata spędzone w domu ojca (od 1941 do 1945), dzięki rozmowom z matką, wspólnej lekturze dzieł dramatycznych, więcej nauczyłem się i lepiej rozwinąłem się umysłowo, niż przez piętnaście lat pobytu u Kawki. Ale natura ciągnie wilka do lasu. Brak mi było w tym porządnym i solidnym domu podniecających awantur i rozpraw nożowniczych, na które napatrzyłem się u boku Jana Kawki, brak było podniecających „skoków” i wypraw złodziejskich. Toteż często, pod koniec wojny coraz częściej zacząłem wymykać się na bazar Kercelego, gdzie Kawka prowadził melinę paserską z zegarkami. Tam poznałem całą śmietankę złodziejską ówczesnej Warszawy. Matka nic o tym nie wiedziała, była przekonana, że chodzę na lekcję języka angielskiego, albo na nielegalne komplety gimnazjalne. Sam nie kradłem, bo nie potrzebowałem pieniędzy, ale słuchałem jak inni mówili o udanych kradzieżach, przyglądałem się jak Kawka fałszował znaki fabryczne „na kradzionych zegarkach, jak podrabiał próby złota, czasami

mu dla sportu w tym pomagałem. Tam też poznałem Raka...

– Kogo? – wykrzyknęli jednocześnie obaj oficerowie.

– Raka. Nie wiem czy to było jego nazwisko, czy pseudonim, w tamtych czasach i w tamtym środowisku o takie szczegóły nie było zbyt bezpiecznie pytać – wyjaśnił Teofil Remowicz zdziwiony ich gwałtowną reakcją.

– Proszę mówić dalej – pohamował się kapitan, tylko nerwowe bębnienie palcami po biurku wskazywało, jak bardzo przejął się tym, co usłyszał przed chwilą.

– Rak podawał się za oficera jednej z podziemnych formacji. Rzeczywiście chodził zawsze z bronią i miał dużo pieniędzy. Kiedy zaproponował mi wstąpienie do swojego oddziału, przyjąłem chętnie propozycję. Wkrótce potem wyjechaliśmy z rodzicami na wakacje do Spały (mój ojciec prowadził wówczas na spółkę z inżynierem Henrykiem Zgorzelskim prywatny zakład optyczny), a w tydzień po naszym wyjeździe wybuchło powstanie warszawskie. Nie wiem jakich wyczynów dokonał Rak ze swoim oddziałem w powstaniu, nawet nie wiem czy w ogóle brał w nim udział. Po wyzwoleniu Rak nie ujawnił się, tylko kontynuował swoją działalność, która jak później dopiero zrozumiałem, miała coraz mniej wspólnego z partyzantką, a coraz więcej ze zwykłym bandytyzmem.

Mój ojciec od razu po wyzwoleniu zerwał z prywatnym handlem i oddał się na usługi Ministerstwa Przemysłu, gdzie z miejsca otrzymał wysokie stanowisko jako bardzo poszukiwany wówczas fachowiec od aparatów precyzyjnych. Tamże otrzymał pracę inżyniera Zgorzelski. Sklep ich przejął brat inżyniera, pan Mirosław Zgorzelski, który go przeniósł z biegiem czasu na Nowy Świat i wyspecjalizował w kierunku jubilersko-złotniczym.

Teofil zamilkł na chwilę, jak by szukając straconego wątku. Zawieja zdecydował mu się pomóc:

– Czyli tego napadu na ambulans dokonał oddział Raka?

Teofil skinął głową: – Nie był to pierwszy, ani ostatni napad tej grupy po wyzwoleniu. Po wyroku, zostałem, jak panu wiadomo, odbity przez współników. Ojciec na wiadomość o tym, co się stało, natychmiast rozpuścił wiadomość wśród sąsiadów, że zginąłem od wybuchu niewykrytej miny. Wystarał się nawet o fikcyjny akt zgonu, o co nie było wtedy trudno. I znów jak po moim urodzeniu największą jego troską było nie to, co zrobić ze mną, jaka czeka mnie przyszłość, tylko jak samemu uchronić się przed osławieniem i utratą dobrego imienia, na czym mu u progu kariery w nowej Polsce szczególnie zależało. Jego zabiegi były o tyle ułatwione, że przy adopcji w roku 1941 nie zmieniłem nazwiska, tylko pozostałem przy dawnym, Remowicz. Kiedy

Kawka zawiadomił go na moją prośbę, że znajduję się w bezpiecznym miejscu, w pewnym klasztorze, którego przełożeni byli powiązani z formacją wojskową, do której należał oddział Raka, ojciec przyjechał do klasztoru i po burzliwych wyrzutach i licznych naganach polecił mi tam dalej pozostać. „Trzeba poczekać – przekonywał mnie – albo się ten ustrój nie utrzyma i wtedy wszystko pójdzie w niepamięć, albo też utrzyma się, a wówczas na pewno przyjdzie kiedyś jakaś amnestia”. Odtąd zostałem w klasztorze w przebraniu zakonnika. Ponieważ mój pobyt tam, który wydawał się początkowo tylko sprawą miesięcy, zaczął się przedłużać, zacząłem na życzenie ojca przerabiać przy pomocy zakonników kurs gimnazjum, a potem i liceum. W ten sposób upłynęło dziesięć lat. Dziesięć lat – a więc tyle samo, na ile zostałem skazany przez Sąd Wojskowy! Pisałem do ojca listy, błagałem, aby mi pozwolił wyjść z klasztoru i oddać się w ręce władzom – nie pozwalał. Nadzorował mnie Jan Kawka, który przeniósł się do Krakowa i przedzierzgnął się w solidnego kupca i przemysłowca. Hamował mnie wreszcie własny strach przed zemstą kompanów... i co tu skrywać, przed władzami bezpieczeństwa. Wreszcie pilnowali mnie i zakonnicy, którym nie śpieszyło się do ujawnienia mego prawdziwego charakteru. Tak, tak – są ludzie, którzy tyranizują innych; podłością, mój ojciec był gotów złożyć każdego

człowieka w ofierze dla obrony swego dobrego imienia i honoru.

Zawieja ze współczuciem popatrzył na tego zgarbionego i przedwcześnie postarzałego mężczyznę i podsunął mu papierosy.

– Zakonnicy nie palą – uśmiechnął się gorzko. – Przez szereg lat Raka nie widywałem – podjął po chwili swą spowiedź – pojawił się dopiero wiosną 1954 roku i to nie sam, lecz w towarzystwie Jana Kawki i Mirosława Zgorzelskiego. Odbyli dłuższą naradę u przeora, potem na pół godziny wpadli do mojej celi. Nie wiem o czym radzili z przeorem, ale odtąd zaczęli się pojawiać w klasztorze jacyś dziwni ludzie. Od czasu do czasu zajeżdżały zagraniczne samochody, najczęściej austriackie. Wtedy wszyscy braciszkanie mieli zakazane wchodzić do starej kaplicy i przylegającego podwórca. Mnie zaczęto stawiać na straży przy drzwiach wiodących do kaplicy. Domyśliłem się w tym ręki Raka. Z zasłyszanych ułamek rozmów, z półsłówko w Raka i Kawki domyśliłem się, że klasztor stał się punktem etapowym jakiejś kontrabandy. Podejrzywałem nawet jakąś robotę szpiegowską. W 1955 roku przeżyłem gorące chwile. Pod murami klasztoru została zabita jakaś kobieta. Milicja przetrząsnęła cały klasztor – był wielki krzyk z tego powodu w zachodnim radio – spędziłem, całą dobę w ukryciu, w niezbadanych lochach klasztoru; Brat furtian mówił mi, potem, że kobieta ta nieraz

bywała w klasztorze, wpuszczana do zebranych w kaplicy za okazaniem specjalnego znaku rozpoznawczego. W krótki czas po tym wydarzeniu odwiedził mnie mój ojciec. Był zgnębiony i przerażony: odkrył w swoim przedsiębiorstwie (pracował wtedy już jako naczelnik w Biurze Importu Urządzeń Precyzyjnych) poważne nadużycia. Polegały one, jak mi mówił, na tym, że pod przykrywką oficjalnych transakcji Biura sprowadzono do kraju wolnocłowe przesyłki zegarków szwajcarskich, które rzucano na czarny rynek. Kiedy powiadomił o tym inżyniera Zgorzelskiego, który go ściągnął do tej instytucji, w której już od roku był zastępcą naczelnego dyrektora, ten brutalnie zagroził mu denuncjacją w mojej sprawie, jeżeli zrobi ze swego odkrycia jakiegokolwiek użytek. W kilka dni po tej dramatycznej rozmowie Zgorzelski awansował ojca na stanowisko dyrektora handlowego. Ojciec znalazł się w potrzasku, choć początkowo nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów i systematyczności procederu tej szajki. Raz jeszcze zaproponowałem, że się oddam władzom, ale ojciec nie chciał o tym słyszeć. „Idą wielkie wydarzenia polityczne – mówił – i na pewno będzie jakaś wielka amnestia. Musisz jeszcze poczekać”. Dosłownie drżał na myśl o skandalu, jaki wybuchnie, gdy się ujawnię. Tymczasem banda omotywała go systematycznie. Wciągnęli do współdziałania siostrę matki, Szmytową, która poprzednio wiecznie tkwiła w długach u ojca, wydając bardzo wiele

pieniędzy na utrzymanie swych kochanków, których ze względu na starszy wiek mogła zyskiwać już wyłącznie za pieniądze. Stało się to dodatkowym narzędziem szantażu wobec ojca, w miarę jak banda coraz częściej zmuszała go do milczenia, a on sam uzyskiwał coraz pełniejszy obraz jej działalności. Kiedy się przekonał, że kilka przesyłek przyszło z zagranicy na jego nazwisko, zabrał do domu wszystkie swoje blankiety, pieczętki i stemple, pragnąc utrudnić przestępcom fałszowanie jego podpisów i zleceń. Wkrótce z przerażeniem zaczął otrzymywać wyciągi z konta PKO otwartego na jego nazwisko, na które dokonywano wielkich wpłat z nieznanym mu źródła i z nieznanym przeznaczeniem. Na nieszczęście wiosną 1957 roku ojciec mój został odznaczony wysokim orderem za długoletnią pracę. Pisano o tym w gazetach, robiono z ojcem wywiady. Sytuacja tego chorobliwie ambitnego człowieka stała się rzeczywiście nieznośna: z jednej strony powszechne uznanie, jak najlepsza opinia, perspektywy kariery, z drugiej zaś bagno przestępczości, z którego sam co prawda nie czerpie żadnej korzyści, ale w którym powoli i systematycznie pogrąża się coraz głębiej. W tej sytuacji ojciec ponownie zagrał na zwłokę, polecając mi czekać, aż wymyśli jakieś wyjście z powstałej sytuacji. Widziałem jednak, że po prostu odkłada fatalną w skutkach dla swojej opinii decyzję, sam nie wiedząc na co właściwie czeka. Sam zaś miałem za mało woli i odwagi, aby

podjąć za niego niezbędną decyzję. Dziesięć lat systematycznego łamania mojej woli w klasztorным reżimie i systemie wychowawczym także nie przeszło bez śladu. Byłem posłuszny. Posłuszny i tchórzliwy. Jaką, okropną cenę musiałem za to wkrótce zapłacić.

Pochylił głowę na piersi, żeby ukryć wzruszenie,, które ponownie okazało się silniejsze od niego. Kapitan popatrzał nań z litością. Tak, ten człowiek n i e mógł zdobyć się na decyzję. Był to już tylko strzęp człowieka, z zupełnie przełamanym kręgosłupem.

– Kiedy dowiedział się pan o śmierci rodziców?

– W kilka dni po ich śmierci powiadomił mnie o niej Jan Kawka, mówiąc, że ojciec mój zabił matkę – głos jego zadrgał ponownie – a potem popełnił samobójstwo.

– Czy uwierzył pan Kawce?

– Nie. Uwierzyłem, gdyby ojciec sam popełnił samobójstwo, W sytuacji, w jakiej się znalazł, mógł wybrać taką rozpaczliwą drogę ratowania swego honoru. Ale nigdy nie uwierzyłem, że zdecydował się przy tym zabić ją... Kiedy już minął pierwszy szok wywołany katastrofą, powiedziałem o tym Kawce otwarcie.

– I co na to Kawka?

– Objął mnie i zaczął błagać: „Lepiej uwierz, Teoś – prosił – lepiej uwierz”. On mnie, wie pan, na swój złodziejski sposób lubi i jest do mnie przywiązany.

Zacząłem wówczas nieprzytomnie krzyknąć, że jak się dowiem, kto j ą zabił, wówczas sam zabiję mordercę. Dostałem jakiegoś ataku nerwowego. Zatykał mi usta zmuszając do milczenia, szeptał, że i moje życie może być zagrożone, jeśli nie będę rozsądny, to znaczy jeśli nie przyjmę za dobrą monetę tego, co mi zakomunikowano. Wreszcie przestrzegł przed jakimś „szefem”, z którego woli wszystko się dzieje i który miażdży bez litości, kto mu staje na drodze. „Ja sam się go boję, Teoś – przekonywał mnie – bądź rozsądny. Jeszcze trochę, a cały ten przeklęty kram się zwinie. Im już życia nie wrócisz, a sam głową możesz zapłacić...”.

– Czy ten „szef”, to Rak? – spytał Zawieja wymieniając szybkie spojrzenie z Niedzielskim.

– Nie. Na pewno nie Rak. Kawka nigdy przedtem Raka wobec mnie nie nazywał szefem. W ogóle, o ile sobie przypominam, po raz pierwszy usłyszałem wtedy, że jakiś „szef” istnieje.

Zawieja ważył przez chwilę coś w myślach: – Czy poza Rakiem i Kawką widywał pan jeszcze kogoś w klasztorze?

– Owszem, obu Zgorzelskich. Częściej zresztą jubilera. Poza tym licznych cudzoziemców przyjeżdżających samochodami. Cudzoziemcy ci zresztą zmieniali się co pewien czas. Wreszcie różne ciemne typy, jak ta zabita, które przychodziły czasami wtedy, kiedy w

kaplicy odbywało się spotkanie bandy z cudzoziemcem.

– Organizatorzy kolportażu – mruknął Zawieja i z zafrasowaną miną potarł podbródek – czyli nikogo takiego, kto by pasował pod miano szefa, pan tam nie spostrzegł?

– Nie. Chyba, że był nim któryś z cudzoziemców.

– To nieprawdopodobne, sam pan mówił, że zmieniali się co pewien czas. A czy spotkał się pan z pseudonimem Czarna Rączka? – spytał z kolei szukając między papierami paczki Giewontów. Teofil milczał, jak by się namyślał.

Kiedy jednak milczenie to przeciągnęło się niezwykle długo, kapitan znalazłszy wreszcie papierosa podniósł zdziwiony wzrok na siedzącego przed nim. Twarz miał ściągniętą grymasem ni to bólu, ni to odrazy, patrzył na kapitana z jakimś dziwnym natężeniem, jak by w jego wnętrzu toczyła się teraz straszliwa walka. Obaj z Niedzielskim wyczuli, że za chwilę stanie się coś niezwykłego. Kapitan odruchowo sięgnął do odsuniętej szuflady, w której leżał odbezpieczony pistolet. Remowicz z wysiłkiem wstał z krzesła, cała krew uciekła mu z twarzy i niemal nieruchomymi wargami powiedział:

– Ja go zabiłem!

Po czym ciężko, jak wór piasku, zwałił się na biurko kapitana.

3.

Szosa była wysadzona starymi topolami, których liście czerwieniły się już pierwszym rumieńcem jesieni. Granatowa Warszawa grała rytmicznie wszystkimi pięćdziesięcioma kołmi mechanicznymi. Żadnych skrzyżowań z czerwonym światłem! Żadnych milicjantów kierujących ruchem! Toteż Jurek Piskorz był radosny jak szczygieł i całkiem miłym tenorem wyśpiewywał na melodię „Siekiera, motyka” utwór zasłyszany na jakiejś „hochmie” na Ochocie:

*Wieczorem na stawie rodzina kacza
Kaczy kuper w wodzie macza,
Bo w tym cała rzecz i sęk,
Żeby kaczy kuper zmiękł!*

Sierżant Niedzielski siedział na tylnym siedzeniu obok kapitana Zawiei, który z przymkniętymi powiekami sprawiał wrażenie człowieka drzemającego, lub głęboko nad czymś dumającego.

– Jakie ma podsinione oczy – zauważył ze współczuciem Niedzielski. Kapitan jakoś zmarniał przez ostatnie dni. Całe szczęście, że teraz już zdaje się wszystko zmierza do szczęśliwego końca. Czy szczęśliwego? – pomyślał z niepokojem.

– Towarzyszu kapitanie – dotknął lekko ramienia Zawiei.

- Tak? – otworzył oczy Zawieja.
- Mam nadzieję, że was nie obudziłem?
- Nie, nie spałem. Choć przydałoby się, bo w ciągu dwóch ostatnich dni, prawie oka nie zmrzyłem. A o co chodzi, mały?
- Ja, towarzyszu kapitanie – zaczął z wahaniem Niedzielski – muszę się wam do czegoś przyznać.
- No? – z udaną surowością zapytał Zawieja. – Spowiadaj się z tego, coś nagrzeszył...
- Widzicie, towarzyszu kapitanie, ja mimo wszystko poszedłem do Centrali Telefonów, żeby sprawdzić ten podsłuch aparatu profesora Werhara.
- Jesteś uparty jak wielbłąd – zaśmiał się Zawieja.
- No i czego się tam dowiedziałeś?
- Niczego. Dyżurujący oficer wyprosił mnie po prostu za drzwi.

Od strony kierownicy rozległo się podejrzone ni to prychnanie, ni to kichanie.

– Ja myślę, że cię wyrzucił! Ładnie by wyglądali, gdyby mieli udzielać informacji każdemu oficerowi dochodzeniowemu, któremu by to do głowy strzeliło...

Sierżant magister Niedzielski poczerwieniał, chwilę zastanowił się czy ma mówić dalej, ale w końcu powiedział:

- Ale ja i tak nie zrezygnowałem, towarzyszu kapitanie.
- I co zrobiłeś? Mam nadzieję, że to nie było jakieś głupstwo?

– Ja powiedziałem o tym majorowi Rydłowi z MSW, kiedy odnosiłem mu zeznania Teofila i on obiecał sprawdzić centralę „po swojej linii”.

Zawieja nie był zadowolony z tej inicjatywy podjętej za jego plecami, ale widząc szczerze zmartwioną twarz Niedzielskiego machnął lekceważąco ręką:

– Ech, ostatecznie nic się nie stało. Rydel na pewno odłoży całą rzecz do szuflady, a obiecał ci, bo nie chciał cię zniechęcać. Wierz mi, to naprawdę nie ma żadnego sensu.

Jurek nacisnął na ogon swojej Warszawy i samochód śmignął jak strzała wyrwawszy się na długi odcinek prostej szosy. W odległości kilometra za nimi jechał inny samochód, szarego koloru, który po chwili także przyspieszył biegu.

Okolo południa minęli Radom, zaś pora obiadowa zastała już ich w Kielcach.

– Panie naczelniku, może zrobimy przerwę, żeby coś wrzucić na ruszta? – błagalnie zapytał Jurek Piskorz.

– Naprzód! – odpowiedział bezlitosny kapitan – najesz się w Krakowie, to jeszcze tylko dwie godziny, z głodu nie umrzesz...

– Ciekaw jestem – podjął po chwili Niedzielski – czy Barski zdąży do naszego przyjazdu zrewidować wóz Homolacza?

– Leciał wczoraj samolotem, więc miał wieczór i cały dzisiejszy dzień do dyspozycji – zastanowił się Zawieja – co prawda takie poszukiwanie, to praktycznie biorąc rozmontowanie całego nadwozia. Nie będzie tragedii, jeśli nawet nie zdążył.

– Myślę, że Homolacs oprócz srebra musiał coś jeszcze przemycać, przecież to już likwidacja bandy...

– B i t? – domyślił się kapitan.

– Ano, właśnie.

– Zapominasz, że istnieje jeszcze samochód Mirosława Zgorzelskiego, który wybiera się nim do Brukseli – przypomniał kapitan. – Jestem zupełnie spokojny o to, że b i t Czarnej Rączki odnajdzie się, jak nie w jednym, to w drugim wozie... Jurek – przypomniał sobie – jak tam twoje kiszki? Do Krakowa wytrzymają?

Piskorz ponuro ruszył ramionami, już od kwadransa nie śpiewał swoich piosneczek:

– Co ja tutaj mam do gadania, panie naczelniku? Był rozkaz? Był. A rozkaz – nie gazeta, nie ma co nad nim dyskutować...

* * *

– ...miała taką długą suknię, u góry całkiem nic, a u dołu klosz – opowiadał Jurek Piskorz wrażenia z widzianego ostatnio filmu „Kochanek o północy” – włosy miała utlenione, a rzęsy wymalowane h i e n ą ...

– Czym? – zdziwił się sierżant Niedzielski.

– To miało być „henną” – wyjaśnił kapitan Zawieja.

– No przecież mówię, że h i e n ą – ruszył niecierpliwie ramionami Jurek – jak pan sierżant trochę podrośnie, to też będzie wiedział, czym kobiety rzęsy malują!

Niedzielski miał poczucie humoru, więc skwitował impertynencję szofera porozumiewawczym mrugnięciem pod adresem Zawiei. Zbliżali się już do Krakowa i myśli Jurka skierowały się mimo woli do miejsca przyszłego postoju.

– Gdzie będziemy mieszkać, panie naczelniku, w danym Krakowie?

– My z panem Niedzielskim u Pollera, a ty w Staremiejskim.

– To nie razem? – spytał z zawodem w głosie mistrz kierownicy.

– Nie, nie razem. I nawet nas nie podwieziesz pod sam hotel, tylko wysadzisz przed dworcem. Jesteśmy, rozumiesz, zwykłymi podróżnymi, którzy przyjechali do Krakowa z Łodzi. A ty jesteś kierowcą, który przywiózł służbowo swego dyrektora do Nowej Huty i czeka na jego powrót z delegacji służbowej, żeby odwieźć go do Warszawy.

– No, to teraz rozumiem już, dlaczego zmieniliśmy numer naszej Warszawy.

– Lepiej późno, niż wcale – dogryził mu Niedzielski,

ale Jurek pokrył zaczepką lekceważącym milczeniem.

– Nie mogę się wyzwolić od myśli o Teofilu – powiedział w pewnej chwili Zawieja – przecież to, co ten człowiek przeżył, to istny koszmar.

– Wie towarzysz, mnie też szkoda Teofila – wyznał Niedzielski. – O ile lepiej zrobiłby wówczas, gdyby nie uciekał i odbył karę.

– Hm, ba! Rehmowie żyliby dotąd, sam Teofil od dawna byłby na wolności, bo i termin kary by dawno minął i nie obesłoby się bez amnestii po drodze. A teraz co? Dziesięć lat murowane.

– Dziesięć lat? – zmartwił się Niedzielski, który żywo współczuł Teofilowi.

– A co myślisz? Zabójstwo pozostaje zabójstwem. A przecież i stara sprawa wcale jeszcze nie wygasła i pośredni udział w działalności „Vesty”. Dziesięć lat to minimum, jeśli sędziowie uwzględnią wszystkie okoliczności łągodzące.

– Przecież to w gruncie rzeczy nie jest zły człowiek – wtrącił sierżant.

– Cóż z tego, kiedy słaby jak szmata. Tak zwana dobroć skrzyżowana ze słabością może narobić nie mniej szkód niż zdecydowana złość. Zabicie Czarnej Rączki to był jednorazowy, histeryczny zryw energii. Zresztą widzisz jak po tym czynie wygląda? Właściwie powinien w tej chwili znajdować się nie w naszym areszcie, a w klinice. Co prawda, nawet to zabójstwo

podobne było do polowania z nagonką. Rak i Henryk Zgorzelski wiedzieli co robią dając mu pistolet ojca i pozostawiając go, sam na sam, z Czarną Rączką, o którym wiedział (też od nich), że jest zabójcą jego rodziców. Widzę tę całą scenę bardzo plastycznie: Teofil czeka w lesie pod Otwockiem, podczas gdy obaj kompani jadą z Czarną Rączką do meliny Grubego Kazka. Wiedzą, że nie uciekną, przyjechał przecież do nich domagać się wyjawienia prawdy o śmierci swoich rodziców. „Zaczekaj tutaj – mówią mu – jak wrócimy, powiemy ci kto ich zabił”.

– Nie, oni mu powiedzieli dokładnie, że przywiozą ze sobą zabójcę jego rodziców – prostuje Niedzielski.

– Wyobraź sobie teraz tego neurastenika, na pół psychopata, jak przez godzinę chodzi po lesie ściskając w kieszeni kolbę pistoletu. Jak przygotowuje się do spotkania z człowiekiem, który zabił. Jakie koszmarnie dialogi prowadzi sam z sobą, jak umacnia się w postanowieniu zabicia go. Jak stopniowo dochodzi do stanu wrzenia, do pogranicza nieprzytomności, do skrajnej obłądnej manii. A przecież ta godzina to tylko ukoronowanie tygodni mąk i szarpania się w samotnej celi klasztornej. Przecież sam fakt, że po tylu latach zdobył się na ucieczkę z klasztoru, że przybył do Warszawy i odszukał dawnych współników, świadczy o tym, że burza wzbierała w nim od dawna, że to co wykrzyczał w pierwszym ataku Janowi Kawce, „że zabije mordercę” stopniowo przerodziło się w nim w natrętny,

kategoryczny imperatyw. – Kapitan rozkłada bezradnie ręce: – Nie potrafię tego tak dobrze wyrazić w słowach, ale ja to czuję, doskonale mogę sobie wyobrazić. To był pasjonujący temat dla psychologa, na przykład dla Werhara...

– Oni go chyba specjalnie zostawili w lesie, żeby ta burza w nim dojrzała – gorączkuje się Niedzielski, ale kapitan jest sceptyczny i bardziej realistyczny.

– Nie przypuszczam, żeby byli aż tak wyrafinowani. Sądzę raczej, że po prostu nie chcieli, aby Teofil był świadkiem odbierania b i t u Grubemu Kazkowi, wtedy bowiem mogło się wydać, że Czarna Rączka jest ich niewiernym współnikiem, a to mogłoby wzbudzić w Teofilu uzasadnione podejrzenia, czy oskarżenie go o zabójstwo jest prawdziwe. Już wtedy, jak tylko przyjechał do nich, musiał mieć szaleństwo wypisane na czole. Przecież jeszcze dzisiaj nie sprawia wrażenia człowieka całkiem normalnego i zrównoważonego. Kiedy nieoczekiwanie zjawił się u nich, po pierwszym zaskoczeniu musiał ktoś z nich wpaść na pomysł wyzyskania jego furii dla sprzątnięcia Czarnej Rączki, którego zdrada musiała być im wcześniej znana. Nie wykluczam, że to był pomysł samego „szefa”, bo chwyt, trzeba przyznać, jest nieszablonowy i bardzo sprytny. W ten sposób Teofil nie tylko uwalnia ich od Czarnej Rączki – to by potrafili sami zrobić – ale jeszcze ściślej uzależnia się od nich. Być może, że słabość, jaką czuł do Teofila Jan

Kawka, oraz powiązania, jakie mieli z Joanną Szmytowa, która przez pamięć dla siostry mogła czuć się bliska Teofilowi, powstrzymywała ich od załatwienia się w identyczny sposób z Teofilem. A może po prostu zdecydował tu wzgląd czysto praktyczny: dwa trupy w bliskim okresie czasu, to dwa razy więcej śladów i podwójna szansa wsypy. A zależało im na tym, żeby likwidacja intratnej szajki dokonała się możliwie bez własnych strat.

– Ale przy tym ryzykowali, że Teofil nie zastrzeli Czarnej Rączki, że w ostatniej chwili załamie się lub wręcz rzuci się z bronią na nich – zgłasza uzasadnione zastrzeżenia sierżant magister.

– Niczym nie ryzykowali. Wtedy znaleźlibyśmy dwa trupy, zamiast jednego – mówi zimno kapitan. – Pamiętaj, że Teofil miał tylko jeden nabój w lufie. Od tego naboju o wiele dla nich niebezpieczniejsze było to, że w ogóle zjawił się w Warszawie, w takim stanie umysłu. Zresztą, kto może gwarantować, że w planach „szefa” nie leżało sprzątnięcie Teofila w ostatnim momencie, w takim jak na przykład dzisiejszy? Klasztor ma tyle schowków i kryjówek w podziemiach! Ale na pewno wtedy, kiedy zaczęliśmy im energicznie deptać po piętach, kiedy poczuli, że może być krucho, nie leżało w ich interesie ułatwiać mi zawarcie znajomości z Teofilem, poznanie jego osoby nawet poprzez jego zwłoki.

Jechali dłuższą chwilę milcząc, słuchając w ciszy

śpiewnego gwizdu opon muskających asfalt. Każdy z nich przetrawiał wspomnienia z wczorajszych wyznań Teofila Remowicza.

– Więc jednak naczelnik Kowalski musiał pomylić się z alibi inżyniera Zgorzelskiego? – przypomniał sobie po chwili Niedzielski.

– Mój drogi – ruszył ramionami Zawieja – taka konferencja mogła mieć rzeczywiście miejsce danego dnia. Potwierdza to także sekretarka wicedyrektora – tylko starszy pan poplątał godziny. Wystarczyłoby, żeby konferencja w parku Ujazdowskim skończyła się przed jedenastą, a jemu wydawało się, że trwała aż do pierwszej.

Niedzielski nie mógł mu odmówić racji, szczególnie, że alibi ustalali w kilkanaście dni po zdarzeniu. Zawieja zapalił Giewonta i wrócił znów do tematu, który zdawał się go nurtować najbardziej:

– Wracając do Teofila, na potwierdzenie chorobliwego stanu jego umysłu w czasie popełnienia zabójstwa, który, mam nadzieję, sędziowie uznają za okoliczność łagodzącą, trzeba przypomnieć dziwaczny sposób, w jaki zachowuje się po zabójstwie.

– Rzeczywiście – podchwycił Niedzielski – podczas kiedy Rak i Zgorzelski zaczynają zacierać ślady i skrapiają cały teren benzyną z olejem, aby utrudnić ewentualne tropienie naszym psom śledczym, Teofil spokojnie i pedantycznie czyści pistolet, zawija go w gazetę,

którą ma w kieszeni, a którą poprzedniego dnia przyniósł do klasztoru Jan Kawka.

Kapitan kiwnął głową: – Pamiętasz, że na moje pytania nie potrafił udzielić zadowolającej odpowiedzi, dlaczego tak właśnie postępował. Mówił tylko, że nie mógł siedzieć spokojnie, musiał coś robić, ogarnięty przemożnym niepokojem ruchowym. Dopiero kiedy zapakował pakiet z pistoletem, odczuł nagle głęboką ulgę, jakąś pustkę wewnętrzną, graniczącą z osłupieniem. Muszę zapytać Werhara, jak się nazywają takie stany w psychopatologii.

– I dalej, towarzyszu kapitanie – żywo podejmuje wątek jego myśli sierżant magister – kiedy Rak i Zgorzelski zajmą się ukrywaniem trupa Czarnej Rączki w bagażniku samochodu, polecili mu pójść do odległego o dwieście kroków jeziora i zatopić w nim pistolet, Teofil także postępuje jak we śnie, nielogicznie. Z początku idzie posłusznie lasem we wskazanym kierunku, kiedy zaś już znikł im z oczu, skręca w lewo, ku szosie, przechodzi na drugą stronę drogi, idzie rowem przydrożnym, gdzie każdy mógł go zobaczyć, po czym dopiero po przejściu stu metrów rowem skręca ponownie w las, ale wcale nie topi pistoletu (co było w jego sytuacji, jedynie słuszne), lecz zakopuje go pod dębem. I to jego wyjaśnienie – kręci głową Niedzielski – „było mi go żal, pamiętam, iż myślałem sobie, że może mi się jeszcze przydać”. Zapomniał biedak nawet, że pistolet

nie miał ani jednego naboju, czyli był tyle wart co kawałek żelaza! Dopiero po zakopaniu pistoletu zatacza łuk, idzie lasem znów sto metrów, potem polem na przełaj do szosy, którą przecina i wraca do swoich kompanów przy samochodzie. Co za szczęście, że ani Rakowi, ani Zgorzelskiemu nie przyszło wtedy do głowy śledzić, jak wypełnia ich polecenie! Poczynając od szosy idzie pozostałe pięćdziesiąt metrów terenem skropionym przez Raka benzyną z olejem i dlatego Tumry stracił jego ślad już na szosie. Ale co za dziwny traf, towarzyszu kapitanie, że pod osłoną nocy bandyci porzuciło ciało akurat w tym samym miejscu, gdzie Teofil skręcił z rowu w stronę dębu!

– A może wcale nie traf – kręci z namysłem głową Zawieja – może tylko zbieg okoliczności. Pamiętaj, że w tym samym miejscu przed tygodniem popełniono zabójstwo szofera taksówki warszawskiej. W ten sposób stwarzali sugestię, że chodzi tu o tę samą serię zabójstw nie mających nic wspólnego z „Vestą”.

– Za tym przemawiałoby także to, że zabito go z pistoletu wojskowego, a nie z pistoletu typu „Vesta” – dorzuca nowy argument sierżant, który w lot chwytą kierunek myśli kapitana. Zawieja patrzy na niego z uznaniem – łebski chłopak, ani słowa!

– Fakt, że mieli przy sobie klejnoty, sprawił, iż polecili poprzedniego dnia jechać Homolacowski do Warszawy przez Otwock. Zawsze bezpieczniej przewozić

było b l i t samochodem zagranicznego turysty niż własnym. Nie mogli mieć również pewności, że Gruby Kazek nie zawiadomi milicji. Było to mało prawdopodobne, bandyci tego prawie nigdy nie robią, ale tak doświadczeni przestępcy musieli i tę okoliczność brać w rachubę.

– Ale że się nie bali tak dziesięć godzin stać w lesie z trupem Czarnej Rączki w bagażniku? – pokręcił głową Niedzielski.

– Dlaczego? To było bardzo rozsądne. Przede wszystkim nie pozostali w tym samym miejscu, tylko, jak zeznał Teofil, odjechali kilometr w głąb lasu. Wiesz jednak, jak uczęszczane są lasy otwockie. Ryzykowaliby dopiero wtedy, gdyby zaczęli zakopywać zwłoki w biały dzień. Ale trzech panów na wycieczce samochodowej w lesie? To nie mogło nikogo zdziwić. Żaden milicjant nie zwróciłby na nich uwagi. Mogli bezpiecznie pozbyć się zwłok tylko pod osłoną nocy. A ponieważ mieli tu spotkanie z Homolacsem, mogli to zrobić tylko w ostatniej chwili, już po przekazaniu b l i t u Homolacsovi, bo wcześniejsze porzucenie zwłok groziło przedwczesnym alarmem w razie ich odkrycia i poważnie utrudniłoby odwrót całej paczki do Warszawy, gdyż mogli się spodziewać natychmiastowej obławy. Tylko szczęśliwy traf z tymi traktorzystami sprawił, że alarm został wszczęty już w kilka minut po ich odjeździe.

– Ależ traktorzyści twierdzili, że samochód Homolacsa zatrzymał się dokładnie w tym miejscu, gdzie znaleziono zwłoki, zaś samochód Zgorzelskiego stał o sto metrów dalej? – przypomniał sobie Niedzielski. – Dlaczego więc Homolacs zatrzymał się przy zwłokach? Bo ostatecznie rozumiem, że natychmiast po porzuceniu zwłok Rak i Zgorzelski woleli na wszelki wypadek odjechać trochę dalej z tego miejsca.

Zawieja namyślał się chwilę nad tym godnym uwagi zarzutem, wreszcie powiedział: – Teofil twierdzi z całą pewnością, iż Homolacs zatrzymał się tuż za ich samochodem i że zaraz po wręczeniu pakietu oba samochody ruszyły natychmiast do Warszawy. Pozostaje przyjąć, że traktorzyści źle oszacowali odległość, co w ciemnościach wcale nie jest rzeczą dziwną. Pamiętaj, że samochód „z wielkimi światłami pozycyjnymi” już ruszał, kiedy oni wyjechali spoza zakrętu.

– Wie towarzysz, co mnie jeszcze intryguje? – powiedział Niedzielski, któremu tłumaczenie kapitana wydało się prawdopodobne.

– No? – zachęcająco spytał kapitan.

– Dlaczego nie było samochodu Zgorzelskiego wśród samochodów ustalonych w czasie obławy.

– Tak – zgodził się kapitan – to jest bardzo interesująca zagadka. Teofil niestety zasnął w drodze i obudził się dopiero w Warszawie, skąd ciupasem odstawiono go pod eskortą z powrotem do klasztoru. Albo jechali

inną drogą, na której udało się im uniknąć obławy, albo... Ustalimy to już zresztą w trakcie przesłuchań całej bandy.

– Melduję, że jesteśmy w Krakowie – odezwał się Jurek Piskorz, który nie biorąc udziału w tej całej długiej rozmowie, chciwie jednak słuchał wszystkiego, o czym mówili obaj oficerowie.

– No, to znaczy jesteśmy na finiszu „Vesty” – westchnął Niedzielski – jeśli...

– ... jeśli co? – podchwycił kapitan.

– ... jeśli przestraszona zniknięciem Teofila banda, nie zmieni planu i nie dokona ostatniego likwidacyjnego zebrania gdzieś indziej niż w klasztorze.

Zawieja pokręcił głową: – Przemyślałem to i sądzę, że planu nie zmienią. Jeśli nawet nie dadzą się zwieść listowi Teofila, który zapowiedział popełnienie samobójstwa, a który na pewno znaleziono w jego celi, to na kilkanaście godzin, jakie im jeszcze pozostało spędzić w kraju, nie opłaci się im szukać nowego miejsca. Nie tylko nie opłaci się, ale będzie wręcz niemożliwe znaleźć w tak krótkim czasie bezpieczną kryjówkę. Zrozum, że po aresztowaniu inżyniera, oni prowadzą teraz wyścig z czasem i ryzyko zebrania w klasztorze jest dla nich mniejsze, niż ryzyko stracenia jeszcze jednej doby np. na szukanie nowej kryjówki. Ostatecznie wszystko wyjaśni się dziś wieczorem...

W pięć minut po nich roгатki Krakowa przekroczyła szara maszyna marki Warszawa, w której siedziało dwóch mężczyzn.

4.

Pierwsze kroki po przybyciu do Krakowa Zawieja i Niedzielski skierowali, nie jak przedtem planowali do hotelu, lecz do Komendy Wojewódzkiej MO.

– Musimy najpierw zorganizować obstawę naszej akcji w klasztorze – tłumaczył powód tej zmiany kapitan sierżantowi. – Plan ramowy nakreślony z majorem Rydlem w Warszawie musi być tutaj na miejscu przedyskutowany z oficerem, któremu Komendant powierzył dowództwo obstawy... A boję się, że po czwartej godzinie możemy już nie zastać komendanta.

– Będziemy potrzebowali wielu ludzi? – zainteresował się Niedzielski szczegółami pierwszej wielkiej akcji, w której przypadło mu wziąć udział.

– Wielu, nie wielu, ale ze dwadzieścia, trzydzieści osób trzeba będzie dla pełnego otoczenia klasztoru. Zajmie nam ta wizyta około dwóch godzin.

Tymczasem już po kwadransie wychodzili z gmachu Komendy mocno skonsternowani. Ledwo zameldowali się zastępcy komendanta, ten przekazał im kablogram z Warszawy. Była to depesza z MSW:

Zaistniały nowe okoliczności. Plan niewykonalny. Jutro przyjeżdżam. Działajcie w granicach wyłącznie własnych możliwości. Podkreślam: wyłącznie w granicach własnych możliwości. Gratulacje Niedzielskiemu. Rydel – major.

Zastępca komendanta musiał dostrzec osłupienie malujące się na twarzy kapitana, który kilkakrotnie odczytywał nieoczekiwany kablogram, bo z troską zapytał:

– Jakież nieprzyjemne wiadomości, kapitanie?

To wytrzeźwiło Zawieję. Raz jeszcze spojrzął na zdanie: „Działajcie wyłącznie w granicach własnych możliwości”, uśmiechnął się z przymusem i powiedział, że się nie stało nic niezwykłego, po czym wyszedł pociągając Niedzielskiego z sobą.

– Co to wszystko znaczy? – zachodził w głowę Niedzielski drepcząc pospiesznie za kapitanem.

– Coś się tam musiało stać w ciągu ostatnich godzin, to jasne, coś wyszło na jaw takiego – mówił Zawieja ze zmarszczonym czołem – że Rydel uznał, iż działanie przy pomocy krakowskiej milicji jest niepożądane. Ale co to mogło być?

– I co znaczą te gratulacje dla mnie? – spytał Niedzielski usiłując na własną rękę rozwikłać zagadkę depeszy.

– Chwileczkę – wyprostował się nagle kapitan. – „Gratulacje Niedzielskiemu”. Rzeczywiście. Przecież

Rydel nie bez kozery umieścił te słowa w służbowym kablogramie. Czego może ci gratulować major Rydel?

– Towarzyszu kapitanie – chwycił go za rękę sierżant Niedzielski, a może to mój podsłuch w centrali telefonicznej?

– Och, do diabła! – spojrzał na niego zaskoczony – przecież to rzeczywiście jest jedyna sprawa, której może ci gratulować. Ale jaki to może mieć związek z krakowską milicją? – Zawieja podał mu rękę i powiedział życzliwie: – No to i ja ci gratuluję. Okazało się, że to ty miałeś rację, nie ja? Brawo, mój mały!

* * *

W hotelu Pollera pokój był już dla nich zarezerwowany. Major Rydel działał bez pudła. W szafie znaleźli też kompletną instalację radiofoniczną, która pozwalała im przysłuchiwać się wszystkiemu, co się dzieje w sąsiednim pokoju. Na polecenie władz pomieszczono tam Jelenia, człowieka, który chciał szybko i bez pracy stać się milionerem i już za godzinę miał dokonać korzystnej, w swoim mniemaniu, transakcji zegarkowej. Dzięki wyteżonej pracy wydziału porucznika Komisiaka, Zawieja wiedział już od kilku dni nie tylko jak się Jeleń nazywa, gdzie mieszka, czym się zajmuje, lecz także gdzie i o której godzinie ma się spotkać, ile i jakich banknotów podjął z PKO, które obecnie posiadał w

swej walizce z przeznaczeniem do natychmiastowej zapłaty za dostarczone przez bandę zegarki. Prawdę mówiąc Jeleń interesował kapitana niewiele, o wiele bardziej chciał poznać tych, którzy wejdą z nim w kontakt, początkowo „sprzedadzą” zegarki za pół miliona złotych, a potem odbiorą je pozbawiając amatora fortuny pieniędzy i „towaru”.

Punktualnie o godzinie dziewiętnastej usłyszeli pukanie do drzwi Jelenia. Kiedy tylko rozległy się głosy przybyszów, Niedzielski chwycił kapitana za rękę: – To Kawka! – I Mirosław Zgorzelski – również szeptem powiedział kapitan, po czym nakazał mu wzrokiem milczenie. Wysłuchali całej rozmowy bardzo grzecznej i uprzejmej. Słyszeli jak Jeleń rozpakowuje paczkę, jak przelicza zegarki. Kawka, spluwając co chwilę na palce, przeliczał troskliwie banknoty. Trwało to wszystko dość długo. Wreszcie kontrahenci na propozycję Jelenia obalili interes kieliszkiem koniaku i uprzejmie pożegnawszy się wyszli. Przez lekko uchylone drzwi oficerowie obserwowali obu panów jak szybkim krokiem oddalali się w głąb korytarza wysłanego miękkim chodnikiem. Żaden z nich nie spostrzegł, że przez dziurkę od klucza w drzwiach przeciwnego pokoju są z kolei śledzeni przez czyjeś ciekawe oko.

– Tak więc skończył się akt pierwszy dramatu Jelenia. Teraz krótka pauza, po której zacznie się akt

drugi – powiedział prostując się Zawieja. – Panowie Zgorzelski i Kawka w kilka minut stali się bogatsi o pół miliona złotych, a głupi Jeleń cieczy się z posiadania pięciuset nowiutkich zegarków... Słyszysz, jak bałwan grzebie w tym pudełku?

Od chwili odejścia uprzejmych biznesmenów nie upłynęło więcej niż kwadrans, kiedy do drzwi Jelenia ponownie zapukano.

– Kto tam? – usłyszeli drżący głos Jelenia.

– Proszę otworzyć. Milicja!

W pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Niedzielski ścisnął kapitana za ramię:

– Jak to milicja? – spytał półgłosem, wyciągając szyję jeszcze bardziej w kierunku głośnika. Zawieja syknął, nakazując mu milczenie.

– Otrzymaliśmy wiadomości – mówił obcy, męski głos w pokoju Jelenia – że pan skupuje przemycane zegarki...

– Ależ, panie władzo... – jękliwie zaczął Jeleń.

– Nie pytam pana o nic! – ostro przeciął przybysz dyskusję. – Oto moja legitymacja służbowa. Przeprowadzę tutaj rewizję... Proszę stanąć tu pod oknem i nie ruszać się z miejsca...

Z głośnika buchnął krótki ni to szloch, ni to weselniczenie, po czym cisza, w której głucho brzmiały kroki kogoś stąpającego po miękkim hotelowym chodniku. Skrzyknęły drzwi szafy. Znów kroki

– Aha, a co jest w tym kartonie? – głos był przytłumiony, jak by pytający zgiął się do ziemi i w tej pozycji zadawał pytanie.

– Jezusie Nazareński! – jęknął Jeleń, od którego wizja miliona uleciała nagle gdzieś w przestrzeń, ustępując miejsca mniej milej, ale jeszcze realniejszej wizji żelaznych krat.

– Aha, zegareczki!

– Panie oficerze...

– Niech pan milczy i nie rusza się z miejsca!

Szelest kartonu. Odgłos otwieranych tekturowych pudełek.

– Tak, tak – śpiewnie mówi „milocjan”. – Wie pan, co panu za to grozi? Pięć lat, ani grosza mniej. Chyba...

– Chyba?... – podchwycił Jeleń z nadzieją w głosie.

– Chyba, że zdecyduje się pan oddać mi te zegarki bez pokwitowania i bez protokołu rewizji...

– Panie, ależ to czysta grabież! Taki majątek! Ja zawiadomię milicję!

– Proszę bardzo, może pan zawiadamiać. Telefon stoi na stole. Mówimy bez świadków. Nikt nie uwierzy temu, co pan ewentualnie powie przeciwko mnie. A przeciwko panu przemówią te zegarki. Bagatela! – pięćset sztuk zegarków! Pięć lat!

Długie, długie milczenie. Słysząc tylko chrapliwy oddech Jelenia, który dosłownie dusi się ze strachu, chciwości i bezsilnej wściekłości.

- No, co pan ostatecznie wybiera?
- A zabieraj moją krwawicę, ty bandyto! – wybuchła oszalała z żalości niedoszły milioner.
- No, tylko ostrożnie! Bo mogę się rozmyślić i spisać ten protokół!

Zawieja i Niedzielski słyszą, jak przybysz pakuje karton, owija papierem, słyszą nawet szorstki szelest sznurka, którym zawiązuje pakiet. Potem ironicznie: – Życzę panu powodzenia w dalszych interesach – i stuknięcie drzwi.

Wtedy Jeleń wybucha płaczem. Nie, to nie jest płacz, to prawdziwy ryk żubra trafionego w samo serce.

– Teraz – mówi półgłosem Zawieja i przytrzymując za rękaw Niedzielskiego wychyla ostrożnie głowę przez drzwi. Widzi plecy jakiegoś mężczyzny ubranego w sportowy kraciasty płaszcz. Mężczyzna niesie w ręku pokaźny karton. Starając się, aby ich nie zauważył, udają się w tym samym kierunku.

– Żadnego szumu – mówi pośpiesznie kapitan – będziemy go tylko śledzili.

Kiedy dochodzą do schodów – pierwsza niespodzianka – mężczyzna znikł za załomem muru, jak by się nagle roztopił w powietrzu.

– Panie – zatrzymuje Zawieja posługacza – jest tu jakieś drugie wyjście na ulicę?...

– Nie ma – odpowiada zdumiony posługacz – a bo co?

– A nie widział pan takiego pana z paczką?

– Widziałem. Zbiegał ze schodów, jak by się za nim paliło. Aż się zdziwiłem...

Nie dowiedzieli się jednak nigdy czemu się dziwił, gdyż obaj rzucili się w dół ze schodów ryzykując połamanie nóg.

Kiedy wybiegli przed hotel, dojrzeni już tylko tył samochodu, skręcającego w najbliższą przecnicę. Żadnej taksówki, żadnego samochodu nie było w pobliżu!

– Cholera! – zaklął Zawieja – żeby teraz był tutaj Jurek ze swoją Warszawą!

Ale Jurka nie było.

* * *

Jurek Piskorz nie wiedział co ma z sobą zrobić przez cały wieczór w Krakowie.

– Niech pan pójdzie do kina, albo do teatru – radziła mu siwa pani w portierni „Staromiejskiego” hotelu. – Przecież Kraków to miasto sztuki.

– Kiedy mi b u d u a r krakowskich teatrów nie odpowiada – odpowiedział ze zdegustowaną miną i wyszedł z hotelu, pozostawiając zdumioną niewiastę za szklaną szybą. Przed hotelem stała jego Warszawa i Jurek po krótkim namyśle postanowił się trochę przejechać po mieście.

– Żeby ci stawy nie zardzewiały, staruszek – powiedział naciskając z rozkoszą dźwignię rozrusznika. Na placu Mariackim zatrzymały go światła. Czekając z niecierpliwością na zmianę dostrzegł nagle kapitana Zawieję i Niedzielskiego wsiadających do taksówki. Ucieszył się – będzie zabawa! Pojedzie ich śladem, a jutro będzie imponował im tym, że wie wszystko, co robili wieczorem! Nareszcie zielone światło. Taksówka ruszyła pierwsza, Jurek już chciał udać się za nią, kiedy przed nos zajechała mu inna zielona taksówka, do której wsiadło w kilkanaście sekund po Zawiei jakichś dwóch mężczyzn.

– Ach, ty taki, w te i nazad – puścił w myślach kwieciste przekleństwo pod adresem intruza, ale na ciasnych ulicach krakowskiego śródmieścia nie można było myśleć o wyprzedzeniu obcej taksówki. Zgrzytając zębami jechał za nią. W pewnym momencie taksówka gwałtownie przyhamowała i Jurek musiał zrobić to samo. Ponad dachem taksówki zobaczył, że samochód, którym jechał kapitan, także stoi, a za chwilę wyskoczył z niego Niedzielski i podbiegł do kiosku z papierosami.

– No, dlaczego gnój teraz nie wyprzedza?! – zdenerwował się widząc, że zawalidroga wciąż stoi. Niedzielski wrócił do samochodu, chowając paczkę papierosów do kieszeni. Dopiero kiedy pierwszy samochód ruszył, wtedy i pętająca się przed Piskorzem taksówka ruszyła za nim!

– Co za cholera? – zastanowił się Jurek, jadący teraz cierpliwie za drugą taksówką, a nawet odruchowo zwalnijąc, aby jeszcze powiększyć dystans dzielący go od niej. Po kilku minutach samochód Zawiei skręcił w lewo i o dziwo, podążająca za nim taksówka także wyrzuciła lewą strzałkę kierunkowskazu.

– Oho! – mruknął do siebie Jurek – a to co znowuż za ministranci? Czekaście, czekaście, ja już pojedę za wami i dmuchnę wam w piórka, żeby przekonać się co z was za koguty.

Po pewnym czasie domy zaczęły rzednąć, przechodząc stopniowo w obszar luźnej zabudowy przedmieścia. Zrobiło się ciemno i właściwie trzeba by było zapalić reflektory, ale Jurek wyłączył nawet światła miejskie. Poczul dreszczyk emocji, kiedy zobaczył, że w chwilę później to samo zrobił kierowca drugiej taksówki. Tylko samochód wiozący kapitana Zawieję i sierżanta Niedzielskiego prul ciemność nożycami silnych świateł reflektorów.

* * *

Bursztynowa fajeczka i hasło otwały bez trudu przed nimi ciężko kutą furtkę klasztoru. Wchodząc musieli schylić głowy, tak była niska. Furtian poprowadził

ich bez słowa długim wirydarzem, którego sklepienie wsparte było na smukłych gotyckich kolumnach. Każdy krok dźwięczał tutaj jak we wnętrzu pustej beczki.

– Czy są już wszyscy? – zapytał kapitan Zawieja zakonnika, którego poły habitu sięgały kolan.

– Nie wiem. Nic nie wiem – odparł zakonnik. – My nie interesujemy się tym, co się dzieje w pomieszczeniu naszych dobroczyńców. Wiemy, że panowie ofiarujecie poważne kwoty na nasz klasztor i pozwalamy wam od czasu do czasu zebrać się tutaj. Ale pogrążeni w wieczności nie interesujemy się doczesnością...

Zawieja pomyślał w duchu, że choć głowy mają w niebie, jednak ich nogi wyraźnie stoją na ziemi, gdyż umieją dbać o interesy doczesne, ale milczał usiłując zapamiętać drogę jaką przebyli i porównując ją w pamięci z tym, co słyszał od Teofila. Sierżant Niedzielski szedł z bijącym sercem o pół kroku za kapitanem i bezwiednie aż do bólu ścisnął rękojeść pistoletu w bocznej kieszeni marynarki. Zatrzymali się przed jakimiś kutymi w żelazie drzwiami. Zakonnik zapukał w charakterystyczny sposób i drzwi bezgłośnie uchyliły się. – Muszą być dobrze smarowane, bo nie skrzypią, choć ważą chyba z kilkaset kilo – pomyślał mimochodem kapitan. W mroku korytarza jaśniała plama białego habitu druzgiego zakonnika.

– Dalej już panów poprowadzi ten braciszek – powiedział zakonnik i oddalił się furkocząc długim habitem i grzechocząc paciorkami różańca.

– Dziękujemy bratu, znamy sami drogę – powiedział pewnym głosem kapitan. Strzegący drzwi zakonnik schylił tylko głowę na znak, że zastosuje się do ich woli. Zawieja pewnie szedł korytarzem, po czym za trzecim z kolei załomem skręcił na jakieś schody. Miał w pamięci cały plan tej części klasztoru nakreślony przez Teofila i wiedział, że te schody prowadzą na chór opuszczonej kaplicy, w której odbywały się zgromadzenia szajki. Niedzielski obuty w takież jak kapitan pantofle na słoninie, stąpał za nim jak kot, słysząc coraz głośniejsze bicie własnego serca.

Jurek Piskorz ukrył swój samochód na małej bocznej drodze o jakie sto metrów od wejścia do klasztoru. Był to rodzaj alei akacjowej, której gęste gałęzie, splatające się u góry w gęste sklepienie dobrze chroniły Warszawę przed niepowołanymi oczami. Widział jak najpierw wysiedli z taksówki Zawieja i Niedzielski. Widział też jak zaczęli dobijać się do furty klasztornej. Przez ten czas drugi samochód stał w cieniu drzew w połowie drogi między nim i jego zwierzchnikami. Teraz już Jurek nie miał żadnej wątpliwości, że jego „naczelnik” jest szpiegowany przez pasażerów drugiej taksówki. Dopiero kiedy klasztorna brama zamknęła się za obu oficerami milicji, Jurek usłyszał szcęk zamykanych

drzwi samochodowych i po chwili zielona taksówka przemknęła obok wracając do Krakowa. Ale już bez obu pasażerów. Pusta. Musiał dobrze wyęźać wzrok, żeby w krzakach pod murami klasztoru dostrzec nikły ogieniek żarzącego się papierosa.

– Czekają, fleki w ucho rąbane – mruknął do siebie
– no to i ja poczekam...

* * *

Sala była duża, ale mroczna. Musiała kiedyś pełnić funkcję pomocniczej kaplicy. Świadczyły o tym wysokie stropy podparte strzelistymi kolumnami, oraz chór z pozostałościami częściowo rozebranych organów. Kapitan zostawił drzwi lekko uchylone i razem z Niedzielskim usadowili się za pulpitem, który niegdyś musiał służyć dyrygentowi chóru. Sala była akustyczna niemal w stopniu idealnym, toteż każde słowo wypowiedziane za dużym dębowym stołem, oświetlonym lampami starożytnego żyrandola, słychać było wyraźnie na chórze.

– ...pięćset tysięcy złotych – kończył zdanie pan Mirosław Zgorzelski dokonując ołówkiem jakichś obliczeń.

– U ciebie przechowywaliśmy trzysta osiemnaście tysięcy – przypomniał mu Jan Kawka, zaglądając przez ramię.

– Liczymy okrągło trzysta tysięcy – sprostował nie-
dbale Zgorzelski – bo osiemnaście tysięcy wydałem na
koszty organizacyjne i reprezentacyjne...

– Trochę za dużo kosztują nas te reprezentacje –
powiedział człowiek odwrócony plecami do chóru.
Choć nie widzieli jego twarzy, jednak nie mieli wątpli-
wości, że jest to ten sam mężczyzna, który odebrał ze-
garki opasłemu Jeleniowi w hotelu Pollera. Miał jeszcze
na sobie ten sam płaszcz w grubą kratę.

– Nie będziemy chyba klócili się teraz o takie
drobiazgi – powiedział pan Zgorzelski urażony i popra-
wił leżące na stole przyzmy banknotów.

– Do tego trzeba dodać chyba jeszcze te pięćset ze-
garków – powiedział Kawka wskazując na karton, sto-
jący obok pieniędzy.

– Nie! – ostro powiedział człowiek w płaszczu – te
zegarki wrócą do komory celnej. Zostały tylko wypożyc-
zone, dla dokonania „obrotu” z Jeleniem...

– Czyś ty oszalał, Rak? – oburzył się Kawka. –
Pięćset zegarków chcesz zwrócić do komory celnej?
Przecież to bomba pieniędzy!

Na dźwięk nazwiska „Rak” Zawieja uszczypnął
Niedzielskiego w rękę, że ten z trudem opanował
okrzyk bólu. Rak! A więc to był RAK!

– Te zegarki wrócą do komory celnej! – walnął Rak
pięścią w stół. – Wy wyjeżdżacie już jutro za granicę, a
ja tu jeszcze zostanę. Wam łatwo wypiąć tyłek na
wszystko, tylko, że ja nie mam zamiaru beczeć za

wszystko i za wszystkich! Nie będę narażać ani siebie, ani moich ludzi w kamorze. Dobrze wiecie, że te zegarki pochodzą z depozytu celnego i muszą jeszcze dzisiaj wrócić do magazynu. Wystarczy chyba, że zarobiliśmy na nich pół miliona. Zresztą szef myśli tak samo, jak przyjdzie, możecie go zapytać.

Na dźwięk słowa „szef” pan Mirosław Zgorzelski, natychmiast zmienił front: – Słuchaj, Kawka, on ma rację. Nie trzeba kusić szczęścia ponad miarę. Szczególnie teraz, kiedy mój brat już siedzi. Ty zawsze pozostaniesz chciwym przekupniem z Kercelaka.

– Tylko bez przekupni! Tylko bez przekupni! – oburzył się Kawka. – Też znalazł się arystokrata! Jesteś taki sam złodziej, jak i ja!

I wtedy stało się coś, co o mały włos nie spowodowało nieszczęścia. Niedzielski, któremu kurz z pulpitu dostał się do nozdrzy, już od kilku chwil walczył ze straszliwym swędzeniem w nosie. I właśnie wtedy, kiedy Kawka skończył ostatnie zdanie, Niedzielski nie wytrzymał i... kichnął. Co prawda zdążył jeszcze zaciśnąć nos palcami i wskutek tego kichnięcie było bezdźwięczne i stłumione, jednak doskonała akustyka sali obróciła się na chwilę przeciwko zaczajonym oficerom.

– Co to było? – spytał Rak nadstawiając uszu

– Nie, nic nie słyszałem – powiedział Zgorzelski chwilę nasłuchując w milczeniu.

– Ja też nic – powiedział szorstko Kawka, jeszcze zaczerwieniony od gniewu.

– Musiałem się przesłyszeć – ruszył ramionami Rak i dopiero wtedy obaj oficerowie na chórze odechnęli z ulgą. Kapitan Zawieja pogroził Niedzielskiemu palcem, choć młody kryminalistyk sam był gotów bić się kulakiem po głowie.

– No, to trzeba przystąpić do podziału naszych aktywów – powiedział Zgorzelski, przysuwając ułożone w kupki banknoty do siebie.

– Pomogę ci – zaferował się Kawka i chciwie przyciągnął część pieniędzy w swoją stronę.

– No, to dzielcie forszę, a ja was na chwilę przeproszę. Zaraz wrócę – powiedział Rak, kierując się w stronę drzwi.

– Idziesz spotkać szefa? – spytał Zgorzelski, wprawnie kartkując pierwszą paczkę banknotów.

– Tak – odparł Rak, ale z brzmienia głosu kapitan domyślił się, że ten człowiek skłamał.

5.

Upłynął kwadrans od chwili, kiedy furtka klasztorna zamknęła się za kapitanem Zawieją, a przez ten czas Jurek Piskorz zdołał przesunąć się zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Zaniepokoił się, bo stracił podejrzanych z oczu. Na czarnym niebie rozświetlonym światłem księżyca, który jak złoty talerzyk przesuwiał się poza

postrzępionymi chmurami, dojrzał ostrą krawędź klasztornego muru. Jakże się zdziwił, kiedy za chwilę na murze tym wyrosła czarna sylwetka człowieka, który wydostawszy się na jego szczyt podciągnął na rękach swego towarzysza. Po chwili Jurek obserwował dwie czarne i płaskie, jak by wycięte z kartonu, sylwetki mężczyzn, którzy ostrożnie poczęli ześlizgiwać się na drugą stronę klasztornego muru.

– Ochżesz, wy w mordę pluci! – zaklął w duchu Jurek. – I co ja mam teraz zrobić? Nie jestem małpą, że bym się potrafił na taki wielgachny mur sam wdrapać...

Kiedy jednak doszedł do tego miejsca, w którym obaj mężczyźni przekroczyli ostrą grań muru, przekonał się, że sytuacja nie wymaga od niego „małpich” kwalifikacji.

Ze szczytu muru zwieszała się bowiem zaczepiona ostrymi kotwicami, cienka, ale mocna jedwabna drabinka sznurowa...

– Ojczyzno, stanowczo za wiele ode mnie wymagasz! – mruknął swój zarezerwowany na szczególnie uroczyste okazje slogan, i pewną nogą wstąpił na pierwszy szczebel drabinki.

* * *

Kapitan spojrział na zegarek. Siedzieli na tym chórze już kwadrans. Bez obstawy, osamotnieni – była to bardzo niebezpieczna eskapada. Nie mogli się jednak jeszcze wycofać – musi zajrzeć w twarz Rakowi, gdyż wracając przestępca musiał stanąć twarzą do chóru. Trzeba również doczekać się nadejścia szefa. Dopiero wtedy mogę się wycofać i to jak najszybciej. Żeby tylko, dranie, nie dowiedzieli się od zakonników, że jeszcze dwaj nieoczekiwani posiadacze bursztynowych fajeczek zostali tego wieczoru wpuszczeni na teren meliny.

– Jak myślisz, Zgorzelski, czy Homolacs przygotuje wszystko dla nas we Wiedniu jak należy? – spytał Kawka przerywając na chwilę liczenie pieniędzy.

– Na pewno, na Homolacsa można liczyć – odpowiedział Zgorzelski, śliniąc palce przed rozpoczęciem liczenia kolejnej paczki pięćsetzłówek.

– Ale, że dotąd nie dał znaku życia o sobie? – pokręcił z powątpiewaniem głową Kawka.

– Nigdy nie pisał wcześniej jak w tydzień, do dziesięciu dni po wyjeździe. Dlaczego tym razem miałby robić wyjątek? To nawet byłaby nieostrożność!

Niedzielskiemu musiała ścierpnąć noga, gdyż lekko poruszył się. Kapitan zwrócił głowę w jego stronę, aby go skarcić i... znieruchomiał. Zobaczył bowiem, że drzwi, które zostawił półuchylone powoli, bardzo powoli, ale bez przerwy uchylają się. Zawieja nie zdążył

wyjąć pistoletu, kiedy już w drzwiach stała postać w kraciastym płaszczu z wymierzonym pistoletem. Niezdzielski spostrzegł napastnika dopiero wtedy, kiedy w sali zahuczał jego głos odbity od sklepionego stropu.

– Ręce do góry! Bez żadnych kawałów, panie Zawieja!

Kapitan zrozumiał, że na wydobycie pistoletu nie ma czasu, toteż nacisnął spust nie wyjmując broni z kieszeni. Strzał huknął jak z armaty, ale kula nieszkodliwie odłupała tylko tynk o pół metra od framugi drzwi. Napastnik skoczył i z rozpędu zdzielił Zawieję ręką pistoletu w głowę. Gasnącym wzrokiem dojrzał wykrzywioną strachem i nienawiścią twarz inspektora Reszkiewicza i trzymającego ręce w górze sierżanta magistra.

* * *

Huk był głuchy, ale wyraźny. Jurek słyszał nawet jego zwiłokrotnione echo, jak by strzelono w kościele. Strzał! Ta myśl podziałała nań, jak spięcie ostrogą. Już nawet nie starając się maskować, rzucił się wzdłuż muru w stronę bramy, nad którą świeciło światło.

– Rany kota! Jeśli mu coś zrobili, jeśli mu coś zrobili! – powtarzał lecąc jak opętaniec i choć nie wiedział co będzie, „jeśli mu coś zrobili”, czuł tylko, że będzie się mścił jak tygrys. Jednym kopnięciem wywalił drzwi, wpadł z bronią w rękę do pustego i surowego w klasztornej prostocie przedsionka. Tuż obok drzwi dostrzegł gramolącego się niezdarnie na posadzce grubego zakonnika, usiłującego bezskutecznie powstać z ziemi. Jurek jednym szarpnięciem za brunatny kaptur postawił go na nogi:

– Gdzie ci dwaj – spytał szarpiąc bez litości zakonnika, który przyciskał pulchne dłonie do łysiny, na której widniał siniak wielkości mandarynki.

– Tam, tam poszli! – jęknął zakonnik wskazując długi korytarz skąpo oświetlony żółtymi żarówkami.

– Niech ksiądz mnie prowadzi! – rozkazał Jurek, któremu zdawało się, że stoi nie na kamiennej posadzce, ale na rozżarzonej blasze.

– Ależ ja nie mogę odejść od bramy... Muszę zawiadomić gwardiana... – zaczął jęczeć ponownie brat furtian. Na nic się to jednak nie zdało, gdyż Jurek bez żadnego szacunku dla jego szat zakonnych chwycił grubasa za kaptur habitu i siłą pociągnął go za sobą. Pędzili jak wiatr, tylko po ścianach migwały ich pokraczne cienie, tylko od sklepionego sufitu odbijał się klekot sandałów zakonnika, które jeszcze nigdy nie brały udziału w takiej gonitwie. Jurek słyszał, że zakonnik

zaczyna odmawiać modlitwę za umierających.

– Rany kota, jeśli mu coś zrobili!...

I nagle drogę przegrodziły im jakieś drzwi.

* * *

Kiedy już na dole twarz Zawiei sprysnięto wodą, kapitan otworzył oczy i ujrzał przed sobą złośliwie uśmiechniętą twarz inspektora Reszkiewicza.

– A co, kapitanie Zawieja, radziłem umorzyć sprawę „Vesty”? Teraz wypadnie nam umorzyć pana i jego asystenta. A szkoda, bo można było tego uniknąć.

Zawieja milcząco rozejrzał się dokoła. Niedzielski stał posepny, blady, z rękoma związanymi do tyłu. Uniikał wyraźnie wzroku kapitana. Drogę do drzwi przegradzał Reszkiewicz, który dotąd nie schował pistoletu do kieszeni i wymachiwał nim przed nosem kapitanowi. Jan Kawka i Mirosław Zgorzelski śledzili także każdy ruch obu zatrzymanych. Na domiar wszystkiego kapitan poczuł, że ręce ma przywiązane do oparcia krzesła.

– Daremne marzenia – domyślił się biegu jego myśli inspektor Reszkiewicz. – Żadnych szans na ucieczkę. Chyba na tamten świat – wymownie poruszył pistoletem.

– Słuchaj, Rak – powiedział pogardliwie Zawieja – być może, że uda ci się nas wykończyć, choć to jeszcze nie powiedziane, lecz i tak zadyndasz na szubienicy.

– Kogo ty chcesz straszyć, kapitanie! – zaśmiał się sztucznie Reszkiewicz. – Jesteś jedynym człowiekiem, który zna całą prawdę o mnie. Oprócz tego szczeniaka, oczywiście – wskazał lekceważąco na Niedzielskiego. – Kiedy odnajdą twe ciało, jeśli je w ogóle kiedy odnajdą, sam złożę wieniec na twoim grobie w imieniu Komendy Głównej... – Szydlił wyzywając się w dręczeniu bezbronnego przeciwnika. Kawka zarechotał z uznaniem, ale wytworny Mirosław Zgorzelski skrzywił się z niesmakiem:

– Kończ już, Rak!

– Skończę, skończę, możesz być o to spokojny, ale muszę przedtem dowiedzieć się od tych ptaszków skąd się tutaj wzięli i po co? Jeśli nie będziesz mówił, potrafię cię zmusić do mówienia – zagroził Zawieja, który z pogardą patrzył na bandytę.

– Możesz mi nie grozić, Rak. To, co ja wiem, wie także major Rydel z MSW, a za miesiąc, czy dwa będzie wiedział cały kraj, już ze sprawozdań sądowych!

– Łżesz! Uważasz mnie za durnia i starasz się szantażować – wycodził Rak i chłodno z rozważą uderzył w twarz kapitana. Zawieja poczuł, że ma rozciętą wargę, gdyż w ustach miał słony smak krwi.

– Bohater – wobec bezbronnych! To twoja specjalność, Rak! Florek, którego otrułeś cyjankiem, był bezbronny. Stonka, którego nie udało ci się otruć dosypując cyjanku do ciastka w moim gabinecie – był też bezbronny. Bezbronna była Wilhelmina Rehmowa...

– Dość! – krzyknął Rak, tracąc dotychczasową flegmę, a zielona bladeść twarzy wskazywała, że ogarnął go strach.

– Rak!

To słowo padło gdzieś z tyłu, od strony drzwi, ale na jego dźwięk wszyscy trzej wyraźnie zdetonowali się.

– Co się tu dzieje? Co to za ludzie? – kapitanowi ten ostry i rozkazujący głos wydał się dziwnie znajomy, nie mógł jednak dojrzeć nowo przybyłego.

– Szefie – zaczął Reszkiewicz prężąc się po wojskowemu – to „blacharze”...

– Wiesz, że nie znoszę żargonu – rozległ się ten sam głos, ale już bliżej za kapitanem. Kapitanowi wydało się, że już, już rozpoznaje ten głos, ale przypuszczenie to było tak absurdalne, że odrzucił je, zanim zdążyło się w pełni sformułować w jego mózgu. A jednak, gdy dwoje rąk ujęło jego krzesło z tyłu i nagłym obrotem okręciło je o sto osiemdziesiąt stopni, kapitan znalazł się twarzą w twarz z naczelnikiem Kowalskim.

– Pan?! – mimo woli wyrwało się z ust kapitana.

– Ja – odpowiedział Kowalski, tylko, że tym razem na jego rumianej, starannie wygolonej twarzy nie było zwykłego u niego wyrazu niepewności i zażenowania. – Niespodzianka, prawda, panie kapitanie? – I zanim kapitan zdążył coś powiedzieć dodał: – Pańskie zjawienie się tutaj jest także niespodzianką. Ilu was tutaj jest, gadjaj?! – natarł ostro porzucając nagle ton uprzejmy.

– Jesteście otoczeni. Cały klasztor jest otoczony przez milicję – szybko wtrącił się do rozmowy Niedzielski.

Janowi Kawce zadrżała szczeka, Zgorzelski chwycił Raka za rękę, ale ten skrzywił się tylko pogardliwie i powiedział zwracając się do szefa:

– On łże, szefie. Musieliby robić obstawę przy pomocy krakowskiej milicji, a o tym ja byłbym powiadomiony, jestem przecież tutaj na inspekcji.

Mimo zdenerwowania i wielkiego napięcia Zawieja raz jeszcze pobłogosławił w duchu Niedzielskiego za jego upór w sprawie tej centrali telefonicznej!

– Zrewidować ich! – nakazał szef i Rak wprawnie przetrząsnął kieszenie Zawiei, Kawka zaś zrewidował sierżanta magistra. Na widok dwóch cygarniczek z napisem Johann Lippert et Co naczelnik Kowalski cicho gwizdnął, podczas gdy pozostałych ogarnęła wyraźna panika.

– No cóż, panie kapitanie, jak widzę zrobił pań znaczne postępy w rozwikłaniu zagadki „Vesty”. Z

przykrością to stwierdzam, bo to przesądza pański los.

Wziął leżący na stole pistolet kapitana i wprawnie zarepetował broń. Zawieja poczuł zimne mrówki na kręgosłupie. Odruchowo zaczął przedłużać rozmowę nie odrywając wzroku od czarnego kształtu w dłoni naczelnika Kowalskiego; jednocześnie naprężył wszystkie mięśnie starając się rozluźnić prowizoryczne więzy, którymi miał ręce skrępowane za oparciem krzesła.

– Sądzę, że postępy nasze są większe niż pan przypuszcza, panie naczelniku. Na przykład nie wie pan jeszcze, że austriacki dziennikarz pan Homolacs jest już od kilku dni aresztowany wraz ze swym pięknym Delagem.

– Rak? – zwrócił pytający wzrok na inspektora naczelnik Kowalski.

– Bluffuje, szefie. Wiedziałbym coś o tym.

– Nie bluffuję, panie naczelniku – pokręcił głową Zawieja czując ku wielkiej radości, że pośpiesznie zrobiony węzeł na plecach rozluźnia się – Rak nic o tym nie wie, bo Homolacs został ujęty na granicy i znajduje się w więzieniu WOP, a nie w Komendzie Milicji. To jest przyczyna, panie Kawka, dla której Homolacs dotąd nie nadesłał pozdrowień z Wiednia – dodał nawiązując do podsłuchanych wątpliwości handlarza dewocjonaliami i po kolejnym wysiłku poczuł, że już ma prawą rękę wolną.

Teraz nawet naczelnik Kowalski zdenerwował się, choć pokrywał nurtujący go niepokój maską spokoju i opanowania.

– Jeśli zaś chodzi o blit po Czarnej Rączce... – zaczął kapitan uwalniając drugą rękę i powoli naprężając mięśnie nóg.

– Dość! – przerwał mu ostro Kowalski zaniepokojony widocznie pogłębiającym się nastrojem paniki wśród swoich kompanów i powoli podniósł pistolet do oka. Zanim jednak czarny otwór lufy zajrzał w twarz kapitanowi, siedemdziesiąt kilogramów jego ciała jak pocisk wyrzucony z katapulty jednym rzutem mięśni ugodziło w brzuch naczelnika. Strzał oddany odruchowo huknął nieszkodliwie nad głową Zawiei, sam zaś naczelnik wydawszy dziki okrzyk bólu i przerażenia runął na plecy. Zawieja jak tygrys rzucił się na niego. Sierżant Niedzielski nie tracąc przytomności umysłu jednym kopnięciem odrzucił pistolet, który przy upadku wypadł z dłoni naczelnika, po czym, jak na meczu piłki nożnej, z woleja kopnął w brzuch inspektora Reszkiewicza, który zwinął się wpół z jękiem bólu.

– Ach, ty taki synu! – wrzasnął Kawka i rzucił się z pięściami na Niedzielskiego. Mirosław Zgorzelski, trzęsąc się jak galareta, śledził dziką scenę bójki z bezpiecznego ukrycia pod stołem. W ogólną kotłowaną, ciężki oddech walczących i przekleństwa Kawki wdarł się nagle ostry, rozkazujący głos:

– Ręce do góry, bo strzelam!

I jak by na potwierdzenie realności tej pogroźki goetycki strop kaplicy odbił gromowe echo strzału z pistoletu.

* * *

Drzwi były zamknięte.

– Niech ksiądz otworzy te drzwi! – rozkazał Jurek.

– Kiedy te drzwi nie powinny być zamknięte, za nimi dyżuruje inny braciszek – jęknął zakonnik ledwo dysząc po odbytej stumetrówce. Jurek napał na drzwi ramieniem. Trzymany wciąż za kaptur zakonnik, chcąc nie chcąc zrobił to samo: Ustąpiły powoli, jak by przeszkadzał im jakiś wielki ciężar, użyty do zatarasowania. Kiedy tylko szpara zrobiła się dostatecznie wielka Piskorz wcisnął się na drugą stronę na wszelki wypadek nie puszczając z ręki sznura, którym był przepasany otyły furtian.

– Nie mogę, szpara jest dla mnie za wąska! – sieknął zduszonym głosem zakonnik i Jurek szpetnie zakląwszy, jak chyba jeszcze nikt nigdy nie przeklinał w tych czcigodnych murach, schylił się, aby odsunąć przeszkodę. Wzdrygnął się dotknąwszy ludzkiego ciała, ale pokonując wstręt chwycił je za nogi i odciągnął na bok.

– No, teraz wchodzi ksiądz do środka – rozkazał i dopiero wtedy puścił z ręki sznur, kiedy grubas znalazł się wraz z nim po drugiej stronie.

– Brat Jacek! Nie żyje! – zawołał przerażony zakonnik i pochylił się nad ciałem.

– Nie ma czasu! Potem ksiądz się zajmie tym umrzykiem, teraz niech mnie ksiądz prowadzi tam gdzie trzeba... – Leżący na podłodze jęknął.

I wtedy właśnie powietrzem targnął nowy strzał. Musiało to być gdzieś zupełnie blisko, gdyż od wstrząsu powietrza na głowy ich posypały się płatki wapna z kryształowego stropu korytarza. Jurek jak ugodzony strzałą puścił się w tę stronę zapominając już o swoim zakładniku, który zajął się cuceniem nieprzytomnego konfratra. Ledwo minął zakręt korytarza nagle otwarły się przed nim jakieś drzwi i na tle ich oświetlonego prostokąta Piskorz zobaczył sylwetkę mężczyzny, który ile sił w nogach biegł w jego stronę. Szofer przypadł do ściany i chwycił swój pistolet za lufę. Kiedy mężczyzna zrównał się z nim, Jurek precyzyjnie podstawił mu nogę i jednocześnie wałnął rękojeścią pistoletu w głowę aż zadudniło.

– Numer jeden! – mruknął z radością, widząc, że uciekający zwałił się ciężko na ziemię. Nie zdążył jeszcze zrobić choćby pół kroku, kiedy na mroczny korytarz wybiegł inny człowiek i krzycząc coś leciał w jego stronę. Znowu powtórzył ten sam manewr – podstawienie nogi i cios obuchem w głowę.

– Numer dwa! – powiedział Jurek i wysunął głowę, aby zobaczyć, czy nie znajdzie się jeszcze jakiegoś amatora błyskawicznej wyprawy do krainy marzeń. Nie zawiódł się, już biegnie jakiś trzeci. Sadzi korytarzem długimi susami jak jeleń. Jurek wysuwa spoza węgła nogę i przygotowuje pistolet do ciosu. I oto dosłownie w ostatnim ułamku sekundy, zdążył powstrzymać uderzenie, gdyż w słabym blasku dalekiej żarówki rozpoznał twarz kapitana Zawiei.

– Panie naczelniku! – wrzeszczy Jurek, ale nie zdążył już usunąć nogi i kapitan Zawieja jak szczupak szoruje brzuchem po kamiennej posadzce.

– Panie naczelniku! Panie naczelniku! – rzuca się ku niemu Jurek. Pomaga kapitanowi powstać i nie jest w stanie niczego powiedzieć oprócz tego powtarzanego w kółko tytułu służbowego. – Panie naczelniku!

– Niech cię diabli wezmą, Jurek – kapitan rozciera sobie kolano skrzywiony z bólu. – Niech cię diabli wezmą! – i nawet zapomina go spytać, skąd się tutaj wziął.

Jurek zaczyna otrzepywać kapitana z kurzu, głaskać po ramieniu i sam nie wie, czy ma płakać, czy śmiać się z radości!

– Zajmij się lepiej tym drugim! To nasz wybawca! – mówi kapitan.

Ale oto już nadchodzi sierżant magister Niedzielski i jeszcze jakiś mężczyzna prowadząc złączonych kajdanami Jana Kawkę i Mirosława Zgorzelskiego oraz

oddzielnie skutego szefa. Nieznajomy skuwa ręce wciąż leżącego nieprzytomnie na podłodze Raka, po czym przy pomocy sierżanta podnoszą drugą ofiarę Jurka.

Kilka potrząśnień i lekkich policzków i rzekomy bandyta wstaje chwiejnie na nogi:

– Komu mamy zawdzięczać ocalenie? – pyta kapitan Zawieja, długo i serdecznie potrząsając dłoń mężczyzny.

– Naprawdę nie pamiętacie mnie, towarzyszu kapitanie? – uśmiecha się mimo bólu w nadwerężonej głowie mężczyzna. – Jestem porucznik Łącki z MSW.

– O rany! – klaszcze w dłonie Jurek Piskorz – też to ten sam porucznik, co nam pomagał odtransportować tego bandziora spod mostu Poniatowskiego.

– Ten sam – potwierdza porucznik Łącki.

– A ja go tak zaprawiłem! Boże, co za kompromis!

Kapitan Zawieja jeszcze raz dziękuje Łąckiemu, po czym zapytuje z żartobliwą ironią:

– Czy i teraz „przypadkowo” przechadzaliście się koło tego klasztoru, poruczniku?

Porucznik Łącki śmieje się i wciąż przykładając chusteczkę do skaleczonej głowy mówi nieco zmieszany:

– Wam nie trzeba tłumaczyć, kapitanie. Od pierwszego dnia wraz z tym towarzyszem miałem zleconą

przez majora Rydla opiekę nad waszą osobą... No i okazało się, że nie na darmo.

EPILOG

Jak zwykle, najcięższa praca kapitana Zawiei zaczęła się w tym miejscu, gdzie urywa się każda powieść sensacyjna. Dopiero w początku listopada wszystkie materiały sprawy „Vesty”, grube tomy protokołów przesłuchań zarówno znanych nam kierowników szajki, jak wielu innych pomniejszych, których aresztowano w wyniku danych uzyskanych w śledztwie, znalazły swoją ostateczną syntezę w postaci materiału dowodowego, który mógł się stać podstawą dla aktu oskarżenia, jaki przeciwko członkom „Vesty” wygłosi za kilka miesięcy prokurator.

* * *

Wieczorem tego samego dnia, kiedy kapitan Zawieja otrzymał urlop, Jurek Piskorz nagrodę pieniężną a magister Niedzielski gwiazdki oficerskie, do kapitana zawitał profesor Werhar. Chłopcy narobili wrzasku, jak by na dom napadli Komańcze i zaczęli bez pardonu rewidować kieszenie starego psychologa. Każdy „odkryty”

w nich cukierek wywoływał nowy wybuch radości i okrzyków.

– No, szarańcza, wystarczy już! – strofował ich ostro Zawieja. – Objecie wujka profesora doszczętnie. Wynoście się do swojego pokoju i pozwólcie ojcu porozmawiać.

Pani Maria wyprowadziła energicznie protestujących urwisów z pokoju i obaj panowie zasiedli w fotelach. Radio grało przyciszone melodie taneczne. Profesor Werhar zmienił okulary i wyjął z kieszeni gruby notes, podobny z daleka do książki handlowej.

– Czy zmieniłeś zawód i zamierzasz przeprowadzić ze mną wywiad dla prasy? – żartował Zawieja obserwując te przygotowania.

– Może i wywiad, ale nie dla prasy – odpowiedział Werhar kartkując swój monumentalny notes – chciałem cię mianowicie zapytać o kilka szczegółów do sprawy „Vesty”. Bardzo mnie ta sprawa zainteresowała, częściowo przeżywałem ją razem z tobą, więc chciałbym uzyskać odpowiedź na niektóre trapiące mnie wątpliwości.

– Teraz już mogę ci wszystko powiedzieć – powiedział Zawieja poprawiając się na fotelu – śledztwo ukończone, sprawa u prokuratora, żadnych tajemnic już nie ma w sprawie „Vesty”. Organizacja szajki była niemal idealna. Rak neutralizował organa bezpieczeństwa. Kowalski i Zgorzelski – Biuro Importu Urządzeń Przemysłowych, jedyną instytucję, która mogłaby stwierdzić

nadmiar zegarków na rynku. Szajka naraziła państwo na straty także przez to, że sztucznie ograniczała oficjalny import zegarków, aby poprawiać koniunkturę dla zegarków pochodzących z przemytu. Nie mówiąc już o znanym ci procedurze prowadzenia przemytu pod egidą Biura. Rehm był jedynym człowiekiem, który wpadł na trop afery i dlatego musiał umrzeć. No, ale czekam na pytania.

– To świetnie – Werhar pogładził się z roztargnieniem po swej koziej bródce – bo kilka spraw mi nie daje spokoju. A więc primo: jak to było właściwie z zabiciem Rehmów? Bo niby od ich śmierci wszystko się zaczęło, a potem zajmowałeś się wszystkim oprócz tej zagadki. Przynajmniej tak mi się wydaje – zastrzegł się pośpiesznie.

Kapitan uśmiechnął się na wyraźny ton pretensji, jaki zabrzmiał w głosie profesora.

– Słusznie ci się wydaje. Od chwili śmierci Czarnej Rączki jasnym się dla mnie stało, że klucz do zagadki śmierci Rehmów tkwi w aferze zegarkowej. Kochany profesorze, nie potrafiłbym rozgryźć zagadki ich śmierci, gdybym nie rozwikłał sprawy „Vesty” jako takiej. Doskonale rozumiał to Rak, który za wszelką cenę chciał odebrać mi sprawę przemytu zegarków i przekazać ją sekcji gospodarczej.

– Mój Boże, do jakich podłości są zdolni niektórzy ludzie, kiedy idzie o pieniądze – westchnął Werhar.

– Nie małe pieniądze, ale cały majątek – zaprote-
stował kapitan. – W ciągu kilku lat działalności „Vesty”
przemyciono do kraju 14.895 zegarków wartości
22.300.000 złotych! Wartość odnalezionego blitu Czar-
nej Rączki i srebra w samochodzie Homolacsa, plus
dolary, które zamierzał wywieźć za granicę inżynier
Zgorzelski, wraz z tym co znaleźliśmy przy rewizji w
klasztorze i mieszkaniu naczelnika Kowalskiego oraz w
sklepach komisowych – wyniosła ponad cztery miliony
złotych. O takie sumy zawsze, znajdują się ludzie gotowi
ryzykować głowy własne i cudze. Taki jest świat i na to
nie ma na razie rady.

– Niestety – smutno zgodził się Werhar – fakty
świadczą o tym, że masz rację. Żeby już jednak skoń-
czyć z blitem Czarnej Rączki, skąd właściwie znalazły
się u niego kosztowności przeznaczone do wywiezienia
z kraju?

– Historia blitu jest także typowa dla środowiska
zawodowych przestępców, gdzie takie pojęcia jak wier-
ność, solidarność mają bardzo wąskie granice. Klejnoty
otrzymał od Mirosława Zgorzelskiego w celu załatwie-
nia przeszlifowania ich, większość bowiem pochodziła
z kradzieży w „Jubilerze”, gdyż sam Zgorzelski nie
chciał dokonywać tego zabiegu w swoim zakładzie.
Ostatecznie on był tylko właścicielem firmy, a szlifo-
wać klejnoty musieliby pracownicy. Czarna Rączka był
zbyt starym „worychą”, żeby nie domyślić się, że gdy
banda będzie się likwidować, taki świadek, jak on,

będzie zbyt niebezpieczny, aby go zostawić przy życiu. Postanowił wcześniej się ulotnić, zabierając blit ze sobą. Nie podejrzewał jednak, że banda śledzi losy swoich klejnotów.

– Pytałeś o zabójstwo małżonków Rehmów – podjął po chwili kapitan. – Banda podjęła decyzję zgładzenia go wówczas, kiedy Rak przechwycił w Komendzie pismo Augusta Rehma, w którym zrozpaczony ojciec Teofila meldował władzom o aferze zegarkowej, o której pod szantażem tak długo milczał. To było to „wyjście”, o którym wspominał Teofilowi w czasie ostatniego z nim widzenia. Telefonicznie, niby w imieniu Komendy Głównej, umówiono się z Rehmem w hotelu Excelsior. Podano mu przekonujący powód, że przybycie jego do Komendy mogłoby przedwcześnie zaalarmować członków bandy, dlatego milicja chce się z nim uprzednio porozumieć potajemnie, w miejscu nie budzącym niczyjej ciekawości. Miał się spotkać tam z przedstawicielem władz. Był nim Rak, którego August Rehm nigdy przedtem nie widział. Wybrano jego, gdyż mógł się wylegitymować autentyczną legitymacją milicyjną i pozyskać absolutne zaufanie Rehma. Czarna Rączka nie był „regularnym” członkiem bandy. Byli oni zbyt ostrożni, aby do bandy przyjmować notowanych w kartotekach recydywistów. Był on typowym „mordercą do wynajęcia”. Kiedy okazało się, że planując jakiś „skok” w hotelu zatrudnił się w Excelsiorze jako palacz,

postanowili skorzystać z jego usług. Wiedzieli z poprzedniej z nim współpracy, że wszystko zależy tylko od sumy, jaką będą skłonni mu zaoferować.

Rak odbył szereg spotkań z Augustem Rehmem, za każdym razem w innym miejscu, badając szczegółowo co jest wiadome Rehmowi o całej organizacji szajki, czy z kimś się dzielił już swoimi wiadomościami, czy zasięgał u kogoś rady jak postąpić itd. Dopiero kiedy nabrał pewności, że list Rehma do Komendy Głównej był pierwszym krokiem, jaki zrozpaczony handlowiec podjął w tej sprawie, ściągnął go ponownie do Excelsioru, pod pierwszym lepszym pretekstem udał się wraz z nim w podziemia hotelu, gdzie Czarna Rączka dopełnił swego dzieła. Początkowo chcieli spalić zwłoki w palenisku kotła. Pech jednak chciał, że w kilka minut po zabójstwie nastąpiła awaria kotła i na czas naprawy musieli ukryć zwłoki w służbowym pokoiku pałacza. Tam przeleżały około dwunastu godzin. Tymczasem pani Rehmowa zaniepokojona całonocną nieobecnością męża, który w ostatnich dniach przejawiał wielkie zdenerwowanie, zadzwoniła rano do Mirosława Zgorzelskiego, który często bywał w ich domu i z którym, jak wiedziała, męża jej łączyły jakieś tajemnicze interesy. Domyślała się jedynie, że chodziło tu o Teofila. Zgorzelski uspokajał ją, że przyśle do niej człowieka, który jej wszystko wytłumaczy, żeby nie robiła alarmu i broń

Boże nie zawiadamiiała milicji, bo zaszkodzi mężowi i Teofilowi. Tym człowiekiem był Czarna Rączka. I dopiero po jej zabiciu, gdy przeglądali papiery po Rehmie, szukając jakichś kompromitujących ich materiałów, wpadli na pomysł użycia listów Teofila dla wyreżyserowania zabójstwa i samobójstwa z zazdrości. Wtedy też zabrali z szafy służbowy pistolet Rehma, Całą dokumentację kont PKO, ale zapomnieli o innych listach Teofila, które Rehm przechowywał w skrytce. Wrócili po nie ponownie, kiedy się dowiedzieli od Reszkiewicza, że zaczynam się interesować osobą Teofila i staram się ustalić jego tożsamość.

– Ależ, mój drogi – przerwał zdziwiony Werhar – mówisz, że zabrali dokumentację kont PKO, a ty przecież (dokładnie to sobie przypominam), już po pierwszym pobyciu w mieszkaniu Rehmów znałeś stan jego konta?

– Tak jest, bo traf chciał, że któryś z organizatorów kolportażu zegarków wpłacił właśnie pieniądze za sprzedane Longinesy na konto i potwierdzenie wpłaty przyszło następnego dnia po zabójstwie. Znalazłem je później w skrzynce na listy.

Tak, to już było dla profesora jasne, ale Werhar miał w swojej „książce handlowej” zapisane inne, nurtujące go wątpliwości.

– Rehm został zabity wieczorem?

– Tak jest, o dziesiątej wieczorem, kiedy Czarna Rączka objął już nocną zmianę.

– W takim razie jego żona musiała zostać zabita rano, bo mówiłeś, że mniej więcej w dwanaście godzin po śmierci męża. Jak wytłumaczyć to, że wybrano tak niekorzystną porę? Przecież dom przy ulicy Nowogrodzkiej jest ludny. W dodatku za drzwiami mieszkają Naldolscy oddzieleni tylko kilimem i cienkimi drzwiami. Jak to się stało, że nikt nie usłyszał huku?

Zawieja uśmiechnął się: – To co mówisz jest tylko pozornie logiczne, staruszk. Laicy zawsze sądzą, że zabójstw dokonuje się pod osłoną nocy. Dlaczego tak sądzą, to jako psycholog sam sobie potrafisz wytłumaczyć. Tymczasem zawodowy morderca, działający z premedytacją tylko pod przymusem okoliczności dokonuje zabójstwa w nocy. Z reguły morderstwa dokonują się we dnie i to właśnie między dziewiątą rano a drugą po południu, kiedy jest najmniej ludzi, gdyż lwią część dorosłych jest w pracy, dzieci w szkołach, lub przedszkolach. To samo jest z szansą zauważenia huku, czy innych odgłosów towarzyszących morderstwu. W nocy strzał obudzi całą kamienicę. We dnie, w wielkomięskim hałasie może przejść nie spostrzeżony. Zresztą kamienica na Nowogrodzkiej jest starym, solidnym budynkiem, a te nie są takie akustyczne jak nowo budowane. Poza tym pistolet, którego użył Czarna Rączka, był zaopatrzony w tłumik systemu „Percy Maxima”,

odnaleźliśmy go w magazynie broni, jaki banda miała w klasztorze. Pora była wybrana dobrze. Właśnie o dziesiątej rano Nadolskich nie ma w domu, bo oboje pracują, a dziecko oddają na ten czas do przedszkola. Nie bój się, Czarna Rączka dobrze spenetrował cały dom i lokal Rehmów, zanim zawiadomił szefa, że jest gotów do wykonania zadania. W każdym innym dniu problemem byłaby obecność Weroniki Kawki, ale Rehm został zabity w piątek wieczorem, jego żona zaś w robotę rano, to jest w dniu, w którym służąca miała dzień wolny od pracy, gdyż w niedzielę robiło się bardziej uroczyste obiady u Rehmów i Weronika tego dnia musiała być w pracy. Dzięki temu, że obie zbrodnie planował bądź co bądź fachowiec kryminalistyk – Rak, nie zostało niemal żadnych śladów ani w hotelu, ani w mieszkaniu Rehmów. Na szczęście Rak nic nie wiedział o puszcze z farbą przyniesioną przez Czarną Rączkę i ukrytą w łazience przez Weronikę.

– Okropność, jak ty spokojnie mówisz o takich potwornych zbrodniach przygotowywanych na zimno i z rozmysłem – wzdrygnął się Werhar.

– Mój Boże, gdybym nie nabył zawodowej odporności na różne okropności, to dawno bym już się wykończył. Z tego nie wynika, że mnie takie zbrodnie nie oburzają – ale to jest zupełnie inna sfera uczuć.

Profesor znowu zajrzał do gigantycznego notesu i spoza okularów popatrzał na przyjaciela: – Słuchaj no, dlaczego oni właściwie nie wykończyli cię wtedy w mieszkaniu Rehmów. Przecież, jak widać, zabijanie nie sprawiało im trudności. Wybacz, że o to pytam z taką brutalnością, ale...

– Zupełnie zrozumiała wątpliwość – uspokoił go kapitan – sam zadawałem sobie to pytanie. Sądzę, że przyczyn było kilka: przede wszystkim wtedy nie wiedzieli jeszcze, że jestem aż tak niebezpieczny i że tak szybko uda nam się rozszyfrować ich działalność. Zabójstwo musi się opłacić, inaczej nikt logicznie myślący (a zbrodniarze myślą logicznie) nie podejmie ryzyka z nim związanego. Rak się łudził jeszcze, że potrafi uzemieć całe dochodzenie, a wtedy usuwanie mnie było niepotrzebnym ściągnięciem na siebie uwagi całej milicji. Bo wyobrażasz sobie, jaki ruch zaczęłyby się wokół zabójstwa popełnionego na osobie oficera MO w takich okolicznościach? Po trzecie, spotkanie ze mną było przypadkowe i bandyci byli zaskoczeni, że jestem w mieszkaniu. Gdyby nie pilne zadanie, jakie mieli wykonać, być może wycofaliby się z mieszkania w ogóle mnie nie tykając – tak między innymi zeznał Jan Kawka.

– Cóż to było za zadanie? – zainteresował się Werhar.

– Mówiłem już – opróżnienie skrytki i usunięcie portretu Teofila. Zresztą to miało jedno i to samo na

celu, w skrytce znajdował się bowiem komplet listów Teofila do rodziców, akt adopcji i inne jego dokumenty osobiste. Spieszyli to usunąć, gdyż rozumieli, że odkrycie, kim jest naprawdę Teofil, pozwoli mi ustalić, jaka była rola Rehma w całej aferze i jakie mogły być motywy zabicia go. Po drugie odnalezienie Teofila spowodowałoby „spalenie” ich meliny w klasztorze, gdzie mieli główny punkt przeładunkowy przemycanych towarów i magazyn swoich zapasów zegarków, kosztowności i dewiz. Zabranie listów przewozowych i stempli podsunętych mi uprzednio przez naczelnika Kowalskiego, było już własnym, i to głupim pomysłem Mirosława Zgorzelskiego, który też oberwał za to solidnie od szefa, gdyż w ten sposób ułatwił mi domyślenie się, że umowy i faktury na nazwisko Rehma były sfałszowane.

– A naprawdę, jak się zegarki dostawały do Polski, czy tylko samochodami?

– Nie. Także przy pomocy tych kombinacji, które usiłowali przypisać Rehmowi, tylko że odbiorcami wolnocłowych paczek był Jan Kawka, Joanna Szmytowa i Mirosław Zgorzelski, z tym, że przychodziły one na zmyślone nazwiska, na które wymienieni posiadali nielegalnie wydane dowody. Zauważ: mówię, nielegalnie wydane, a nie sfałszowane, gdyż Rak dostarczył szajce autentycznych blankietów paszportowych. Jeden z tych dowodów, do którego było przymocowane zdjęcie Jana Kawki, był wystawiony na nazwisko „August Rehm”.

Sprytu im nie brakowało, to trzeba przyznać. To na ten paszport Kawka podjął paczki nadesłane na nazwisko Rehma.

– Ależ z tego widać, że ten Rak oddawał im kolosalne usługi – wykrzyknął profesor. – I jak to się stało, że taka kanalia mogła siedzieć w milicji i to tak wysoko?

Twarz kapitana Zawiei wyraźnie zachmurzyła się, był to najboleśniejczy dla niego aspekt całej sprawy, toteż odpowiedział niechętnie i krótko: – Widzisz, to jest pokłosie tych czasów, kiedy wszystkie sprawy aparatu bezpieczeństwa, szczególnie personalne, były okryte mgłą tajemnicy. Tylko dzięki temu Rak, po zmianie pionu pracy i nazwiska na Reszkiewicz mógł znaleźć się ponownie w aparacie i w dodatku awansować. Sprawa Raka raz jeszcze udowodniła mi, jak słusznie i mądrze postąpiły nasze władze poddając aparat represyjny normalnej kontroli władz państwowych i politycznych. Nie chcę o tym więcej mówić. Dodam ci tylko, że po sprawie „Vesty” Rak będzie miał drugą rozprawę o szpiegostwo, ale to już jest resort majora Rydla. Zaręczam ci, że drogo zapłaci za wszystko!

W głosie tak spokojnego i pogodnego kapitana zadźwięczała wyraźna nuta nienawiści. Profesor Werhar zobaczył nagle przed sobą innego Zawieję, jakiego jeszcze nie znał. Chciał już dać spokój dalszym pytaniom,

ale Zawieję widać sprawa Raka nurtowała zbyt silnie, gdyż sam zaczął dalej mówić.

– Oficer milicji, psiakrew! Kto oddał bandzie do dyspozycji kilkanaście pistoletów „Vesta” pochodzących jeszcze ze zrzutu, który Rak otrzymał jako dowódca podziemnej organizacji bojowej? Dzięki czemu Gruby Kazek tak łatwo oddał b l i t Czarnej Rączki? Dzięki legitymacji służbowej Raka. Kto zawiadomił Kawkę o czekającej go nazajutrz rewizji? Rak. Dzięki komu samochód wiozący Teofila uniknął naszej obławy i nie został odnotowany, co opóźniło zdemaskowanie inżyniera? Dzięki Rakowi.

– Tego nie rozumiem – Wyznał Werhar.

– Nie rozumiesz? Człowieku, a jakież milicjant ośmieli się zrewidować samochód, którym jedzie człowiek legitymujący się dowodem oficera Komendy Głównej? To on przecież zorganizował w centrali podsłuch twojego aparatu, wykorzystując uprawnienia, jakie miał z tytułu swojego stanowiska. Kanalia, kanalia skończona! Twierdzą, że tylko dzięki temu piorunochronowi ta banda mogła tak długo prowadzić swoją działalność.

– A która się urwała dopiero wtedy, kiedy sprawę „Vesty” wziął w swoje ręce genialny kapitan Roman Zawiejca – zakończył szarżując profesor Werhar i zamknął z trzaskiem notatnik.

– No, tylko bez kpin, profesorze! – zaprotestował

wesoło Zawieja. – Najpierw dręczysz mnie pół godziny pytaniami, a potem tak się odwdzięczasz

Werhar chwycił go za ramiona i potrząsał śmiejąc się tak głośno, że aż z drugiego pokoju wysunęła mała postać w krótkich spodenkach:

– Czy już można, wujku profesorze?

KONIEC

Styczeń -1958 - maj 1959.